



CO SIĘ DZIEJE Z OSOBĄ,
KIEDY JEJ WŁASNY UMYSŁ
STAJE SIĘ WROGIEM?
— NIE WIEM.
— TBOJĘ SIĘ DOWIEDZIEĆ.

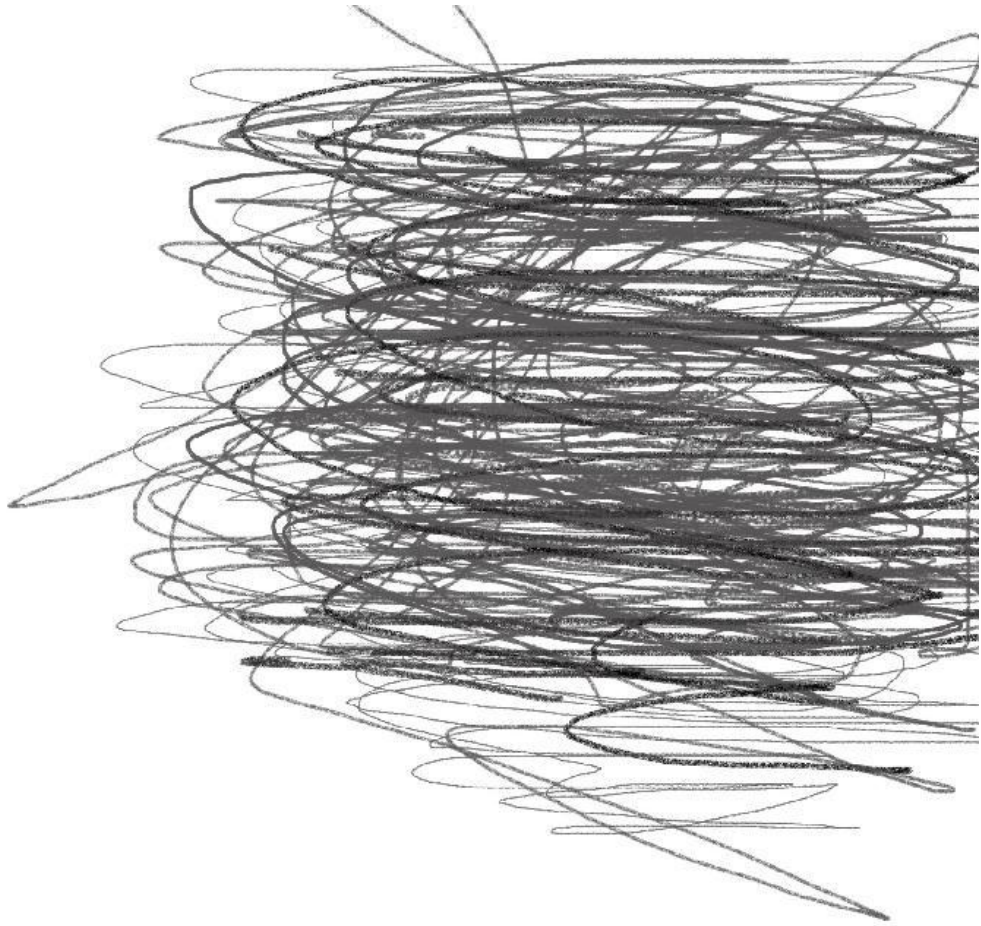
MARGO

tarryn fisher

bestsellerowa autorka wg „New York Times”

SON

WYDAWNICTWO
SON



MARGO

tarryn fisher

TLUMACZENIE:

agnieszka brodzik

kraków 2017

Dla mamy, która broni mnie przed złem

Perła zaczyna swoje życie jako śmieć – coś niechcianego, na przykład fragment skorupy albo okruch, który przypadkiem trafia do muszli małża. Aby się chronić, małż wydziela substancję tworzącą wokół drażniącego śmiecia gładką i twardą powierzchnię. Tę substancję nazywa się masą perłową. Dopóki śmieć nie wypadnie z wnętrza muszli, zwierzę będzie nieustannie otulać go masą perłową, warstwa po warstwie. Zawsze uważałam to za cudowne, że małż otacza swojego wroga czymś nie tylko pięknym, ale też częścią siebie. Diamenty cieszą się ogromnym powodzeniem, uważane są za najcenniejsze, a perła zostaje w pewnym sensie pomijana. Jej skromne początki to coś na kształt pasożyta rosnącego w żywym organizmie i odbierającego mu jego piękno. To cwane posunięcie. Trochę jak od zera do bohatera.

1

lat 13

W Bone jest taki dom z oknem ze zbitą szybą. Dziurę ktoś zakrył gazetą, poprzyklejaną na brzegach grubymi warstwami taśmy. Siding na ścianach zwisa niczym skóra na starcu, podtrzymując dach, który wygląda, jakby dźwigał ciężar całego świata.

Mieszkam w tym domu z moją matką. W deszczu, w opresji, w pokoju ze zbitą szybą. Nazywam go pożeraczem. Ponieważ jeśli mu na to pozwolisz, pożre cię żywcem, tak jak moją matkę. Tak jak od lat próbuje pożreć mnie.

– Margo, przynieś mi myjkę.

Moje imię, po nim rozkaz.

Przynoszę. Ledwo można ją nazwać myjką. To tylko stara ścierka, wyświechtana przez lata używania, pozbawiona koloru przez wycieranie brudu. Matka odbiera ją, nie patrząc na mnie. Jej palce są ładne, paznokcie pomalowała na czarno i lakier trochę już poodpryskiwał na brzegach. Wkłada myjkę między nogi i wyciera się szorstko. Krzywię się i odwracam wzrok, dając jej odrobinę prywatności. Tylko na taką prywatność można liczyć w tym domu – odwrócenie wzroku. Zawsze kręcą się tu jacyś ludzie, głównie mężczyźni, czają się przy drzwiach

i w korytarzach, a gdy tylko dasz im szansę, wyciągają do ciebie łapy. *Jeśli* dasz im szansę. Ja nie daję.

Matka wychodzi z wanny i sięga po ręcznik, który dla niej trzymam. Zazwyczaj dom śmierdzi pleśnią i stęchlizną, lecz przez jakąś godzinę będzie teraz pachniał solami do kąpieli.

– Margo, podaj mi szlafrok.

Moje imię, po nim rozkaz.

Nie cierpi się myć sama. Powiedziała mi kiedyś, że jej matka próbowała ją utopić w wannie, kiedy ona była jeszcze dzieckiem. Wciąż się tego boi. Czasami, w nocy, słyszę, jak kwili przez sen: „Nie, mamo. Nie”. Nie znałam babci. Po incydencie z podtopieniem moja matka została umieszczona w rodzinie zastępczej. Gdy o nim wspomina, nazywa go koszmarem. Zanim zdążyła dorosnąć i uciec systemowi, babcia umarła na rozległy zawał serca i zostawiła swojej córce tylko dom – pozeracza.

Matka patrzy na siebie w lustrze, kiedy ja rozkładam jej szlafrok – czerwony, gładki w dotyku. Do moich obowiązków należy prać go dwa razy w tygodniu. Robię to ostrożnie, bo matka nie ma nic cenniejszego. Moja matka jest piękna jak burza. Jest dzika i destruktywna, a w środku jej napadu wściekłości czujesz, że ma prawo do niszczenia nadane przez samego Boga. Jeszcze przez kilka minut obie podziwiamy jej odbicie w lustrze, szukając wad. To jej popołudniowy rytuał, który odprawia, zanim zrobi się ruch w domu. Wyciąga małe pojemniczki z kremami, które przynoszę jej z apteki, i układa je w szeregu na obtłuczonej umywalce. Macza palec w każdym po kolei i smaruje skórę wokół ust i oczu.

– Margo – mówi. Czekam na rozkaz, wstrzymując oddech. Tym razem matka patrzy na moje odbicie widoczne nieco z boku. – Nie jesteś ładna. Mogłabyś przynajmniej mieć ładną figurę. Braki na twarzy nadrabia się ciałem.

Żebyś mogła je sprzedawać tak jak ty?

– Postaram się, mamo.

Poddaję się. Tego się ode mnie oczekuje.

– Margo, możesz już iść. Zostań w swoim pokoju.

Moje imię, a po nim podwójny rozkaz. *Co za zaszczyt!*

Wychodzę z łazienki tyłem. Nauczyłam się tak robić, by nie dostać czymś w głowę. Matka jest niebezpieczna, gdy nie łyka tabletek. A nigdy nie wiadomo, czy łyka. Czasami zakradam się do jej pokoju, żeby je przeliczyć, dzięki temu wiem, ile jeszcze czeka mnie spokojnych dni.

– Margo – woła, kiedy jestem już prawie u drzwi.

– Tak, mam? – mówię niemal szeptem.

– Możesz dzisiaj nie jeść obiadu.

Oferuje to jak coś dobrego, choć tak naprawdę znaczenie jest inne: „Nie pozwalam ci dzisiaj jeść”.

Żaden problem. Mam własne zapasy, a poza tym w kuchni i tak nic bym nie znalazła.

Idę do pokoju, a ona zamyka za mną drzwi i wkłada klucz do kieszeni. W całym domu działa tylko zamek – ten w moich drzwiach, nie licząc frontowych. Matka założyła go kilka lat temu. Myślałam, że chce mi w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo, ale potem odkryłam pieniądze, które chowała pod luźną klepką w podłodze. Cały jej majątek znajduje się pod moimi nogami. Nie wydaje pieniędzy na ubrania, samochody czy jedzenie. Ona je gromadzi. Podbieram trochę, żeby mieć co jeść. Matka pewnie wszystkiego się domyśla, skoro wciąż jestem żywa i do tego gruba.

Siedzę na podłodze i wysuwam pudełko spod łóżka. Wybieram mądrze, na wypadek gdyby matka nasłuchiwała pod drzwiami: banana i dwa kawałki chleba. Nie będzie hałasu, nie będzie chrupania, nie będzie śmieci. Banan jest czarny i klei się, a chleb się zestarzał, ale jedno i drugie nadal smakuje dobrze. Biorę okruchy chleba i ugniatam palcami, a potem wkładam do ust. Lubię udawać, że przyjmuję komunię świętą. Moja przyjaciółka, Destiny, niedawno miała pierwszą komunię. Powiedziała, że ksiądz kładzie płaski kawałek chleba na twoim języku, by zmienił się tam w ciało Jezusa Chrystusa. Musisz poczekać, aż ciało Chrystusa się rozpuści, i dopiero możesz połknąć, bo przecież nie wolno go ugryźć. A potem pijesz jego krew. Nic nie wiem na temat tego Chrystusa ani dlaczego musisz jeść jego ciało i pić jego krew, żeby być katolikiem, ale wolę myśleć, że jem ciało Boga niż stary chleb.

Kiedy kończę jeść obiad, do moich uszu dociera stłumione

skrzypienie desek pod ciężarem czyichś stóp. Czyich? Tego wysokiego? Czy tego z siwymi, kręconymi włosami na piersiach? A może to ten, który tak głośno kaszle, że aż trzęsie się całe łóżko matki.

– To krup – mówię do zwiędniętej skórki od banana. Czytałam o krupie w jednej z książek. Tej z biblioteki, której wypożyczenie ciągle przedłużam, bo nie chcę jej oddać. Wyciągam ją z plecaka, jedząc miodową babeczkę, i patrzę na obrazki, oblizując palce. Kiedy słyszę skrzypienie łóżka w pokoju matki, jem jeszcze jedną. Dopóki mieszkam w pożeraczu, będę gruba. Dopóki pożeracz mnie pożera.

lat 14

Nie wiem, skąd się biorą mężczyźni. Skąd wiedzą, że mogą pojawić się przy Wessex Street 49 i zaparkować samochód w cieniu pożeracza. Skąd wiedzą, że mogą przejść te trzy popękane stopnie do drzwi frontowych i stanąć pod żarówką, która nigdy nie przestaje mrugać. Albo skąd wiedzą, że należy sięgnąć do pokrytej rdzą gałki i wejść bez pytania do środka. Może matka zna ich z poprzedniego życia. Tego życia, w którym nosiła plisowane spódnice i pończochy i każdego dnia jeździła autobusem do pracy.

Przez krótki okres w tamtych czasach chodziła też do kościoła. Gdy grała muzyka, podnosiła wysoko ręce, jakby łapała w nie boskie błogosławieństwo, i kołysała nimi w powietrzu. Uśmiechała się ze łzami w oczach, kiedy pastor mówił, że Bóg nie zapomni o nas w czarną godzinę. A kiedy nasza czarna godzina nadeszła i matka straciła pracę, wróciłam wcześniej do domu i zobaczyłam, jak mówi językami nad kuchennym zlewem, po łokcie w spienionej wodzie, zaciskając mocno oczy i składając gorączkowe modlitwy. Gdy dojrzała mnie w progu, stojącą z plecakiem na ramieniu, uśmiechnęła się przez łzy i gestem kazała mi podejść bliżej.

– Zostałyśmy zaatakowane – powiedziała, łapiąc mnie za rękę. – Musimy się bronić modlitwą przed Szatanem i zastępami demonów.

Trzymałam kurczowo jej dłonie i zaciskałam powieki tak mocno, jakby od tego zależała wartość mojej modlitwy, nasze żarliwe błagania wypełniały pożeracza swoją kakofonią. Ja wołałam bez celu, wznosiłam swoje modły coraz wyżej i wyżej, nie wierząc w powodzenie. Wołałam milczący katolicyzm Destiny, w którym jadło się czyjeś ciało jak porządne, głęboko wierzące zombie, zamiast tego hałaśliwego, roszczeniowego zachowania, które wybrała moja matka. *Boże, daj mi! Daj mi! Jestem twoim dzieckiem, więc mi się należy!*

Ona nie wierzy już w Boga; porzuciła go gdzieś między utratą pracy a pierwszym mężczyzną, którego zaprosiła do łóżka. Zawsze uważałam jej wiarę za nietrwałą, cienką jak papier, który przydaje się do czasu, aż go zamoczysz. Słyszałam, jak rozmawia o religii z jednym z jej gości – z tym, który zanosił się tak donośnym śmiechem, że matka, nie lubiąca hałasu, ciągle go uciszała. „Jeśli istnieje Bóg – powiedziała wtedy – to moim zdaniem bardziej obraża go religia niż ateizm”.

Ja też nie wierzę w Boga; nigdy nie wierzyłam, nawet kiedy zaciskałam powieki i modliłam się w kuchni, a piana z rąk matki spływała mi po łokciach. Matka nie wie, że ta niewiara nas łączy. Wiedziałyby, gdyby zapytała, ale nigdy tego nie zrobiła. Wierzę w samotność tak dojmującą, że posiada fizyczną emanację. Wierzę w wybory – te trudne, których ludzie u władzy rzadko dokonują dobrze. Wierzę w to, że każdy czegoś potrzebuje: dotyku kobiety, towarzystwa, pieniędzy, przebaczenia. Aby zdobyć te rzeczy, ludzie są zdolni do popełnienia tylu grzechów, ile tylko trzeba. Często przyglądam się kolegom i koleżankom ze szkoły, zastanawiając się, czego oni będą potrzebować w dorosłym życiu i co poświęcą, żeby to zdobyć.

Mężczyźni przychodzą po dwóch każdej nocy. To idealnie zaplanowany taniec, w którym żadne dwa kroki nie nachodzą na siebie. Nie wiem, czy jeden zdaje sobie sprawę z istnienia drugiego, czy może każdy wierzy, że jest jedynym towarzyszem matki. Wita ich w drzwiach głosem melodyjnym i przyjacielskim, jej szlafrok z czerwonego jedwabiu faluje wokół niej jak krew. To fałszywa matka, w niczym nieprzypominająca kobiety z pustym wzrokiem, która gapi się godzinami

na obdrapane drewniane klepki, wrzucając kolejne pigułki do gardła. Pyta, jak się mają, a potem prowadzi ich na górę. Rozmawiają z nią jak znajomi, jak starzy przyjaciele, którzy mówią do niej Wendy i śmieją się z jej żartów. Dopasowuję ich głosy do samochodów: chabrowe volvo z wgięciem w przednim zderzaku, żółta corvetta z dyskotekową kulą wiszącą przy lustrze, a także nasz najczęstszy gość – stary mustang, ale nie taki zdezelowany grat, tylko odrestaurowany zabytek, z jaskrawoczerwonym lakierem i tablicami na zamówienie z napisem „LWMN”. Koleś od mustanga wiecznie wbija wzrok w podłogę i nigdy nie mogę dojrzeć jego twarzy. Kiedyś zobaczyłam tył jego głowy, kiedy wychodził z sypialni matki. Był łysy, miał szerokie bary i garbił się. Zostawiał za sobą w korytarzu zapach dymu z cygara i drewna sandałowego. Raz zostawił też zegarek na szafce matki. Ciężki zegarek z symbolem korony za szkiełkiem. Zakradłam się do jej pokoju, kiedy spała, żeby mu się przyjrzeć. Zastanawiałam się, jak ktoś mógł nosić coś tak ciężkiego na nadgarstku. *Jak kula u nogi*. Gdzie ja to usłyszałam? Na pewno u Destiny. Gdy następnej nocy znowu chcę na niego spojrzeć, zegarka już nie ma.

Mówię o tym Destiny.

– Ten koleś od mustanga pewnie go zabrał, kiedy byłeś w szkole – odpowiada. – Wiesz, co to było, prawda? – Trzyma dłoń na biodrze, a głowę przechyla na bok, jak zawsze, gdy chce mi pokazać, że gównie wiem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnie dalej.

– To był rolex – tłumaczy. – Pewnie oryginalny. Mój wujek nosi podróbkę. Trzeba go było zwędzić i wymienić na rower albo coś. Mogłabyś sprzedać co najmniej za stówę.

– Nie chcę roweru – mówię. Chciałabym mieć matkę.

Destiny przewraca oczami, a potem odwraca się i podchodzi do szafki, kołyszając biodrami.

– Muszę iść – oznajmiam, wstając. Zdenerwowałam się... Głupio zrobiłam, mówiąc Destiny o tamtym mężczyźnie i jego zegarku.

– Myślałam, że sobie jakiś film oglądniemy.

Siadam z powrotem. Nigdy nie odmówię filmu. A u Destiny w domu zawsze jest jakiś popcorn. Jej matka kupuje ogromne paczki, bo

wie, że lubimy. Destiny mówi, że prażona kukurydza w kinie smakuje milion razy lepiej niż ta, którą robi w mikrofalówce. „A potem masz palce całe tłuste od masła”, rzuca.

W Bone nie ma ani jednego kina. Trzeba jechać autobusem dwa miasteczka dalej. Tata Destiny ciągle zabiera ją i jej braci. Ja nawet nie mam telewizora w pozeraczu, więc oglądanie filmów na kanapie w czerwone i białe paski u Destiny mi wystarcza. Włączamy *Pretty Woman*, ale w połowie mówię Destiny, że mnie rozboleł brzuch. Postać grana przez Julię Roberts za bardzo przypomina mi matkę – te zęby wyszczerzone w uśmiechu, ta kruchość.

Wracam do domu w deszczu, żałując, że nie wzięłam ze sobą trochę popcornu. Zanim docieram do drzwi wejściowych, moja biała koszulka jest już cała mokra. Ściągam ją przez głowę zaraz po wejściu do środka, nie zauważając, że na podjeździe stoi samochód. Ruszam do kuchni i zatrzymuję się w pół kroku. Mężczyzna stoi na schodach i patrzy na mnie. Wydaję zduszony okrzyk. *Głupia, głupia, głupia*. Przyciskam koszulkę do piersi, ale jest skręcona i nie potrafię jej wyprostować, żeby się przykryć. Słyszę głos matki.

– Robert...? – woła.

Kątem oka widzę jej czerwony szlafrok, biegnę do kuchni. Rzucam się do kosza na pranie, który trzymam obok pralki, i chwytam czysty T-shirt. Próbuję go właśnie włożyć przez głowę, kiedy ona wchodzi do środka.

– Co ty sobie myślałaś, do cholery?

To więcej, niż powiedziała do mnie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– N-nie widziałam samochodu. Zmokłam i... – Pochyliłam głowę z zażenowania.

– Przyniosłaś mi wstyd – syczy spomiędzy zaciśniętych zębów. – Łazisz po moim domu i się tak obnażasz. – Mówi o moim ciele, jakby to było coś obrzydliwego. Coś, co trzeba ukrywać, a nie pokazywać.

Nie odpowiadam. Moja klatka piersiowa podnosi się i opada gwałtownie. Nienawidzę się. Matka znika tak szybko, jak się pojawiła – w płomieniach czerwonego jedwabiu i potępienia. Czuję zapach jej waniliowych perfum i zaczynam płakać.

Chcę ją z powrotem. Chcę wiedzieć, co ją tak zmieniło, żebym miała co winić. Jeśliby istniał jakiś powód, mogłabym przestać winić siebie. Przeczesałam wspomnienia, raz za razem, w poszukiwaniu korzenia – tego momentu, tego miesiąca lub dnia, kiedy matka zniknęła.

Leżę na materacu i gapię się w sufit. Na niegdyś kremowej farbie porobiły się ciemnobrązowe plamy od zacieków. W tych plamach dostrzegam lata, jakie przeżyliśmy w pożeraczu. To ślady stopniowego zaniku szczęścia. Twoje życie może zniknąć tak powoli, że nawet tego nie zauważasz.

Najpierw zabrakło jej wesołego chichotu, a potem uśmiechu, który był tak szeroki, że pokazywała więcej dziąseł niż zębów. Ostatnie wyblakły jej oczy – jej cudownie błyszczące oczy. Przestały patrzeć, a zaczęły gapić się w przestrzeń. W ściany, szafki, podłogi. Gapiły się na wszystko oprócz mnie. Na początku starałam się zrobić, co tylko się da, żeby znowu zaczęła mnie zauważać: zrzucałam miskę z płatkami na podłogę, tak blisko niej, że krople mleka spadały jej na stopy, albo bazgrałam markerem po swoich rękach i nogach, aż zrobiłam się taka niebieska jak smerf. Z ponurą determinacją kłamałam jej w twarz, niszczyłam jej świecidełka, przeklinałam głośno i śpiewałam znienawidzone przez nią piosenki ile sił w płucach. Moją złośliwość przyjmowała z mlecznobiałą obojętnością w oczach. Matka powoli umiera, a ja nie jestem pewna, czy zdaje sobie z tego sprawę.

lat 15

Położ ręce na kolanach. Uśmiechaj się. Nie uśmiechaj się. Nie patrz nikomu w oczy. Udawaj, że nic cię nie obchodzi. Wbijaj wzrok w buty. Nie uśmiechaj się... Nigdy się nie uśmiechaj. Boże.

Ciągle się wiercę i dziwnie zachowuję. Nigdy nie wiem, co mam zrobić i kiedy. Kiedyś jeden chłopak się do mnie uśmiechnął; fajny był nawet. Zanim zdążyłam odpowiedzieć tym samym, już mnie wyminął. Trochę się spóźniłam. Nie potrafiłam ruszyć swojej twarzy na czas. Szkoła jest ucieczką od domu; dom jest ucieczką przed szkołą. Nigdzie nie pasuję, więc wędruję z jednego miejsca w drugie w nadziei, że nikt mnie nie zauważy – ale jeśli ktoś zauważy, liczę na to, że nie będzie okrutny. Myślę o przeszłości. O dniach, które minęły dawno temu.

Wszystko takie inne, wszystko takie dziwnie identyczne. Nagle do mnie dociera, że ludzie się zmieniają. To otoczenie pozostaje ciągle takie samo – znaki autostrady oszpecone graffiti, różowo-pomarańczowe zachody słońca składające pocałunki na czubkach drzew, nawet szereg samochodów czekających na zjazd do parkingu Wal-Marta. Dla mnie najbardziej się ze sobą kłóci zestawienie: to samo niebo, to samo Bone, ten sam dom, inna matka.

Dlatego grzebię w pamięci i szukam dawnej matki, na nowo koloruję wspomnienia. Ciężar tych złych kwitnie i rozkrzewia się pod tymi dobrymi. Staram się myśleć tylko o tych drugich – o dobrych rzeczach, które zbliżają mnie do dzieciństwa, a nie oddalają od niego.

Matka zawsze trzymała liść między palcami. To najlepiej pamiętam. Zrywała go z drzewa albo krzaka i wkładała między palce, kompulsywnie zakreślając nimi małe kółeczka, aż wytarła żyłki i blaszki i został tylko zielony ślad. Lubiłam, gdy jej palce były zielone; przypominały mi, jak malowaliśmy rękoma w szkole, zieloną farbą właśnie. Matka wydawała się wtedy dziwna i fajna, zupełnie inna niż pozostałe matki, wiecznie skrzywione i sztywne. Gdy wychodziłyśmy na zewnątrz, przyglądałam się temu, jak bada rośliny. Chciałam ją naśladować. Niestety było to bardzo trudne, bo nosiła się z gracją i po królewsku. Nie dało się tego podrobić.

Wtedy byłam jeszcze malutka i wszystko było prawie dobrze. Wtedy wciąż pracowała w Markobs and Jacob, nie paliła, nie przychodzili do niej mężczyźni. Teraz palce matki nie są zielone, tylko żółte od papierosów. Gdy przechodzi przez pokój, z jej skóry sączy się zapach starego dymu i spleśniałego tytoniu. Ręce wiszą jej jak stara podomka. Kiedy kilka lat temu przestała w ogóle wychodzić z domu, wysyłała mnie, żebym kupowała jej papierosy, te z indiańskim wodzem na opakowaniu, ponieważ miały być zdrowsze. Gdzieś między chwilą, kiedy pachniała zielenią, a chwilą, kiedy śmierdziała jak popielniczka, przestałam chcieć ją naśladować. A jednocześnie ona, zrzucając okowy rodzicielstwa i oddalając się ode mnie, przestała wymawiać moje imię.

Z początku tego nie zauważyłam. Dopiero kiedy nauczycielka zwróciła się do mnie po imieniu w szkole, wołając przed tablicę, bym rozwiązała równanie, zdałam sobie sprawę, że dawno go nie słyszałam. Matka wciąż wydawała rozkazy, jednak w pewnym momencie przestała poprzedzać je moim imieniem. *Margo*. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to mnie wzywa pani Lerson. Do tablicy odprowadziły mnie śmiechy innych uczniów. *Margo to ja*, pomyślałam. Później, kiedy szłam do domu z przystanku autobusowego, próbowałam przypomnieć sobie, kiedy matka ostatni raz powiedziała moje imię, ale nie potrafiłam.

Moja matka, fanka Perry'ego Masona, nazwała mnie po Margo

Albert – aktorce, którą widziała raz w jego serialu, w odcinku pod tytułem *Przypadek smutnego Sycylijczyka*. Margo, grając po raz ostatni przed śmiercią na raka mózgu, wcieliła się w morderczynię o imieniu Serafina. Matka wzruszyła się jej smutnymi oczami i przysięgła, że nazwie swoją pierwszą córkę Margo. W pewnym sensie to okrutny żart, mieć imię po aktorce grającej tragiczne role, a jeszcze gorzej po kimś tak pięknym i delikatnym, gdy samemu jest się dokładnym przeciwieństwem jednego i drugiego.

W pozeraczu nie mam imienia. Jestem blondynką z niewyróżniającymi się oczami, brzydką i ubraną w szmaty.

– Hej, Margo!

Obracam się na pięcie. Drzwi szkolnego autobusu się zamykają, a w moją stronę maszeruje Destiny, zrzuciwszy sobie plecak na jedno ramię. Przyglądam się krojowi jej spodni i modnie zwisającej z jednej strony bluzce. Nosi nawet takie same buty jak inne dziewczyny: błyszczące klapki. Przestała się do mnie odzywać jakoś w siódmej klasie, kiedy dzieciaki ze szkoły zaczęły nazywać mnie córką dziwki. Nie wiem, czy tak jej kazali rodzice, czy kierował nią instynkt przetrwania, ale po prostu mnie zostawiła.

– Zapomniałaś zabrać z autobusu – mówi, podając mi książkę, którą czytałam. Zabieram ją, nie patrząc Destiny w oczy.

– Dzięki.

Jej dom znajduje się w przeciwnym kierunku niż mój, ale Destiny stoi jeszcze, jakby chciała coś dodać. W końcu jednak wzrusza tylko ramionami i odchodzi. Nie patrzę na nią. Wiem, że jeśli podniosę wzrok, rozplacę się.

W pozeraczu panuje cisza, kiedy wchodzę do środka. Drzemie w ciągu dnia, gdy ja jestem w szkole: dom prowadzi nocny tryb życia. Maszeruję prosto do swojego pokoju, ponieważ właśnie tego życzy sobie matka. Sama wychodzi ze swojego późnym popołudniem i zaczyna codzienne rytuały: najpierw się myje, potem kremuje i nakłada makijaż. Przez ostatnie miesiące nie chciała już mojego towarzystwa, nawet przy kąpieli. A ja mam to gdzieś. Nienawidziłam patrzeć, jak marszczy jej się skóra w obłuczonych, różowej wannie, gdzie na powierzchni wody pływają kawałki farby ze ścian. Wyciągam pudełko, a z niego batona

i puszkę ciepłego mountain dew, a potem zaczynam odrabiać lekcje, podczas gdy pozeracz budzi się i skrzypi wokół mnie.

Kiedy pojawia się pierwszy gość, pakuję zeszyty i ołówki, a potem czołgam się do ściany, która oddziela nasze pokoje. Właśnie w ten sposób ją poznaję. Nie zamilkła do końca. Słyszę, jak do nich mówi. Tak rozpaczliwie potrzebuję brzmienia jej głosu, że całe noce spędzam z uchem przyciśniętym do ściany. Mężczyźni opowiadają jej różne rzeczy – o swoim życiu, o swoich żonach, o swojej pracy. Faszerają zdania takimi słowami jak „okres rozliczeniowy”, „stypendium studenckie” czy „łamanie warunków zwolnienia”. Ona mówi tylko wtedy, gdy oni tego potrzebują. Do perfekcji opanowała sztukę aktywnego słuchania i odpowiadania z wyczuciem. Słówko tutaj, słówko tam. Jej głos nigdy się nie zmienia; zawsze mruczy potulnie. Dla nich to jej zainteresowanie i małomówność są podniecające. Piękna kobieta, która tylko przytakuje albo kręci głową. Uczę się tak wiele o tym, czego pragną mężczyźni i w jaki sposób. Maszerują w kółko po jej sypialni, a zniszczone drewno podłogi tłumi ich ciężkie kroki. Raz słyszałam, jak komuś radzi: „Sprzedaj dom, przeprowadź się do czegoś mniejszego. Nie potrzebujesz tyle miejsca teraz, gdy dzieci się wyprowadziły”.

A gdzie rady dla mnie? Gdzie słowa przeznaczone dla mojego ucha? Czyim ja jestem dzieckiem?

lat 18

Wessex to ulica wyłożona crackiem, dziwkami, dilerami, pijakami i dziewczynami, które ledwo przestały mieć mleko pod nosem, a już musiały karmić piersią własne niedożywione dzieci. Żałosne jest to coś, co nazywamy życiem. Ja o tym wiem, ale oni chyba nie. W takim miejscu jak Bone Harbor można się przyzwyczaić do cierpienia. Stawiasz kilka pierwszych kroków, wszyscy klaszczą, a potem przestajesz być niezwykły. Bone jest niemal w całości otoczone wodą i kiedyś było miastem portowym, dopóki nie przenieśli portu kawałek dalej na południe, bliżej Seattle. Ale to wydarzyło się dawno, jeszcze zanim urodziła się moja babcia. Ludzie z okolicy nazywają to miejsce Bone, czyli Kość. Taki żarcik z tego, że ze wszystkich firm tutaj zostały same szkielety. Podoba mi się to. Nie ma sensu określać białym czarnego. A właśnie tacy jesteśmy: ogryzieni do kości.

Sześć dni w tygodniu jeżdżę autobusem do pracy. Żeby dotrzeć na przystanek, muszę iść w górę Wessex i potem w dół Carnation. Ta druga ulica jest nieco lepsza niż nasza. Szyby w oknach nie są powybijane, a w paru miejscach ludzie koszą trawnik. Mieszkańcy Carnation nazywają nas patologią. Najwyraźniej w tym świecie całe okna

i przycięta trawa wystarczają.

W domach stojących jeden przy drugim wzdłuż Wessex nie ma Boga. Ciekawe, czy Bóg odszedł z tego miejsca i schował nas za woalem, żebyśmy cierpieli sami. To ulica z koszmaru. Ludzie ze świata zewnętrznego nie zdają sobie sprawy z naszego istnienia. Nie chcą o nas wiedzieć. Jednak nasze domy stoją, nawet jeśli są bliskie tego, by runąć pod ciężarem grzechu, jaki w sobie kryją. Przed pozeraczem stoi dom cracku. Przed domem cracku stoi dom Matki Mary. Matka Mary przepowiada przyszłość, ale nie każdą. Może powiedzieć ci, jak umrzesz, a policzy sobie za to czterdzieści dolarów. Dalej jest dom złych ludzi. Nazywam go tak, bo to melina byłych więźniów, którzy dopiero co zostali wypuszczeni. Nie wiem, co tam robią, ale średnio raz w tygodniu przyjeżdża karetka i wyprowadzają kogoś ze środka na noszach.

Tylko jeden dom przy Wessex mi się podoba. To pierwszy z brzegu, należący do Delaney Grant. Delaney uprawia trawkę w garażu. Nawet jej nie sprzedaje. Po prostu sama ją pali. Wszyscy nazywają ją samolubną. Czasami, kiedy w domu cracku zabraknie trawki, ludzie pukają do drzwi Delaney. Ona jednak przegania ich dubeltówką, którą nazywa Horacym.

Powodem, dla którego lubię dom Delaney, jest jej syn. Judah mieszka tu przez większość czasu, zaś w niektóre dni odwiedza ojca. Właściwie to nigdy nie rozmawialiśmy, ale często przesiaduje na podwórku i zawsze do mnie macha, kiedy przechodzę obok. Gdy się na niego patrzy, można zapomnieć, że jeździ na wózku. Jest przystojny i gdyby mógł stać, byłby też wysoki. Przynajmniej metr osiemdziesiąt. Nigdy nie chodził z nami do szkoły. Każdego ranka z samego miasta przyjeżdżał do niego bus. Można było do niego wstawić wózek. Delaney zniszczyła sobie życie, ale dla Judaha potrafiła poruszyć niebo i ziemię. Trzeba ją chociaż trochę za to lubić. Zwłaszcza gdy się ma taką matkę jak ja.

Mój autobus się spóźnia. Zaczynam niecierpliwie tupać nogą i wyciągać szyję, żeby zobaczyć, czy już jedzie. Jeśli 712 pojawi się w ciągu pięciu minut, wciąż wyrobię się na początek swojej zmiany w Rag O Rama.

– Dobre wycucie czasu – szepczę, widząc, jak telepie się z za zakrętu. Do 712 wsiada nas troje: ja, Cuoco, jeden z miejscowych heroinistów, oraz mała Nevaeh Anthony, która jeździ autobusem do babci w każde popołudnie, gdy jej mama pracuje.

– Cześć, Margo – mówi.

– Cześć, mała. Jedziesz do babci?

Kiwa głową.

– Super. Pędź do niej, gdy tylko wysiądziesz. Wiesz, jak się robi po ciemku.

Nevaeh znowu przytakuje. Wie. Wszyscy wiemy. Jesteśmy rozerwani między takimi normalnymi rzeczami jak szkoła, zakupy i praca a wszystkim innym, co należy do Bone. Tutaj strach unosi się nad ulicami niczym mgła. Żyjemy z nim, przyczepionym łańcuchem do naszych kostek. To tak wyczuwalne, że rzadko miewamy gości, a jeśli się pojawiają – czy to z wizytą u rodziny, czy przejazdem – szybko uciekają, zazwyczaj skracając pobyt.

– Daj, poprawię ci włosy – mówię, a Nevaeh przysuwa się bliżej. – Będziesz ładnie wyglądać dla babci – tłumaczę jej.

Kiwa głową na znak zgody. Moje palce poruszają się zwinnie, a deszcz zacina za oknami. Kończę jej warkocze, akurat kiedy autobus zatrzymuje się na przystanku, a ona w tym samym momencie kończy opowieść o swoich dobrych stopniach, przeliczając dziesięć dolarów, które babcia dała jej w nagrodę. Patrzę, jak wyciąga marker i na każdym rysuje serce. Wsiadamy razem i zakładamy kaptury. Nevaeh macha do mnie, kiedy ruszamy w przeciwnych kierunkach, palce ma rozcapierzone niczym rozgwiazda odnóża. Patrzę przez chwilę, jak idzie w podskokach ulicą, z plecakiem Hello Kitty założonym na jedno ramię; plama koloru w szarobury dzień. Po drodze spoglądam na stary dom Destiny. Teraz jest zielony, z białymi skrzynkami na kwiaty na zewnątrz. Jej rodzina przeprowadziła się do Oregonu kilka lat temu. Po wyjeździe napisała mi list, a potem już więcej o niej nie słyszałam. Sama wysłałam jej dwadzieścia, zanim nie zaczęły do mnie wracać. No trudno. Pisanie listów to i tak luksus.

W Rag O Rama śmierdzi gównem. Dosłownie. Po drugiej stronie rzeki jest oczyszczalnia ścieków. Sandy, nasza menedżerka, w całym

sklepie porozkładała odświeżacze, powciskała je w każdy róg i wysoko na półkach, ale daje to tylko tyle, że ciucholand cuchnie jak gówno przykryte kwiatem jabłoni.

Ponieważ spóźniłam się pół godziny, Sandy każe mi przejrzeć towar na zapleczu. Obrzucam wzrokiem szereg czarnych worków na śmieci ustawionych pod ścianą, wypchanych tak mocno, że połowa się rozdarła i ze środka wysypały się nogawki i rękawy jak wnętrzności. Dzisiaj mamy tylko siedem. Sandy poleciła nam zachowywać worki, które są nadal całe. „Pieniądze nie leżą na ulicy – powtarza – a my prowadzimy sklep z używanymi rzeczami. Nazwa mówi sama za siebie”. I właśnie dlatego próbuję rozwiązać supły, klnąc pod nosem, gdy pot spływa mi po plecach i między piersiami. Udaje mi się z pierwszym i otwieram worek. Doskonale już rozpoznaję ten zatechły zapach. To woń niemycia się, starych domów, środków na mole, a od czasu do czasu – jeśli dostaniemy pakunek od rodziny hinduskiej – kurkumy i kminu. Rozdzielam to, co znajdę w środku: ubrania na jedną kupkę, zabawki na drugą, wyposażenie domu na trzecią. To zabawne, jak bardzo cenne może być dla kogoś to, co dla drugiego jest śmieciem. Pracownicy dostają pięćdziesiąt procent zniżki na wszystko, co znajduje się na półkach z wyprzedają. Czyli najbardziej niechciane rzeczy z niechcianych rzeczy. Już kończę rozpakowywanie worka i zaczynam go składać, kiedy zauważam na dnie coś, co wcześniej przeoczyłam. Wyciągam dużą płócienną torbę – taką, jaką bogaci ludzie zabierają do sklepu, żeby nie używać plastików. „Zakupy i takie tam” głosi wydrukowany na niej napis. Śmieję się. Ostatni właściciel narysował dokoła różowym markerem gwiazdki.

– Zakupy i takie tam – mówię na głos.

Sandy wchodzi do środka, niosąc naręcze wieszaków.

– Możesz sobie wziąć – stwierdza. – Uznaj to za letni dodatek.

Przewracam oczami, ale w głębi duszy się cieszę. Nieczęsto w tym życiu dostaje się coś za darmo. Składam nową torbę w kwadrat i wsuwam za pasek spodni z tyłu, żeby żadna z dziewczyn mi jej nie zabrała.

Chłopak Sandy, Luis, bije ją. Sandy stara się ukrywać siniaki, ale jest ich za dużo, a ona nosi makijaż o trzy tony za jasny dla jej karnacji.

W dni, kiedy nie dostaje od chłopaka, przynosi nam stare pączki z piekarni, w której on pracuje. Zobaczyłam puste pudełko w koszu, kiedy przyszłam do pracy. Sandy ma dzisiaj dobry dzień.

Gdy dochodzi do wniosku, że dostatecznie mnie ukarała, wysyła mnie na front, żebym pracowała przy kasie. Ogólnie nic się nie dzieje, dopóki jakaś kobieta nie próbuje ukraść pary butów. Została przyłapana przez Sandy, zanim zdążyła wyjść z nimi, schowanymi pod kurtką. Kobieta jest tak pijana, że ledwo stoi. Sandy łapie ją za przedramię i pcha na krzesło w biurze. Każe mi zadzwonić na policję.

– Może nie powinniśmy – mówię. – Spójrz na nią, Sandy. – Kobieta kołysze się w przód i w tył, przyciskając ręce do piersi i mamrocząc pod nosem coś, co brzmi jak Zeek.

Sandy nie patrzy na nią. Patrzy na mnie.

– Myślałam, że chcesz zachować tę robotę.

Chcę. Naprawdę chcę. Gdyby nie ta praca, musiałabym być w domu. A gdybym była w domu...

Dzwonię po policję.

Przyjeżdżają po czterdziestu minutach z tłustymi plamami na spodniach i totalnie znudzeni. Ładują kobietę na tylną kanapę radiowozu i odjeżdżają. Zanoszę buty z powrotem na półkę w dziecięcej części sklepu. To znoszone jordany za sześć dolców. Kobieta nie miała nawet tyle. Zastanawiam się, czy wydała te pieniądze na alkohol. Buty miały być pewnie dla jej dziecka. Właśnie tak to tutaj wygląda. Najpierw myśli się o sobie, a jeśli jeszcze zostało ci trochę miejsca w głowie, twoje dzieci może się załapiać. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że w tej okolicy dzieciaki dostają tylko zapijaczonych rodziców i częściowo pełne brzuchy. *Póki żyjesz, jakoś przetrwasz.* Tak mi kiedyś powtarzała matka.

Przed końcem zmiany płacę za buty i wrzucam je do swojej nowej torby. Idę ze spuszczoną głową dwie przecznice na przystanek autobusowy. Pada, ale to ciepły deszcz, a nie taki, po którym człowiek przemarza do kości. Żałuję, że nie stać mnie na kawę, wydałam pieniądze na buty, a resztę potrzebuję na bilet. Postanawiam zamiast tego przejść się pozostałe pięć przecznic. Zatrzymuję się przed przyczepą z jedzeniem i daję im fundusze na autobus. W zamian dostaję papierowy

kubek z kawą, kleksem śmietanki i trzema porcjami cukru. Jest przepyszna.

Posterunek policji na Bone Harbor Hill jest zawsze zatłoczony. Wchodzę do poczekalni i wpada na mnie jakieś małe dziecko z upapraną twarzą. Niemowlak płacze, kobieta przeklina, mężczyzna łamaną angielszczyzną kłóci się z policjantem. „To błoood! To błoood!” – woła. Rozglądam się, niepewna, czy cała sprawa jest warta zachodu, kiedy mój wzrok pada na funkcjonariusza, który aresztował złodziejkę w Rag O Rama. Ma torbę sportową przerzuconą przez ramię i wygląda jak ktoś, kto właśnie skończył zmianę.

– Przepraszam – mówię, ale mężczyzna nie ma ochoty się zatrzymać. – Przepraszam – powtarzam głośnie. Policjant mimo późnej pory ma na nosie okulary przeciwsłoneczne. Gapię się na własne odbicie i tłumaczę: – Wcześniej w Rag O Rama zatrzymaliście kobietę. Jest tu jeszcze?

Wsuwa kciuki za szlufki u paska, jakby był tu jakimś szefem, a potem patrzy na mnie, próbując sobie przypomnieć, kim jestem. Nie przypomni sobie.

– Ta, a co?

Wciskam mu buty.

– Zostawiła je – wyjaśniam, a potem odwracam się na pięcie i wychodzę bez oglądania się za siebie. Moje własne buty, które mam na nogach, są jedynymi, jakie posiadam. Zniszczone tenisówki z przeceny w Wal-Marcie. W życiu można się obyć bez wielu rzeczy, lecz buty są niezbędne. Jeśli kradniesz buty, robisz to z rozpacz. Nie zamierzam stać na drodze ludzi, którzy próbują przetrwać.

Maszeruję właśnie do sklepu na rogu po zdrowe papierosy, przyglądając się temu, jak tłuszcz na moich kolanach trzęsie się przy każdym kroku, i wtedy go zauważam. Czyta książkę, opierając głowę o rękę. Obok niego stoi szklanka wody, wypełniona po brzegi i nietknięta, z kroplami na ściankach. Samo to, że wydaje się tak wyluzowany sam ze sobą, sprawia, że nagle zbaczam z popękanego chodnika na ścieżkę, która prowadzi do jego bramy. Uśmiecham się. Nie uśmiecham się. Wykręcam rękę. Splatam je na plecach. Nikt tak naprawdę nie wie, czy to był wypadek samochodowy, guz czy może coś w stylu stwardnienia rozsianego. Zналиśmy Judaha Granta, kiedy jeszcze nie był kaleką i chodził na własnych nogach, a potem nagle nie mógł. *Może i jest niepełnosprawny, ale niepełnosprawność nie jest nim.* W mojej głowie nigdy wcześniej nie pojawiła się taka myśl. Generalnie staram się nie patrzeć na Judaha. Gapienie się na kogoś jeżdżącego na wózku wydaje się czymś niegrzecznym – nawet jeśli ten ktoś jest piękny.

Podwórko ogrodzone jest płotem. Kiedyś był ładny; wciąż da się zauważyć resztki pastelowo niebieskiej farby w miejscach, których nie przeżarła jeszcze rdza. Pamiętam, że za dzieciaka kojarzył mi się z Wielkanocą. Brama skrzypi głośno, gdy pcham ją opuszkami palców.

Głowa Judaha podnosi się, ale nie od razu. Jest taki wyluzowany, gdy odkłada książkę i patrzy, jak idę po podjeździe zbudowanym przez Delaney z myślą o jego wózku.

– Co robisz? – pytam go. Zerkam na jego lekturę. To biografia.

Podnosi cienkiego jointa między palcami. Strasznie mocno pachnie. Jak trawka paląca trawkę.

– Dasz bucha? – pytam.

Jego wzrok prześlizguje się po mnie.

– Nigdy nie widziałem, żebyś paliła – odpowiada i wcale nie wygląda, jakby chciał mi podać skręta. Jego głos jest czysty i głęboki.

– Ty w ogóle mnie nie widzisz – rzucam.

– Ależ oczywiście, że widuję. – Wkłada jointa w usta, zaciąga się lekko. Wypuszcza zaraz dym i mówi: – Zawsze tędy przechodzisz w drodze do pracy.

Spuszczam głowę zaskoczona.

– A skąd wiesz, że chodzę do pracy?

– No nie wiem. Może dlatego, że wyglądasz na nieszczęśliwą.

– Okej. Czyli raz dziennie widzisz, jak wychodzę do pracy, i nagle niby mnie znasz?

Uśmiecha się trochę i wzrusza ramionami, wyciągając do mnie rękę trzymającą jointa, jakby nie obchodziło go to, czy zapalę, czy nie.

– Nie, dzięki. Nie palę.

Jego śmiech rośnie powoli. Zbiera się najpierw w piersi, a potem wydostaje na zewnątrz. Śmieje się, jakby nauczył się tego, śmiejąc się całe życie.

– Masz fajną torbę – mówi, pokazując ją najmniejszym palcem. Resztki uśmiechu wciąż błakają się w kącikach jego ust. – Zakupy i takie tam. Ja bynajmniej bym takiej torby nie nosił.

– Bynajmniej byś nie nosił?

Przygryza dolną wargę, przyglądając mi się uważnie. Po tym, jak mruży oczy i kiwa głową na boki, rozpoznaję, że to odruchowe.

– Taki żart. Sprawdzałem cię. Nie cierpię ludzi, którzy źle używają słowa „bynajmniej”. Teraz możemy być przyjaciółmi, jeśli chcesz.

– Bynajmniej.

Odkłada jointa do małej popielniczki stojącej u jego stóp i wyciąga

rękę.

– Nazywam się Judah. A ty jesteś Margo.

– Skąd wiesz? – Jego dłoń ściska moją odrobinę dłużej, niż powinna. Gdybym nie była taka brzydka, pomyślałabym, że mu się podobam.

– To Wessex. Wszyscy jak pasożyty wysysamy życie z tej samej żyły stanu Waszyngton. – Bierze ręce do tyłu i wkłada za głowę, czekając na moją reakcję. *No patrzcie tylko, jaki z niego luzak na tym wózku.*

– Ja nie jestem pasożytem – odpowiadam spokojnie. – Nie biorę zasiłku. Mam pracę. – Od razu robi mi się głupio. Może nawet nie to miał na myśli. *Nie musisz zawsze ustawiać się w pozycji obronnej, upominam się w duchu.*

– Nie musisz czuć się winna. Wcale nie oskarżałem cię o wyciągnięcie łapy po rządowe pieniądze. Ja też mam pracę.

– Nie czuję się winna. Nie wiesz, o czym myślę – bronię się znowu. *Ups.*

Judah sięga po jointa.

– Ależ wiem. Czytam z twojej twarzy jak z książki. – Mówiąc to, rozcapierza palce. Nie uśmiecham się, chociaż chciałabym.

Krzywię się, marszcząc calutką twarz, bo nie wiem, co on ma na myśli. A potem już wiem.

– Aha – rzucam.

Patrzę na niego i zastanawiam się, jaką on mógłby wykonywać pracę. Może coś w jego szkole.

– Wiem, co sobie myślisz – stwierdza. – Jaką niby mógłbym mieć pracę?

– Ej! Przestań czytać mi w myślach. To znaczy w twarzy!

Oboje się śmiejemy.

– Więc czym się zajmujesz?

Zaciąga się jointem.

– Żartujesz sobie? Jeżdżę na wózku. Nie mam pracy.

– O, mój Boże. – Kręcę głową i patrzę w niebo. Zbiera się na deszcz. – Nie możesz tak robić. – Muszę kupić papierosy, zanim lunie. – Spadam – mówię i ruszam, torba z zakupami i takimi tam kołysze mi się

na ramieniu.

– Nara, Margo. Wpadnij kiedyś, słyszysz? – woła za mną Judah.

Kiedy godzinę później wracam do domu, jest już ciemno. Słyszę głosy dochodzące z pokoju matki. Zastanawiam się, czy zdążę skorzystać z toalety, nim koleś wyjdzie. Kimkolwiek jest. Muszę wracać do Rag z samego rana i potrzebuję kąpieli. Szkoda, że nie mamy prysznic, jak normalni ludzie, ale pozeracza zbudowali wcześniej, niż mycie się na stojąco weszło do mody. Biorę ręcznik z pokoju i nalewam wody do wanny. Jestem w połowie, kiedy ktoś wali do drzwi.

– Margo – woła matka ostrym głosem. – Co ty tam robisz?

Wiem, że lepiej nie odpowiadać. Tak naprawdę matka chce, żebym wyszła. Wcale jej nie interesuje, co robię. Szybko kończę i wyskakuję, starając się nie pochlapać podłogi. Matka tego nie znosi. Przez kolejne dwadzieścia sekund nerwowo wciągam na siebie ubrania. Nie dość szybko. Wiem o tym. Byłam głupia, myśląc, że zdążę, a teraz za to zapłacę.

Kiedy otwieram drzwi, ona stoi na korytarzu w czerwonym szlafroku i z papierosem w dłoni. Dym unosi się wąską strużką w stronę szarego sufitu. Matka patrzy na mnie spode łba, bezgłośnie obiecując policzyć się ze mną później. Za nią stoi mężczyzna, a na jego twarzy maluje się zadowolenie świeżo nakarmionego dziecka. Gapi się na mnie, kiedy przeciskam się koło matki i biegnę boso do pokoju. Nie zdążyłam umyć włosów. Na tym świecie nie można być brzydkim i do tego mieć jeszcze brudnych włosów. Z jakiegoś powodu do głowy przyszedł mi Judah Grant – zupełne przeciwieństwo brzydoty i powód, dla którego chciałam mieć czystą czuprynę.

Judah Grant nie siedzi na podwórku, gdy następnego ranka maszeruję na przystanek. Delaney grzebie w ogródku z wielkim słomkowym kapeluszem na głowie. Wygląda jak te kobiety na okładkach czasopism ogrodniczych. Macha do mnie, gdy przechodzę obok. Czasami daje mi pieniądze, żebym kupiła jej coś w ciucholandzie. „Potrzebuję nowych szortów. Rozmiar XS”. Całe ciało Delaney jest wielkości mojego uda. Kupuję jej rzeczy w dziale dla nastolatków.

– Hej, Margo – woła. Zatrzymuję się. – Judah potrzebuje koszul. Jakichś eleganckich. Coś, co mógłby założyć do pracy.

Kłamca! Kusi mnie, żeby zapytać, gdzie pracuje jej syn, ale Delaney odwraca moją uwagę, wyciągając pieniądze z za stanika.

Podaje mi dziesiątkę i dwudziestkę. Oba banknoty są mokre. Trzymam je między kciukiem a palcem wskazującym.

– Jaki ma rozmiar? – pytam głupio. Zastanawiam się, dlaczego Delaney nie może sama pojechać do ciucha i wybrać mu koszul. I dlaczego Judah jest takim cholernym kłamcą.

– Kup mu kilka, z ładnymi kołnierzykami – mówi. Znowu chcę ją zapytać o tę jego pracę, ale nigdy nie rozmawiałam z nią o niczym poza zakupami.

– Dobra – rzucam. – Coś ładnego.

Kupię mu jakąś obrzydliwą koszulę za to, że mnie okłamał. Poza tym ktoś, kto tak wygląda, nie musi być dobrze ubrany, bez względu na to, czy jego nogi działają, czy nie. Powinien zostawić trochę miejsca na świecie dla takich jak my.

Biorę dla niego cztery koszule: różową w turecki wzór, fioletową w maleńkie, białe serduszka i jeszcze białą w czerwone paski, żeby wyglądał jak cukierkowa laska. Boże Narodzenie i kłamstwa doskonale do siebie pasują. Czwartha koszula jest trochę ładniejsza – bo znalazłam nieco litości na dnie serca – niebieska, bez wzorków. Kiedy podaję je Delaney, zachowuje się, jakby odbierała je od laski z *Top Model*.

– Są idealne. Powinnaś pracować w branży modowej.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę go w tej biało-czerwonej, ale wątpię, by kiedykolwiek ją założył. Niestety w sklepie przestrzegamy zasady braku zwrotów. Oczywiście może je nam z powrotem ofiarować. A potem ja już zadbam o to, by Delaney znowu mu je kupiła, na urodziny.

Kiedy wracam do domu, drzwi do pokoju matki są zamknięte. Zostawiła jednak dla mnie wiadomość, przyklejoną taśmą do drzwi. „Odbierz moje lekarstwo”.

Pewnie. Dlaczego nie? Jestem przecież jej darmową służącą. Zgniatam kartkę i rzucam nią o drzwi. Szkoda, że akurat w tym samym momencie ona postanowiła wyjść z pokoju. Kulka trafia ją w lewą pierś i spada na podłogę. Matka przygląda się jej, a potem podnosi wzrok i patrzy na mnie. Nie musi nic mówić, żeby mnie ukarać. Nigdy nie

ubliża mi na głos. Obraca się tylko i zamyka drzwi. Wiadomość jest jasna. Obrzydłam ją. Nie trzymałaby mnie przy sobie, gdyby nie to, że nie rusza się już z domu i jestem jej potrzebna do załatwiania różnych rzeczy. Wychodzę z powrotem na zewnątrz i idę do domu cracku po lek Wendy. Przynajmniej tym razem nie wysłała mnie do domu złych ludzi.

– Joł, Margo!

– Joł – odpowiadam.

Judah jeździ w kółko po podwórku. Ma na sobie cienki, biały podkoszulek i widać mu wszystkie mięśnie.

– Faj, obrzydliwe. Ty masz mięśnie.

– No ba, jestem ogierem – rzuca.

– Po co to robisz? – pytam. Jedzie w lewo, w prawo, wkoło, tak szybko, jak tylko potrafi.

– Ćwiczę.

– Spoko, ja nie ćwiczę. – *Jakby nie dało się tego domyślić po tłustych zwisach na moich kolanach.*

Idę dalej, ale Judah rusza za mną chodnikiem. Słyszę za plecami skrzypienie jego kółek. Uśmiecham się szeroko, pokazując zęby.

– Nie palisz i nie ćwiczysz. To co robisz?

Nie wiem, co robię. W sumie chyba po prostu jestem beznadziejna.

– Raz pogadaliśmy i już się uważasz za mojego kumpla?

– Wydajesz się trochę złośliwa. Zawsze się ciebie bałem. Ale jak już się odezwałaś...

Ale pieprzy. Nawet nie potrafi powiedzieć tego z poważną miną.

Maszeruję dalej normalnym krokiem, a Judah bez problemu dotrzymuje mi tempa.

– Czytam – mówię. Patrzę na niego kątem oka, żeby się przekonać, czy mnie osądza.

– Ja też. – Przypominam sobie książkę, którą trzymał tamtego dnia, gdy do niego podeszłam. – Głównie biografie.

– Faj – rzucam, a potem dodaję: – Ja mam dosyć prawdziwego życia w Bone. Kiedy czytam, wolę przenieść się do jakiegoś fajnego miejsca, a nie do czyjejs beznadziejnej egzystencji.

– Nie warto czytać o szczęśliwym życiu – przekonuje mnie. – Ja lubię czytać o walce z przeciwnościami. O cierpieniu.

– Wolę dobre zakończenia. Prawdziwe życie nigdy się dobrze nie kończy.

– Boże, jesteś taka przygnębiająca. Nie wiem, dlaczego się przyjaźnimy.

Skręcam na potrzaskany podjazd domu cracku.

– Nie przyjaźnimy się – wołam. – A teraz poczekaj tu na mnie i jeśli usłyszysz strzały, zadzwoń na policję. Nie przyjadą, ale i tak zadzwoń.

– Mam broń – mówi, napinając mięśnie ramion. – Mogę cię obronić.

Śmieję się. Nie wiedziałam, że mnie na to stać.

Milknę, kiedy Mo otwiera drzwi. Dostaję w twarz zapachem trawki i smażących się steków. Mo wciska mi swojego ośmiomiesięcznego synka.

– Potrzyj go – stęka. Biorę Małego Mo i siadam z nim na schodkach. Muszę najpierw zgarnąć leżące tam pety. Mo śmierdzi, tak jakby od tygodnia nikt mu nie zmieniał pieluchy. Patrzy na mnie jak na najnudniejsze stworzenie na świecie, a potem wbija wzrok w krzaki rosnące po lewej stronie budynku.

– Mo – mówię. – Mały Mo. – Nadal gapi się w bok. Zaczynam gwizdać. Jestem w tym całkiem niezła; Judah patrzy na mnie ze swojego wózka, na którym właśnie jeździ w tę i z powrotem po chodniku. Mały Mo odwraca do mnie główkę.

– Wreszcie. Serce mnie boli, kiedy nie zwracasz na mnie uwagi.

Wygwizduję melodię piosenki, którą usłyszałam w pracy w radiu. Mały uśmiecha się trochę. Kiedy Duży Mo wraca do drzwi, zabiera dziecko i rzuca mi na kolana kilka foliowych woreczków. Wstaję i strzepuję spodnie. Mo opiera się o framugę.

– Z twoją matką wszystko spoko?

– Ta, jak zawsze – mówię.

– Kiedyś mnie pilnowała, jak byłem taki mały.

Staram się nie dać tego po sobie poznać, ale jestem naprawdę zaskoczona. Nigdy mi o tym nie wspominała. W sumie nic dziwnego, skoro się do mnie nie odzywa.

Zostawiam zwitek dwudziestek na stopniach.

– Cześć, Mały Mo – wołam, ale drzwi są już zamknięte. Chowam woreczki do torby z pierdołami. Judah patrzy na nią, gdy dołączam do niego na ulicy.

– To dla ciebie?

– Nie, to pigułeczki z recepty dla mojej matki. – Wyraźnie mu ulżyło. – Ale nawet gdyby były moje, nie miałbyś prawa mnie osądzać, zielarzu.

– Trawka to co innego – słyszę.

– Nie. Jedno i drugie to uzależnienie. Emocjonalne, fizyczne. Robisz to, bo musisz. Nie ma znaczenia, czy twoje ciało pragnie tego, czy nie. Twój umysł chce i koniec.

– Lubię cię.

Jestem zaskoczona.

Odprowadza mnie do domu. A może odwozi. Nawet lepiej, bo każdy może odprowadzić kogoś do domu, a odwieźć już nie. Nie pozwalam mu podjechać pod sam dom. Wszyscy wiedzą, kim jest moja matka, ale i tak wolę, żeby nikt tego nie widział.

– A ty od czego jesteś uzależniona? – pyta, zanim zdążę się pożegnać.

– Czy to nie oczywiste? – odpowiadam pytaniem.

Kiwa znacząco głową.

– Sarkazm, brawo.

– Od jedzenia. A dokładniej to od pączków. Ale wezmę wszystko, co wysoko przetworzone.

Nie ma sensu trzymać tajemnic w miejscu, gdzie każdy trąbi o swoich grzechach. Mój to obżarstwo.

– Jestem gruba – mówię. A potem dodaję: – Bo jem pączki na obiad.

– Nie jesteś gruba – słyszę, ale nie czekam na resztę. Lecę do drzwi.

Kilka dni po tym, jak przyznałam się Judahowi Grantowi do uzależnienia od pączków, ktoś puka do drzwi.

Stuk stuk stuk.

Właśnie próbuję przykleić z powrotem podeszwę buta, kiedy słyszę to stukanie. Jestem tak zaskoczona, że upuszczam tenisówkę i tubkę kleju. Wstaję i zamieram, nie wiedząc, co robić, przyglądam się świecącej bursztynowo szczelinie pod drzwiami. O tej porze dnia nikt nie przychodzi do pozeracza, nawet świadkowie Jehowy. Spoglądam w górę schodów na drzwi do pokoju matki. Serce mi wali jak młot. Matka nie obudzi się jeszcze przez kilka godzin. Cierpi na poważną agorafobię, nie wspominając już o paranoi i uzależnieniu od leków na receptę. Gdyby się teraz obudziła, zaczęłaby wrzucać małe, białe pigułki do ust i trzęsłaby się ze strachu. W nocy zostawia drzwi otwarte dla klientów tylko po to, by nie słyszeć, jak pukają.

Stuk stuk stuk. Tym razem głośniej.

Lecę boso do drzwi i zaglądam przez judasza. Przed pozeraczem zebrała się grupka ludzi. Każdy innego pochodzenia i innej postury, a wszyscy upchnięci pod daszkiem, żeby nie stać na deszczu. Zakładam łańcuch przed otwarciem drzwi. Potem spoglądam przez szczelinę na

mieszane towarzystwo na zewnątrz.

– Tak?

Mężczyzna stojący blisko przodu grupy podchodzi i wciska mi kartkę papieru przed twarz. Wygląda staro, ma siwą brodę i brązową czuprynę. Odwracam od niego wzrok i spoglądam na papier. W samym środku umieszczono zdjęcie dziewczynki; ma włosy związane w dwa kucyki i brakuje jej dwóch zębów. Wielkie, czarne litery na dole układają się w napis „ZAGINIONA”. Dreszcz przebiega mi po plecach.

– Razem z innymi szukamy Nevaeh Anthony – mówi mężczyzna. – Widziała pani tę dziewczynkę?

Zatrząskuję drzwi i zdejmuję łańcuch. Kiedy znowu je otwieram, wszyscy, w tym nawet ja, wydają się zdziwieni. Czy ją widziałam? Ja ją widuję codziennie. Widziałam ją ile...? Dwa dni temu? Trzy? Zabieram mu ulotkę.

– K-kiedy? – pytam. Przyciskam dłoń do czoła. Czuję się dziwnie. Jestem cała spocona i mdli mnie.

– Matka mówi, że nie widziała jej od czwartku. Dziewczynka wsiadła do autobusu, żeby pojechać do babci, i nigdy nie wróciła.

Czwartek... Właśnie w czwartek zaplotłam jej włosy.

– Widziałam ją tamtego dnia – mówię. Wychodzę z domu i zamykam za sobą drzwi. – Idę z wami.

Bardzo powoli kiwa głową.

– Musi pani iść na posterunek. Opowiedzieć im wszystko. Jak skończą, niech pani do nas przyjdzie. Będziemy przeszukiwać teren od Wessex do Cerdic. Słyszysz pani?

Przytakuję. Za chwilę już biegnę bosą po Wessex, z tłuszczem trzęsącym się na ciele jak galaretka. Nagle słyszę Judaha.

Zatrzymuję się, dysząc.

– Widziałaś ją? – woła. Czoło ma zmarszczone i właśnie podnosi się na rękach, siedząc na wózku, żeby mnie zobaczyć.

– W czwartek – krzyczę w odpowiedzi.

– A gdzie twoje buty?

– Popsuły się. – Wzruszam ramionami.

– Leć! Leć!

I zaraz biegnę, szybko i bosą.

Czekam na detektywa Wyche'a przed jego biurkiem, podczas gdy on robi sobie kawę. Kiedy weszłam, jego pierwsze pytanie też dotyczyło butów. „Muszę porozmawiać z policjantami zajmującymi się sprawą Nevaeh Anthony”, powiedziałam wtedy, ignorując jego uwagę. Przez chwilę wydawał się zaskoczony, a potem poprowadził mnie przed swoje biurko i ogłosił, że potrzebuje kawy. Wokół jego komputera stoją figurki ostatnich dziesięciu prezydentów z kiwającymi się głowami. Patrzę na swoje brudne stopy i zastanawiam się, jak to możliwe, że akurat takiego dnia musiały mi się popsuć buty. Krwawię w kilku miejscach, gdzie skaleczyły mnie płyty chodnikowe. *W Bone nawet chodniki się do niczego nie nadają*, myślę sobie.

Funkcjonariusz Wyche wraca ze swoim partnerem – znacznie grubszym i starszym mężczyzną, który ma plamy potu pod pachami. Ten stęka głośno i siada obok mnie. Pachnie Old Spice'em i rozpaczą. Przepytują mnie przez dwie godziny, podczas gdy ja wiercę się niecierpliwie i żałuję, że też nie mam kawy. Nie proszę o nią, bo nauczyłam się, że nie powinnam o nic prosić. Trzeba cierpieć w ciszy, żeby nikt nie miał prawa nazwać cię mięczakiem. Old Spice bierze ster. Chce wiedzieć, kiedy ostatni raz widziałam Nevaeh.

W autobusie, ona jechała do swojej babci, a ja do pracy. Nie wiem, gdzie dokładnie mieszka jej babcia.

Co miała na sobie?

Czerwone getry i T-shirt z uśmiechniętą buźką oraz napisem „Szanuj zieleni, nie pal trawki”. Kiedy mu o tym mówię, Wyche unosi brwi. Mam ochotę powiedzieć mu, żeby się zamknął. Nikogo tu nie stać na ubrania.

Mówiła coś szczególnego? Nie, była szczęśliwa. Normalna.

Miała jakieś siniaki na rękach albo nogach? Żadnych nie widziałam.

Wspominała cokolwiek o przemocy? Nie. Mówiła dużo o babci. Uwielbia do niej jeździć.

Czy znam matkę Nevaeh, Lyndee Anthony? Tylko z widzenia.

Nigdy nie rozmawiałyśmy? I tak dalej, i tak dalej.

Kiedy wreszcie wydaje mi się, że to już koniec, zadają mi jeszcze raz te same pytania tylko innymi słowami.

Wracam do domu w deszczu, z bolącymi stopami. Biorę płaszcz. Robi się ciemno. Zastanawiam się, jak będą jej szukać przy tej pogodzie. Jest już za późno, żeby do nich dołączyć.

Maszeruję przez Wessex ze stertą ulotek, które wzięłam od policjantów, kiedy podjeżdża Judah. Patrzę na niego zdezorientowana, a on podaje mi parę kaloszy.

– Mojej matki – wyjaśnia. – Nie nosi ich.

Zabieram buty. Są zielone w czerwone wisienki. Zakładam je na gołe stopy bez słowa.

– Daj trochę. – Wyciąga rękę, a ja wręczam mu gruby plik kartek. Uznaliśmy, że będziemy je rozdawać w Wal-Marcie. Oboje milczymy. Właściwie to nie jestem pewna, czy Judah w ogóle znał Nevaeh; raczej mało prawdopodobne, żeby na nią kiedyś wpadł, ale widzę, jaką ma bladą i smutną twarz. Właśnie tak to wygląda w Bone. Głównie boimy się o siebie, ale czasami też o kogoś innego. Jeśli chodzi o mnie, to wiem, jak to jest być dzieckiem i jak to jest nie mieć nikogo. Kiedy kończą nam się ulotki, wracamy do domu.

– Musimy je wciskać ludziom na siłę – mówię. – Jakby nikt nie chciał w ogóle patrzeć.

– Musisz zrozumieć coś na temat Bone – tłumaczy Judah. – Każda zła rzecz, która się wydarza, przypomina ludziom coś, o czym próbują zapomnieć. Kiedy jesteś bogata i widzisz coś takiego w telewizji, tulisz swoje dzieciaki i cieszysz się, że nie ciebie to spotkało. Kiedy jesteś z Bone, tulisz dzieciaki i modlisz się, żeby nie były następne.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywam, myśląc o tym, co mi powiedział. Tyle czasu spędziłam sama w ciemnym pokoju, z pudełkiem pączków, że miło jest dla odmiany z kimś porozmawiać.

– Dlaczego czegoś z tym nie zrobią? Dlaczego my czegoś z tym nie zrobimy? Moglibyśmy wszyscy stąd wyjechać, wszyscy, i poszukać czegoś lepszego.

– To nie takie proste – mówi Judah. – Jesteśmy przeżarci tym miejscem do szpiku kości. Z pokolenia na pokolenie przekazujemy sobie bierność i strach.

Judah zatrzymuje się przy wozie z jedzeniem i czyta menu. Czekam na niego pod przerdzewiałym daszkiem, który udaje wiatę

przystanku, i próbuję się choć trochę rozgrzać. Chłopaki za okienkiem chyba znają Judah'a. Wychodzą przed wóz i podają mi torbę z zamówieniem, którą on kładzie sobie na kolanach i podjeżdża do mnie.

– Obiad – oznajmia.

Siedzę sztywno, a on rozkłada chipsy i taco na serwetkach leżących na naszych kolanach. Do wszystkiego są małe pojemniczki z jasnoczerwoną salsą, a do tego duża cola z bąbelkami. Pierwszy raz w życiu ktoś kupił mi obiad.

Deszcz dzisiaj to drobna mżawka, do tego nie ma zbyt dużego chłodu. Jeśli Nevaeh znajduje się na zewnątrz – może miała wypadek albo coś – nie zamarznie. Nie cierpię tego, że o tym myślę.

– Gdzie mogłaby być? – pytam, nieśmiało sięgając po chipsa. – To małe miasteczko. Rzadko kiedy w ogóle jakiś obcy tędy przejeżdża.

– Może uciekła – podpowiada Judah z ustami pełnymi taco. Czuję zapach kolendry i mięsa. – Sama wiesz, jakie są małe dzieci z okolicy. Ja w jej wieku chciałem uciekać średnio raz w tygodniu. I pewnie bym to zrobił, gdybym miał działające nogi.

Kręcę głową.

– Nie, ona taka nie jest.

– Wiem. Po prostu mówię tak, żeby poczuć się lepiej.

Skubię chipsa, którego trzymam, i miażdżę go przednimi zębami jak gryzoń.

– Znałeś ją?

– Tak... – odpowiada z wahaniem. Potem zlizuje śmietanę z kącika ust i je dalej.

Próbuję wymyślić wszystkie możliwe sytuacje, w których mógłby wejść w kontakt z Nevaeh, i nic nie przychodzi mi do głowy. Nevaeh nie mieszkała na Wessex, tylko na Thames Street, dwie przecznice i jedną równoległą dalej. Chodziła do szkoły, jeździła autobusem do babci, bawiła się na swojej ulicy, jednak nigdy nie opuszczała swojego osiedla. Skąd niepełnosprawny chłopak, który skończył już szkołę średnią, zna dziewczynkę z drugiej klasy?

– Dlaczego nie jesz? – pyta.

Bo nie chcę, żebyś myślał, że jestem gruba.

– Chyba nie jestem głodna. – *Jestem zajebiście głodna.*

Odkłada swoje taco i patrzy na mnie. Kawalki sałaty spadają mu z kolan na ziemię.

– Jeśli ty nie jesz, ja też nie. A wtedy będziesz odpowiedzialna za głodzenie kaleki.

Rozwijam swoje taco, uśmiecham się trochę.

– Gdzie pracujesz? – pytam.

Skończyliśmy już jeść, pozbyliśmy się śmieci, strzepaliśmy okruchy ze spodni. Schodzę z krawężnika, a potem się odwracam, żeby pomóc Judahowi pokonać trudny kawałek ulicy – krzywy i pełen dziur. Wiem, że studiuje w Seattle, bo trzy razy w tygodniu przyjeżdża po niego biały van ze szkoły. Nie wiem tylko, co tam studiuje.

– W pracy – odpowiada.

– Dobra, cwaniaku, a co studiujesz?

– Edukację elementarną.

Dziwi mnie jego szybka odpowiedź na pytanie, które tak długo zbywał. Chociaż pasuje mi to; Judah wygląda na nauczyciela.

– I stąd ją znałeś? To znaczy znasz... – poprawiam się.

– Tak – potwierdza. Nic więcej nie mówi. I chociaż kupił mi obiad, mam ochotę wyciągnąć rękę i rąbnąć go w tył głowy. Zdaję sobie sprawę, że jestem hipokrytką. Przecież sama nie lubię osobistych pytań.

Czuję się, jakbym znała go bardzo długo.

Podbieram dziesięć dolców ze skrytki w podłodze, żeby kupić sobie w ciucholandzie nową parę butów. Mam siedem czeków z pracy, wypisanych na moje nazwisko, i żadnego konta w banku, żeby je zdeponować. Żeby otworzyć rachunek, potrzebuję dokumentu ze zdjęciem, a nie udało mi się jeszcze znaleźć swojego aktu urodzenia. Raz zapytałam o niego matkę, ale oczy jej zmatowiały i odeszła bez słowa. Mam kartę z ubezpieczeniem, jest na niej nazwisko Margo Moon i dziewięciocyfrowy numer, którym udowadniam, że w świetle prawa jestem Amerykanką. Nie posiadam jednak dowodu ze zdjęciem, więc Sandy musiała uwierzyć mi na słowo, kiedy mnie zatrudniała.

Wszystkie siedem czeków schowałam do mojego egzemplarza *Małych kobietek*. Tymczasem do sklepu chodzę w kaloszach Delaney. Zdaniem Judaha nawet nie zauważy, że ich nie ma, ale nie mam w zwyczaju kraść czyichś butów i paradować w nich na oczach właściciela.

Kiedy wchodzę, Sandy mierzy mnie wzrokiem.

– Przecież nawet nie pada – mówi. – A poza tym to są radosne buty. A ty nie jesteś radosna. – Wzruszam ramionami. Sandy dopiero co założyli aparat na zęby. Trudno traktować poważnie dorosłego

z aparatem na zębach.

Jeszcze przed otwarciem sklepu znajduję minimalnie zniszczone czerwone conversy w dziale dla nastolatków. Zakładam je zamiast kaloszy i wrzucam siedem dolców do kasy. Nigdy wcześniej nie miałam conversów. Tylko tenisówki z Wal-Marta. Czuję się jak milion dolców – albo siedem, zależy jak na to spojrzeć. Sandy na widok moich nowych butów pokazuje mi kciuki w górę. Robię spacer po księżycu na podłodze ciucha. Nie wiem, dlaczego jestem w tym taka dobra. Sandy właśnie je muffinkę ze stacji paliw i kiwa głową do *Billie Jean*. Mówi, że jestem białaską z talentem. Zostaję dłużej w pracy, pomagając szefowej ogarnąć późną dostawę, i omal nie spóźnim się na ostatni autobus powrotny. Kierowca patrzy na mnie spode łba, kiedy łomoczę w drzwi akurat w chwili, gdy już rusza, ale otwiera mi jeszcze i posyłam mu szeroki uśmiech. Kiedy wysiadam na swoim przystanku, jestem już tak wykończona, że ledwo udaje mi się utrzymać ciężkie powieki. Niosę kalosze do domu Judaha i opieram je o drzwi wejściowe. Prawie cała okolica zdążyła zasnąć – nawet dom cracku. Już chcę odejść, kiedy Judah mnie woła. Nie widzę go. Pewnie siedzi w ciemności przy oknie wychodzącym na ulicę.

Idę szybko w stronę jego głosu i kucam, próbując go zobaczyć przez okno.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada trochę dziwnie.

– Przyniosłam z powrotem buty twojej mamy – rzucam ostrożnie i dodaję zaraz: – Dlaczego siedzisz po ciemku?

Długo milczy. Słyszę powietrze, które wciąga i wypuszcza z płuc.

– Czekałem, aż będziesz przechodzić obok.

Jego głowa porusza się w górę i w dół, ale nieznacznie. Podchodzę do drzwi i otwieram je powoli. Zawiasy w ogóle nie skrzypią i jestem im za to wdzięczna. Ostatnią rzeczą, jaką bym chciała, to żeby Delaney wyszła z pokoju i zobaczyła córkę prostytutki, która zakrada się do jej salonu. W domu panuje ciemność; pali się tylko jedna jedyna świeca w kącie. Pachnie cynamonem.

Judah podjechał wózkiem pod samo okno. Zastanawiam się, jak często siedzi tutaj i obserwuje świat. Widzę, że jest zgarbiony i ma

spuszczoną głowę. *Dzisiaj jest niepełnosprawnością*, myślę sobie. Podchodzę do niego i klękam, kładąc dłonie na jego kolanach. Nigdy wcześniej go nie dotykałam. Nigdy nie miałam dość odwagi. Jego nogi są delikatne, kościste. Nie tak jak reszta jego ciała. Judah z natury powinien być wysoki, duży i silny, jednak życie mu to odebrało. Jak ciężkie musi być to brzemień? Jego głowa unosi się nieco; tylko tyle, byśmy mogli spojrzeć sobie w oczy. Wydaje się... zmęczony.

– Judah – szepczę. – Dlaczego na mnie czekałeś?

Mruga powoli, jakby znajdował się w jakimś transie, a potem znowu wygląda przez okno.

– Zawsze czekam – odpowiada z tak przejmującym smutkiem, że aż się cofam.

Podnosi rękę i wskazuje na ulicę.

– Tam, gdzie latem rosną jeżyny...

Patrzę w miejsce, o którym mówi. Po drugiej stronie ulicy znajdują się krzaki. Nikt ich nigdy nie przycina, więc rozrastają się dziko po pustej działce.

– Tam zobaczyłem cię pierwszy raz, jak zrywałaś jeżyny z matką. Całe życie tu mieszkałem, i ty też, ale to wtedy po raz pierwszy cię widziałem. Byłaś bardzo mała, szczerbata, z podrapanymi kolanami. Włosy miałaś skołtunione i tak jasne, że w słońcu wyglądały jak białe.

Szukam w pamięci tego wspomnienia. Zbieranie jeżyn z matką. Tak. Kiedyś piekła ciasta. Brałyśmy miski i wypełniałyśmy je owocami, podjadając ciągle i plamiąc sobie usta na fioletowo. Opowiadała mi historie o tym, jak dawno temu robiła to samo ze swoją matką. To znaczy zanim babcia próbowała ją utopić.

– W lato bardzo mocno się opalasz – ciągnie dalej Judah. – W zimę przypominasz śnieg, ale latem wyglądasz jak Indianka ze złotymi włosami. – Spoglądam na swoje ręce. W pokoju jest zbyt ciemno, żebym dojrzała kolor skóry, wiem jednak, że Judah mówi prawdę. Nie wiem tylko, do czego zmierza. Nie jest sobą. – Wiesz, co pomyślałem na twój widok? Ona będzie walczyć. Sięgałaś głęboko między ciernie, żeby zdobyć jeżyny dla mamy; skaleczenia zupełnie się dla ciebie nie liczyły. Jak zobaczyłaś ładny owoc, byłaś gotowa zrobić, co trzeba, żeby go zdobyć.

– Judah? – Kręcę głową, ale on mnie ucisza. Kładzie dwa palce na moich ustach i naciska delikatnie. Nigdy jeszcze nie byłam tak blisko pocałunku.

– Wtedy już jeździłem na wózku. Nie mogłem robić tak jak ty. Nawet gdybym chciał. To zabawne, że musiałem zostać kaleką, żeby cię zobaczyć... Właściwie to wiele rzeczy zacząłem dostrzegać dopiero wtedy.

Płomień świecy tańczy, rzucając delikatne światło. Przyglądam się twarzy Judaha, chcąc pośpieszyć jego słowa i smakować je jednocześnie.

– Jestem połową człowieka – mówi cicho. – Zawsze mam jakieś ograniczenia i nigdy nie będę chodził. Czasami przez to chciałbym po prostu... odejść.

Przelykam to jego „odejść”, bo sama wielokrotnie chciałam to zrobić. A dokładniej w chwilach, gdy paraliżowała mnie myśl, że w życiu może nie być nic więcej prócz Bone. Pochłania mnie wtedy głęboka pustka i muszę przekonywać samą siebie, że jestem zbyt młoda, by mieć tę pewność. *Daj sobie jeszcze parę lat, zanim odejdiesz, Margo.* Teraz jednak myśl o śmierci Judaha przyprawia mnie o atak paniki.

– No i? – mówię.

Patrzy na mnie. Czeka. Ja też czekam. Nie chcę rzucać słów na wiatr, nie chcę być gadatliwa. Nigdy nie będę godna Judaha Granta, więc chciałabym, żeby pragnął chociaż moich słów. Kiedy spełniasz czyjaś potrzebę, czujesz się dla niego ważniejszy. Skąd to wiem? *Bo kupuję matce papierosy? Przynoszę jej ze sklepu tampony i sole do kąpieli?*

– Ja mam nogi, Judah, ale nie wiem, jak ich użyć. Twoje życie chodzi i wyjdiesz z Bone, i będziesz kimś. A my wszyscy, z działającymi nogami, umrzemy tutaj.

– Margo... – Głos mu się załamuje. Spuszcza głowę, a ja nie jestem pewna, czy płacze, dopóki nie pociąga nosem. Łapie mnie, zanim zdążę złapać jego, i trzyma mnie mocno.

– Margo – powtarza w moje włosy. – Uratuję cię, jeśli ty uratujesz mnie.

Kiwam głową, słowa grzęzną mi w gardle ściśniętym z emocji. To najlepszy układ, jaki życie kiedykolwiek mi zaoferowało.

– Nie uważasz, że powinniśmy coś zrobić? – pytam Judaha kilka dni później. – Wiesz, naprawdę się ogarnąć i coś zrobić, no.

Judah właśnie wysypuje zielone liście na cienki, biały papierek. Patrzę urzeczona na jego zwinne palce, gdy najpierw liże, a potem zwija.

– Co na przykład? Mamy zacząć własne dochodzenie?

– Może – rzucam. On kończy jednego jointa i bierze się za drugiego. – Daj, ja spróbuję – mówię, odpychając jego dłonie.

Judah odsuwa się od stołu z rozbawieniem na twarzy. Kolana przyciskam do kół jego wózka. Moje wielkie, tłuste kolana. Mam nadzieję, że na nie nie spojrzy. Wiatr się wzmaga, a ja czuję zapach jego skóry; pachnie potem i wodą kolońską.

– To nie takie proste, jak się wydaje – mówię. Nie podoba mi się reakcja mojego ciała na zapach Judaha.

– Owszem, nie jest.

Obserwuje mnie pilnie. Przez to czuję się niepewnie. Na głowie mam bałagan, a skóra zaróżowiła mi się od słońca. Palce mi się plączą i rozsypują liście na stole.

– Spokojnie, chudzielcu. – Judah podnosi kilka kawałków i wrzuca je z powrotem na papierek. Zerkam na niego, żeby zobaczyć, czy się

wkurzył, ale on nawet na mnie nie patrzy. Spogląda na drzewa po drugiej stronie ulicy.

Tego ranka wstałam wcześniej, żeby spotkać się z jedną z grup poszukiwawczych, która przeczesywała wschodni brzeg rzeki Boubaton. Rozdali nam pączki, kawę i odblaskowe kamizelki, żebyśmy założyli je na nasze ubrania dla bezpieczeństwa. Niektórzy policjanci przyprowadzili ze sobą psy – wielkie owczarki niemieckie, też ubrane w kamizelki, ale z żółtymi napisami „POLICJA” po bokach. Szliśmy w szeregu przez las, szukając wszystkiego, co mogłoby zwrócić naszą uwagę – wyrwany fragment ubrania, krew, włosy. Z każdym krokiem coraz trudniej mi się oddychało. Zastanawiałam się, czy to ja znajdę Nevaeh.

Każdego dnia ginie jakieś dziecko i tylko jeden procent takich spraw przedostaje się do wiadomości krajowych. Ludzie krzywdzą dzieci. Jeśli to ktoś, kogo znasz, kto jeździ z tobą autobusem i chadza po tych samych głównianych ulicach, po których ty chodzisz całe życie, czujesz się potwornie. Ktoś pozwolił złu porwać nas jedno po drugim, zaczynając od najsłabszych.

– Mój joint jest do kitu – mówię, trzymając własną porażkę w dwóch palcach. Jest oklapnięty, a część trawki wypada jednym końcem i sfruwa ze stołu przy podmuchu wiatru. Judah zabiera mi jointa i zaczyna od początku.

– Przecież pomagasz. Przeszukujesz pieprzone krzaki. Co więcej mogłabyś robić?

– Mogłabym ją po prostu znaleźć. Przecież gdzieś jest, prawda?

To wyraz jego twarzy mnie prowokuje. Próbuje go przykryć tym, co pragnę zobaczyć: nadzieją albo czymś równie żalosnym. To chyba właśnie cała ja – żalśnie pełny nadziei człowiek, który wciąż wierzy, że mała dziewczynka żyje. A nawet gdyby żyła, w jakim stanie byłaby po takim czasie? Kręcę głową i kiedy się odzywam, głos trochę mi drży.

– Nie musisz tak na mnie patrzeć. Jakbym była jakaś głupia czy coś.

– To ostatnie, co bym o tobie pomyślał, Margo. Ostatnie. Dziewczynka zaginęła dwa miesiące temu...

Naprawdę minęło już tyle czasu? Przypominam sobie dzień, kiedy

widziałam ją po raz ostatni. Był czerwiec; słońce świeciło już bez ustanku. Szkoła właśnie się skończyła i wszystkie dzieciaki w Bone miały wymalowaną na twarzach dziką ekscytację. Nevaeh powiedziała mi wtedy, że babcia dała jej dwa dolary za każdą piątkę na świadectwie.

„Dziesięć dolców! – chwaliła się z dumą. – Zaoszczędzę wszystko i kupię sobie coś naprawdę dobrego”.

Nie doczekała szansy na wydanie tych pieniędzy, jestem tego pewna. Założę się, że ciągle miała je w tym portfeliku z Hello Kitty, który trzymała w plecaczku, zaraz za paczkami żelków i fioletowym misiem, którego ukryła na dnie. Nazywała go Bambi.

„Nie mogę zostawić go w domu – tłumaczyła głosem takim słodkim i kruchym. – Wszędzie ze mną chodzi”.

Zostawiam Judaha, bo nagle wszystko mnie boli ze smutku. Niech sobie sam pali jointa, niech sobie sam trawką wygładza ostre krawędzie. Ja wolę brać życie na klatę – poczuć ból – ponieważ wtedy jest prawdziwsze. Ależ ze mnie hipokrytka; zawsze czytam książki z fikcyjnym szczęściem, a sama nawet nie próbuję go zaznać.

Smutek to emocja, której możesz zaufać. Jest silniejszy niż wszystkie inne. Przy smutku radość wydaje się chwilowa i niepewna. Smutek trwa dłużej, jest trwalszy i z taką łatwością zastępuje pozytywne uczucia, że nawet nie poczujesz zmiany, gdy znajdziesz się w jego okowach. Jakże zaciekle walczymy o szczęście, a kiedy wreszcie mamy tę ulotną radość w rękach, trzymamy ją krótko i zaraz spływa między palcami jak woda. Nie chcę trzymać wody. Chcę trzymać coś twardego i solidnego. Coś, co potrafię zrozumieć. Rozumiem smutek i dlatego mu ufam. Naszym przeznaczeniem jest czuć przygnębienie, choćby tylko po to, żeby chronić się przed ściemą szczęścia. Będę znać tylko ciemność; może kluczem jest uczynić z tego sztukę.

W końcu trafiam do lasu, gdzie muskam palcami chropowatą korę drzew i pocieram liść między palcami. Myślę o Lyndee Anthony, matce Nevaeh. Widziałam ją kilka razy, jak stała przed domem i wyglądała na ulicę, jej oczy wędrowały w tę i z powrotem, naśladując ruchy jej umysłu. Jest chuda i ma krótko przystrzyżone, ciemne włosy. Przypominałaby dziecko, gdyby nie zmysłowe i wyraziste rysy. Czasami, kiedy widywałam je obie na mieście, wydawało mi się, że

Nevaeh wygląda doroślej niż matka. Z tymi wszystkowidzącymi, mądrymi oczami. Z tymi spokojnymi ruchami ciała. Wzrok Lyndee był pusty i znudzony. Jak u szczeniaczka.

Kiedy zaginęła Nevaeh, twarz Lyndee ukazała się na okładce „Harbor Bone”, zmęczona i smutna. Zaczęłam zbierać wycinki, różne odcienie przygnębienia Lyndee z takimi nagłówkami jak: „Matka błaga o informacje na temat zaginionej córki” albo „Matka zaginionej dziewczynki przekazuje policji nowe poszlaki”. W czasie pierwszych tygodni poszukiwań ojciec Nevaeh pozostawał nieobecny. Mówiło się, że kiedy Lyndee zadzwoniła powiedzieć mu, co się stało z ich córką, on poprosił o test na ojcostwo. Gdy miejscowe media zajęły się tym tematem, zmienił zdanie i zaczął udzielać łzawych wywiadów, twierdząc, że Lyndee nie pozwalała mu widywać się z córką, ale to się zmieni, gdy tylko Nevaeh się znajdzie. Nawet przez sekundę nie wierzyłam, że chodzi o coś więcej niż chęć zwrócenia na siebie uwagi. A kiedy parę miesięcy później sprawa przycichła, przestał udawać.

Wychodzę z lasu i zbliżam się do pozeracza od tyłu. Chwasty łaskoczą mnie w łydki, gdy maszeruję przez zarośnięte podwórko. Sznurek, na którym niegdyś matka wieszała mokre pranie, zerwał się ze słupka. Podnoszę wolny koniec i przyglądam się mu. Kiedy spoglądam znowu na dom, widzę w odsłoniętym oknie patrzącą na mnie matkę. Przez chwilę gapimy się na siebie, po czym ja pierwsza odwracam wzrok. Wtedy zauważam, że wytarłam w listku dziurę.

Sierpień w Bone jest gorącym oddechem lata pachnącym różami nutkana, które przywodzą na myśl słodką woń cynamonu. Klaustrofobia uderza do głowy. Czujesz, że zapiera ci dech w piersi, a potem robisz coś szalonego, tak jak Velda Baumgard z Thames Street, która oskórowała własnego psa i podała rodzinie na obiad, bo miała dosyć ciągłego szczekania.

Przechodzę przez ulicę i chowam się pod drzewami, których zieleń jest jasna jak limonka i ciemnożółta. Chwasty wyrastają ze szczelin w chodnikach i ulicy, kwiaty kwitną tam, gdzie nie powinny – kępka narcyzów przy budynku Bone Harbor Bank, begonie wiszące z przejścia nad Dwunastą i Laurel, które prawie dotykają dachów przejeżdżających samochodów. Obok Wal-Marta jest nawet łączka pełna lilaków i często ludzie przystają tam, podziwiając dzikie kwiaty. Latem wszystko jest bujne i pełne życia – nawet ludzie. Przestają narzekać, że Harpersfield, miasteczko znajdujące się jakieś piętnaście kilometrów od Bone, ma Safeway i QFC, i małą strefę handlową z uliczkami wyłożonymi kocimi łbami, gdzie można się napić designerskich latte albo obejrzeć film w Eight.

Zapominają i grillują na swoich podwórkach hot dogi oraz

szarzejące burgery wołowe, zapraszają przyjaciół na ciepłe piwo i ploteczki. W lecie zapominają, że zarabiają pensję minimalną, że ich samochody potrzebują nowych hamulców, a deszcz niedługo zmyje ich uśmiechy. W lecie mieszkańcy Bone nucą i śmieją się, i pozwalają słońcu rozpuścić ich zmartwienia. Jednak Nevaeh w tym roku zniszczyła lato. Zamiast grillować ludzie chodzą po lesie i jej szukają. Rozglądają się zmęczonym wzrokiem zamiast wystawiać twarze do słońca. Wszyscy to czujemy.

Nie jeżdżę już autobusem i zazwyczaj te osiem kilometrów z domu do pracy pokonuję pieszo. Nie jest tak źle. Po drodze zjadam batonik muesli i stało się to dla mnie przyjemnym rytuałem – moje ciężkie kroki i płatki owsiane z rodzynkami w ustach. Maszerując przez Bone latem z batonikiem, czuję się bardzo naturalnie. Wieczorami, po wyjściu z ciucholandu, kupuję kawę w wozie z jedzeniem i wracam do pożeracza. W ciągu kilku tygodni moja dotychczas niezdrowo blada skóra nabrała tego ciemnego koloru, o którym wspominał Judah, a spodnie zaczęły mi wisieć na biodrach jak luźna skóra. Nadzieja wraca wraz z krótką, trzymiesięczną przerwą od deszczu. Jednak jest w tym wszystkim wilgoć, butwiejące poczucie winy. Mała dziewczynka zaginęła, jej matka cierpi, babcia wpadła w taką rozpacz, że nie wychodzi już ze swojego domu na Cambridge Ave. Chcę do niej iść, zaoferować jakąś pomoc – cokolwiek, byle ulżyć jej w smutku. Jednak jestem jedynie obcym dla niej człowiekiem, dlatego tylko modłę się cicho, przechodząc obok jej domu. Wiatr porywa moje słowa zaraz po tym, jak opuszczają usta. Nie ma spokoju dla ofiar.

Nevaeh była młodszą wersją mnie samej, tylko że miała babcię, która ją kochała. Ta jedna różnica mogła zmienić los. Kiedy byłam w jej wieku, potrafiłam godzinami fantazjować o ojcu, który nie wiedział o moim istnieniu, ale gdyby tylko poznał prawdę, od razu by mnie zechciał. Zabrałby mnie z pożeracza, z Bone, i kazałby opowiadać o sobie. Całe dni z zaangażowaniem zakochanego mężczyzny zbierałby informacje na mój temat. Wydaje mi się, że bycie chcianą to najlepsze uczucie ze wszystkich. Uczucie, które spaja twoje życie, daje ci cel istnienia.

Kiedy Judah Grant oferuje swoją przyjaźń w formie

przesiadania na jego podwórku, gadania o książkach i słuchania muzyki, biorę ją. Z początku aż kręci mi się w głowie i nie rozumiem, dlaczego to robi. Potem przyzwyczajam się do tej rutyny i przestaję ją kwestionować. Jeśli nie idę do sklepu, cały dzień spędzamy razem. Wymieniamy się książkami z oślimi uszami, czytamy je na słońcu, podczas gdy Delaney przynosi nam minibajgle i małe marchewki na obtłuczonej porcelanie.

– Ona to uwielbia – mówi mi Judah któregoś dnia. – Zawsze chciała, żebym przyprowadzał znajomych do domu, ale moi prawdziwi przyjaciele są zbyt chorzy, żeby przyjechać, a ci tutaj są zbyt chorzy, żeby ich zaprosić.

– Chorzy na co? – pytam, myśląc o tym, że może krąży po okolicy jakiś wirus grypy żołądkowej.

– Na życie, Margorita. Wejdz do którejkolwiek szkoły albo na zajęcia pozalekcyjne i zobaczysz grupę dzieciaków z umorusanymi twarzami, w zbyt małych albo zbyt dużych ciuchach, albo takich z wydartymi dziurami na kolanach i łokciach. Ale gdy pójdziesz do ich domów, znajdziesz mnóstwo narzędzi do radzenia sobie z problemami: trawkę, alkohol, narkotyki...

– Do czego zmierzasz? – pytam, myśląc o mojej własnej porwanej garderobie, dziurach w ulubionym swetrze. Myślę o apteczce matki, pełnej Seroquelu, Opany i dużych butelek Ambienu.

– Nie chodzi o ubrania – tłumaczy. – Chodzi o priorytety. O wymówki i egoizm. Ludzie chcą innego życia, ale dają się wciągnąć w to samo, którym żyli ich rodzice; w to samo miasto, tę samą biedę, te same zmagania. Potem mają własne dzieci i pamiętają obietnice, jakie sobie składali: że wyniosą się stąd w cholerę. Ale nie wynoszą się, bo to nie takie łatwe. Dlatego mszczą się na sobie, na dzieciach, na sąsiadach. To wymówka, oczywiście. Istnieje mnóstwo szans, stypendiów, grantów. Wystarczy być odważnym i skoczyć. Pomaga, jeśli jest się mądrym, wygadany i dobrze ubranym. Bo nikt nie zatrudni kogoś ze zgniłymi zębami albo ubranego w sukienkę kupioną w Wal-Marcie. A przynajmniej wtedy, gdy starasz się o pracę, która może zmienić twoje życie.

– Ty palisz – zauważam.

– Tak, palę. Moja matka uprawia trawkę. – Wzrusza ramionami. – Nigdy nie odjęła mi od ust, żeby nakarmić siebie. Chciała trawki, więc zasadziła własną zamiast zabierać coś dziecku.

Nie od razu mu wierzę. Mieszkańcy Bone byli ostro traktowani; młodszy, jeszcze niezgorzkniali, mają w oczach nieugiętą determinację, żeby mieć lepsze życie niż ich rodzice. Starają się być lepsi.

– Posłuchaj ich rozmów – mówi Judah. – Chcą czegoś więcej, ale nie mają odwagi, żeby spróbować po to sięgnąć. Poza tym i tak niedługo będę musiał przestać. Dostałem się na program nauczycielski na Uniwersytecie Waszyngtońskim.

Piszczę i rzucam mu się na szyję.

W drodze powrotnej do domu rozmyślam o tym, co mi powiedział. Problem ubrań dziecięcych w Bone przybiera rozmiar epidemii. Większość rodzin korzysta z pomocy społecznej. Matka odmówiła przyjęcia małej niebieskiej karty ze swoim nazwiskiem i zmusiła mnie, żebym sama o siebie zadbała. W starszych klasach podstawówki i w szkole średniej udawałam ADD, żeby sprzedawać przepisywane mi leki dzieciakom ze starszych klas. Potrzebowałam pieniędzy na lunch. Kiedy odnalazłam skrytkę, jaką urządziła sobie matka w pozeraczu, nagle zostałam cudownie uleczona.

Pamiętam tamtą kobietę, która próbowała ukraść buty za sześć dolarów. Była tak pijana, że nie potrafiła złożyć jednego zrozumiałego zdania, a jednak miała w sobie tyle determinacji, by założyć małemu Zeekowi buty, że była gotowa je ukraść. I to jej wybór, nie Zeeka. Judah miał rację.

Tydzień później słyszę dwie kobiety rozmawiające w sklepie. Jedna narzeka na swojego szefa, który nie chce dać jej zasłużonej podwyżki. Jej koleżanka mlaska z obrzydzeniem, zapewniając ją, że pracuje tam dość długo, by zarabiać więcej.

Ich rozmowa nagle się zmienia, gdy pierwsza kobieta mówi drugiej:

– Powiedział, że jeśli przeniosę się do oddziału w Seattle, dostanę. Ale nie mogę zostawić Meemaw, wszyscy moi znajomi tu mieszkają...

– Nie, nie – zapewnia ją przyjaciółka. – Głupio byś zrobiła. Za co będziesz żyć w Seattle? Tam to od razu trzeba mieć kasę.

Mam ochotę wrzasnąć na nią, żeby zaryzykowała. Jedź!

Wzbiera we mnie nienawiść do tego, czym staliśmy się w Bone wbrew naszej woli i przed czym nie potrafimy uciec, bo jesteśmy zbyt słabi. *Ja się wydostanę, mówię sobie. Gdy tylko będę mogła.*

I Judah tak samo. Za wysoki jest na to miejsce, nawet na swoim wózku.

Judah i ja wyrastamy ponad resztę Bone i trzymamy się razem. Nie istnieje nic lepszego niż znalezienie drugiego człowieka, który walczy tak samo jak ty, kocha to samo co ty i rozumie cię tak doskonale, że to aż podniecające. Przyjaźń między brzydką grubaską a przystojnym kaleką. To przyjaźń, na którą oboje czekaliśmy. Której oboje potrzebowaliśmy.

Łączymy nasze siły i snujemy plany ucieczki z Bone. Przerzucamy się hermetycznymi żartami, cytatami z filmów i najbardziej nie lubianym jedzeniem. I czy to nie jest najlepsze – razem z kimś czegoś nie lubić? Wspólne dni są fantastyczne, pełne rozmów o kawalerkach i weekendowych wyjazdach do Pike Place Market po owoce, które smakują jak prawdziwe owoce, o spacerach wzdłuż Sound i oglądaniu promów. Judah był w Seattle wiele razy, do jego szkoły krótko się jedzie. Pytam go o widoki i dźwięki, o ludzi z tatuażami i kolorowymi włosami. Mieszkańcy Seattle są tolerancyjni i liberalni. Nie osądzają cię – tak twierdzi Judah. Dla nich kaleka w niczym nie różni się od innych ludzi z wartościowymi pomysłami. Ciekawe, czy szanowaliby też brzydką dziewczynę. Czy mogę coś osiągnąć, nie używając do tego ciała czy wyglądu.

– Bez sensu jest o tym gadać – mówię mu.

On kręci głową.

– Nie, marzenia nigdy nie są bez sensu. Marzenia to plany; dzięki nim twoje serce zaczyna bić, a kiedy zaczniesz, zaraz za nim podąża głowa.

Nie wiem, czy mu wierzę, ale udaję, że tak. Dla dobra mojej głowy.

– Jakie lubisz filmy? – pyta mnie któregoś popołudnia. Przez większość dnia wymienialiśmy się teoriami na temat losu Nevaeh, a nasza rozmowa w końcu zmieniła się w gęstą ciszę.

Nie wiem. Z Destiny oglądałyśmy *Pamiętnik*, *Pretty Man* albo *Długo i szczęśliwie*. Kiedy nudziły nam się współczesne komedie romantyczne, wracałyśmy do lat osiemdziesiątych, wybierając takie rzeczy jak *Kiedy Harry poznał Sally* albo *Wpływ księżycy*, z początku śmiejąc się z natapirowanych włosów i neonowych ubrań, a potem poważniejąc i dając się ponieść odurzającej dawce hollywoodzkiej miłości. Moim ulubionym filmem z czasów spędzanych u Destiny na czerwono-czarnej kanapie zawsze był *Plusk*, chociaż Destiny się z tego śmiała. „Ze wszystkich romansów tobie najbardziej podoba się ten o syrenie – mówiła. – Najbardziej nierealistyczny...”

Nie wyjaśniłam jej wtedy, że moim zdaniem miłość w ogóle jest nierealistyczna. Pretensjonalnie przypadkowe spotkanie, szybkie zauroczenie, a potem ta niezwykła zdolność mężczyzny do powiedzenia dokładnie tego, co trzeba, żeby na nowo zdobyć kobietę. *Plusk* może i był nierealistyczny, ale taka jest też miłość. Miło na nią popatrzeć, ale to głupota w nią wierzyć. Może jednak nie przepadam za komediami romantycznymi, tak jak myślałam.

– Nie wiem – mówię do Judaha. – Zawsze oglądałam takie filmy, które każą ci wierzyć w miłość nawet wtedy, gdy nie masz do tego żadnego powodu. To głupie i dziecinne. Chyba po prostu potrzeba mi kogoś, kto by mnie przekonał.

– Masz kablówkę? – pyta.

– Kablówkę? Ja nie mam nawet telewizora – odpowiadam. Przez chwilę dla Judaha Granta jestem ufoludkiem. Aż podnoszę rękę do twarzy, żeby się upewnić, że nic się nie zmieniło ani nie zdeformowało w ciągu ostatnich kilku minut, kiedy gapił się na mnie z otwartą paszczą.

– No co? Co się tak na mnie lampisz?

Nie podniósł jeszcze szczęki, oczy ma wybałuszone.

– Po prostu myślę o tych wszystkich filmach, które chcę ci pokazać. Właśnie tworzę listę, bądź cicho.

Siedzę bez słowa, podczas gdy Judah zapisuje coś z tyłu paragonu. Nie osądza mnie, nie nazywa dziwołagiem. Myśli tylko o tym, żeby pokazać mi to, czego nie znam. Nie skupia się na samym fakcie, że czegoś nie wiem. Kiedy kończy, patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

– Idziemy – mówi.

– Dokąd?

– A dokąd niby? Do wypożyczalni! A ty pewnie musisz wpaść do siebie po piżamę. Będziemy oglądać filmy do rana.

Judah żwawo wyjeżdża z domu na chodnik. Maszeruję za nim tępo, zastanawiając się, czy mówił serio o nocowaniu u niego. Odwiedzałam go w domu tylko kilka razy i nigdy nie zaszłam dalej niż do kuchni – nie licząc nocy, kiedy zawołał mnie z okna.

Idziemy właśnie chodnikiem, gdy dwa domy dalej rozlega się moje imię. Woła Matka Mary.

Matka Mary, wieszczka śmierci, jest tak pomarszczona, że wygląda jak chodząca mumia. Ruszam w jej stronę, starając się nie okazać strachu i nie stanąć na łączeniach płyt chodnikowych. Słyszałam, że obcinała rok z prognozowanego życia za każde nadepnięte łączenie.

Staję przed trzema schodkami, które prowadzą do jej drzwi frontowych. Judah jest za moimi plecami, czeka na skraju podmokłego trawnika, który należy do działki Matki Mary.

Ona sama staje na szczycie schodów, jej drobna sylwetka góruje nade mną. Czy to moja wyobraźnia, czy jej oczy są niebieskie? Niebieskie oczy na tle ciemnej, miedzianej skóry. Wyciąga rękę i zaprasza mnie do siebie. Podążam za maleńkimi, fioletowymi paciorkami jej paznokci w stronę fotela bujanego, gdzie kazała mi usiąść. Zaproszenie od Matki Mary może oznaczać tylko jedno. Judah zatacza kółka wózkiem na chodniku. Bardzo chce już jechać do wypożyczalni.

Śmieję się w głos, patrząc na niego. Matka Mary siada na fotelu obok mnie i uważnie mi się przygląda.

– Patrzysz tam z taką miłością? – mówi. Jej głos okazuje się inny, niż się spodziewałam. Silny i dźwięczny.

– Nie. To nie tak... Jesteśmy przyjaciółmi. – Niepokoi mnie, że tak łatwo można dostrzec moje uczucia do Judaha.

Matka Mary buja się w przód i w tył, wbijając wzrok w Judaha.

Zastanawia mnie, skąd zna moje imię.

– On daje ci nadzieję?

– Tak – odpowiadam.

– To zatrzymaj go przy sobie – stwierdza z taką stanowczością, że aż podnoszę wzrok, żeby zobaczyć, czy nie żartuje. Potem cisza zapada na tak długo, że zaczynam się wiercić.

Już otwieram usta, żeby wymówić się czymś i wyjść, kiedy staruszka mi przerywa.

– Twoja matka – mówi.

– Tak... – ponaglam ją.

Judah robi sztuczki i obraca się na tylnej części opon.

– Tkwi między światami, nie potrafi zdecydować, gdzie chce być. Jesteście do siebie bardzo podobne, ty i twoja matka.

Chcę powiedzieć, że moja rodzicielka dawno temu podjęła decyzję, gdzie chce być – bezpieczna za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju, zamknięta jeszcze mocniej w sobie. A potem zdaję sobie sprawę, co Matka Mary próbuje mi przekazać. Czyżby moja rodzicielka rozważała samobójstwo? Ale przed czym chce w ten sposób uciec? Przed więzieniem, które sama sobie zgotowała?

Spoglądam na staruszkę, zbyt kruchą, by straszyć. Dlaczego zawsze bałam się Matki Mary?

– Nie słyszała pani? – pytam cicho. – Tylko dobrzy ludzie umierają młodo.

– To można zmienić – odpowiada.

Wtedy wstaję i ruszam na schody, moje nogi są cięższe, niż były kilka minut wcześniej, zanim Matka Mary zawołała mnie do środka.

– Margo...

Stoi z rękami wyciągniętymi w moją stronę, jakby chciała zagarnąć mnie do siebie.

Wracam dwa kroki w górę schodów, w objęcia Matki Mary.

Zaskakuje mnie jej siła; zawziętość, z jaką mnie ściska. Pachnie cynamonem i relaxerem do włosów – właśnie do takich zapachów przyzwyczaiał mnie dom Destiny, której matka czesała sąsiadów w trzecim pokoiku.

– Nie pozwól, by nienawiść cię zniszczyła. Inaczej stracisz duszę – ostrzega.

Nie patrzę na nią, wracając do chłopaka, który jej zdaniem daje mi nadzieję. Chcę jej powiedzieć, że nie musi się martwić o moją duszę. Ten chłopak ją uratuje.

Sandy wychodzi z biura i mówi nam, że znaleźli ciało dziewczynki – tej, która zaginęła. Trąbią o tym we wszystkich mediach. Znaleźli jej zwęglone zwłoki na łące niedaleko starego portu.

Myślę o Nevaeh, o jej jasnym, niewinnym pięknie spalonym na czerń, i biegnę do łazienki zwymiotować. Proszę Sandy o chwilę przerwy, ale odmawia; mamy dzisiaj za dużo klientów. Muszę wrócić do kasy.

Wbijam sprzedane rzeczy w transie, cały czas zastanawiając się, czy któryś z klientów mógł być mordercą Nevaeh. Ręce tak mi się trzęsą, że jeden z nich pochyła się nad ladą i konspiracyjnym szeptem pyta, czy potrzebuję działki. Chce mi się śmiać. Czy działka naprawi zło?

Na koniec zmiany jestem już wściekła. Stoję w autobusie, przestępując z nogi na nogę całą drogę do mojego przystanku. A potem biegnę do domu Judaha. Pukam do drzwi, otwiera mi Delaney, trzymając Horacego i śmierzdząc trawką. Wydaje się zaskoczona moim widokiem. Judah jest tuż za nią w kuchni, a kiedy słyszy mój głos, woła do matki, żeby mnie wpuściła.

– Wiesz już? – pytam. Kiwa głową. Brakuje mi tchu po biegu. Delaney każe mi usiąść przy stole. Przynosi szklankę czegoś czerwonego

i słodkiego. Trzymam ją w rękach, ale nie mogę wypić. Wciąż mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

– Nienawidzę wszystkiego.

Judah rysuje palcem obwódkę wokół ust. Wygląda, jakby wpadł w głęboką zadumę.

– Wszystkie media o tym trąbią – mówi Delaney.

Spoglądam na Judaha.

– O czym tak myślisz?

– Czy to był ktoś stąd, z tej okolicy. Czy to był ktoś z nas.

– Mordercą mógł być ktoś z zewnątrz, kto tylko tędy przejeżdżał.

Niekoniecznie mieszkaniec.

Kiwa głową, ale bez przekonania. Wstaję.

– Muszę iść – oznajmiam.

– Dokąd? – pyta Judah.

– Na pewno dobrze się czujesz? – pyta Delaney.

– Nie wiem. Muszę się zastanowić.

Maszeruję przez Bone w lekkim deszczu. Chodzę tam i z powrotem po ulicach i liczę porzucane papierki po cukierkach, aż w końcu robi mi się tak zimno, że cała się trzęsę. Mijam dom Nevaeh. Chciałabym zobaczyć, jak biegnie po schodach tak jak zawsze, gdy widziała, że idę, z rozwiązanymi sznurówkami, jakby tylko czekała, aż zedrze sobie kolano. Chcę ją porwać, zanim zdąży to zrobić morderca, i pokazać jej coś więcej niż Bone. Sama chcę zobaczyć coś więcej niż Bone. Nie wiem nawet, czy to możliwe. Judah twierdzi, że nasze pochodzenie jest w nas – w naszych kościach, w naszym szpiku. Można by umieścić nas gdziekolwiek indziej na świecie, lecz nawet do najdalszego zakątka zabralibyśmy ze sobą Bone. Jeśli Judah ma rację, nigdy stąd nie ucieknę.

Kiedy docieram do granicy Bone, moje nowe conversy są przemoknięte do ostatniej suchej nitki. Autostrada, która biegnie przez miasteczko, ma numer 83. Nie chce się angażować, najpierw prowadzi przez Bone, by zaraz uciec w bok, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce być z nami, czy nie. Jeśli się nie zatrzymam, skończę w Cascades. Podnoszę rękę do twarzy, żeby wytrzeć zalane deszczem oczy. Powinnam to zrobić. Powinnam iść dalej. Poświęcić wszystko, żeby się

stąd wydostać. Nawet życie.

Z gniewu tupię prosto w kałużę. *Tup sobie ile dusza zapragnie. Jesteś za duża trzęsidupa, żeby stąd odejść.*

Odwracam się pokonana. Spuszczam głowę ciężką od wstydu. Patrzę na swoje tchórzliwe stopy rozchlapujące kałużę, deszcz cieknie mi za kołnierz, kiedy nagle dostrzegam w stojącej wodzie plamę czerwieni. Żywej czerwieni. Schylam się i bezmyślnie wkładam rękę do kałuży. Wyciągam okulary przeciwsłoneczne z czerwonymi oprawkami z plastiku. Zakładam je bez wahania.

Emocjonalnie zwyciężona w drodze powrotnej zatrzymuję się w sklepie Quickie Corner. Mierzę wzrokiem półki uginające się od moich ulubieńców: pączków, pączusi, oponek, bułeczek, warkoczy, ptysiów. Wszystkie są na wyprzedaży, ale nie mogę jeść tego gówna dzisiaj. A może nigdy. Nie tak chciałabym umrzeć. Podchodzę do stojących na tyle lodówek i wyciągam butelkę soku pomarańczowego. Biorę też dużą paczkę rodzynek i pudełko zapalek z misiem, który przypomina mi o Nevaeh. Szukam w kieszeniach pieniędzy.

– A te po co? Chyba nie palisz?

Joe. Nazywamy go Bibelotem, bo zbiera figurki Matki Boskiej i ukrywa je w całym sklepie. Czasami wyciągasz bochenek chleba z półki i znajdujesz tam Matkę Boską, która się na ciebie gapi.

– Zamierzam coś podpalić – mówię, kładąc zakupy na ladzie. – Będę też potrzebowała parę litrów benzyny.

Bibelot sięga pod ladę i wyciąga pusty kanister. Jest czerwony, z dziobkiem, a ktoś napisał z boku „Nazywam się Ben”.

– To też ci się przyda – mówi, szczerząc zęby. – Kogo chcesz spalić?

Przewracam oczami.

– Wszystkich – odpowiadam. Zostawiam wygniecionego dziesiątaka na ladzie i ruszam w stronę wyjścia.

– Zapomniałaś kanistra! – woła Joe.

– Słucham? – pytam, odwracając się do niego.

Wyciąga kanister w moją stronę.

– To prezent. Przyda się do twoich planów.

Nie wiem dlaczego, ale biorę go.

Nie wracam do domu tak jak zawsze, chodnikiem, mijając domy. Zamiast tego maszeruję po łące wzdłuż autostrady, z okularami na nosie i niosąc kanister. *Ale ze mnie dziecko szczęścia*, myślę sobie.

– Siema, wybuchowa lasko. – Pordzewiały, brązowy pick-up zatrzymuje się obok mnie. Dwóch mężczyzn siedzi w kabinie, skrytych w cieniu. Z okna zwisa smętnie ramię w czerwonej flaneli, jeden palec stuka o drzwi w rytmie muzyki dochodzącej z radia. Widzę zarys czapki bejsbolowej na głowie kierowcy. – Podwieźć cię?

Pokazuję mu środkowy palec, w obrazowy sposób informując go, jak bardzo chcę podwózki.

– Nie bądź taka, mała. Taka laska jak ty musi korzystać z każdej szansy.

Ich śmiech jest dla mnie jak drapanie paznokciem po tablicy, jak dwulatek uderzający w klawisze fortepianu. Jestem śmieszna. Jestem nieszczęśliwą grubaską, która musi przejechać się z dwoma obcymi kolesiami i dać się obmacać w śmierdzącej kabinie pick-upa. Pieprzyć to. Rzucam butelką z sokiem pomarańczowym w samochód. Pieprzyć cały świat, który sprawia, że czuję się, jakbym przegrała, chociaż moje życie dopiero się zaczyna. Jeden z nich wyrzuca przez okno puszkę piwa. Trafia w ziemię blisko moich stóp i opryskuje mi nogi. Przyśpieszają z rechotem, posyłając w powietrze żwir, i wracają na drogę. Tyłem samochodu rzuca przez parę sekund, ale zaraz koła odzyskują przyczepność i pchają auto do przodu. Przez okno z tyłu widzę dwie głowy. Dwóch pijanych idiotów zanieczyszczających planetę. Żałuję, że nie mam dość siły, by przewrócić ich samochód, zanim kogoś potrąca. W życiu chodzi o to, by ludzie decydowali, kim chcą być. Jednak większość z nich wybiera bycie śmieciem. Nie ja.

Nigdy nie byłam nad oceanem, nigdy nie słyszałam, jak fale zlizują piasek z plaży z tym cichym szumem, o którym piszą w książkach. Nigdy nie poszłam do zoo, nie poczułam smrodu szczyn słonia, nie słyszałam małpich krzyków. Nigdy nie jadłam mrożonego jogurtu w jednej z tych knajpek, gdzie możesz nalać sobie do własnego kubka to, co zechcesz. Nigdy nie stołowałam się w restauracji, w której kładzie się serwetki na kolana i posługuje nieplastikowymi sztućcami. Nigdy nie malowałam paznokci jak inne dziewczyny ze szkoły, w jaskrawe neony

i soczyste czerwienie. Nigdy nie byłam dalej niż piętnaście kilometrów od domu. Piętnaście kilometrów. Zupełnie jakbym tkwiła tu od miliona lat zamiast ruszyć gdzieś, gdzie suną po szynach pociągi. Nigdy nie miałam tortu urodzinowego, chociaż bardzo chciałam. Nigdy nie kupiłam sobie nowego stanika, którego metki musiałabym obciąć nożyczkami z szuflady w kuchni. Nigdy nie byłam kochana, tak by czuć, że choćby po to znalazłam się na tym świecie. Nigdy nie, nigdy nie, nigdy nie. I to moja wina. Są rzeczy, których nigdy nie robimy, bo ktoś napęłnia nas strachem przed nimi albo wmawia nam, że nie jesteśmy ich godni. Chcę zrobić wszystkie swoje nigdy – sama albo z kimś ważnym. Nie obchodzi mnie to. Chcę po prostu żyć. Nevaeh też nigdy nie miała żadnej z tych rzeczy – i bezpowrotnie straciła szansę.

Nie mogę zostać tam, gdzie jestem. Nie pamiętam już, co to znaczy wolność. Co to znaczy być otwartym na świat, co to znaczy nie czuć strachu. Potrzebuję czegoś, co mnie złamie. Tylko trochę, żebym mogła poskładać się na nowo – inaczej. Nie zamierzam pozwalać nikomu traktować mnie jak chodzącą porażkę. Nie chcę być gruba, nie chcę mieszkać w Bone, nie chcę być głupia. Nie chcę być laską, z której ludzie się śmieją. Już nie. Dobrze, że zapamiętałam numer rejestracji. Może się przyda.

Tydzień później pordzewiały, brązowy pick-up stoi na parkingu przed Wal-Martem. Powinnam kupić granolę i szampon dla matki, ale usiadłam na krawężniku i gapię się na samochód. Rejestracja pasuje do tej, którą zapamiętałam. Wbijam wzrok w brudne okno, a za nim wszędzie walają się śmieci i błoto, napuchnięte od wody gazetki z gołymi babami leżą na podłodze, z niebieską gumą do żucia przyklejoną w miejscu nagich cycków modelki.

Drzwi są otwarte. Wsiadam za kierownicę i kładę na niej rękę. Śmierdzi obornikiem i zestarzałym piwem. Oddycham przez usta i próbuję wyobrazić sobie, co tkwi w głowie tego palanta. Pewnie to samo, co porzucił po podłodze: seks, jedzenie i piwo. Schylam się, żeby sięgnąć po czasopismo, kartkuję wypełnione zdjęciami strony, krzywiąc się na rozłożone nogi i twarde, sterczące cycki, okrągłe jak piłki. Błyszczące usta, rozchylone, by przypominać mężczyznom wszystkie sposoby, w jakich ciało kobiety może ich pomieścić. Wyrywam kartkę. Drę jedną po drugiej, aż z całego magazynu zostaje tylko kupka porwanych cycków, dup i natapirowanych włosów, a potem rozsypuję je po całym wnętrzu kabiny. Na fotelu obok leży skrzynka, a w niej młotek. *Pan złota rączka!* Podnoszę narzędzie, ważę w dłoni,

a potem uderzam w okno.

Trach!

Szyba pęka na całej szerokości. Podoba mi się ten widok, więc uderzam jeszcze raz, żeby się upewnić, że kierowca nie będzie mógł nic zobaczyć w trakcie jazdy. Potem przychodzi mi do głowy, że powinnam się rozejrzeć, czy nikt mnie nie obserwuje. Kilka samochodów dalej jakaś matka siłuje się z wrzeszczącymi bliźniakami, próbując posadzić je w aucie, jest zbyt skoncentrowana na swoim zajęciu, żeby zwrócić na mnie uwagę. Grzebię w skrzynce i znajduję nożyk do tapet. Wsiadam z pick-upa i kucam, jednocześnie wysuwając ostrze. Mam za plecami stare kombi, a dalej jest łąka z lilakami. Jeśli kierowca pick-upa wyjdzie teraz ze sklepu, nie zauważę go. Powinnam coś poczuć, jakiś niepokój albo strach, ale nie czuję. Nic nie czuję. Na boku samochodu ryję słowa: „JEŹDŹĘ PO PIJAKU I MAM MAŁEGO”. Gdy napis jest skończony, wrzucam nożyk na przyczepę. Wycieram ręce o spodnie i idę do Wal-Marta, żeby zrobić zakupy. Dopóki szyba nie pękła, nie zdawałam sobie sprawy, że mam tym kolesiom coś za złe. Jednak gdy tylko zamachnęłam się młotkiem, zupełnie jakby cała złość przetoczyła się przeze mnie jak burza. Gniew, tak dużo gniewu. Muszę kryć w sobie więcej tego rodzaju urazy. Ciekawe, jak się będę czuć, gdy dokonam zemsty na różnych ludziach.

Matka zostawiła mi wiadomość, żebym kupiła papierosy. Siedzę przy stole kuchennym i stukam w karteczkę palcem wskazującym, gapiąc się przez okno na sójkę, dopóki ta nie odleci. „Papierosy”, napisała matka. Bez uśmiešku, który złagodziłby rozkaz ukryty w tych schludnych literkach, żadnego przekrzywionego serduszka. Tylko „Papierosy”.

Łazi po kuchni w swoim czerwonym szlafroku – tuż pod moim nosem – ale wolała zostawić mi wiadomość niż powiedzieć mi to osobiście. Już dawno przestałam pytać dlaczego. Takie pytania, okazuje się, są największą stratą czasu. Ona w zasadzie nie ma powodu, żeby być w kuchni. Skończyły nam się jej ulubione krakersy, a ja przestałam kupować kawę, żeby ją wkurzyć. Zapadłam w śpiączkę, gapię się w linoleum jak w *Fargo*. Widziałam ten film u Destiny. Miałyśmy obejrzeć *Kiedy Harry poznał Sally*, ale ktoś już to wypożyczył. Dlatego

wzięłyśmy *Fargo*. Cały ten śnieg i dziwny akcent. Zobaczyłam tam inną wersję getta, w którym sama się znalazłam – pełnego pozbawionych nadziei, nieustannie zmartwionych ludzi. Nie poznałam nikogo z Minnesoty i wcale nie chcę. Właśnie o tym rozmyślam, gdy matka łązi po kuchni, żądając papierosów. Przypomina mi się Jean Lundegaard. Jak biegała po domu w zasłonce od prysznic, aż w końcu spadła ze schodów. Była głupia i nosiła paskudne swetry, ale nie zasłużyła sobie na śmierć.

Ona chce papierosy, a ja chcę tu siedzieć i myśleć o *Fargo*. Szkoda, że nie przyszedł mi do głowy jakiś ciekawszy film. Cały ten śnieg...

Gdyby zapytała, powiedziałabym jej o Nevaeh. O tym, jak oplakuję śmierć dziewczynki, którą widywałam w sąsiedztwie. Dzieci nie powinny cierpieć. Nie powinny być samotne. Nie powinny czuć się niekochane.

Wstaję i wychodzę z kuchni, a potem idę na zewnątrz. Pójdę kupić papierosy.

Kiedy mijam dom Judaha, on siedzi na podwórku na swoim wózku, zbijając owady lądujące na jego rękach.

– Hej, Margo! – woła. – Gdzie idziesz?

– Pożegnać się z Nevaeh.

I przy okazji kupić papierosy.

– Zabierz mnie ze sobą. – Nie kwestionuję jego prośby. Po prostu podchodzę do jego domu i pcham wózek w stronę ulicy. Judah ma na sobie jedną z koszul, które kupiłam dla niego w ciucholandzie; tę z serduszkami. Dobrze w niej wygląda, a mnie aż skręca w środku. Nie potrafię go pokonać nawet wtedy, gdy się staram. Siedzi cicho, kiedy koła jego wózka skrzypią, jadąc po chodniku. Jedną ręką podpira brodę, patrząc na bok. Jego rzęsy są czarne i gęste. Przywodzą mi na myśl włosie szczotki, a potem mam wyrzuty sumienia, że przyrównuję czyjeś rzęsy do czegoś tak brzydkiego. Pewnie odziedziczył je po ojcu, bo Delaney ma tak samo jasne włosy jak ja.

– Masz swoją torbę na zakupy i takie tam? – pyta mnie nagle.

– Mam. – Obracam się, tak żeby mógł ją zobaczyć, jak wisi mi u pasa.

– Dobrze. W domu mamy Nevaeh jest stypa.

Przez chwilę nic nie mówię. Zastanawiam się, czy Judah chciałby w tym uczestniczyć. Mijam sklep na rogu, gdzie zazwyczaj biorę papierosy dla matki, i skręcam w stronę głównej ulicy.

– Kupmy jej jakieś kwiaty – mówi Judah. Kilka przecznic dalej znajduje się Wal-Mart. Informuję Judaha, że właśnie tam chcę iść. Pokazuje mi inną ścieżkę, mniej wyboistą, więc go tam prowadzę. Po drodze witają go różni ludzie.

– Hej, Judah.

– Siema, Judah.

– Siemasz, chłopie. Dobrze wyglądasz.

– Chcesz wpaść do nas wieczorem? Będziemy grać w pokera, a Billy przynosi swój towar.

Judah odmawia kolegom, informując ich, że wybiera się na stypę Nevaeh.

– Czyją?

– Tej dziewczynki, którą znaleźli przy starym porcie. Gdzie ty masz głowę?

Wtedy ich oczy matowieją. „Jo, chłopie, to jest dopiero popieprzone – mówią. – Że też coś takiego się dzieciakowi przytrafiło”.

Judah każe im przyjść na stypę. Mówi im, że to jedna z nas i musimy o niej pamiętać.

Wszyscy go znają. Patrzą na mnie dziwnie, jakbym to ja siedziała na wózku. To dlatego, że dla nich wózek jest niewidzialny. Judah to Judah. Jak wielkie musi być czyjeś człowieczeństwo, by przyćmiewało ten niezgrabny, skrzypiący wózek? Ciekawe, jak duża potrafię być, żeby nikt nie patrzył na moje tłuste ciało i matkę dziwkę, i brzydką twarz? A potem wołaliby do mnie:

– Hej, Margo.

– Siema, Margo.

– Dobrze wyglądasz, Margo.

Spojrzałam groźnie na tył głowy Judaha.

Idziemy prosto do półek z zabawkami w Wal-Marcie. Wybieram pluszowego jednorożca, bo chciałabym wierzyć, że Nevaeh znalazła się w lepszym świecie – w magicznym świecie. Judah woli kupić kwiaty.

Prosi, żebym wzięła tęczowe goździki, których sam nie może dosięgnąć. Podaję mu je i przez krótką chwilę nasze dłonie oplatają ten sam bukiet kwiatów. Judah ściska moje palce, jakby wiedział, że cierpię.

– Możesz mi podać też róże? – pyta.

Trzyma kwiaty i jednorozca na kolanach, a ja prowadzę go do kasy. Gdy już zakupy zostają opłacone, Judah podaje mi róże.

– To dla ciebie – mówi. Obok nas przechodzi kobieta obładowana niebieskimi i białymi reklamówkami i obrzuca nas dziwnym spojrzeniem.

Chyba wyglądam głupio, bo Judah wciska mi bukiet w rękę, mówiąc:

– Przykro mi z powodu Nevaeh.

Ściskam róże, czując wzbierające w oczach łzy. Nigdy jeszcze nie dostałam kwiatów. Staram się zachowywać normalnie, pchając wózek Judaha w stronę wyjścia, a potem z powrotem na ulicę. Nie chcę oddać bukietu nawet wtedy, gdy proponuje, że mi go potrzyzyma. Nie pozwalam łzom spłynąć na policzki. Dzisiejszy dzień należy do Nevaeh, nie zamierzam być egoistyczna.

Ponieważ lokalne media poinformowały o znalezieniu ciała, na stypie pojawiło się więcej osób, niż się spodziewałam. Przed niebieskim domem, który dziewczynka i jej matka dzieliły z ośmioma innymi osobami, zebrał się duży tłum. Ludzie powkładali listy i zdjęcia w oczka ogrodzenia z siatki. Pośrodku całego chaosu znajduje się szkolna fotografia Nevaeh. Wpatruję się w nią długo i intensywnie, żebym nigdy nie zapomniała jej twarzy. Dokoła leżą sterty pluszowych misiów, kwiatów i zabawek, które przynieśli jej koledzy i koleżanki z klasy – niektóre upominki są opatrzone listami z dziecinnym pismem. Pcham wózek Judaha na przód tłumu, żeby mógł podarować Nevaeh kwiaty. Kładzie je ostrożnie obok karteczki z napisem: „Kochamy cię, Nevaeh. Jesteś teraz bezpieczna w objęciach Boga”.

Nadeszła moja kolej. Klękam przed ogrodzeniem i spuszczam głowę, by nikt nie zobaczył moich łez. To tylko głupi jednorozec z Wal-Mart, ale chcę, żeby Nevaeh zobaczyła go i wiedziała, że ją kocham. Że ją kochałam i kocham nadal.

– Tak nie powinno być – mówię. Judah patrzy na mnie poważnie.

– Masz rację. Nie powinno. I co zamierzasz z tym zrobić?

– Ja? – Kręcę głową. – A co mogę zrobić? Jestem nikim. Policja...

– Nie. Dobrze wiesz, jak pracuje policja. Nic dla nich nie znaczymy. Śmierć dziewczynki w tej okolicy to nic nowego. – Zaciska szczękę i odwraca wzrok. – Gdybym tylko nie musiał jeździć tym pieprzonym wózkiem.

Aż mi się robi gorąco. Czuję łaskotanie w opuszkach palców i mam ochotę nim potrząsnąć.

– Może nie zauważyłeś, Judah, ale każdy w Bone ma swój wózek. W taki czy inny sposób wszyscy mamy przesrane.

Patrzy na mnie groźnie, a ja na niego. Szkoda, że nie mogę patrzeć tak na kogoś i wyglądać przy tym, jakby moje kości policzkowe wryto z marmuru. Pierwsza odwracam wzrok.

Napięcie między nami zaraz opada, bo matka Nevaeh wybrała ten moment, żeby wyjść z niebieskiego domu ze świecą. Nie wystarczyło pieniędzy, żeby rozdać wszystkim świece, więc ludzie sięgają po zapalniczki i wyciągają je w stronę fotografii Nevaeh. Judah pozwala mi trzymać jego różowe zippo.

– To mojej mamy.

– Nie osądzam.

Przygryza wewnętrzną stronę policzka; już kilka razy go na tym przyłapałam. Trochę mi się to nawet podoba.

Wszyscy zbieramy się wokół szkolnego zdjęcia Nevaeh z naszymi światełkami i łzami. Ktoś zaczyna śpiewać *Amazing Grace*, ale nikt nie zna więcej niż trzy wersy, więc w kółko powtarzamy refren. Kiedy piosenka już wybrzmiała, jeden z miejscowych pastorów wychodzi przed tłum. Przytula matkę Nevaeh i odmawia modlitwę.

– Ona nie płacze – szepczę do Judaha.

– To szok – odpowiada.

Spoglądam na babcię dziewczynki. Z obu stron stoją ludzie i przytrzymują ją, żeby nie upadła. Ledwo może zaczerpnąć tchu, takim zanosi się szlochem. W słabym świetle ulicznej lampy widzę łzy roztarte po całych policzkach i brodzie. Niebieska chusta na głowie staruszki przekrzywiła się, tak że wiązanie wystaje nad ucho. Oto kobieta pogrążona w żalu, jej ból jest ostry i przezroczysty jak wódka, której

kiedyś próbowałam w domu Destiny. Chwytam dłoń Judaha. Na początku wydaje się zaskoczony, spogląda najpierw na moją twarz, a potem na nasze splecione palce. Ja nie patrzę na niego, tylko przed siebie. Ściska moją rękę i znowu odwraca wzrok w stronę fotografii Nevaeh.

Nie prosi, żebym odprowadziła go do domu. Nigdy tego nie robi. Czasami potrzebuje tylko pomocy przy większych wybojach na chodniku, a ja popycham go wtedy bez słowa komentarza. Nasza relacja jest tak naturalna, że żadne z nas nie czuje wyrzutów sumienia. Pomagam mu wjechać na rampę przed domem, a on prosi, żebym poczekała na zewnątrz. Stoję przed wejściem i patrzę na ogródek Delaney, jej kwiaty i krzewy, szokująco piękne na tle brzydkiej ulicy. Kiedy Judah wraca, trzyma w ręku butelkę czegoś brązowego.

– Jestem za młoda, żeby pić – mówię.

– Jesteś też za młoda, żeby oglądać takie okropieństwa.

Biorę butelkę, chociaż jedyny kontakt z alkoholem miałam wtedy w domu Destiny, kiedy napiłyśmy się trochę wódki jej ojca pod nieobecność rodziców. Podnoszę napój do ust. Rum jest pikantny i słodki. Wolę go od wódki. Na etykiecie jest pirat. Przypomina mi indiańskiego wodza z opakowań zdrowych papierosów mojej matki. Indianie i piraci – wyrzutki społeczne reprezentujące nałogi Amerykanów. Zdecydowanie wolę ich towarzystwo niż reszty. Podajemy sobie butelkę, aż zakręci mi się w głowie, a potem siedzimy i patrzymy w milczeniu na gwiazdy.

W pożeraczu panuje przytłaczające ciepło. Wynoszę swoją książkę na zewnątrz i siadam na schodkach. Mo prowadzi Małego Mo wzdłuż ulicy w różowym wózek. Przyciska ramieniem telefon do ucha i oddziela kolejne zdania soczystymi kurwami zamiast kropek. Wózek ma przekrzywione kółko i przy każdej szczelinie w chodniku przechyla się na prawo, rzucając Małym Mo na boki, na co ten reaguje zdumioną minką. Patrzę, jak okrążają sąsiedztwo, mijają dom złych ludzi, dom Matki Mary i idą dalej, aż do Delaney i Judaha, gdzie zawracają. Kiedy zbliżają się do pożeracza po raz trzeci, zeskakuję ze schodków i stoję Mo na drodze.

Mówię bezgłośnie: wezmę go.

Mo odchodzi bez słowa i zostawia mnie z dzieckiem oraz wózkiem. Słyszę, jak wraca do siebie przy akompaniamencie kurw. Odpinam Małego Mo. Prawie na mnie nie patrzy. Wiem, że coś jest z nim nie tak, ale oni tego nie widzą, a nie można tak po prostu powiedzieć rodzicom dziecka, że jest niepełnosprawne. Mały Mo ma zupełnie mokrą pieluszkę. Znajduję zapasową razem z butelkami w koszyku na dole i zanoszę wszystko do domu. Matka urzęduje w kuchni, opiera się o szafkę z papierosem w rękę i wygląda za okno. *No*

proszę, czyżbyś chciała wyjść na dwór?, pytam w myślach i kopniakiem zamykam za sobą drzwi.

– Czyje to dziecko?

Aż podskakuję na dźwięk jej głosu, ochrypłego od zdrowych papierosów. Już dawno nic do mnie nie mówiła.

– Mo.

– Nie powinno go tu być.

Czuję łaskotanie w piersi. *Co to jest? Gniew?*

– Dlaczego nie? – pytam, przyciskając mocniej malucha.

Obrzuca mnie groźnym wzrokiem zza kłębu dymu.

– Bo tu nie mieszka.

– Ale ja mieszkam. A skoro ty możesz mieć gości, to ja też.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Ale świat i tak już dość wyraźnie pokazał Małemu Mo, że nie jest tu mile widziany, więc nie zamierzam pozwolić jej robić tego samego. Niosę go do salonu, nie oglądając się na matkę, i kładę go na kanapie. Matka idzie za mną.

– Co robisz?

Od miesiący nie słyszałam od niej tylu słów.

– Zmieniam mu pieluchę – mówię, nie patrząc na nią. Jeśli spojrzę, stracę determinację. Zmusi mnie do wyjścia, a w tej chwili chcę tylko uwolnić niemowlę od przesiąkniętych moczem ubrań. Matka pochyła się nad kanapą, żeby popatrzeć na Małego Mo. Czuję jej waniliowe perfumy; ich zapach miesza się ze smrodem papierosów.

– Z tym dzieckiem jest coś nie tak – mówi po minucie gapienia się na nie. – Założę się, że ta dziwka od Mo brała coś, gdy była w ciąży. – Nie mam pojęcia, skąd matka wie cokolwiek o dziewczynie Mo, a nawet o tym, że Mo ma dziewczynę. Jak na kogoś, kto nigdy nie ogląda świata za dnia, wydaje się dobrze poinformowana.

– Wszystko z nim w porządku – odpowiadam. Z zadowoleniem wierzga nogami, szczęśliwy, że ktoś uwolnił go od pieluszki.

– Nie no, oczywiście. I wcale nie ma najpaskudniejszej wysypki, jaką widziałam na oczy.

Ma rację. Skóra jest cała zaczerwieniona. Ale najgorsze jest to, że mały nawet nie płacze. Matka nagle znika i już myślę, że poszła do swojego pokoju, kiedy zaraz człapie z powrotem, czerwony szlafrok

plącze jej się między nogami. Podaje mi tubkę maści z witaminami.

– Umyj go pod bieżącą wodą. Nie używaj chusteczek. Wytrzyj go i niech poleży chwilę z gołym tyłkiem.

Frunie do swojej jaskini, a ja długo jeszcze stoję z maścią w rękę, zanim robię to, co mi kazała. Nikt nie przychodzi po Mo. Karmię go z jednej z butelek, które znalazłam w wózku, a gdy zaczyna zmierzchać, zanoszę małego do domu, ciągnąc za sobą przetrącony wózek. Kiedy duży Mo otwiera mi drzwi, wydaje się zirytowany.

– O cholera – mówi na widok dziecka w moich ramionach. – Zapomniałem.

Wyciąga do niego ręce, ale ja wycofuję lewe biodro, żeby mały znalazł się poza jego zasięgiem.

– Ma wysypkę. I to poważną. – Podaję mu tubkę z maścią. – Zostawiaj go na trochę bez pieluszki, żeby się wygoiło.

Mo jeszcze bardziej się wkurza, bo mówię mu, co ma robić. Chciałabym dodać, żeby przestał gotować crack w piwnicy, zanim wysadzi cały dom w powietrze razem z dzieciakiem. Ale właśnie przez takie teksty można w tej okolicy napytać sobie biedy.

– Gdzie jest Vola? – pytam w nadziei, że matka Małego Mo jest gdzieś w pobliżu i może się nim zająć. Oczy Mo matowieją, gdy wspominam jej imię.

– Ta dziwka ma nasrane we łbie. Skąd niby mam wiedzieć? – *Ach, czyli znowu się klóćca.* Chciałabym powiedzieć mu, że może zostawić u mnie Mo do czasu, aż jego dziewczyna wróci, ale on już zdążył zatrzaskać mi drzwi przed nosem.

Ruszam z powrotem do domu, tylko że wcale nie chcę się tam znaleźć. Matka wymyśli jakiś sposób, żeby ukarać mnie za przyniesienie dziecka – nie ona jedna, pozeracz także. Judah spędza dzień u ojca, gdziekolwiek to jest. *Gdzieś, gdzie jest lepiej niż tutaj.* Maszeruję ulicą w górę i w dół. Matka Mary macha do mnie z bujanego fotela wystawionego na ganek. Odpowiadam tym samym. W domu złych ludzi dudni muzyka, chociaż dzisiaj na podwórku nie widzę żadnego z mieszkańców o błyszczących oczach. Za pozeraczem znajduje się wąska ścieżka, która prowadzi między pojedynczymi drzewami do lasu. Obecnie jest zarośnięta, ponieważ nikt tamtędy nie chadza, ale kiedy

byłam mała, a matka nie zamknęła się jeszcze na stałe w domu, łączyłyśmy tamtędy codziennie. „Liście mają żyłki, Margo, spójrz...” – mówiła wtedy.

Ruszam teraz w tamtą stronę, przedzierając się przez krzewy borówek, prawie nie rejestrując drapiących moje nagie ramiona cierni. Kiedyś uważałam ten lasek za swój, jakby stanowił część przynależącą do pozeracza. Teraz wiem, że właścicielem jest miasto. Chronione mokradła i drzewa, i ptaki.

Pnącza wrastające na drzewa. Kłody pokryte mchem. Liście brązowiejące na brzegach, spalone na słońcu. A przede wszystkim rosnące wszędzie kwiaty. Dlaczego nie przychodzę tu częściej?

Spaceruję bardzo długo. Kieruję się na zachód, w stronę wody. Jeśli nie zawrócę, dotrę w końcu do miejsca, gdzie znaleźli ciało Nevaeh. Nie chcę tego, więc skręcam na wschód. Niecałe dwa kilometry dalej natrafiam na drewnianą szopę. To taki mały składzik; zmieści się w nim kosiarka i parę narzędzi. Nie mam pojęcia, kto ją tutaj postawił. W drzwiach brakuje zawiasów i niemal całe są porośnięte mchem. Wchodzę do środka, zrywając pajęczyny i kokony pozostawione przez owady. Szopa okazuje się pusta, nie licząc zardzewiałego szpadla i pudełka zwykłych worków na śmieci, które leży na stojącym pośrodku stołku. Pudełko jest tak wyblakłe, że ledwo mogę cokolwiek na nim dojrzeć. W tej szopie można by robić w tajemnicy różne rzeczy. Dziwne, że dzieciaki ze szkoły średniej jeszcze jej nie znaleźli. Zawsze przecież szukają nowych miejsc, gdzie mogliby w spokoju palić trawkę. Zamykam za sobą drzwi i ruszam w drogę powrotną do domu, starając się zapamiętać najkrótszą trasę do szopy. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka kryjówka może się przydać.

Tłuszcz mi się wypalił i wszystkie ubrania na mnie wiszą. Nie przejmuję się, bo i tak są do bani, ale jednak trzeba mieć czym zakryć tyłek, bo ludzie będą się gapić, jak ruszysz na ulicę naga i gruba. Matka trzyma na strychu pudło ze swoimi starymi ciuchami. Nie wiem, czy kiedykolwiek była grubasem, ale maszeruję na górę, żeby sobie czegoś poszukać. Matka nosiła kiedyś dużo krótkich szortów z wysokim stanem, z obszarpanymi nogawkami i wystającymi kieszeniami. Znajduję też kilka flanelowych koszul oraz parę jasnoniebieskich martensów. Powiedziała mi kiedyś, że po ciąży jej stopy urosły o pełny rozmiar, więc musiała wyrzucić wszystkie swoje stare buty. Zanoszę znaleźiska do pokoju i rozkładam na materacu.

– Co ty tam robiłaś? – Matka stoi w progu z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby było jej zimno.

– Gdzie? – Strzepuję ubrania i podnoszę, żeby się im dobrze przyjrzeć. Jestem wstrząśnięta tym, że matka znowu się do mnie odzywa, ale nie dają nic po sobie poznać. Nie nienawidzę jej obecności; ale raczej jej braku.

– Słyszałam cię – mówi – na strychu.

Ignoruję ją, przykładając ubrania do ciała, żeby sprawdzić, czy

będą pasować. Gdyby matka dobrze się przyjrzała, zobaczyłaby, jak bardzo trzęsą mi się ręce.

– A co to? – Omija mnie i spogląda na stertę ubrań. Na jej twarzy pojawia się szok, zmarszczki zdradzające jej wiek rysują się dokładniej pod wpływem gniewu. – Odłóż to natychmiast.

Odwracam się.

– No to daj mi pieniądze na ubrania... – Wyciągam rękę, jakbym się spodziewała, że wręczy mi pięćdziesiątkę, ale ona patrzy na martensy i wygląda, jakby zobaczyła ducha.

– Nie powinnaś nosić takich rzeczy – oznajmia, okrywając się dokładniej szlafrokiem. – Namącisz facetom w głowach. Nawet jeśli nie jesteś ładna, pomyślą...

– O czym ty mówisz? – Podnoszę T-shirt, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Nirvana. Wciąż ma węzeł zawiązany na dole. Spoglądam na twarz matki i odkładam ciuch. Matka należy do tego rodzaju ludzi, którzy zawsze szukają powodu, żeby się wkurzyć. Potrafiła syczeć i prychać, i tupać po całym pozeraczu, sprowokowana przez zupełną drobnostkę. Teraz się wścieka, że wyciągnęłam stare szmaty ze strychu, gdzie gniły na emeryturze. Jakby sama zamierzała je kiedyś nosić. Przecież jest chodzącą wykałaczką, same kości i ostre krawędzie, zawsze okutana w szlafrok.

– Mój tata... on...

– On co?

Kręci głową.

– Nie powinnaś się tak ubierać – powtarza. Ale ja nie odpuszczam. Omal nie powiedziała mi czegoś znaczącego, a ja chcę wiedzieć, co to było.

– Czy on ci coś zrobił? – naciskam. Staram się nie pytać zbyt poważnie; nie chciałabym jej w ten sposób odstraszyć. Mimo to świdruję ją wzrokiem.

Widzę, jak przygryza kącik ust. Najbardziej naturalny odruch, jaki zauważyłam u niej od lat. To przywołuje wspomnienia z odległej przeszłości – o chłodnej nocy, kiedy siedziałyśmy pod kocem przed kominkiem i przyszła kolej na jej opowieść; przygryzła wtedy kącik ust i zaczęła mówić. Przy stole w kuchni pomagała mi w pracach

domowych, przygryzając bezwiednie usta w starciu z trudnym zadaniem. Nagle matka otrząsa się i wraca do siebie.

– Nie twoja sprawa – stwierdza.

– Kim jest mój ojciec? – Przysięgam, że pierwszy raz wypowiedziałam na głos pytanie, które dręczy każde dziecko niepamiętające swego rodzica. Pierwszy raz naprawdę chcę wiedzieć.

– To też nie twoja sprawa – powtarza matka, ale tym razem powoli wycofuje się z pokoju.

– Oczywiście, że to moja sprawa – mówię z naciskiem. – Mam prawo wiedzieć, kim jest mój ojciec. – Idę za nią, krok za krokiem. Matka łapie się za głowę. Mnie ogarnia coraz większa panika. Czuję, jak pocą mi się ręce, serce wybija coraz szybszy rytm. To jedyna szansa na zdobycie jakichś informacji. Mam osiemnaście lat. Dni naszego wspólnego życia są już policzone. – Odpowiedz, do jasnej cholery! – krzyczę z zaciśniętymi szczękami. Nie chcę podnosić głosu, ale nie boję się tego zrobić. Matka nie cierpi hałasu.

– Nie mów tak do mnie. Jestem twoją...

– Nie jesteś matką – przerywam jej szybko. – Zabiłaś moje dzieciństwo. Nawet cię to nie obchodzi, prawda? Oczywiście, że nie. Nie obchodzi cię, że skończyłam szkołę z wyróżnieniem, że znalazłam pracę, że najfajniejszy facet, jakiego poznałam, chce spędzać ze mną czas. Ty jesteś tylko brzydką, egoistyczną, bezwstydną dziwką, która nie odzywa się do własnego dziecka. Nie mam nawet dość siły, żeby cię znienawidzić, bo już mam to gdzieś.

Jej dłoń trafia mnie w policzek. Nigdy nie widziałam równie epickiego ciosu, a dorastanie w Bone daje człowiekowi szansę na bycie świadkiem niejednej solidnej awantury. Twarz zaczyna mnie piec, jeszcze zanim matka zdąży zabrać rękę. Ogólnie łatwo mi nabić siniaka, więc oczami wyobraźni już widzę odbicie jej dłoni na policzku. Chcę dotknąć palcami śladu, jaki zostawiła, ale nie zamierzam dać jej tej satysfakcji. Opuszczam rękę i zaciskam pięść.

– Kto był moim ojcem? – pytam znowu. Tym razem bardziej przypominam sobie: mój głos jest płaski i spokojny. Policzek i deklaracja zniszczonego dzieciństwa sprawiają, że wszystko staje się jasne. Dzisiaj porozmawiamy, może po raz ostatni, ale wreszcie poznam

jakieś odpowiedzi. Takie, których ludzie zazwyczaj nie chcą dawać.

Matka spuszcza wzrok na drewnianą podłogę. Jej czerwony szlafrok się rozsunał i spod materiału uciekła prawa pierś. Na ten widok zbiera mi się na mdłości; oczami wyobraźni widzę tych wszystkich mężczyzn, którzy ją pieścili. Czy jeden z nich to mój ojciec? Wiem to, zanim matka się odezwie – to ten, który jeździ odrestaurowanym mustangiem, tym z „LWMN” na rejestracji i zegarkiem marki Rolex, jak mi uświadomiono.

– Nazywa się Howard Delafonte – mówi matka. – Zejdź na dół. Muszę zapalić.

Idę jej śladem po wąskich schodach pożeracza, a potem siadam przy kuchennym stole i patrzę, jak matka wyciąga papierosa i nalewa odrobinę szkockiej do brudnej szklanki znalezionej w szafce. Robi różne rzeczy: nalewa, zapala, sączy. Już dawno nie widziałam, by zajmowała się czymkolwiek innym niż przepływanie z jednego pokoju do drugiego. Ruch matki wydaje mi się dziwny, jakby duch udawał człowieka. W końcu siada na drugim krześle – mamy tylko dwa – i wzdycha.

– Biedna ja – mówi – dałam się zapylić burmistrzowi, ale to się oczywiście wydarzyło, jeszcze zanim został burmistrzem. Inaczej bardziej by uważał. Wtedy był tylko prawnikiem. W Markobs and Jacob. Odszedł w ciągu miesiąca, odkąd zaczęłam tam pracować, ale zdążyliśmy się ze sobą przespać. Podobałam mu się, przynosił mi prezenty.

Przypominam sobie papier ozdobny, który znalazłam w koszu, i zastanawiam się, czy to on przywozi jej błyskotki.

– Nawet po jego odejściu zabierał mnie na miasto. Winko, kolacyjka, te sprawy. – Zaciąga się głęboko dymem z papierosa i jeszcze przed wypuszczeniem go osusza szklankę whisky. – Oczywiście miał rodzinę. Historia stara jak świat. Żona go unieszczęśliwiała. Widziałam ją raz, grubą krowę. Ciągle mu marudziła. – Gasi papierosa na blacie stołu, a potem bawi się popiołem opuszką palca.

– Ze mną był szczęśliwy. Zamierzał ją zostawić, ale wtedy zachorowała. Stwierdził, że nie może jej rzucić w takiej chwili.

Chciałam ją zapytać, na co zachorowała żona-krowa burmistrza, wiem jednak, że to nie ma znaczenia. Potrzebuję finału tej opowieści.

– Oczywiście Howard ciągle się ze mną spotykał. W końcu partnerzy jego firmy się o tym dowiedzieli; ktoś przyłapał nas razem w kinie. Wyobraź sobie – mówi matka; zastanawiając się, bezwiednie dotyka językiem ułamanego zęba. – Wtedy on już startował w wyborach na burmistrza, a ja byłam w ciąży z tobą.

– Dlaczego nadal przyjeżdża? – pytam. – Minęło tyle lat. – A może powinnam zapytać, dlaczego tatuś nie rozmawia ze swoją córusią. Nawet o pogodzie. Albo o tym, co lubię robić. Albo o tym, czy chciałabym mieć telewizor.

A potem doznaję olśnienia. Moja matka miała kiedyś telewizor, ale wyrzuciła go, kiedy byłam mała. Powiedziała, że się zepsuł, a nas nie było stać na nowy. I przez te wszystkie lata nie oglądałyśmy telewizji. Nie dlatego, że nie mogłyśmy kupić odbiornika, bo przecież matka chowała stopy pieniędzy pod podłogą, lecz po to, bym nie oglądała w telewizji ojca. Pana burmistrza Bone, jeżdżącego wiśniowoczerwonym mustangiem. Ciekawe, jakiego samochodu używa na co dzień; pewnie nowego mercedesa albo bmw, czegoś ciemnego, z przyciemnianymi szybami jak u prawdziwej szychy, a w środku pachnie cygarami i wodą kolońską z nutą drzewa cedrowego. Mustang to jego zabawka na weekend. Trzyma go w garażu i przyjeżdża nim tutaj, żeby nikt go nie rozpoznał. *Hej, tato, masz fajny kryzys wieku średniego.*

– Kocha mnie – oznajmia matka.

– A co ze mną? Mnie też kocha? – pytam, zaciskając szczęki.

– To nie tak. On nie chciał, żebym cię urodziła. Wolał, żebym zrobiła skrobankę, ale się nie zgodziłam.

– Czyli teraz udaje, że nie istnieję? Boże. A tobie to nie przeszkadza, bo sama robisz to samo.

Pożeracz skrzypi dokoła nas, szyby drżą pod wpływem ciśnienia panującego wewnątrz. Dobrze odzwierciedla to mój stan. Pożeracz rozumie, jak niemoralną martwością stała się moja matka. Bezbarwna pustynia, która swoje najlepsze lata życia oddała mężczyźnie traktującemu jej młodość, jakby to był weekend w kasynie. Pożeracz widział, jak zaprasza wielu mężczyzn, jednocześnie zamykając się na jedyne dziecko. Przez chwilę czuję bliskość z pożeraczem – jedność zamiast opresji. Matka wzdryga się, uciekając przed pytaniem. Spogląda

na drżące okna i zapewne zastanawia się, czy też to słyszę. Dlatego udaję, że nie słyszę, wbijając wzrok w jej ziemistą skórę, żeby krzywiła się i wierciła na krześle. *Niech myśli, że traci rozum. Niech myśli, że tylko ona słyszy pożeracza.*

– Mam przyrodnie rodzeństwo?

– Tak.

– A mój ojciec jest burmistrzem?

– Już nie. Przeszedł na emeryturę. – Koniuszkiem języka znowu bada ukruszony ząb.

– A jego dzieci... Jest z nimi blisko?

Chciałabym, żeby zaprzeczyła. Żeby powiedziała, że od tamtych dzieci też się odsunął. Że wcale nie chodził na ich mecze bejsbolowe i występy baletowe, że nie siedział z nimi przy śniadaniu, gapiąc się każdego ranka w ich zaspane oczy.

– Tak – mówi matka i jest to jej ostatnie słowo w tej rozmowie. Zaraz wstaje, wyglądając, jakby miała sto lat. Rusza w stronę schodów, kiedy za nią wołam.

– Jeśli znowu się tutaj pojawi, nie będę więcej milczeć. Uprzedź go.

Słyszę skrzypienie stopni, gdy wraca do siebie do pokoju. Powoli... powoli.

lat 19

Jest sobota, a ja nie wiem, co ze sobą począć. Posprzątałam łazienkę, a potem zadzwoniłam do pracy zapytać, czy nie brakuje kogoś na zmianę. Sandy powiedziała, że mam zostać w domu i zająć się trochę życiem, ale Judah spędza weekend z ojcem i pod jego nieobecność Bone wydaje się takie suche. Patrzę na kruszący się tynk w salonie i mija chyba kilka godzin, zanim dochodzę do wniosku, że czas ugotować jakieś prawdziwe jedzenie. Matka trzyma na lodówce stare książki kucharskie. Ściągam je na dół i przekartkowuję, kichając raz po raz, gdy kurz łaskocze mnie w nos. Znajduję wreszcie przepis, który mi się podoba, i wyciągam notes matki, żeby spisać listę niezbędnych składników. Nigdy wcześniej nie gotowałam, ale ostatnio wiele rzeczy robię po raz pierwszy. Na przykład spotykam się z Judahem.

– Jo – rzucam do piekarnika. – Żyjesz jeszcze? – Szturcham nogą drzwiczki i słyszę trzask. Mam upiorne wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Ale matka teraz śpi; słyszę jej ciche chrapanie dobiegające z piętra. Trzęsę się i kucam, żeby otworzyć drzwiczki. W środku znajduję coś, co wygląda jak metalowe pudełko, leży na zapadniętej kratce. Przygnębiające. Oglądam się przez ramię tylko po to, by

sprawdzić, czy nie ma tu matki, a potem wyciągam pudełko. Coś za mną czyha, czuję to. Pudełko okazuje się ciężkie. Zanoszę je do stołu, zapominając o planach sprzed kilku minut. W środku coś gruchocze – coś chropowatego ociera się o coś gładkiego – a ja nagle dostaję gęsiej skórki.

Po co matka miałaby wkładać pudełko do piekarnika? I kiedy to zrobiła? Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam, jak coś gotuje. Czy to było tuż po tym, jak straciła pracę i przestała wychodzić z domu? Siedzę z rękami na wieczku pudełka i zamkniętymi oczami. *Odlóż to. Odlóż to. Odlóż to.* Kusi mnie, by to zrobić. Ukryte rzeczy powinny pozostać ukryte. Widzę zawiasy i zatrzask. Otwieram. Ręce mi się trzęsą. Moja reakcja jest żenująca; zupełnie jakby ciało już wiedziało, co znajduje się w środku, nawet jeśli umysł jeszcze nie ma o tym pojęcia. A przynajmniej nie przypominam sobie, żeby miał. Podnoszę wieko. Wszystko to przydarza się komuś, kto nie jest mną.

Kości. Drobne ludzkie kości. Zamieram. Palcami rozdrapuję powietrze nad pudełkiem. Nie wiem, jak długo wpatruję się we wnętrze metalowej trumienki. Widziałam już to. *Prawda?* Wydaje mi się znajome – ta panika, to obrzydzenie, to powolne odrętwienie. Wszystko. Nawet kiedy zamykam wieko i wracam sztywno do piekarnika, nie opuszcza mnie upiorne wrażenie *déjà vu*. Co powinnam teraz zrobić? Zapytać matkę o kości? Zadzwoić na policję? Patrzą na drzwiczki piekarnika, który stał się grobowcem dla tej małej istotki. Pudełko jest ciężkie; opieram je o biodro i czuję, jak kości się przesuwają. Szybko poprawiam pojemnik i trzymam go w ramionach jak niemowlę. Rozlega się dzwonek do drzwi, a ja nagle zaczynam się trząść.

Otwieram piekarnik i ostrożnie wkładam dziecko do środka. Zbiera mi się na wymioty. Ktoś puka. Muszę podejść do drzwi, zanim matka się obudzi i rozzłości. Biegnę, raz jeszcze oglądając się przez ramię na trumienkę w piekarniku.

To listonosz. Nigdy wcześniej nie podchodził do drzwi, nie mówiąc już o naciskaniu dzwonka, który nie działał, odkąd się urodziłam. *To sprawa pożeracza. Coś knuje.* Moja twarz musi zdradzać zaskoczenie. Listonosz nieśmiało pociera twarz ręką i chrząka.

– Nie zmieściło się do skrzynki – wyjaśnia. Dopiero teraz

zauważam, że trzyma paczkę. Tłumaczę mu, że to nie może być do nas. My nie dostajemy przesyłek. Ale on odczytuje nazwisko mojej matki, więc zdejmuję łańcuch.

Listonosz najpierw kiwa głową, a potem odchodzi, a ja zostaję z inną paczką w rękach, kolana mi się trzęsą pod białą sukienką. Moje nerwy są napięte jak postronki. Jest coraz gorzej i gorzej, dopóki nie wracam do domu. Niosę przesyłkę pod drzwi matki. Słyszę, jak rusza się w sypialni, więc zostawiam paczkę i odchodzę na paluszkach na dół, a potem na zewnątrz.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiam z ojcem, boję się, że zaraz spadnie ze schodów. Czekam na niego blisko drzwi wejściowych wieczorem w dniu, kiedy jak zwykle matka spodziewa się jego mustanga pod domem. Nie widzi mnie, kiedy wchodzi do środka i z brązową papierową torbą w ręku mija ciemny, zazwyczaj pusty pokój po lewej. Siedzę na starym kawałku mebla, który został jeszcze z czasów babci, i czekam, aż ojciec wejdzie na schody. Chcę obserwować go, jednocześnie pozostając niewidoczną. Gdy pokonuje dwa stopnie, wypowiadam jego nazwisko. Nagły szelest torby oznacza, że podskoczył ze strachu.

– Howard Delafonte – mówię. Stoi tam, gdzie się zatrzymał, z piętami zwisającymi z przedostatniego stopnia. – Ramiona pewnie mam po tobie. Grałeś w football w *college*'u? Cholera, jeśli nie, to wielka szkoda. W sumie nic nie wiem o footballu. Nie mam telewizora, wiesz? Ach, właśnie, przecież wiesz. Czy to nie twój wspaniały pomysł?

Słyszę, jak odstawia torbę. Jednocześnie na górze skrzypi podłoga. Domyślam się, że teraz to moja matka przyciska ucho do ściany. Zbyt wystraszona, żeby zakończyć naszą rozmowę, ale też chyba nieco zaciekawiona.

Przychodzi do salonu, szuka mnie wzrokiem w ciemności. Kiedy mnie zauważa, siedzącą cicho na kanapie, chrząka i zbliża się do lampy, żeby włączyć światło.

– Mogę mówić do ciebie tato? Czy to dziwnie brzmi w ustach takiego śmiecia jak ja?

Nie odpowiada. Między nami znalazło się teraz tłuste, żółte światło.

– Nieważne – mówię, wstając. – Zostanę przy Howardzie. Albo burmistrzowi Delafonte. Właśnie tak wszyscy się do ciebie zwracają, prawda? – Okrążam kanapę, aż w końcu stoimy twarzą w twarz. Pierwszy raz patrzę na niego z bliska i mogę naprawdę mu się przyjrzeć. Wygląda jak ja: ma szeroką twarz, oczy zbyt od siebie oddalone i tak jasnoniebieskie, że niemal białe. Jest dziwny, brzydki i niezwykły. Chciałabym go nienawidzić, ale nie potrafię, bo ma takie same słomkowe włosy jak ja. Układają się w ten sam dziwny sposób. Patrzę mu w oczy, spodziewając się zobaczyć w nich skruchę, uczucie, które pozostawało nieme. Widzę jednak jedynie strach. Strach przed tym, co mogłabym o nim powiedzieć – przed tym, że właściwie dobrane słowa mogłyby dotrzeć do jego przyjaciół z klubu country, jego żony-krowy, która w końcu nie umarła, ich wspólnych dzieci studiujących na najlepszych uniwersytetach. Do dziennikarzy i poprzez nich do tysięcy wyborców.

Wszystko się wydało, tatusiu. Chciałabym to powiedzieć, ale nie rzucam pustych gróźb, nie zamierzam opowiadać nikomu o sekretnym życiu Howarda Delafonte.

Czekam. Tak długo marzyłam o tym dniu, o tej chwili, gdy ojciec coś do mnie powie. Jednak on milczy. Czekam, aż ja się odezwę, a bez tego nie ma nic do powiedzenia. Dociera do mnie miazdząca prawda, której nie da się cofnąć albo zapomnieć. Tuż koło mojego serca tworzy się czarna plama i zaczyna się powiększać. Myślałam, że kiedy poznam ojca – tego tajemniczego człowieka, którego zawsze wyobrażałam sobie z szerokim uśmiechem – on się ucieszy. Będzie zachwycony wizją naszej relacji, z radością pozna swoje dziecko, zaradną córkę ze wspaniałymi ocenami. W moich marzeniach ojciec mnie nie odrzuca. Nie jestem przygotowana na rzeczywistość. On nie ma nic do powiedzenia. Kiedy zdaję sobie sprawę, że nie dostanę tego, czego chcę – czyli na tym etapie choćby prostego przyznania się do prawdy – cofam się o krok. Coś dziwnego dzieje się w moim brzuchu. Rozczarowanie może mnie doprowadzić w zbyt wiele mrocznych miejsc, mogę teraz zniknąć na zbyt wiele sposobów.

– Dobra – mówię. A potem powtarzam jeszcze raz: – Dobra.

Moje wycofanie się zaniepokoiło go. Widzę, jak jego jabłko

Adama porusza się nerwowo. *Powiedz coś.*

– Daj mi swój zegarek. – Sama dziwię się mojej prośbie. Chyba nawet bardziej niż on. Widzę kątem oka błysk zegarka, którego ciężar poczułam kiedyś w dłoni. Nie wiedziałam wtedy, że należy do mojego ojca, a jednak czułam dziwne przyciąganie do niego. Howard nie porusza się i wciąż milczy. To pojedynek woli. Howard jest zdeterminowany, by do niczego się nie przyznać, nawet samymi słowami. Stoję jeszcze przez kilka sekund, a potem opuszczają mnie siły. Idę tyłem do drzwi frontowych, nawet na chwilę nie spuszczać go z oczu. Chcę ostatni raz przyjrzeć się mężczyźnie odpowiedzialnemu za moje istnienie i nic więcej.

Nocne powietrze wymierza cios w moje ramiona. Czuję deszcz, zanim go zobaczę. Ostatnie, co widzę przed zamknięciem drzwi, to mój ojciec, Howard Delafonte, spokojnie maszerujący na piętro.

Pudelko, pudelko, pudelko. Tylko o nim myślę. Czy dziecko schowane w środku należało do niego? Wracam do środka i sprawdzam – klękam przed piekarnikiem i włączam światło, które jakimś cudem nadal działa. Jest. *On albo ona*, myślę, opierając czoło o szybę.

Idę do domu Judaha, bo nie mogę znieść świadomości, że znajduję się w tym samym budynku co oni. Judah siedzi przy oknie, jak zwykle. Nie wchodzę do środka. Zsuwam się po ścianie i siadam bezpośrednio pod oknem. Słyszę, jak bawi się czymś brzęczącym jak plastikowe opakowanie.

– Mam cheetosy – mówi.

– Nie jestem głodna.

– Nie trzeba być głodnym, żeby jeść cheetosy. Wystarczy być przygnębnym.

– Nie jestem... – Przerywam w połowie zdania, bo kogo niby oszukuję? Ja się urodziłam przygnębiona. – Nie jem już tego gówna.

– No, no, no, jaka panusia. No proszę, jaka panusia. Nie wiedziałem, że masz obsesję na punkcie zdrowego żarcia. Wybacz, że pozeram w twojej obecności to gówno z pomarańczową posypką.

Uśmiecham się i nagle mam straszną ochotę na cheetosy, bo Judah sprawia, że pragnę tego, czego nie powinnam pragnąć.

– Judah, dupek z ciebie.

Słyszę, jak oddala się od okna, koła jego wózka skrzypią na linoleum. Potem otwierają się drzwi i czuję, jak coś uderza mnie w ramię. Judah wychyla się trochę za próg i widzę jego mokre włosy.

Potem drzwi się zamykają, a on wraca na swój posterunek.

Wyciągam rękę po to, co moje. To foliowy woreczek z minimarchewkami. Otwieram go z uśmiechem. Tak lepiej.

– Teraz oboje jemy coś pomarańczowego. Zbliżyliśmy się do siebie i takie tam.

– Takie tam – powtarza Judah. – Dlaczego jesteś smutna i takie tam, Maggie?

– No wiesz, życie.

– Wiem – zgadza się. – Ale czasem dobrze jest się wygadać i takie tam.

– Takie tam – odpowiadam. – Poznałam dzisiaj mojego ojca. Najgorszy przypadek ćwoka tłoka i tłumoka, jakiego znam.

– Nigdy nie poznałem żadnego ćwoka tłoka i tłumoka. Czy to taki dupek, tylko bardziej?

– Tak. Właśnie tak.

– Wiesz co – mówi Judah. – Nigdy nie poznałaś mojego ojca, ale on też jest takim trochę ćwokiem tłokiem i tłumokiem. Zostawił moją mamę, bo nie chciał mieć dzieci. Nie przyjechał nawet na porodówkę, żeby mnie zobaczyć. Za to co miesiąc wysyłał czek z alimentami. Pierwszy raz spotkałem go po pierwszej operacji. Ugryzło go sumienie i postanowił zostać prawdziwym ojcem swojego kalekiego syna. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle by się ze mną skontaktował, gdyby nie guz. Czasami się cieszę z choroby, bo dała mi ojca. Dzięki temu matka ma łatwiejsze życie... ma pomoc. A on jest spoko. Mimo to zawsze czuję, że go rozczarowuję.

– Ja nie mam kogo rozczarowywać – odpowiadam. – To chyba fajne.

– Nie mogłabyś nikogo rozczarować, nawet gdybyś się postarała.

Cisza, która po tym nastaje, jest czarną dziurą. Wysysa powietrze z całej planety... a może tylko z moich płuc. Zaczynam płakać. Jak baba. Jak słaba, stereotypowa baba. Natychmiast wycieram łzy,

rozsmarowując je po całych dłoniach, a potem suszę je o spodnie. Czuję na sobie wzrok Judaha, który patrzy na mnie przez firankę w oknie. Wiem, że gdyby nie ona, wyciągnąłby rękę i dotknął mnie. Teraz mi lepiej, gdy o tym pomyślałam. O tym, że komuś na mnie zależy. Każdy powinien mieć kogoś, komu na nim zależy.

– Maggie – mówi Judah. – Ludzie, wiesz, nasi rodzice i przyjaciele, są tak zniszczeni, że nawet nie zdają sobie sprawy z tego zniszczenia. Po prostu krzywdzą wszystkich, którzy staną im na drodze. Nie zatrzymają się, żeby pomyśleć o tym, co nam robią. Ból czyni z ludzi egoistów. Izoluje ich. Sprawia, że patrzą tylko do wewnątrz, nigdy na zewnątrz.

Jego słowa mają sens. Jednak ich znaczenie i tak boli.

– Powiedz mi jedno – mówi. – Czy twoje serce nadal bije... bólem i cierpieniem? Czy nadal bije?

– Tak.

– To dlatego, że ludzie są zbudowani do życia z cierpieniem. Słabi ludzie pozwalają, by ból ich dusił, doprowadzając do powolnej, emocjonalnej śmierci. Silni ludzie wykorzystują ból, Margo. Używają go jako paliwa.

Po powrocie do pozeracza znajduję na stole rolexa. Rzuconego tak jak tamtego dnia, kiedy zobaczyłam go w sypialni matki.

– Pierdol się – mówię, ale zanoszę zegarek do swojego pokoju i chowam pod obłuzowaną deskę w podłodze.

Budzę się w mokrej piżamie i z włosami przyklejonymi do czoła. Ledwo zdążę postawić stopy na podłodze, kiedy słyszę wrzask matki. Biegnę do jej pokoju, wciąż zdezorientowana, i otwieram gwałtownie drzwi, za którymi znajduję matkę przy łóżku, nagą, ze szlafrokiem leżącym u stóp. Na mój widok pokazuje palcem przeciwległą stronę pomieszczenia. Omijam ją, zbierając z twarzy włosy wchodzące mi w oczy, i omal nie potykam się o sterty śmieci porzucanych dokoła.

– Co? Co się stało?

Przeszukuję wzrokiem ciemność, lecz nic nie widzę, dopóki nie chwytam zasłonek i nie wpuszczam do środka światła. Drobinki kurzu tańczą w promieniach słońca pożerających mrok. Matka skomli cicho z bólu.

– Wampir – mówię pod nosem, póki mam jeszcze dech, lecz ten mi zaraz zapiera, gdy zauważam plamę krwi w kącie.

Patrzę na matkę, która ściska swój spuchnięty brzuch, kołysząc się w przód i w tył. Dopiero teraz zauważam krew na jej dłoniach i nogach. Gdy tak stoi i trzęsie się w słońcu, czerwień na jej bladej skórze wygląda krzykliwie i przerażająco.

– Co to jest? – szepczę. Nie odpowiada. Robię kilka kroków

w stronę kąta i zaraz zatykam usta dłońmi, bo ściska mnie w żołądku, jakbym miała zaraz zwymiotować. – Coś ty narobiła?! – Mój głos przetacza się po małym pomieszczeniu jak grom. Padam na kolana przed niemowlęciem. Czy mogę to nazwać niemowlęciem? Nigdy nie widziałam nic tak maleńkiego, skórę ma siną, pokrytą krwią i białą pianą. Dotykam go, cofam rękę i znowu dotykam. Nie ma pulsu, nie oddycha. Jest zbyt mały. Nie, nie on. Ona. Dziewczynka. Stękam i zaczynam kołysać się na piętach. Jak matka mogła ją ukryć? Jak mogłam niczego nie zauważyć? Jej czerwony szlafrok jest taki luźny. Nie prosiła mnie więcej, bym towarzyszyła jej podczas kąpieli. Czy zrobiła to celowo? Czy celowo pozbyła się dziecka? Odpowiedź ma wymalowaną na twarzy, ulgę wymieszaną z cierpieniem. Niemowlę, maleńka dziewczynka. Chcę ją wziąć i zabrać gdzieś, gdzie jest ciepło i bezpiecznie.

Matka ma kłopoty z oddychaniem i mocno krwawi, a potem pada na podłogę za moimi plecami. Ostatni raz spoglądam na dziewczynkę w kącie i wychodzę z pokoju.

Nie śpieszę się w drodze do domu Judaha. Delaney ma telefon. Matka ma komórkę; zawsze zakładałam, że właśnie w ten sposób umawia się z różnymi klientami, niestety zabezpieczyła telefon PIN-em. Nie jestem pewna, czy zdołam zadzwonić z niego po karetkę. A poza tym chcę, żeby umarła. Kiedy docieram do bramy Judaha, jestem już cała we łzach. Delaney otwiera drzwi. Na mój widok przestaje się uśmiechać. Ryczę tak głośno, że Delaney nie rozumie ani słowa. Pokazuję na bezprzewodową słuchawkę, a ona biegnie ją przynieść.

– Tutaj numer alarmowy. W czym mogę pomóc?

Nagle odzyskuję panowanie nad sobą. Otrząsam się z rozpacz i wraca mi głos.

– Moja matka – mówię przez ściśnięte gardło. – Ona... poroniła. Boję się, że się wykrwawi. – Oddaję słuchawkę Delaney, która patrzy na mnie zszokowana, a potem przekazuje adres dyspozytorce. Wracam do domu, bez ducha.

Przyjeżdża karetka, a syrena przecina ciepły dzień na Wessex jak błyskawica, przywołując ludzi do okien i drzwi. Siadam na stopniu i czekam, aż ratownicy wbiegną po schodach na górę do sypialni matki.

Nie wiem, czy opuści dom żywa, czy martwa. Po wyjściu od Delaney nie wróciłam już na piętro. Ratownicy odchodzą.

Potem pojawiają się inni, żeby zobaczyć ciało matki – dwóch mężczyzn w granatowych mundurach z gwiazdkami na piersiach. Policjanci. Próbuję zetrzeć krew z jej twarzy i dłoni, ale każą mi ją zostawić. Zajmą się tym w kostnicy po autopsji. Zadają mi jakieś pytania; chcą wiedzieć, czy to ze mną mają się kontaktować w sprawie sekcji i czy ja zajmę się organizacją pogrzebu.

– Sekcja? – pytam pustym głosem.

– Standardowa procedura. Jest potrzebna do wystawienia aktu zgonu – wyjaśnia jeden z policjantów.

Spoglądam na pojemniki na pigułki i tabletki obok łóżka, przewrócone i puste.

– Matka chciała być skremowana – mówię im. Matka nigdy tego nie chciała. A może chciała, ale słowem o tym nie wspomniała. Nie chcę w ogóle zajmować się jej ciałem, trumną i grobem. Oddajcie mi ją w postaci prochu w urnie, a będę szczęśliwa. Oni pytają, ile mam lat. – Osiemnaście – odpowiadam. Chcą zobaczyć moje prawo jazdy, ale nie mam prawa jazdy. Pokazuję im legitymację szkolną i wydają się niemal rozczarowani, że nie mogą zawieźć mnie na pogotowie opiekuńcze. Nie wrzucą mnie do systemu ani dzisiaj, ani nigdy indziej. W życiu nie cieszyłam się tak bardzo z własnej pełnoletności. Wręczyli mi stertę papierów, kilka ulotek firm pogrzebowych i krematoriów. Jedna, z kwiatkiem na okładce, zachęca do skorzystania z grupy wsparcia. Opierając się o przegniły siding pożeracza, patrzę, jak policjanci rozmawiają z dwoma kolesiami z kostnicy, którzy przyjechali po ciała. W tym miejscu znajduje mnie Judah. Jest smutny i zaniepokojony.

– Zaraz zabiorą ciała do kostnicy – mówię mu.

– Mama mi powiedziała. Chce, żebyś spała dzisiaj u nas.

Patrzę w dal na dom złych ludzi. Wszyscy są teraz na zewnątrz i popijając piwo, czekają na czarny worek ze zwłokami. Niektórzy stoją półnaczy; jedna para całuje się przy tylnych drzwiach, od czasu do czasu robiąc przerwę, by zaczerpnąć powietrza i spojrzeć na pożeracza.

– Na tym polega różnica między bogatymi a biedotą – stwierdza Judah, podążając za moim wzrokiem. – Bogaci gapią się na sąsiedzką

tragedię przez szpary między zasłonami, podczas gdy biedota niczego nie próbuje ukrywać.

– Dziękuję. Wolę zostać tutaj.

– No to ja ci potowarzyszę – odpowiada szybko. – Daj mi tylko chwilę, podjadę do domu po kilka rzeczy.

Mam ochotę mu odmówić, ale ostatecznie stwierdzam, że myśl o spaniu samotnie w pożeraczu mnie przeraża. Kiwam głową. Patrzę, jak Judah jedzie; przez koszulkę widać, jak pracują jego mięśnie, gdy popycha rękami koła wózka. Zatrzymuje się przed domem złych ludzi. Kilku kolesi podchodzi do niego. Witają się i oferują mu piwo.

Wszyscy lubią tę przekłętą kalekę.

Uśmiecham się trochę, ale potem wywożą matkę i muszę przytrzymać się pożeracza, żeby nie upaść. Mają też mniejszy worek na dziecko. Drugi z pracowników kostnicy wynosi je na rękach. Ma rękawiczki i wyciąga przed siebie dłonie, jakby oferował niemowlę jakiemuś bogu rozsmakowanemu w małych dzieciach. To ona, mała dziewczynka, którą będę opłakiwać przez następne dni. Dziecko chciane przez na wpół martwą siostrę i niechciane przez martwą matkę.

Po odejściu wszystkich wchodzę do domu, żeby posprzątać bałagan, jaki zostawiły ciała. Pożeracz milczy. Czekam na uderzenie żalu, ale ono nie nadchodzi. Chcę coś poczuć, żeby wiedzieć, że nadal jestem człowiekiem. Nie wiem jednak, jak opłakiwać śmierć kogoś, kogo nie znałam. Znałam Nevaeh. Nie znałam swojej matki.

Delaney przychodzi mi pomóc, przynosząc ze sobą wiadra ciepłej wody i Pine-Sol. Pracujemy, nie rozmawiając, używając pościeli matki jako szmaty, zmywając nią krew, aż staje się czerwona, a w całym domu unosi się zapach sosnowego płynu. Wynosimy wiadra na zewnątrz i wylewamy różową wodę na trawę. Przytulam Delaney niezdarne, żeby podziękować jej za to, że nie musiałam tego robić sama. Kiedy się odsuwa, widzę jej zaczerwienione oczy i drżące usta. Są tak samo pełne jak u Judaha, lecz brakuje im zmysłowości. Teraz, kiedy Delaney próbuje znaleźć odpowiednie słowa, wydają się wręcz nieforemne.

– Nikt nie powinien być zmuszony do czegoś takiego – szepcze. Jej włosy są mokre i przyklejają się do twarzy. Widzę w jej rysach Judaha; szerokie czoło i delikatny kształt nosa. – Wy, dzieci, za dużo cierpicie.

Kiedy maszeruje w górę Wessex, obserwuję ją i rozmyślam o tym, co powiedziała. O dzieciach i cierpieniu. Tak, może cierpią bardziej niż dorośli. Właśnie wtedy, w dzieciństwie, zostajemy złamani. A potem nosimy to brzemień jak całun przez resztę życia.

Nazywam dziecko Sihn*, ponieważ odziedziczyła grzechy matki i umarła za nie.

Targam wielki, drewniany podjazd z podwórka Grantów i stawiam nad schodami do pozeracza. Kiedy pcham Judaha pod górę, podjazd trzęsie się i wygina na środku, jakby miał zaraz pęknąć na pół. Judah po raz pierwszy zobaczy pozeracza od środka. Zostawiam drzwi otwarte, wpuszczając promienie słońca do salonu, i nagle robi mi się głupio z powodu panującego tu bałaganu. Nie rzeczywistego bałaganu, ale tego w moim życiu – starej dobrej wilgoci, starej dobrej biedy.

Pozeracz nuci coś, podekscytowany wizytą nowego gościa. Nie dostaniesz go, mówię bezgłośnie. Wiem, że jest wyjątkowy, ale nie dostaniesz go.

Bawię się guzikami koszuli.

– Ściągnę materac na dół – mówię. – Ty możesz spać na kanapie. Oczywiście o ile nie masz nic przeciwko.

Judah kiwa głową.

– Chcesz, żebym podgrzał coś do jedzenia? – pyta. – Mama przygotowała nam zapiekankę.

– Właściwie to nie jestem głodna. – Wzruszam ramionami. Pokazuje mi pojemnik, który trzyma na kolanach, a ja zanoszę go do kuchni. Stoję przed lodówką, poza zasięgiem jego wzroku, żałując, że wpuściłam go do pozeracza. Nie pasuje tu. To jak zabrać mebel w stylu nowoczesnym do starej krypty albo zamówić smażonego kurczaka w wegetariańskiej knajpie.

O Boże. O Boże.

– Margo?

– Tak?

O Boże.

– Przed drzwiami stoi jakiś mężczyzna.

Pojemnik z zapiekanką ląduje na blacie. Mijam Judaha i podchodzę do drzwi frontowych, gdzie znajduję Howarda Delafonte, stojącego tuż

za progiem. Ściąga płaszcz przeciwdeszczowy, jakby wchodził do siebie. *Dzisiaj wtorek. Zawsze przyjeżdża we wtorki. Pożeracz znowu stęka. Nie lubi go.*

Chcę go zranić.

– Dziecko – mówię. – Było twoje?

Nie odpowiada. Nie musi; i tak już wiem. Nie mam pojęcia, co wzięła, żeby pozbyć się ciąży, ale na pewno dostała to od niego.

– Skąd wiesz, że dziecko było twoje, a nie któregoś z pozostałych mężczyzn? – pytam. Wspominam innych, żeby go skrzywdzić. Niech wie, że nie tylko on płacił jej za seks.

– Pozwoliła mi niczego nie używać – odpowiada.

Cofam się zaskoczona. Jego szczerość mnie rozbija. To zbyt intymne. Nie powinnam wiedzieć czegoś tak osobistego na temat mojej matki, a jednak mówi to więcej niż niegdyś jej słowa. Czyżby chciała zająć w ciążę? Może myślała, że mogłaby zatrzymać go przy sobie, gdyby urodziła mu dziecko? Że zostawiłby żonę i swoje życie, by pomóc jej wychować małego człowieczka? Moja matka niekoniecznie interesowała się wychowywaniem małych ludzi. Może to pożeracz doprowadził ją do szaleństwa i miała gdzieś, czy zajdzie.

– To była dziewczynka – mówię cicho.

Z jego twarzy odpływa cała krew.

– Gdzie ona jest? – pyta, ruszając w stronę schodów. Rozumiem, że ma na myśli moją matkę, a nie swojego bękarta. Pozwalam mu wbiec na górę. Wsłuchuję się w ciężkie *łup, łup, łup* jego kroków na podłodze. Kiedy wraca na dół, na jego twarzy maluje się przerażenie.

– Gdzie ona jest? W którym szpitalu?

– W którym szpitalu – powtarzam, śmiejąc się. Spoglądam na Judaha, który przygląda się nam uważnie, jakby się zastanawiał, czy ma przerwać kłótnię, jeśli się zacznie. – Ona nie żyje.

Mój ojciec, wyłącznie biologiczny, chwije się i próbuje podeprzeć się ściany, ale nie trafia. Zupełnie jakby pożeracz się poruszał, uciekał spod jego ręki, kulił się. Howard upada, jego twarz jest wykrzywiona i czerwona, jakby przebiegł maraton. Patrzę beznamiętnie na tego potężnego mężczyznę, który leży na podłodze i płacze. Kochał ją. Jestem zaskoczona. Mnie nie kocha, a przecież jestem jej córką. Ona też mnie

nie kochała. Obserwując go, zastanawiam się, czy ktoś taki jak ja, kto nigdy nie zaznał miłości, jest do niej zdolny – czy rozpoznałby to uczucie, gdyby pojawiło się w jego życiu? A potem myślę sobie, że wolałabym nie być kochana w ogóle, niż żeby kochał mnie ktoś taki jak Howard Delafonte.

– Wynoś się – mówię. – Wynoś się z mojego domu, ty mordercza świnio.

A potem, kiedy nie spełnia mojego polecenia dość szybko, krzyczę coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu całe Bone może mnie słyszeć. *Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się!*

Czołga się jak pies. Żalotne. Odwracam się do niego plecami i zostaję tak, póki nie zatrzasną się za nim drzwi i nie usłyszę, jak uruchamia silnik.

– Wszystko w porządku? – pyta Judah.

– To był mój ojciec – odpowiadam.

Judah milczy przez dłuższą chwilę. Nie patrzę na jego twarz, by poznać reakcję, chociaż jego emocje są takie przewidywalne, takie zrównoważone, że nie muszę go widzieć, by wiedzieć, że marszczy czoło. Zdaniem Judaha ojcowie powinni pozostać ojcami. Nawet jeśli nie chcą swojego dziecka, powinni je utrzymywać. Tak jak jego tata. Nie jak mój. Mój nigdy tego nie robił. *Czy ja mam kompleks tatusia?* Zastanawiam się na tym, patrząc na Judaha, którzy patrzy na mnie. *Nie.* Oczywiście jest coś ze mną nie tak. Ale raczej chodzi o ogólną nienawiść do ludzi. Jestem rozczarowana. Tak bardzo wszystkimi rozczarowana. Zupełnie jakby nie mieli dusz.

I wtedy to do mnie dociera – matka umarła. Zaczynam płakać. Wzbiera we mnie gwałtowny, duszący szloch. Mój rycerz przybywa na wózku do miejsca, w którym ryczę, zgięta wpół przez żal. Złożona jak kartka papieru. Łapie mnie, zanim wiatr zdoła mnie porwać. Chwyta mnie w pasie i przyciąga do siebie, aż w końcu niemal siedzę na jego kolanach i chowam twarz w dłoniach.

– Ciii. Jesteś warta miłości. Oni po prostu nie są do niej zdolni. Wybacz im, Margo.

Wyjmuję pieniądze spod podłogi i układam je w rzędkach. Mam sterty setek i dwudziestek. Rozdzielam je i zaczynam liczyć. Moja matka była bogatym człowiekiem. A przynajmniej jak na standardy Bone. Zebrała siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Całe jej życie ograniczało się do starego, rozwalającego się domiszcza, córki, do której się nigdy nie odzywała, i siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

– Brawo, mamó – mówię na głos. Opieram się o ścianę w sypialni i przez długi czas wbijam wzrok w pieniądze. Potem zbieram wszystkie banknoty, zawijam w czerwony szlafrok i chowam pod podłogą.

Tamtej nocy pojawia się dwóch klientów. Odprawiam ich z kwitkiem. Mówię im, że matka nie żyje, więc o ile nie mają ciągot do nekrofilii, niech spieprzają z mojego podwórka. Wiadomość ich szokuje. Widzę to w białkach ich oczu. Dziś pozostaną w szoku, wrócą do swoich żon ze świadomością, że ich dziwka umarła. Żony zaczną wypytywać, czy wszystko w porządku, a oni wymyślą jakąś wymówkę, że nie czują się najlepiej. Uciekną do biur albo sypialni, żeby rozmyślać o śmierci mojej matki.

Następnego ranka zakładam jedną z jej starych flanelowych koszul. Jestem od niej niższa, więc ubranie wisi na mnie jak sukienka. Na nogi

wciągam jej martensy i jadę autobusem do domu pogrzebowego, żeby opłacić kremację. Wyjmuję z kieszeni zwitek dwudziestek, a paniusia za biurkiem patrzy na mnie, jakbym je ukradła.

– No co? – pytam. – Nigdy wcześniej nie widziałaś pieniędzy pracującej dziewczyny?

Otwiera szeroko oczy, ale sięga po banknoty naznaczoną wiekiem dłonią i gdzieś je wkłada. Słyszę, jak mlaska z niezadowoleniem.

– Może pani wybrać urnę – mówi, pokazując na półkę za jej plecami. Pod każdym ze słojów przyklejono kartkę z ceną.

– Nie chcę jej prochów – odpowiadam szybko. Myśl, że miałabym odpowiadać za jej doczesne szczątki, niepokoi mnie. Zbyt wielkie zobowiązanie.

– Cóż, my też nie – rzuca kobieta. – Jest pani najbliższą krewną. O ile nie chce pani płacić co miesiąc za przechowywanie prochów, musi je pani ze sobą zabrać.

Wzdycham i znowu patrzę na urny. Nie mogę jej tak po prostu tutaj zostawić.

– Wezmę tę zieloną – mówię. Przywodzi mi na myśl liście, które niegdyś rozcierała między palcami, jeszcze zanim stała się kimś innym.

Liście i ich żyłki...

Usuвам jej głos z głowy.

– Siedemdziesiąt osiem dolarów, dwadzieścia jeden centów – mówi kobieta. Podaję jej banknoty jeden po drugim. Potem kręcę się po okolicy, patrząc ludziom w oczy, poszukując odpowiedzi.

Kiedy zaczyna padać, łapię autobus, którym niegdyś jeździłam razem z Nevaeh, i siadam z tyłu, wyglądając przez okno. Nie jestem jeszcze gotowa na powrót do pożeracza i wszystkich jego upiorów – ciał małych dzieci i matek napelniających usta pigułkami. Gdy zaczyna zmierzchać, kierowca każe mi dopłacić albo wysiąść. Nie wzięłam ze sobą więcej pieniędzy, więc niechętnie wychodzę. Maszeruję powoli, wzbiera we mnie strach.

Kiedy docieram do domu, jest już ciemno. Judah czeka na chodniku przed budynkiem, z wózkiem tak ustawionym, by mógł mnie dostrzec, gdy będę szła w dół Wessex Street.

– Fajne nogi – mówi. Spoglądam na nie; są tak białe, że

praktycznie lśnią w ciemności. Zazwyczaj ich nie pokazuję. Nagle czuję się nieswojo. – Wiesz co... – odzywa się Judah, zauważając moje zakłopotanie. – Bo pracują i w ogóle...

Kręcę głową.

– To takie niegrzeczne.

– Tak, chyba tak... – Pociera tył głowy, wykrzywia usta. Wygląda na to, że zamierza powiedzieć coś, co wprowadzi w zakłopotanie nas oboje. – Czyli twoja mama... – zaczyna.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Ruszam, by go wyminąć.

– Najpierw Nevaeh, teraz twoja mama – woła za mną. Zatrzymuję się, ale nie odwracam.

– No i?

– To po prostu dziwne. Jakby śmierć czaiła się wszędzie.

Nie rozumiem, do czego właściwie zmierza. Nie podoba mi się ton jego głosu. Nie podoba mi się, że czuję jego wzrok na plecach.

Pieprzyć Bone, pieprzyć matkę, pieprzyć Judaha.

Trzysta dolarów za noc, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Nigdy nie wychodziła z domu, nigdy niczego nie kupowała. Celowo zostawiła siedemdziesiąt tysięcy dolarów pod podłogą w moim pokoju? *Pierdol się, nawet nie napisałaś mi listu.* Myślałby kto, że jeśli się ignoruje własne dziecko przez pół jego życia, a potem umiera po przedawkowaniu, ma się dość przyzwoitości, by zostawić po sobie jakąś wiadomość. Idę do jej pokoju i znajduję na szafce nocnej notatnik z rajskimi ptakami na marginesach. Jest stary, pożółkły i kruchy, pochlapany w kilku miejscach wodą, jakby się nad nim wyplakiwała. Siadam przy stole w kuchni i piszę list pożegnalny w jej imieniu.

Droga Margo,

chciałabym Cię przeprosić. Po pierwsze za to, że przestałam być Twoją matką, kiedy miałaś osiem lat i potrzebowałaś mnie najbardziej.

Widziałam, jak rozpaczliwie próbujesz zwrócić na siebie uwagę, a ja zwyczajnie nie potrafiłam wydostać się z mgły, w której tkwiłam... przez dziesięć lat. Nie wiem, czy całowałaś się kiedyś z chłopakiem, czy się zakochałaś i jakie oceny miałaś na koniec szkoły. Właściwie to chyba nie wiem nawet, czy w ogóle skończyłaś szkołę.

Jestem prostytutką i narkomanką. Moje serce zostało złamane.

Pierwszy raz, kiedy odszedł mój ojciec, a potem twój ojciec, a potem straciłam wszystko inne. Powinnam była walczyć o Ciebie. Byłaś tego warta. Zostawiłam Ci pieniądze. Zrób z nimi coś dobrego. Wyjedź z Bone!

Nie oglądaj się za siebie, Margo. JEDŹ!

Mama

W rzeczywistości matka nie napisałaby mi tak motywującego listu. Nawet jeszcze przed przemianą była pesymistką. Wtedy kazałaby mi tylko się modlić, ale dzisiaj powiedziałaby, że Bóg nie istnieje, a my wszyscy jesteśmy przeklęci. Możemy tylko przygotować się na długie, żałosne życie.

Wracam do jej pokoju. Pachnie wyraźnie krwią i kwiatami, przypominając mnie o zawroty głowy. Na podłodze zostały ciemne plamy w miejscach, gdzie leżały ich ciała. Nigdy ich nie zmyję, choćbym nie wiem jak mocno je szorowała; pożeracz wchłonął krew. Wstrząsa mną dreszcz. Był taki głodny, że tym razem odebrał dwa życia.

W kącie stoi pudło, które listonosz dostarczył kilka dni temu. Wydawałoby się, że minęło więcej czasu. Otwieram je i zaglądam do środka, ale okazuje się puste. Zaczynam wkładać do niego jej rzeczy. Buteleczki, książki, kaptcie. Ściągam pościel z łóżka i zdejmuję obrazki ze ścian. Potem zanoszę wszystko na strych. Do miejsca, gdzie ona schowała rzeczy swojej matki, gdy tamta zmarła. Cóż za ironia. Strych pełen rzeczy martwych matek. Wybucham śmiechem, ale utyka mi w gardle i zamiast tego zaczynam płakać. Zostałam sam na sam z pożeraczem.

Odbieram prochy matki i siostry w dzień tak ciemny, jakby słońce zapomniało wstać. Chmury wiszą gęste i ciężkie, stalowoszare. Idę na przystanek autobusowy, a potem czekam z rękami wciśniętymi między kolana, podrygują mi pięty, rozluźniają się napięte nerwy. Za kilka godzin będę niosła dwie urny z dwoma ciałami – sercami i płucami, i kośćmi – spalonymi na drobny proch.

Dzisiaj jesteśmy tutaj, a jutro nas nie ma, zostaje po nas tylko garść wspomnień. Cholernie przygnębiające. Nie czuję żalu, już nie. W nocy byłam zrozpaczona, Judah przyciągnął mnie do siebie i powiedział, że warto mnie kochać. Teraz zostało mi już tylko odrętwienie i robię to, co powinnam: chodzę, mówię, jem, odbieram prochy. *Zrobione! Zrobione! Zrobione! Zrobione!*

W drodze powrotnej z domu pogrzebowego przyglądam się urnom – jedna jest maleńka, jak butelka perfum, a druga duża, jak butelka mleka – obie leżą w zwykłej papierowej torbie na fotelu obok. Zastanawiam się, czy postawić je na podłodze, ale uznaję to za brak szacunku. Ciekawe, czy kiedy ja umrę, ktoś wsypie moje prochy do urny, czy pochowa mnie w ziemi.

Deszcz nie przychodzi. Wygląda na to, że niebo będzie tylko

groziło cały dzień. Zanoszę urnę siostry do ogrodu. Słyszę dudnienie muzyki dochodzące z otwartych okien domu cracku – coś szybkiego i pełnego gniewu. Rozglądam się i widzę, że większość drzew straciła liście. Nie ma ładnego miejsca, w którym mogłaby spocząć moja siostra. Mam na sobie koszulkę z krótkim rękawem i trzęsę się, szukając odpowiedniego kąta w ogrodzie. Blisko granicy jest krzew, dość blisko lasu, żeby uznać go za dziki. Widzę na nim kilka jeżyn i żywych liści w kształcie dzwonu, które wciąż trzymają się kurczowo gałęzi. Pochyliam się, żeby się im przyjrzeć. Czy to...? Judah woła z chodnika. Oglądam się przez ramię, a on macha do mnie. Ma na sobie czerwoną koszulę; jest plamą koloru na tle szarego dnia.

– Pozwól mi sobie towarzyszyć – mówi, kiedy do niego podchodzę. Zaciskam usta i przytakuję. *Jasne. Spoko.* Kto chce się żegnać samemu?

Pcham jego wózek przez wyboiste podwórko; trafiamy na dołek i omal nie kończy się na wywrotce. Judah siedzi cicho, kiedy kucam i opróżniam mniejszą urnę wokół drzew, których liście czerwienią się latem.

W moim piekarniku wciąż spoczywa jeszcze jedno ciało. Chcę je pogrzebać, lecz zanim to zrobię, potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań. Muszę przeszukać cały dom i się upewnić, że nie ma ich więcej. Może to było pierwsze z nas – pierwsze z niechcianych dzieci matki – ale dlaczego włożyła je do piekarnika? Dlaczego go nie pochowała albo poprosiła o to ojca? Dziewczynka z urny wyrosłaby na moją siostrę. Mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Nie wysypuję prochów matki blisko prochów dziecka. Nie zasłużyła sobie na wieczny spokój.

– Co z nią zrobisz? – pyta Judah.

– A co ty byś z nią zrobił?

Marszczy brwi i drapie się po głowie, a potem podnosi wzrok na sine chmury. Kropla deszczu ląduje na jego ustach, Judah ją zlizuje.

– Ja lubię swoją matkę – mówi. – Chciałbym, żeby spoczywała w jakimś ładnym miejscu.

– A gdybyś jej nie lubił?

Zastanawia się chwilę.

– Zostaw ją gdzieś w domu. To chyba wystarczająca kara, nie?

Śmieję się.

– Taaa...

– Hej, Margo. Twarda z ciebie babka, wiesz?

– Twarda? – powtarzam. – Nie. Gdybym była twarda, byłabym normalną dziewczyną. A mam nierówno pod sufitem i takie tam.

– I takie tam – zgadza się z uśmiechem. – Nieważne. I tak cię lubię.

– Wracaj do domu – mówię mu, wstając i otrzepując spodnie. –
Zaczyna padać.

Posyła mi całusa i jedzie do siebie.

Lubię tego kolesia.

Idę się wykapać i zjeść trochę tego, co przyniosła mi matka Judaha. Kładę się do łóżka, wciąż myśląc o tych jeżynach, które widziałam na krzaku. Potem śnię mi się trupy i ludzie z pustym wzrokiem, którzy wpychają sobie owoce do ust, aż zaczynają się dusić. Kiedy się budzę... już wiem.

W kuchni znajduję ostatnią korespondencję matki. W ostatni wtorek każdego miesiąca zostawiała cztery koperty na blacie; trzy miałam zanieść do skrzynki pocztowej: rachunek za prąd, rachunek za wodę, rachunek za jej telefon komórkowy. Na ostatniej kopercie nie było żadnego napisu. W środku zawsze znajdowałam listę, zapisaną jej prawie idealnym charakterem pisma, a na niej rzeczy, których chciała w danym miesiącu. Czasami był to szampon, tabletki przeciwbólowe, krakersy i banany. Innym razem nowa powieść Stephena Kinga, cząski i maskara (brązowo-czarna). Wsuwała do środka pięćdziesiątkę i tyle. Dotykam koperty palcami. Co chciała w tym miesiącu? Czy w ogóle mnie to obchodziło? Odrywam cienki pasek od góry i wyciągam ze środka kartkę z notatnika.

Na liście znajdują się tylko trzy pozycje. Patrzą na pierwszą: środki na przeczyszczenie. Dość niezwykła prośba, ale niektóre dziewczyny z mojej szkoły używały takich preparatów na wczesnym etapie ciąży. Pod wpływem rozwolnienia wypłukiwało się też świeżo zapłodnione jajeczko, a przynajmniej tak to sobie wyobrażały. Często można było zauważyć buteleczkę MiraLAX-u przekazywaną z rąk do rąk, wsuwaną do plecaka. Domowy sposób, który nigdy nie działał. Chciała też, żebym kupiła kartkę urodzinową – „coś dla mężczyzny”, napisała obok.

Ciekawe, czy to mój ojciec ma urodziny, czy któryś z pozostałych. Kto był dla niej dość wyjątkowy, żeby wręczyć mu kartkę? Gorycz sprawia, że na chwilę odkładam wiadomość. Ja nigdy nie dostałam od niej kartki. Nigdy nic od niej nie dostałam. Kiedy złość trochę mija, rozkładam znowu listę, żeby sprawdzić ostatnie życzenie. Zapisała je innym kolorem niż pozostałe i jest to coś, co przyprawia mnie o gęsią skórę. „Powiedzieć Margo”. Tylko tyle.

Po co matka miałyby napisać coś takiego na liście, skoro wiedziała, że to przeczytam? Co to ma znaczyć? Powiedzieć Margo o... dziecku? A może nie wiedziała, że znalazłam już pieniądze pod podłogą. Chowam twarz w zgięciu łokcia.

Biura Howarda Delafonte znajdują się na Main Street. A kiedy mówię o biurach, mam na myśli zarówno kancelarię prawniczą, jak i winiarnię, którą otworzył rok wcześniej pięć budynków dalej. Ktoś prowadzi ten lokal za niego, zaś w kancelarii ma partnerów, ale były burmistrz znajduje sobie jakieś zajęcie.

– Jest pracowity jak pszczołka – mówię pod nosem, patrząc, jak wchodzi do winiarni z papierowym kubkiem latte w rękę.

To niesamowite, czego można się dowiedzieć z Internetu. Wystarczyła krótka wycieczka do publicznej biblioteki w Bone Harbor i pstryk, więcej informacji, niż było mi trzeba. Nie istnieje już coś takiego jak prywatność, wszyscy piorą swoje brudy publicznie. W wyszukiwarce można znaleźć śmierdzące gacie każdego człowieka. Te należące do Howarda Delafonte były utyłane rozwodem. Najwyraźniej pani Delafonte wreszcie go zostawiła. A zdaniem Internetu jego najstarszy syn uzależnił się od heroiny, podczas gdy najmłodszy został aresztowany za pobicie. Jako mieszanka genów mojej matki i Howarda byłam skazana na porażkę.

Siedzi w winiarni dobre pół godziny, ale wreszcie wychodzi z papierową torbą pod pachą. Gwiżdże coś, chociaż melodia nie dociera do mojej ławki po drugiej stronie ruchliwej ulicy. Czekam, aż zbliży się do samochodu, i dopiero wtedy wstaję i ruszam jego śladem. Naciska guzik alarmu, żeby otworzyć auto – nie mustanga, jak widzę, lecz błyszczącego, białego mercedesa. Odkłada papierową torbę na kanapę z tyłu, a potem otwiera drzwi po stronie kierowcy. Uznaję, że to dobry

moment. Biegnę przez ulicę i rzucam się na fotel pasażera, siadając w nim w tej samej chwili co ojciec za kierownicą.

– Hej, tato.

Z jego twarzy odpływa cała krew. Spodziewam się, że wyskoczy z auta, ale on posyła mi długie, groźne spojrzenie, a potem zapina pasy i odpala silnik. Pada deszcz. Wycieraczki pracują wytrwale, podczas gdy ojciec wyjeżdża ze swojego miejsca parkingowego na ulicę. Czuję się trochę nieswojo. Jestem skazana na jego łaskę. Teraz, gdy przypięłam się do fotela w jego samochodzie, mógłby zrobić ze mną, co zechce. Nie pozwolę, by miał nade mną przewagę. Rozluźniam się i czekam, aż odezwie się jako pierwszy. Chcę, żeby zapytał mnie, dlaczego tu jestem. Musiałam zaliczyć cztery przesiadki, by dostać się do tego małego, przytulnego miasteczka, i zastanawiam się, czy będzie paranoicznie się bał, że jeden z mieszkańców tego małego, przytulnego miasteczka zobaczy nas razem.

– Pochowałaś już matkę?

– Skremowałam. – Kiwa głową. – To od ciebie miała Misoprostol?

Znowu przytakuje. Zaciskam pięści i patrzę na jego profil. To dziwne tak patrzeć na swojego ojca. Wiedzieć, że gdzieś w tej twarzy jesteś ty – może w łuku policzka, może w krzywiźnie nosa. I szukasz siebie tak wytrwale, że zbiera ci się na płacz, bo jesteś zrozpaczony i zdesperowany.

– Zabiłeś moją siostrę. Dlaczego pozwoliłeś żyć mnie?

– Skąd wiesz... Skąd wiesz, że to była dziewczynka? – pyta i szybko na mnie zerka.

– Bo znalazłam ją na podłodze.

Moja odpowiedź wprawia go w zakłopotanie. Przeciera twarz mięsistą ręką, a potem uderza nią w kierownicę. Ten gest przypomina mi, po co tu jestem.

– Ona chciała cię urodzić – mówi. – Namawiałem ją na aborcję, ale odmawiała.

– Powiedziała mi, że ojciec wyjechał...

– Bo jej kazałem – odpowiada szybko. – Znaliśmy się bardzo długo. Dałem jej pracę w firmie, kiedy skończyła szkołę średnią. Wtedy było inaczej. Ważniejsze od wykształcenia były kompetencje. A ona

miała wysokie kompetencje. Uratowała mi kilka razy tyłek, kiedy klienci nawalili. Wysyłałem ją, żeby z nimi porozmawiała, uspokoiła ich.

– Nie przyszedłem na wspominki o matce.

– Więc po co tu przyszłaś?

– Chcę wiedzieć, czego żałujesz.

Zatrzymuje się na parkingu przed knajpą – Peppered Pete’s – tuż przy autostradzie. Stoi tam już kilka półciężarówek, to lokal dla kierowców w trasie. Ojciec nie wyłącza jeszcze silnika, za to mówi, żebyśmy coś zjedli. Kiwam niechętnie głową. To będzie mój pierwszy oficjalny obiad z ojcem. Wsiadamy i ruszam za nim przez parking. Za bardzo mi ułatwia sytuację. Nie czeka, żeby zobaczyć, czy idę jego śladem.

Kiedy docieramy do drzwi, przytrzymuje je przede mną. Prawdziwy dżentelmen. Powietrze w lokalu jest przesycone tłuszczem. Mimo to nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz jadłam na mieście, więc i tak jestem wzruszona. Siadamy z tyłu, blisko toalet, gdzie co kilka minut słyszę odgłos splukiwanej wody. Nie komentuję wyboru stolika ani tego, że usiadł plecami do drzwi. Zostawiam go, żeby skorzystać z łazienki, zanim przyjdzie kelnerka.

– Zjem to, co ty – mówię.

Po powrocie zastaję dwa parujące kubki z kawą. Sięgam po swój, ale nie piję.

– Kochałem ją. Chciałem się z nią ożenić. Moja żona zachorowała...

Myślę o matce. Czy ona też go kochała? Czy może tylko wykorzystywała?

– Ale nie chciałeś mieć z nią dzieci?

Podnosi nóż, ale zaraz go odkłada.

– Mam już dzieci.

– Skoro ją kochałeś, powinieneś chcieć *jej* dzieci.

– Wydaje ci się, że to takie proste, ale nie jest. Jesteś tylko dzieciakiem. Nie masz pojęcia, jak czasem robi się trudno. Jakie to czasem skomplikowane.

Uśmiecham się kpiąco.

– Przepraszam – mówi, a potem znika w toalecie. Idealne wyczucie

czasu. Zupełnie jakbym ujrzała mapę wszechświata. Widzę, jak kelnerka wychodzi z za rogu z dwoma talerzami. Wstaję i wracam do łazienki, zostawiwszy torebkę na stoliku, żeby nikt nie pomyślał, że uciekłam. Kelnerka nie widzi mojej twarzy. Wychodzę kilka sekund później. Naleśniki z borówkami i jajka na bekonie. Wkładam rękę do torebki i wyciągam woreczek, który zabrałam ze sobą.

Za chwilę ojciec wraca i siada przy stoliku, dłonie ma wciąż wilgotne po myciu.

– Margo. – Pierwszy raz wypowiedział moje imię. Słyszając to, czuję się pusta. Smutna. Rozglądam się w poszukiwaniu kelnerki. Wróci za minutę albo dwie, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, i zapytać o dolewkę kawy.

Ojciec bierze pierwszy kęs naleśnika. Potem następny. Patrzę na niego zauroczona, jak wkłada do ust to, co mu dosypałam.

– Nie powinna była rodzić w takim stanie psychicznym. Nie wiem, czy ci o tym opowiadała, ale cierpiała na depresję. Bardzo dużo mówiła o śmierci.

– W ogóle ze mną nie rozmawiała. – Nie tknęłam swojego posiłku. Ojciec patrzy na mnie, wbijając widelec w naleśniki. Przez chwilę wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie.

– Kochałem ją – powtarza. – Nie żałuję tego.

– Zabiłeś ją. I dziecko też.

Wyciera usta serwetką, na której zostawia fioletowy ślad.

– Nie. To było... Ona chciała...

– Ty dałeś jej prochy, które ją zabiły, były burmistrzu Delafonte. Co ludzie o tym pomyślą?

– Czego chcesz?

Uśmiecham się.

– Niczego. Absolutnie niczego. Mam teraz wszystko, czego potrzebuję.

Po tych słowach wstaję i wychodzę ze spuszczoną głową.

Nie wiem, co się potem dzieje. Nie sprawdzam. Ale nakarmiłam ojca wilczymi jagodami i trzymałam kciuki, żeby umarł.

Media milczą na temat śmierci byłego burmistrza, Howarda Delafonte. Szukam i szukam, ale nie mogę nic znaleźć. Jeśli wilcze jagody zatrzymały jego obrzydliwe czarne serce, nikt się tym nie zainteresował. To mało prawdopodobne. Postanawiam pojechać autobusem do Cress End, miasteczka, w którym mieszka – większego niż moje, lecz nadal niewielkiego. Mam jego adres, znaleziony w notatkach matki, wyrysowany flamastrem na całej stronie. Zastanawiam się, co zamierzała z tym zrobić. Czy kiedykolwiek przeszło jej przez myśl, żeby pojechać tam i skonfrontować się z nim na oczach rodziny? Zobaczę jego stary dom; ten, w którym dorastały jego dzieci. Idę na piechotę trzy kilometry z przystanku i staję po drugiej stronie ulicy pod drzewem, które wygląda na chore. Dom Delafonte'ów okazuje się białym budynkiem w stylu kolonialnym ze śliwkowymi okiennicami. Trawnik jest zadbany, zimozielone krzewy przycięte w owalne kształty, gładkie, białe kamienie wyznaczają ścieżkę do drzwi wejściowych. Ciekawe, czy politycy zawsze wybierają tego rodzaju budynki, bo przypominają im Biały Dom. Potrafię wyobrazić sobie jego dzieci biegające po ogrodzie i lampki choinkowe migające w oknie. Potrafię to sobie wyobrazić, ponieważ to kwintesencja życia.

Stoję na rogu ulicy wystarczająco długo, żeby stracić czucie w palcach u stóp, kiedy pani Delafonte wychodzi z domu i rusza ścieżką. Jest kwadrans przed trzecią po południu. Była żona mojego ojca otwiera skrzynkę pocztową i pochyla się, żeby zajrzeć do środka. Jestem zszokowana. Jest zupełnym przeciwieństwem mojej pięknej matki – okrągła i twarda, a na głowie ma natapirowane włosy koloru żelaza. Założyła najbrzydszy sweter, jaki kiedykolwiek widziałam, na co się uśmiecham. Jeśli lubi brzydkie rzeczy, może mnie też polubi. Już ma się odwrócić i pomaszerować z powrotem do domu, kiedy zauważa mnie po drugiej stronie ulicy. Stoję nieruchomo, a ona przecina dwupasmową szosę, patrząc w lewo i w prawo, żeby się upewnić, że nic nie jedzie. Posyła mi ostrożny uśmiech, który rozświetla jej twarz.

– Witaj – mówi. – Jesteś stąd?

Kręcę głową. Obrzuca mnie ciekawskim wzrokiem z góry do dołu, lecz nie jak bogaczka, która ocenia moją wartość, ale niemal z uczuciem, jakby sprawdzała, w jaki sposób może mi pomóc.

– Wszystko w porządku, skarbie? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Tak było, prawda? Zobaczyłam ducha przeszłości burmistrza Delafonte.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – Trochę się tylko zagubiłam. – To też prawda, czyż nie?

– Ogólnie w życiu czy dosłownie, w przestrzeni? – pyta.

Odpowiadam uśmiechem.

– Cóż, w takim razie... – Obraca się w stronę głównej ulicy, z której przyszłam. – Autostrada jest w tamtym kierunku. A także dworzec Greyhound i przystanek autobusowy. – Teraz odwraca się w przeciwną stronę. – Tutaj z kolei znajdziesz naszą żalną miejscinę. Ja jestem raczej fanką Seattle, ale jest tu kilka knajpek, poczta, sklepy sprzedające niepotrzebne graty i tak dalej, i tak dalej. – Znowu na mnie patrzy. – Potrzebujesz pieniędzy? Masz jak wrócić do domu?

Kiwam głową, chociaż oczy mnie pieką od słonej wody, która próbuje wyciec z kanalików łzowych. Ona nie miała być taka miła.

– Mogę pani zadać pytanie? – mówię. Ona przerywa swoje sprawozdanie na temat Cress End i mruga zaskoczona. Widzę mąkę na

jej swetrze. Zastanawiam się, czy właśnie coś piecze.

– Tak. Chyba możesz.

– Jest pani szczęśliwa?

Zaciska usta tak mocno, że bieleją.

– Cóż, to dziwne pytanie, prawda? Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz je słyszałam... – Gapi się w przestrzeń i zastanawia, mrużąc oczy. – Już dawno nie byłam szczęśliwsza niż teraz. Nie jest to szczęście, jakie wyobrażałam dla siebie jako młoda dziewczyna, ale żyję i nikt jeszcze nie pozbawił mnie woli życia. – Spogląda wprost na mnie i dodaje: – Żeby być naprawdę szczęśliwą, musisz tego chcieć. Choćby życie ci się skomplikowało, musisz zaakceptować to, co się stało, porzucić ideały i nakreślić nową mapę prowadzącą do szczęścia.

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś równie wspaniałego. To najlepsza rada, jakiej można udzielić. Jest mi tak przykro z powodu tego, co moja matka i ojciec zrobili tej kobiecie, że pojedyncza łza spływa mi po policzku. Kiwam głową i odwracam się, żeby odejść. Gdybym była jej córką, byłabym dla niej dobra.

Jestem w połowie drogi do następnej przecznicy, kiedy słyszę za plecami jej wołanie.

– Żegnaj, Margo. Miłego życia.

Nie zatrzymuję się i nie odwracam, chociaż dostaję gęsiej skórki. Mimowolnie żałuję, że to nie ona mnie urodziła. Była tak dobra, że poświęciła czas, by porozmawiać z nieślubną córką byłego męża – choć zapewne właśnie z mojego powodu ich małżeństwo się rozpadło. Matka mnie ignorowała, a obca kobieta, która miała pełne prawo mnie nienawidzić, rozmawiała ze mną z niesamowitą uprzejmością.

Ostatnim przystankiem jest winiarnia ojca. Chcę się przekonać, czy go tam zastanę, a jeśli nie, może ktoś będzie w stanie powiedzieć mi coś na jego temat. Kiedy wchodzę do środka, za barem stoi młody mężczyzna i wyciera kieliszki. Podnosi na mnie wzrok i odwraca go dość szybko, żebym wiedziała, że zostałam odrzucona.

– Otwieramy dopiero o szóstej – mówi. – A poza tym jesteś chyba za młoda, żeby tu wchodzić.

– Szukam kogoś – odpowiadam. – Czy pan Delafonte...

Nagle patrzy na mnie i wtedy zdaję sobie sprawę, że rozmawiam

z własnym bratem. Jest bardzo podobny do matki, tylko w ramionach i opuszczonych kącikach ust można dostrzec nieco Howarda.

– Czegooniegocesz? – Mówi to jak jeden wyraz, niewyraźnie, rozciąga go niczym imprezowy baner.

– To już moja sprawa. Jest tutaj?

– Nie. Wziął dzisiaj wolne.

Zadzieram głowę, przenoszę ciężar z jednej nogi na drugą. Jestem niespokojna. Mam ochotę zabrać mu kieliszek i rzucić nim o ścianę.

– Zachorował?

Chłopak odkłada kieliszek i wyciera ręce.

– A kto pyta?

Chociaż tego nie chcę, na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Próbuję go zdusić, ale, ostatecznie, czym ja się przejmuję?

– Jego bękart.

Paul – bo tak się nazywa mój przybrany brat – zamiera. A potem nagle znowu wraca do wycierania kieliszków.

– Aha – mówi.

Ciekawe, czy wszyscy w jego rodzinie o mnie wiedzą.

– Chcesz pieniędzy? – pyta.

– Nie.

– No to czego? Zaproszenia na rodzinny obiadek? Zapomnij.

– Chciałam zobaczyć, czy umarł.

Kieliszek wypada mu z rąk. Łapie go, zanim wyląduje na podłodze. Chłopak wychodzi zza baru i rusza w moim kierunku.

– Jak się nazywasz? – pyta.

Uśmiecham się.

– Powiedz mu, że wpadłam się przywitać. Miło było cię poznać, Paul.

Zatrzymuje się dosłownie krok od miejsca, w którym stoję. Patrzę na niego po raz ostatni i ruszam w stronę wyjścia.

Po powrocie do pozeracza odkrywam, że pudełko z piekarnika zniknęło. Osuwam się po ścianie i siadam, chowając głowę między kolana. Gównu, a nie dzień wolnego.

Słyszę płacz dziecka. Brodzę w dół Wessex, otulając się mocniej płaszczem przeciwdeszczowym. Twarz mam mokrą i co kilka minut muszę zlizywać wodę z ust, żeby nie spływała mi po brodzie. Płacz staje się głośniejszy, gdy zbliżam się do pożeracza. Zwalniam i zadzieram głowę, próbując ustalić źródło tego dźwięku. Ryczące niemowlę to nic szczególnego w Bone. Miejscowi ludzie są nauczeni skupiać się raczej na przetrwaniu niż szczęściu. Rodzice pozwalają swoim dzieciom płakać, podczas gdy oni kłócą się i krzyczą; wymęczona samotna matka ignoruje łkanie malucha, żeby wreszcie pospać choć kilka godzin. Babcie nie reagują na szloch wnuczków, bo trochę łez nikogo jeszcze nie zabiło. Jednak ja nie słyszę płaczu nieszczęśliwego dziecka; słyszę rozpaczliwy wrzask przerażonego noworodka. *Mo.*

Oprócz tego do moich uszu dociera odgłos szurania butów o asfalt, ciche plumkanie kropli deszczu i przejeżdżające po pobliskiej autostradzie samochody. Staram się skoncentrować na tych dźwiękach – dźwiękach, które są moją sprawą. Coś szepcze mi do ucha; to kakofonia serca, płuc i umysłu, a dopełnia ją dziki lament udręczonego dziecka.

Wiedzie mnie do domu cracku. Nie do drzwi, ale do okna, w którym widzę żółte światło sączące się ze szpary między zasłonami.

Wiem, że Mo znajduje się pode mną i właśnie gotuje metę w piwnicy. Tym zajmuje się nocami. Szykuje metę, której sam nie bierze, za to sprzedaje, co jest chyba najmądrzejszym wyjściem. Tylko że jego dziecko na górze wrzeszczy, a on go nie słyszy. Może mały się zranił... Może...

Zaglądam przez szparę, ale jest zbyt wąska, żebym mogła swobodnie rozejrzeć się po pokoju. Widzę łóżko i przez moment czuję ulgę. Mały Mo nie jest sam. Jego matka klęczy w rozbebeszonej pościeli, obrócona do mnie wąskimi plecami, z długim warkoczem odrzuconym do tyłu. Nazywa się Vola. Jest szczupła i egzotyczna; Mo wspomniiał mi raz, że pochodzi z Polinezji. Vola nieustannie krzyczy na Mo, a Mo nieustannie krzyczy na Volę. Czasami wynoszą swoje krzyki na ulicę; Vola zawsze trzyma w ręku klucze od samochodu i grozi, że zostawi Mo na dobre. Mo wyrzuca jej ciuchy na podwórko, całymi garściami: żółcie i fiolety sfruwają na zachwaszczony trawnik niczym konfetti. Wrzeszczy, żeby wypierdalała, że jest pieprzoną suką, a jeśli go zostawi, jeszcze tego, kurwa, pożałuje. Ona zawsze odpowiada ciszą. Jej milczenie wydaje się bardziej głębokie niż jego krzyki, jakby była ponad te tanie, niedbale rzucane wyzwiska. A Mo wydaje się to rozumieć, bo zaraz zaczyna wywrzaskiwać: „Co? Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie, suko? Wypieprzaj stąd”. Bywa, że Vola faktycznie zostawia go na jakiś czas. Jedzie do swojej matki w Seattle. Ale za tydzień jej samochód znowu stoi przed domem Mo, a oni obściskują się na podjeździe – jego ręka wędruje pod jej koszulkę, ona ociera się o niego tak agresywnie, jakby chciała go rzucić na ziemię.

Vola nie pochodzi z Bone. To widać. Mo poznał ją w barze w Seattle. Nikt tak naprawdę jej nie zna, a ona nie czuje potrzeby, by zbliżyć się do kogokolwiek stąd. Przechyliłam głowę, żeby lepiej przyjrzeć się łóżku. Szyba zachodzi parą od mojego oddechu. Ostrożnie ją wycieram, a potem opieram wszystkie palce o okno, próbuję zachować równowagę. Mo włączył w piwnicy muzykę tak głośno, że aż szyby drżą. To jednak nie wystarcza, nie udaje mu się zagłuszyć krzyków dziecka. Może Mały Mo jest chory. Może...

Z początku nie rozumiem, co właściwie widzę. Mój mózg potrzebuje chwili, żeby nadażyć – jest ospały, pracuje jakby w gęstej

mgle. No i prawie nic nie widzę! Mogę się mylić. A potem wszystko dzieje się zbyt szybko: oddech, serce, myśli. Jedno wpada na drugie, aż kręci mi się w głowie.

Vola pochyla nad czymś głowę. Patrzę, jak podnosi rękę, a potem jeszcze raz i jeszcze. Coś uderza. Wmawiam sobie, że poduszkę. Pokłóciła się z Mo i wyładowuje złość na poduszce. Robiłam już tak, mściłam się na Bogu ducha winnej pościeli za przewinienia jakiegoś wrednego dzieciaka ze szkoły albo matki. Biłam i biłam, aż zaczynały mnie boleć knykcie, a gniew gdzieś ulatywał. Ale wiem, że to nieprawda, ponieważ nie widzę dziecka za szczebelkami łóżeczka. Vola nagle się prostuje i moim oczom ukazuje się Mały Mo. Leży na brzuszku z uniesioną główką, jego twarz jest czerwona od krzyku, mokra od łez. Płacze tak rozpaczliwie, że męczy się zaraz i milknie, kładąc główkę na bok i zamykając oczy. Jego drobne plecki podnoszą się i opuszczają pod wpływem gwałtownych, głębokich oddechów.

Gdy tylko zamyka oczy, Vola wyciąga rękę i szczypie go w nóżkę tak mocno, że aż się wzdrygam. Jego głowa natychmiast wystrzela w górę i dziecko znowu zaczyna zawodzić, jego spuchnięta twarz błyszczy się od łez. Zamieram. Patrzę, jak Vola chwyta poduszkę i uderza nią w główkę Małego Mo, która odbija się od pościeli i za chwilę zadziera do góry. Dziecko opiera się całym ciężarem na brzuszku i wierzga rękami i nogami. Ono się trzęsie, a ona jest taka spokojna. Nie wiem, na co patrzę. Czuję, że czegoś nie rozumiem, ale co tu jest do nierozumienia? Jestem świadkiem czegoś potwornego. Gdy tylko Mały Mo uspokaja się po uderzeniu poduszką, Vola zadaje mu kolejny cios, tym razem tak mocny, że dziecko przewraca się na plecki.

Nie mogę... Nie mogę...

Odrywam się od okna, brakuje mi powietrza, serce szamocze się w klatce piersiowej jak zranione zwierzę. Słyszę jakiś dźwięk i podnoszę wzrok, próbując uspokoić oddech. Na dachu domu siedzi kruk, tuż nad moją głową. Jego błyszczące pióra stapiają się z ciemnym niebem, ale widzę zarys kształtu ptaka, ostrość dzioba. Patrzy na mnie, przechylając główkę to na jeden bok, to na drugi. Kracze do mnie, jakby chciał coś powiedzieć, a potem rozkłada skrzydła i odlatuje.

Moja dusza reaguje. Gdzieś głęboko budzi się we mnie coś, o czym

myślałam, że umarło. Umysł bije na alarm. *Zaraz stracisz kontrolę. Zaraz stracisz kontrolę. Zaraz stracisz kontrolę.* I może ma rację, ale co mnie to obchodzi? Czy panowanie nad sobą kiedykolwiek przyniosło mi jakąś korzyść? Coś jeszcze do mnie przemawia. To inny głos – prymitywny, cichy, obcy. Słowa najpierw nie mają sensu, lecz po chwili go nabierają. *Idź, idź, idź.* Mówi. *Zrób, zrób, zrób.* Dusza mówi. Szukam wzrokiem kruka, żeby zobaczyć, co on powie, ale już dawno nie ma po nim śladu. Im dłużej tu czekam, tym więcej cierpi Mo.

Serce bije mi jak szalone. *Łup, łup, łup.* Jestem już przed drzwiami wejściowymi. *Łup, łup, łup.* Próbuję przekręcić gałkę. *Dlaczego jest otwarte? Łup, łup, łupłupłup.* Wchodzę do środka. Zamykam za sobą cicho. *Łup, łup, łup.* Na podłodze leży fotelik dla dziecka, a zaraz obok klucze, jakby Vola rzuciła je tam w pośpiechu. W pośpiechu zapomniała też zamknąć drzwi na klucz – coś, co nie spodobałoby się Mo. Jego biznes wymaga zamkniętych drzwi, broni i zbirów. Gdzie jego zbiry? Dom jest pusty. *Łupłupłupłup.* Idę przez kuchnię. Na blatach syf: jedzenie, talerze, kocia sierść. Ogromny pajak wspina się na butelkę oleju roślinnego i przysiada na nakrętce. Śmierdzi tu trawką, papierosami i pleśnią. Podobnie jak w pozeraczu, nie licząc trawki. Na blacie leży nóż do steków upaprany majonezem. *Nie.* Za duży bałagan. Ruszam przez korytarz do drzwi, za którymi spodziewam się zobaczyć Volę i Mo. Jestem spokojna, nie kieruję się emocjami. Przez chwilę gapię się na mosiężną gałkę. Widzę na niej swoje odbicie. Okazuje się ciepła, gdy jej dotykam. Okazuje się gładka, gdy ją przekręcam. Vola nie dostrzega mnie od razu; jest zbyt skupiona na tym, co właśnie robi – na gnębieniu małego dziecka.

Podnosi rękę, a ja rzucam się do przodu. Nie mam planu, nie mam zamysłu. Właściwie to czuję się jak bierny obserwator, który spogląda na moje ciało z dalekiego zakątka wszechświata. Łapię ją za warkocz. Jest długi i gruby. Vola nie spodziewa się ataku, więc zaczyna padać w tył. Ma połowę mojej wagi i dobre trzydzieści centymetrów wzrostu mniej, więc wydaje się lekka i pusta w środku. Ściągam ją z łóżka za warkocz opleciony wokół mojej dłoni. Spada na tyłek i krzyczy z zaskoczenia, ale zostaje zagłuszona przez wrzask dziecka i dudnienie muzyki. Ma otwarte usta, patrzy na mnie wielkimi oczami. Spoglądam na łóżko, żeby

sprawdzić, czy Mały Mo jest tam bezpieczny. Jego oczy też są otwarte. Ssie swoją maleńką piąstkę.

Jego widok przełącza we mnie jakiś przyczek. Niemal to słyszę. *Klik*. Mózg nagle przestaje bić na alarm, że stracę kontrolę, chociaż w zasadzie jej nie tracę. Właściwie to nigdy nie byłam tak spokojna. Gładka tafla jeziora. Śpiące dziecko. Melodia harfy. Moje ciało porusza się naturalnie. Po prostu nie chcę przerwać tego, co się dzieje. Pragnę zemsty. Ten sam głos, który mnie tutaj przywołał, teraz podpowiada mi, że Vola musi zapłacić za to, co zrobiła Małemu Mo.

Ciągnę ją za włosy do starej, potrzaskanej toaletki o ostrych krawędziach. Na blacie stoją w szeregu lakiery do paznokci – niebieskie i turkusowe. Vola otrząsnęła się z pierwszego szoku i próbuje się uwolnić. Oplatam jej włosy ciasniej o swoją dłoń i podnoszę ją z kolan, aż znajdzie się w na wpół stojącej pozycji. Jej usta się poruszają, wydostają się z nich słowa, których nie słyszę. Jej pięści uderzają w moje boki i brzuch, gdzie tylko da radę dostać. Nic sobie z tego nie robię; to jak delikatna bryza próbująca przesunąć drzewo. Spoglądam w jej puste oczy kilka długich sekund, próbując dojrzeć w nich jakieś odpowiedzi. Nie ma żadnych. Ona jest chora. Nienormalna. Fizycznie piękna. Niewarta życia, które dostała. Jest drapieżnikiem. Złym człowiekiem. Widzę matkę w jej szarych, widmowych tęczęwkach. A potem z całej siły uderzam jej lewą skronią w róg toaletki. Upada u moich stóp. Nieruchoma. Worek kości pozbawiony duszy.

Uśmiecham się ponuro i gdzieś głęboko, głęboko w środku wiem, że robię coś nienormalnego. Spoglądam na łóżko. Rozproszony wzrok Małego Mo skierowany jest w moją stronę. Spokojnie podchodzę i podnoszę dziecko, przytulając je do piersi, kołyszę je.

– Ciii – mówię mu. Masuję mu plecki, całuję w czółko. Jak długo musiał tak cierpieć? Myślałam, że jest z nim coś nie tak, ale teraz wiem, że to nieprawda. Jego rozproszony wzrok, odrętwiałe ciało i to, jak zdaje się nie słuchać, kiedy do niego mówisz – to wszystko przez nią, przez jej dręczenie.

Kiedy mały usypia, kładę go do łóżeczka. W kącie pokoju widzę stołek. Przyciągam go do toaletki i stawiam między ścianą a ciałem Voli. Potem idę do szafy po but. Znajduję plastikowy kłapek wojskowy.

Później maszeruję do kuchni, żeby odszukać pająka. Wspiąłem się na ścianę nad zlewem, niedaleko butelki z olejem, na której widziałam go wcześniej. Owłosiony pająk. Chowam go w dłoniach i zanoszę do pokoju. Zostawiam go na ścianie nad ciałem Voli, patrząc, jak wchodzi po niej zygzakiem. Nawet mi do głowy nie przyjdzie pomyśleć o dorosłym Mo, który w piwnicy gotuje swoją metę. Mógłby w dowolnym momencie wejść do sypialni, ale ja się nie boję. Nie obchodzi mnie nic prócz pająka. Kiedy dociera już prawie do sufitu, wchodzę na stołek i zgniatam go kłapką, rozsmarowując na ścianie. Dramatyczna śmierć. Biedny pajączek. Wycieram kłapek z odcisków palców i układam w martwej dłoni Voli. Potem przewracam stołek i po raz ostatni spoglądam na Małego Mo. Wzdycha przez sen, głęboko i chrapliwie, jak ktoś, kto cały wieczór płakał.

Zamykam za sobą po cichu drzwi do sypialni, żeby nie obudzić malucha, a potem na wszelki wypadek wycieram rękawem gałkę. Wychodząc na zewnątrz, stawiam fotelik prosto, układam kluczyki na blacie kuchennym i zamykam drzwi.

Uśmiecham się smutno do księżycyca. Niektórzy widzą w jego kształcie obcięty paznokiec, ale ja dostrzegam raczej wykrzywione usta. Księżyc jest zły, zazdrosny o słońce. Ludzie robią nikczemne rzeczy nocą, pod pustym spojrzeniem księżycyca. Uśmiecha się teraz do mnie, dumny z mojego grzechu. Ja nie jestem dumna. Nic nie czuję. Oko za oko, mówię sobie. Krzywda za krzywdę.

W ciucholandzie jest pełno płaskich kolorów. Wszystkie wyblakły, a sploty i kwieciste wzory są wytarte na łokciach i kolanach, a to plama atramentu na rękawie, a to plama po kawie w miejscu, które niegdyś wypychała kobieca pierś. To przygnębiające dotykać niechcianych rzeczy – spranych, powyciąganych, zniszczonych. Jednak dzisiaj, dzień po zamordowaniu z zimną krwią kobiety, wszystko w sklepie wydaje się zbyt jaskrawe. Chciałabym zamknąć oczy, by uchronić je przed atakiem kolorów i wzorów. Chciałabym znaleźć się w jakimś spokojnym i cichym kącie, by się zastanowić nad szczegółami wczorajszej nocy.

Chyba zwariowałam. I nie jest to szaleństwo, z którego można być dumnym. Nikt nie rzuci z uśmiechem: „Ale z ciebie krejzolka!”.

Oszalałam w sposób, o którym nikt nie mówi. Oszalałam jak Jeffrey Dahmer. Jak Aileen Wuornos i Charles Manson. Jak wszyscy ci ludzie, których wyszukałam w Internecie w bibliotece i o których potem czytałam książki. Czy oni znali powagę swojego szaleństwa? Czy usprawiedliwiali swoje zachowanie? Narcyzi. Ja przynajmniej jestem świadoma, prawda? Nie usprawiedliwiam tego, co zrobiłam.

Składam ubrania, wrzucam pieniądze do kasy, wynoszę torbę ze śmieciami do kubła na tyłach. Zajmuję się wszystkimi codziennymi

sprawami, próbując pojąć na nowo normalność, podczas gdy ręce mi się trzęsą, a wnętrzności splotły się w ciasny węzeł. Spodziewam się w każdej chwili zobaczyć tłustych policjantów z Bone, jak wmaszerowują do sklepu, żeby mnie aresztować. Oni jednak tylko zatrzymują się po drugiej stronie ulicy, żeby kupić sobie obiad w wozie.

Sandy przez cały dzień dziwnie na mnie patrzy i pyta, co jest ze mną nie tak. Przynosi mi nawet bajgla. Uśmiecham się tylko i kręcę głową. Udaję, że mam migrenę. Składam ubrania, wycieram kurz, wyrzucam śmieci, naciskam guziki na kasie. Idę do łazienki i opieram się o ścianę, próbując wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać więzienie.

Skończyłam dopiero dziewiętnaście lat. Miałam przed sobą całe życie, ale oczywiście musiałam je zrujnować. Odgrywam w myślach wczorajszą noc raz jeszcze, tylko inaczej. Przychodzi mi do głowy kilkanaście różnych scenariuszy, w których Vola przeżywa, Mały Mo trafia gdzieś, gdzie jest bezpieczny. Wystarczyło pobiec do Judaha i zadzwonić po policję. Ale co potem? Mo by się na mnie zemścił. Nie dlatego, że nie uwierzyłby mi, ale dlatego, że tak po prostu się robi. Jeśli ktoś zakłóca spokój twojej rodziny, musisz mu się odpłacić. Mogłabym pokazać mu nagranie Voli bijącej jego syna, a on i tak ukarałby mnie za bycie posłańcem. A co, jeśli policja zabrałaby Małego Mo? Co, jeśli Vola przekonałaby ich, że dziecko spadło z łóżka albo zachorowało? Zresztą nawet gdyby mi uwierzyli i zabrali go do rodziny zastępczej, czy tam miałyby lepiej niż u psychicznych rodziców handlujących crackiem? Ile bym nie próbowała i jak bardzo bym się nie bała, nie potrafię przekonać samej siebie, że zrobiłam coś złego. Właśnie w tym nie różnię się od innych, od Wuornos, Dahmera i Mansona. Nie żałuję swojego wyboru.

Niewiele padło pytań o Volę, nieruchomą i zimną, leżącą na podłodze sypialni Mo z niewidzącymi oczami skierowanymi w kąt. Policja przyjechała i odjechała, świecąc niebieskimi lampami w okna sąsiadów. Dziesięciu lokatorów domu złych ludzi, jak jeden mąż, wyszło na trawnik z papierosami, w żonobijkach, czyniąc z małej działki coś na kształt więziennego spacerniaka. A potem, kiedy ratownicy stwierdzili śmierć Voli, przyjechał van z kostnicy – stary i biały, toczył się po Wessex jak stateczny, nadszarpnięty zębem czasu dżentelmen. Czyżby

scenka zaimprovizowana w sypialni okazała się aż tak przekonująca?

Słyszałam, jak ludzie gadają w okolicy i w samym ciucholandzie. Pająk zmienił się w szczura, szczur w oposa, jednak poza tym historia śmierci Voli pozostawała taka sama. Próbowwała zabić jakiegoś nieproszonego gościa, żeby ochronić dziecko, co skończyło się uderzeniem w głowę i zgonem. Co miałyby mieć do roboty policja? Moja mała improwizacja zadziałała. Przerazało mnie to i jednocześnie napełniało chorym poczuciem władzy. Zrobiłam coś takiego w takim miejscu jak Bone i najwyraźniej uszło mi to na sucho. Gdyby Vola była kimś innym i mieszkała gdzie indziej, być może przeprowadzono by śledztwo. Jednak tutaj, w Bone, gdzie ojcowie gotowali metę w piwnicach, ktoś mógł uderzyć się skronią w kant toaletki, chcąc zabić pająka, i umrzeć.

Zanim Mo zadzwonił na policję, musiał gdzieś ukryć narkotyki i sprzęt do ich przygotowywania. Czyżby je wyrzucił? Miał alibi na czas śmierci Voli. Siedział w piwnicy i słuchał muzyki razem z dwoma kumplami, racząc się trawką i drinkami z wódki i energetyków. Żaden nie słyszał łupnięcia, z jakim ciało Voli uderzyło w toaletkę i podłogę, ponieważ muzyka była zbyt głośna.

Znalazł ją, kiedy poszedł na górę po kolejną butelkę wódki, a potem zawołał do kolegów, żeby wezwali policję. Policja przeszukała dom, sama to widziałam, ale do tego czasu Mo zdążył pozbyć się wszystkiego, co mogło go wpędzić w kłopoty. Przebiegły skurczybyk. Ale cieszę się, że go nie przyskrzynili. A gdyby wiedział, do czego była zdolna Vola, może sam by ją zabił.

O dwudziestej zamykam sklep i ruszam do domu. Jest mi niedobrze, więc tym razem nie kupuję kawy. Zamiast tego obgryzam paznokcie. Spodziewam się zobaczyć przed pozeraczem rząd radiowozów, kiedy jednak skręcam w Wessex, okazuje się, że nic się właściwie nie zmieniło poza tym, że brakuje samochodu Voli na podjeździe Mo. Zatrzymuję się przed domem cracku i waham chwilę przed podniesieniem ręki, ale w końcu pukam do drzwi.

Mo zaraz pokazuje się w progu. Oczy ma zapuchnięte i wygląda na to, że pił.

– Nic dzisiaj nie mam – mówi. – Musiałem się pozbyć całego

towaru przed przyjazdem policji.

– Nie po to przyszłam – odpowiadam szybko. – Chciałam zapytać, czy nie potrzebujesz pomocy przy dziecku. Mogę go zabrać na jakiś czas, jeśli tego ci trzeba.

Twarz Mo łagodnieje.

– No, dzięki. Teraz śpi, ale może rano byś wpadła. Cały dzień dzisiaj płakał. Chyba tęskni za Volą.

– Na pewno – rzucam beznamiętnie. – To zrozumiałe.

Słyszę dudnienie muzyki z dołu i zastanawiam się, ile osób siedzi w piwnicy, podczas gdy na górze dziecko leży samo.

– Wrócę jutro rano – mówię.

Gdy tylko Mo zamyka drzwi, zakradam się pod okno sypialni. Światło jest zgaszone, ale wyobrażam sobie zwiniętego w kłębek malucha. Pograżonego we śnie. Bezpiecznego. I przez krótką chwilę czuję się uspokojona. Postąpiłam słusznie.

Kiedy następnego ranka pukam do drzwi Mo, otwiera je kobieta. Czuć od niej ciężki zapach perfum, a na rękach ma złote bransolety aż po łokcie. Mały Mo siedzi na jej biodrze, z jego otwartych ust dobywają się dźwięki niezadowolenia z powodu wpijającej mu się w bok biżuterii.

– No? – mówi kobieta, obrzucając taksującym wzrokiem moje dżinsy i bokserkę. – A ty kto?

Cofam się odruchowo, słysząc te krótkie, wypowiedziane byle jak zdania. Ciekawe, czy pomagała Mo zapomnieć o tragedii. Vola wypowiadała się zawsze pełnymi zdaniami, nawet kiedy wrzeszczała na swojego chłopaka na trawniku przed domem. „TY LENIWY SKURWYSYNIE, POWINIENESZ ZNALEŹĆ SOBIE WRESZCIE JAKĄŚ UCZCIWĄ ROBOTĘ, TY DILERZE ZAWSZONY, I ZAJĄĆ SIĘ PORZĄDNIE WŁASNYM SYNEM!”

– Przyszłam zabrać Mo ze sobą na kilka godzin. To znaczy Małego Mo – dodaję.

Kobieta podaje mi dziecko, nie zadając więcej pytań, jednocześnie wołając przez ramię:

– Twoja niańka przyszła.

Mo odkrzyknął jej coś o torbie z pieluchami. Kobieta idzie do

kuchni i przynosi mi stamtąd papierową torbę z pamperssem i dwiema oszronionymi butelkami. Zabieram je bez słowa. Tamtej chyba ulżyło, gdy się pozbyła niemowlaka. Zaraz strzepała koszulkę i spodnie, jakby żałowała dotykania go.

Mały Mo przestaje marudzić. Najwyraźniej czuje się w moich rękach komfortowo, co daje mi dziwną satysfakcję. Niosę go przez podjazd i dalej, aż do domu Judaha. Już w salonie kładę go na kanapie i rozbieram.

– Co robisz? – pyta Judah, zerkając przez ramię na Delaney, która właśnie myje naczynia.

– Szukam siniaków – odpowiadam.

– Dlaczego? – Podjeżdża kawałek, żeby lepiej widzieć to, co robię.

Waham się przez moment przed zdjęciem śpioszków małego; może sobie to wszystko wymyśliłam. Potem cofam się o krok, pozwalając Judahowi spojrzeć na klatkę piersiową malucha.

Ciemne, śliwkowe ślady zostały w miejscach, gdzie na moich oczach Vola szczypała Małego Mo. Reszta ciała wydaje się nieruszona mimo bicia, jakiego byłam świadkiem. Uderzała go otwartą dłoń i nie dość mocno, by nabić siniaki. Czy nie tak zazwyczaj bito dzieci? Wybieraj miejsca, które można ukryć pod ubraniami. Zadawaj takie ciosy, by bolały, ale nie zostawiały śladów.

– A to skąd? – pyta Judah. Wyciąga rękę i dotyka purpurowej plamy opuszką palca.

– Wydaje mi się, że jego matka... Myślę, że ktoś go bije.

Judah zabiera dłoń, jakby się oparzył.

– Przecież to niemowlę...

– I myślisz, że ludzie nie biją niemowląt?

Czasami Judah mnie zadziwia. Posiadanie lepszej matki niż większość z nas czyni go trochę naiwnym.

Patrzę na niego kątem oka. Ma wykrzywione usta, jakby spróbował czegoś obrzydliwego, a wzrok wbija w Małego Mo.

– Myślisz, że Mo...

– Nie. Nie uważam, by robił to jego ojciec.

– Czyli... Twoim zdaniem matka...?

Zaciskam zęby. Judah szybko łączy fakty. W tym tempie do obiadu

zdąży udowodnić mi morderstwo pierwszego stopnia.

– Zauważyłam je niedawno. Chciałam sprawdzić, czy będzie miał jakieś nowe.

Delikatnie ubieram na powrót Małego Mo i biorę go na ręce. Przez cały ten czas nawet nie pisnął, tylko patrzył na mnie tymi ciemnymi, zamglonymi oczami. Przyciskam go do piersi, chcąc wyprytulać z niego pierwsze osiem miesięcy życia, lecz wtedy on cały sztywnieje i zaczyna mnie odpychać piąstkami.

Czytałam kiedyś artykuł o sierotach z Chin, które zostały pozostawione same w łóżeczkach na tak długo, że ludzie przylatywali z innych krajów i przeznaczali swoje wakacje na przytulanie ich. Maluchy były nieprzyzwyczajone do dotyku innych ludzi. Jednak dla Mo dotyk oznacza ból, dlatego sztywnieje i się ode mnie odsuwa. Teraz wszystko ma sens. To, co uznawałam wcześniej za niepełnosprawność, okazuje się konsekwencją dręczenia przez matkę. Zaczynam masować mu plecki i czuję, jak napina mięśnie.

Nagle ogarnia mnie chęć, by opowiedzieć o wszystkim Judahowi. O tym, jak wracając ze sklepu, usłyszałam płacz Małego Mo. O tym, co zobaczyłam przez okno i jak bez zastanowienia weszłam do domu, żeby rozbić głowę Voli o kant toaletki. Chciałabym powiedzieć mu, że cieszę się z jej śmierci i najchętniej zabrałabym Małego Mo stamtąd na zawsze. Już otwieram usta, mając całe wyznanie na końcu języka, kiedy do pokoju wchodzi Delaney, wycierając ręce w ścierkę i kręcąc głową.

– Biedaczysko – mówi. – Każdy potrzebuje matki. – Nagle zdaje sobie sprawę, co właśnie powiedziała, i natychmiast robi się czerwona. – Przepraszam, Margo...

– Nic się nie stało. Z niej i tak nie była najlepsza matka.

Trzęsą mi się ręce, tylko ręce. Moja matka nie żyje i chociaż była beznadziejnym rodzicem, jednak była. Teraz zostałam sama. Przyciągam Mo bliżej i wążam jego główkę. Nie chcę, żeby i on został sam.

Lyndee Anthony jest kłamczuchą. Stoję za nią w kolejce w Quickie Corner, żując kosmyk włosów, podczas gdy ona płaci za cienkie papierosy. Bibelot podrywa ją na swój ćpuński sposób, czyli śmieje się ze wszystkiego, co Lyndee mówi, i każde zdanie zaczyna od „a niech mnie”. Zauważa breloczek ze SpongeBobem przy jej kluczach i pyta, czy ma dzieci.

O mój Boże, Bibelot, czy ty nie oglądasz wiadomości? – mam na czubku języka. Spodziewam się, że Lyndee się zaraz popłacze. Wstrzymuję nawet oddech, wyobrażając sobie, jak jej kanaliki łzowe się otwierają przed falą rozpacz. Ona jednak chichocze tylko i nieśmiało kręci głową. Nie? Wciąż jestem w szoku i próbuję dojść, co to ma znaczyć, kiedy ona pochyla się nad ladą, by odebrać resztę z dłoni Bibelota. Może nie chce, żeby ludzie wiedzieli, że jest matką Nevaeh Anthony. Może ma już dosyć tych spojrzeń, tych słów, tego żałowania. Bibelot przytrzymuje rękę tuż poza jej zasięgiem, więc Lyndee musi podskoczyć, żeby zabrać drobne. A on gapi się w jej cycki jak sroka w gnat. Lyndee wyraźnie podoba się to przekomarzanie – robi takie słodkie oczy, że Bambi wyglądałby przy niej jak seryjny zabójca. Bawi się i flirtuje, jakby jej córeczka wcale nie umarła.

Właśnie w tym momencie dochodzę do wniosku, że jest kłamczuchą. A jeśli potrafi skłamać, że nie ma dziecka – dziecka, które zostało zamordowane, do jasnej cholery – to co jeszcze ukrywa? A może przesadzam. Może kobieta udaje kogoś innego, żeby uciec od tragedii. Kiedy Bibelot nasyci już wzrok jędrnym biustem, podaje jej resztę, a ona chichocze całą drogę do wyjścia.

– To matka Nevaeh Anthony, ty palancie – mówię mu.

Wyciąga paczkę zdrowych papierosów z półki i nabija je na kasę.

– Wiem – odpowiada.

– I skłamała na temat dziecka – oznajmiam, podając mu pieniądze.

– Wiem.

– To po co ten flirt i te pytania?

Bibelot wzrusza ramionami.

– A dlaczego nie? – Podaje mi papierosy. – Chcesz poznać opinię profesjonalisty? – pyta, zniżając głos i opierając się łokciami o ladę, żeby znaleźć się bliżej mnie. – To ona pozbyła się dziecka. Wcale nie porwał jej jakiś nieznajomy.

Ćpun ze stacji paliw jako pierwszy mówi na głos to, co myślę. Spoglądam przez ramię, żeby przekonać się, czy ktoś jeszcze jest w sklepie.

– Dlaczego tak uważasz? – syczę, wkładając fajki do kieszeni.

– Moja kuzynka pracuje z nią w myjni – mówi. – Kuzynka ma małą córeczkę, wiesz? Mniej więcej w tym wieku co córka Lyndee. Marudziła kiedyś w pracy, że nie może iść na imprezę do koleżanki, bo nie ma z kim zostawić dziecka. A Lyndee na to, żeby dosypała jej do kolacji połówkę tabletki nasennej. Ponoć sama tak robiła, gdy chciała wyjść z domu.

Gapię się na Bibelota szeroko otwartymi oczami, kwaśny strach ściska mi żołądek.

– Muszę iść – rzucam.

Jestem już w połowie drogi do drzwi, kiedy słyszę jego wołanie.

– Hej, Maggie!

– Margo – poprawiam go.

– Dobrze wyglądasz, dziewczyno! Totalnie bym cię brał.

Przewracam oczami, jednak w jego słowach jest coś głęboko

satysfakcjonującego. Aż muszę się uśmiechnąć.

Maszeruję właśnie w dół Wessex, kiedy zdaję sobie sprawę, że kupiłam papierosy dla matki, która leży w urnie w kącie swojej starej sypialni.

W Bone znajduje się jeden sklep spożywczy, dwie stacje benzynowe i kilka małych lokali typu budka z burgerami albo salon gier. Nie da się nie zobaczyć kogoś przynajmniej raz w tygodniu. A przynajmniej tak sobie mówię, śledząc Lyndee po ulicach Bone Harbor.

Dopiero gdy jednego wieczora idę za nią z przystanku do Wal-Marta, zdaję sobie sprawę z prawdziwych rozmiarów mojej obsesji. Maszeruję za nią przez silnie oświetlone alejki z niebieskim koszykiem przewieszonym przez rękę, podczas gdy ona w pośpiechu wrzuca rzeczy do swojego: paczkę spaghetti po bolońsku, dwulitrową butelkę pepsi, ogromny słój kiszonych ogórków i torebkę zielonych jabłek.

Codziennie zjada jabłko, siedząc na przystanku. Wyciąga cienkie plasterki z plastikowego opakowania. Mijam ją po drodze do ciucholandu, przyglądając się suszonym jabłkom, które leżą obok niej na ławce. Patrzę, jak siedzi skulona i przesuwając palcem po ekranie komórki.

Kiedy Nevaeh zaginęła, Lyndee spędzała czas ze swoim chłopakiem, Steve'em. Ugotowali sobie kolację i zostali w domu, żeby pooglądać filmy na DVD. Makaron z serem i *Transformersy*.

Im więcej obserwuję Lyndee, tym dziwniej się czuję. Czasami widuję ją na schodkach, gdy wracam do domu. Siedzi ze Steve'em i popijają lemoniadę, a ze środka dobiegają dźwięki muzyki ze zbyt rozkręconego stereo. Szukam uważnie oznak żalu, lecz one nigdy się jeszcze nie pojawiły. Przynajmniej nie na moich oczach. Matka wyglądała podobnie – jak jeleń gapiący się w światła nadjeżdżającego samochodu. Kupuję paczkę cukierków, którymi zajadała się Nevaeh w autobusie, i zabieram je ze sobą do domu Judaha. Jemy je na podwórku, patrząc na deszcz.

– Nigdy nie widziałam, żeby płakała – mówię o Lyndee.

– Każdy inaczej przeżywa żalobę – stwierdza Judah.

Chyba ma rację.

– Ale czy nie powinno się płakać? Chociaż trochę? A przynajmniej

wyglądać smutno?

Wysysa cukierka, który przykleił mu się do zębów, a potem patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

– Miałem pięć lat, kiedy odkryli guza. Musieli mi go usunąć chirurgicznie. Lekarz coś spieprzył i uszkodził nerwy. – Przeciera twarz dłonią i nagle pewny siebie żartowniś znika, a ja widzę wszystkie cienie Judaha. – Boże, terapia... Żaden dzieciak nigdy nie powinien być tak chory. Mama nie odstępowała mnie na krok. Musieli ją zmuszać, żeby wreszcie się przespała albo wzięła prysznic. Ale nawet raz nie widziałem, żeby płakała. To nie znaczy, że nie cierpiała.

Nigdy wcześniej tyle od niego nie usłyszałam na temat przyczyny jego niepełnosprawności. To wcale nie był wypadek samochodowy, jak domyślały się dzieciaki w szkole. Pamiętam go, gdy był jeszcze mały. Biegał po podwórku nago i piszczął, a potem Delaney łapała go od tyłu i łaskotała. Czasami widziałam też, jak pracował z nią w ogródku, sadząc różne rośliny.

Potem nagle przestał się pojawiać na dworze. Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki nie zaczęła się szkoła. Miał chodzić do tej samej klasy co ja, tylko że nie było go ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego dnia. Minęło kilka miesięcy i wracając z lekcji, zobaczyłam wózek. Stał pusty na podjeździe, ale jego obecność wszystko tłumaczyła. Coś się wydarzyło. *Coś*. Ale co?

Kiedy zapytałam matkę, powiedziała mi, że zachorował. Nie było go jakiś czas i wrócił jako kaleka. Nie wiedziałam, co to znaczy kaleka, dopóki nie poszłam następnego dnia do szkoły i nie zagadnęłam o to nauczycielki, pani Garret. Wtedy wózek inwalidzki nabrał sensu. Judah nie mógł dłużej używać nóg. Próbowałam to sobie wyobrazić. W jego domu nie było schodów, tak jak w naszym, ale jak wchodził do wanny? Jak wychodził? Kto zakładał mu spodnie rano, jeśli nie mógł wstać i zrobić tego samemu?

Usłyszałam wtedy od swojej matki, że chyba Delaney to za niego robi. Od tamtej pory bardzo uważnie mu się przyglądałam. Nie dlatego, że uważałam go za dziwoląga, jak inne dzieciaki. Dlatego, że nie miałam pojęcia, jak może być tak od nas różny i nadal ciągle się uśmiechać.

Kończę opakowanie cukierków i zginatam torebkę w dłoniach.

Skąd ja się tu w ogóle wzięłam, na podwórku Judaha? Przecież kiedyś w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, a teraz widywałam się z nim codziennie.

– Hej – mówi.

– Co?

– Ostatnio jakoś inaczej wyglądasz.

Śmieję się pod nosem.

– Ostatnio? Masz na myśli te dwa miesiące, odkąd się znamy?

– Ach, daj spokój. Przecież mieszkaliśmy blisko siebie od dziecka.

Może nie poznaliśmy swoich imion, ale...

– Jak inaczej? – pytam. Dłonie mi się pocą. Wyglądam jak morderczyni, to ma na myśli. Ale co dokładnie widzi Judah? Krew na moich rękach?

– Jakbyś miała już wszystko w dupie – odpowiada.

Wcale nie.

– Pamiętam, jak obserwowałam cię, gdy szłaś do szkoły. Każdego dnia. Od pierwszej do dwunastej klasy. Przypominałaś mi szczura.

– Cooo? – Obracam się gwałtownie, a on udaje, że się mnie boi.

– Przemykałaś ze spuszczoną głową, jakbyś się wszystkiego bała – wyjaśnia ze śmiechem. – Chowałaś się pod kapturem płaszcza przeciwdeszczowego, zerkiałaś na świat podejrzliwie, jakbyś się spodziewała, że zabierze ci ser.

– Przecież zabrało mi ser, głupku.

– Cóż, teraz już tak nie robisz. Teraz bujasz się jak gangsterka, ze swoją płócienną torbą i w niebieskich martensach.

– Głupiś – rzucam, ale w środku nie mogę się nadziwić, że tak doskonale mnie przejrzał. I kiedy dokładnie przestałam być szczurem?

– Podoba mi się ten twój nowy *image*, lwico – mówi.

Judah nie wspomina o tym, jak bardzo schudłam, odkąd zerwałam z pączkami i resztą ferajny. Tłusty szczur stracił kilka kilogramów. Przestałam też obcinać włosy za każdym razem, gdy sięgały mi poniżej brody. Teraz opadają mi na ramiona i przypominają umierającą trawę – są słabe i żółte.

Ciekawe, czy *te* zmiany też widział, a nie tylko to, co się działo wewnątrz mnie. Czy zauważył, że moje usta nie są już schowane

w ciastowatych policzkach i że kiedy pozbyłam się warstwy serka wiejskiego z nóg, okazały się całkiem długie. A może Judah to jeden z tych świętych ludzi, którzy zagląдают człowiekowi do duszy i nie widzą smalcu na ramionach i piegowatych podwójnych podbródków. *To tylko kaleka*, myślę sobie. *Kogo obchodzi, co myśli o nim biedny, kaleki dzieciak?* Ale mnie obchodzi. Bo palący trawkę Judah Grant jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam, i nawet nie wiem dlaczego. Słucham Alanis Morissette na słuchawkach całą noc i udaję, że nie zakochałam się w tym wiecznie uśmiechniętym głupolu.

– Słuchasz muzyki białych lasek – mówi do mnie Sandy następnego dnia. Właśnie podśpiewuję sobie *Uninvited*, opróżniając worki na śmieci w magazynie. – A do tego *starej* muzyki białych lasek.

– Przecież jestem białą laską – odpowiadam, rzucając brzydką jak noc bluzkę na stertę brzydkich jak noc bluzek.

– No tak, ale musisz trzymać rękę na pulsie i w ogóle. Posłuchaj Miley Cyrus albo coś. *Wrecking ball!* – Sandy wybucha śmiechem, a ja marszczę brwi. Nie mam radia, samochodu ani telewizora. Korzystam ze starego odtwarzacza CD matki i słucham jej starych CD. – A w ogóle to dlaczego śpiewasz? Zakochałaś się czy co?

– Fuj, Sandy! Idź i pokierownikuj gdzieś indziej.

– Tobą kierownikuje. – Znowu się śmieje. – Inna jesteś ostatnio. Podoba mi się to.

Gapię się w ścianę, kiedy Sandy odchodzi. Dlaczego wszyscy to powtarzają? A jednak nikt... *Nikt* słowem nie skomentował tego, że nie jestem już chodzącym pączkiem.

Jeszcze przez dwa tygodnie tłumaczę sobie zachowanie Lyndee Anthony słowami Judaha. Każdy przeżywa żalobę inaczej.

Ale jej śmiech wszystko zmienia.

Nie widzę w niej już więcej matki Nevaeh, bo w końcu Vola była matką Małego Mo, a jednak nie powstrzymało ją to przed pobiciem go. Zamiast tego dostrzegam możliwość. Czy to możliwe, by była w jakiś sposób odpowiedzialna za śmierć Nevaeh? Albo jej chłopak? Albo jej zaniedbanie? Może Nevaeh zginęła z jej rąk?

W oczach małej widziałam lata. Miała świeżą i dziecienną twarz; taką, która zawsze powinna być opalona, piegowata i całowana, jednak

jej oczy wyglądały jak u poważnie skrzywdzonego dorosłego. Nienawidziłam świata w jej imieniu. Żałowałam, że nikt nie zobaczył lat w moich oczach, kiedy byłam w jej wieku, i nie pokochał mnie za nie. Nienawidzę jej ojca, który nie chciał Nevaeah nawet po zaginięciu, ale zechciał, gdy zrozumiał, że może coś na tym zyskać. Nie mogę znieść tego, że nic nie da się poradzić na cierpienie dzieci i że większość ludzi wypiera ich krzywdę ze świadomości, żeby poradzić sobie z własną nieudolnością w tej materii. Ci nieliczni, którzy wzięli ten ciężar na swoje barki, na przykład pracownicy pomocy społecznej albo nauczyciele, wypalają się po kilku krótkich latach, przytłoczeni brzemieniem, jakie powinno podzielić między sobą całe społeczeństwo. Dzieci są niedostrzegane. Nie docenia się ich, bo są małe.

W swoim osiemnastoletnim życiu wiele razy słyszałam, że dzieci są odporne. Jednak w książkach piszą, że osobowość dziecka kształtuje się w czasie pierwszych czterech lat. To daje rodzicom skończoną liczbę szans na ukształtowanie potomstwa i podarowanie mu odpowiedniej dawki miłości. I dzięki Bogu, że matka nadal kochała mnie, kiedy miałam cztery lata, a odsuwać się zaczęła dopiero później, kiedy moje ja zostało już wyrzeźbione w trzęsącej się galaretkę. Można mną było potrząsnąć, ale nie złamać. Matka mogła odrzucać mnie raz po raz, a ja pozostałam kimś wystarczająco przyzwyczajonym do miłości, by jej nadal szukać. Pragnę głębokiej relacji, ponieważ takiej już zaznałam. Odrzuć mnie, a pójdę szukać w inne miejsce. Tylko za każdym razem będę rzucać mniej pereł przed świnie.

Policja aresztuje Lyndee Anthony 27 grudnia. Delaney wszystko widziała. Twierdzi, że kiedy wyprowadzili Lyndee z domu – zakutą w kajdanki i ubraną w T-shirt ze zdjęciem zaginionej córki – na jej twarzy malował się spokój, jakby eskortowali ją na niedzielny obiad. Aresztowanie wywołało prawdziwą burzę w Bone. Lyndee straciła już dziecko, a teraz policja postawiła zarzuty matce pogrążonej w żałobie. Bone miało już dosyć traktowania biednych jak kozły ofiarne. Dosyć najpierw ignorowania, a potem zwracania uwagi nie na to, co trzeba.

W ciągu kilku godzin od aresztowania ktoś wymalował na ścianie Wal-Marta od strony autostrady napis „Lyndee jest nie winna!”. Wzdrygam się, gdy to widzę. Mam wątpliwości co do braku jej winy, chociaż wszyscy inni najwyraźniej wiedzą lepiej. Pamiętam, co Bibelot powiedział mi o tabletkach nasennych. Do tego Lyndee ma coś takiego w twarzy, kiedy nikt nie patrzy. Jednak dla innych jest przykładem na to, jak system krzywdzi człowieka, więc wszyscy, których niegdyś skrzywdzono, teraz walczą po jej stronie. Czasami się zastanawiam, czy połowa z tych ludzi w ogóle wie, o co Lyndee została oskarżona, czy może po prostu szukają powodu, żeby się rozgniewać. Tak czy inaczej, w całym Bone widać teraz T-shirty. Zielone koszulki z napisem „Lyndee

jest niewinna!”. Cieszę się, że teraz przynajmniej nie ma błędu.

Nie można jednak skazać kogoś, bo ma podejrzany wyraz twarzy, więc policja najwyraźniej znalazła jakieś przekonujące dowody przeciwko niej. Żeby śledzić rozwój sprawy, kupuję mały telewizor w Rag O Ramie i stawiam go na blacie w kuchni. Odbiera tylko trzy kanały, ale jeden z nich nadaje wiadomości. Gdy stacja zwietrzyła temat, oglądam razem ze wszystkimi: „Zamordowano dziewczynkę, jej spalone ciało odnaleziono na łące”.

Od nowa wywołuje to w nas mdłości, zwłaszcza kiedy na ekranie pojawiają się zdjęcia. Prezenter mówi, że policja zbiera dowody przeciwko Lyndee. W tej chwili posiadają odcisk buta znaleziony w błocie niedaleko ciała Nevaeh. W szafie Lyndee wygrzebali tenisówkę z takim samym błotem. W wiadomościach zaczęli pokazywać fotografię tego buta w foliowym worku na dowody. Ten sam but widzimy z różnych stron, żebyśmy wiedzieli, jaki to ważny przedmiot. Jest fioletowo-biały, a ja się zaczynam zastanawiać, czy poświęcają mu tyle uwagi, bo niczym innym nie dysponują.

Wszyscy siedzimy jak na szpilkach, oczekując na ciąg dalszy. Chłopak Lyndee potwierdza jej alibi, podobnie jak dwoje innych ludzi – ich współlokatorzy – którzy widzieli ich tamtego wieczora. Kiedy policja wypuszcza Lyndee z braku wystarczających dowodów, całe Bone się raduje. „Jest nie winna!” I czy można im mieć to za złe, skoro ma taką uroczą, dziecinną twarz? Cały kraj śmieje się z gównianej pracy policji w Bone Harbor. Zabezpieczenie miejsca zbrodni to jakiś żart; nawet dowodów nie zapakowali do worków odpowiednio. Media skupiają przez chwilę uwagę na chłopaku Lyndee, Stevie, który zniknął na moment, ale teraz wrócił. Ponieważ jednak jego alibi potwierdza Lyndee, niczego nie udaje się ustalić. W tej sprawie brakuje śladów.

Dziewczynka zaginęła w drodze powrotnej ze szkoły i została zamordowana, a oni mają tylko tenisówkę w plastikowej torebce. Ciekawe, czy miał z tym coś wspólnego deszcz – czy zmył coś, co policja mogłaby wykorzystać.

Pewnego popołudnia, kiedy mam wolne, postanawiam iść na miejsce zbrodni. Pożeracz jest dziwnie cichy, odkąd zmarła matka. Mówi do mnie tylko wtedy, gdy próbuję zasnąć – jęczy i stęka, jakby był

niezadowolony. Jednak to jego cisza najbardziej mi dokucza. Dlatego uciekam. Judah pojechał do ojca, a ja nie mam nic do roboty. Dzień jest spokojny. Wszystko zamarło w momencie, gdy zabrakło górskiego wiatru. Wybieram ścieżkę przez las, przechodzę nad powalonymi drzewami i kamieniami, zatrzymując się na krótko, żeby zebrać jeżyny rosnące dziko wzdłuż rzeki. *Nawet zwierzęta są dzisiaj cicho*, myślę sobie, nasłuchując chociaż śpiewu ptaków w tym niewiarygodnym bezruchu. Żadnego jednak nie słyszę, do moich uszu dociera jedynie własny płytki oddech, gdy przedzieram się przez poszycie. Kiedy udaje mi się dotrzeć do miejsca, gdzie znaleźli ciało Nevaeh, z zaskoczeniem zauważam żółtą policyjną taśmę wciąż rozciągniętą między drzewami. Rośliny zostały spłaszczone, zgniecione przez liczne ciężkie buciory. Dostrzegam też stąd wodę sączącą się leniwie między drzewami. Ciekawe, czy Nevaeh też ją widziała przed śmiercią – czy była przytomna i czy przyniósł jej ten widok ukojenie, czy może stał się czymś brzydkim w obliczu krzywdy, jaka się jej właśnie działa.

Nie czuję jej obecności w tym miejscu. Przyszłam jej poszukać w nadziei, że poruszy coś w moim sercu. Że podejmę jakąś decyzję. Zostałam jednak tylko chłód i samotność gorszą niż wcześniej. Widzę drzewo z rozłożystymi i grubymi gałęziami, z którego da się rozejrzeć po okolicy. Postanawiam się na nie wspinać; stawiam nogę na najniższej gałęzi i podciągam się. Kora drapie moją gołą skórę na rękach i nogach, ale nie przejmuję się, bo chcę coś zobaczyć. Wspinam się coraz wyżej i wyżej, bez zatrzymania. Kiedy gałęzie robią się tak cienkie, że dalsza wspinaczka mogłaby się okazać niebezpieczna, przystaję. Mój wzrok sięga daleko w las. Większość z drzew jest niższa od tego, na którym się znalazłam. Po lewej stronie wznoszą się góry z białymi wierzchołkami, otaczając Bone swym dzikim pięknem. Dostrzegam domki na wzgórzu; dwa mają czerwone dachy tak żywej barwy, że wyglądają jak krople krwi na tle zieleni. Znajduję to, co miałam nadzieję zobaczyć. Małą szopę, na którą natknęłam się kilka tygodni temu. Jest maleńka, naprawdę trzeba wiedzieć, czego szukać, żeby ją zauważyć. Stąd łatwo do niej dotrzeć – to dobre miejsce, by się zatrzymać, ciągnąc za sobą ciało, zwłaszcza jeśli szło się od strony miasta. Schodzę z drzewa niezdarnie i nieostrożnie, omal nie tracąc równowagi dobre sześć metrów

nad ziemią. Kiedy moje stopy znajdują się już na leśnym poszyciu, zaczynam biec. Słyszę teraz głosy – śmiech. Gdzieś tu są ludzie, pewnie jakieś dzieciaki przyszły zobaczyć miejsce zbrodni. Wzdrygam się, kiedy słyszę ich głośne przeklinanie i wysokie piski dziewczyny, która pomstuje na dokuczającego jej chłopaka. Zataczam szerokie koło w nadziei, że się na nich nie natknę. Chcę zobaczyć szopę... szopę... szopę.

Drzwi do szopy okazują się otwarte. Szeroko. Staję między na wpół wyrwanymi z zawiasów drzwiami a lasem, niepewna, czy chcę przekroczyć próg. Mogłabym się rozczarować. Mogłabym znaleźć wszystko to, czego potrzebuję. Wchodzę do środka i nagle odnoszę wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wnętrze szopy wygląda tak samo jak ostatnim razem – jest zbutwiałe, wyblakłe. Pudełko z workami na śmieci ciągle tu stoi... czy ktoś je przesunął? Nie wiem. Na podłodze leżą sterty liści – więcej niż wtedy, bo drzwi zostały otwarte. Nie dostrzegam nic szczególnego. Ciekawe, czy policja dotarła tu w czasie poszukiwań po odnalezieniu ciała. Nic tu nie ma, ale i tak nie opuszcza mnie wrażenie, że powinno coś być. Zostawiam szopę za sobą i kieruję się na wschód, w stronę pozeracza. Pnie drzew porasta gruba warstwa mchu, jasnozielona na tle czarnej kory. Właśnie dzięki tym wyraźnym kontrastom ją zauważam. Róż pośród zieleni. Schylam się, żeby po nią sięgnąć, w połowie pogrzebaną w mchu. Różowa gumka do włosów. Taka, jaką zawiązałam Nevaeh warkoczyk tamtego dnia w autobusie. Ściskam ją w palcach, oczy mnie pieką od łez. No i proszę, znalazłam to, czego szukałam.

Mam nadzieję, że Judah niedługo wróci; kiedy go nie ma, zaczynam mieć bardzo złe myśli.

Judah dostał nowy wózek. Jeden z tych elektrycznych, które poruszają się za dotknięciem przycisku.

– Ktoś anonimowo przekazał go do centrum – mówi, kręcąc się wkoło, aż mi się robi niedobrze. – Nie podoba mi się, ale dyrektorka wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać, kiedy mi go pokazała. Czuję się jak ostatni leń, bo wystarczy nacisnąć guzik.

Spoglądam na jego stary wózek, który sprawia żalosne wrażenie taki porzucony na trawniku.

– Możesz teraz na przykład podnosić ciężary – proponuję. – Nie pozwól, żeby ci bicepsy oklapły. Za piękne są.

– Moje ręce! – Udaje urażonego, ale widzę, że się ucieszył. – Traktujesz mnie przedmiotowo – narzeka.

– Zobaczmy, czy uniesie nas oboje. – Ignoruję go i siadam mu na kolanach bez zaproszenia.

– Miażdżysz mnie – stęka dramatycznie Judah. Przez chwilę przypominam sobie wszystkie żarty z mojej tuszy z czasów szkoły, cały ten wstyd, z jakim wiązało się posiadanie mojego ciała. Ale Judah żartuje, a ja już nie jestem grubasem.

Oglądam się na niego.

– Skąd wiesz? Przecież nie masz czucia w nogach.

– O tak – mówi żartobliwie. – Zróbmy to.

– Cała naprzód! – Podnoszę pięść i ruszamy chodnikiem. Dopiero kiedy pchasz czyjś wózek albo dajesz się podwieźć na nim, rozumiesz, jakie chodniki są beznadziejne. Poruszamy się ze ślimaczą prędkością, ale i tak muszę się kurczowo trzymać, żeby nie wypaść na jakimś wyboju albo ogólnie przez nierówności. Na fotelach przed domem złych ludzi siedzi jakaś parka. Dopingują nas i podnoszą butelki z piwem na naszą cześć, gdy ich mijamy. W czasie tej boleśnie powolnej przejażdżki czuję bardzo wyraźnie każdy szczegół – jego ręce oplatające mnie w pasie, jego głowę nad ramieniem, skąd ogląda drogę przed nami, słońce ogrzewające naszą skórę. Zatrzymujemy się przed pozeraczem. Jest mi trochę dziwnie, gdy siedzę na kolanach Judaha tak blisko domu. On spogląda na zapadający się, zniszczony budynek. Jego wzrok zatrzymuje się na dłużej na gazetach, którymi zatkałam dziurę w oknie mojego pokoju.

– Wygląda trochę strasznie – mówi Judah. – Zupełnie jakby to on patrzył na mnie, a nie ja na niego. – Porusza wózkiem w przód i w tył, nieświadomie, a ja stoję za nim i podziwiam dom-potwora. Nie cierpię pozeracza, ale komentarz Judaha trochę wyprowadza mnie z równowagi i czuję, że może powinnam stanąć w jego obronie.

– Nie jest taki zły... – Jednak nawet kiedy to mówię, pamiętam zapach pleśni i nieustanny chłód, który przesącza się przez ściany nocą. – Nie, właściwie to jest zły – przyznaję. – Nocami ciągle mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. A przez podłogę ciągle wbijają mi się drzazgi w stopy i takie tam.

– I takie tam – powtarza Judah. – Dobra, wskakuj. Wracamy!

Chociaż teraz sam to zaproponował, postanawiam iść pieszo obok niego, a odgłosy wydawane przez jego wózek przywodzą mi na myśl helikopter. Kiedy mijamy dom złych ludzi, Judah pokazuje mi dwudziestodolarówkę leżącą na chodniku. Schylam się, żeby ją podnieść, i spoglądam na najbliższe podwórko, czekając, aż ktoś przybiegnie i zażąda swoich pieniędzy.

– Znalezione, nie kradzione – mówi Judah. Banknot jest nieco wilgotny. Ktoś narysował rogi na głowie Andrew Jacksona i napisał

nizej „Pierdol się Ameryko” czerwonym atramentem. Nagle wraca do mnie wspomnienie ostatnich chwil spędzonych z Nevaeh.

Nevaeh zniknęła razem ze swoim plecakiem. Tym z Hello Kitty, do którego włożyła pluszowego misia oraz pasujący portfelik z dziesięcioma jednodolarowymi banknotami równiutko ułożonymi w przegródce. Nie zdążyła ich wydać, bo nie przeżyła tygodnia od chwili, gdy je dostała. Pamiętam, że wyciągnęła fioletowy flamaster i narysowała serduszko w rogu każdego dolara podarowanego przez babcię. Pamiętam, że uznałam to za coś dziwnego i uroczonego jednocześnie. Zanim dotarliśmy do przystanku, Nevaeh wyprostowała wszystkie banknoty i ostrożnie włożyła je z powrotem do portfelika. Kiedy wysiadłyśmy, zastanawiałam się, co kupi za te dziesięć dolarów i co ja bym kupiła w jej wieku. Jak ekscytujące dla małej dziewczynki jest posiadanie takiej sumy.

Czy umarła już w dniu zaginięcia? Zastanawiałam się nad tym prawie codziennie. Taką miałam nadzieję. Miałam nadzieję, że porywacz nie kazał jej cierpieć. Na samą myśl o bólu Nevaeh ściska mnie w żołądku i nie chce przestać. Oby umarła szybko i nie wiedziała, że tak się to skończy. Czasami wyobrażałam sobie, że ją znajduję, zanim ten chory pojeb ją zabił. W marzeniach duszę porywacza, zabieram Nevaeh leżącą na podłodze i zanoszę ją do Judaha. Tam przygotowalibyśmy plan ucieczki z Bone, wszyscy razem. Pojechalibyśmy w jakieś ciepłe miejsce, gdzie ciągle świeci słońce. Po powrocie do rzeczywistości budziłam się na materacu, wgapiona w sufit, i przekonywałam samą siebie, że już za późno, że Nevaeh już nie żyje.

Policja znalazła i przesłuchiwała podejrzanych. Tylko tyle nam powiedzieli: podejrzanych. Widziałam ich oczami wyobraźni jako ciemne postaci bez twarzy. Jak policja znalazła tych *podejrzanych* i kim oni byli, nikt nie miał pojęcia. Jednak sprawa Nevaeh wciąż była poruszana przez media ogólnokrajowe i wszyscy przyglądali się Bone, więc musiano przekazywać jakieś pozytywne wieści. Tropi... Policjanci zawsze podążali za tropami. Po Bone kręcili się nawet dziennikarze w wyprasowanych spodniach i koszulach z oxfordu, z modnymi listonoszkami. Zawsze wydawali się ostrożnie zdeterminowani, jakby się spodziewali, że to właśnie oni odkryją prawdę o śmierci Nevaeh.

Czasami widywałam ich, jak rozmawiali z miejscowymi, próbując wyciągnąć z nich różne fragmenty historii. Unikałam ich. Ich twarze nie wyrażały rozpaczy. Nie mogłam im ufać.

Na początku stycznia w drodze do pracy mijam mężczyznę czytającego gazetę. Na pierwszej stronie widzę zwęglone pozostałości po plecaku z Hello Kitty. Zdjęcie jest ziarniste i patrzę na nie tylko przez moment; zaraz z bijącym sercem odwracam wzrok. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, miała przy sobie ten plecaczek, nowy i błyszczący, a teraz plastik podtopił się i szerniał. Pamiętam jej warkocze i zastanawiam się, czy ciągle miała splecione włosy, kiedy znalazła ją policja. Dotknęłam jej włosów i umarła.

Tydzień później patrzę, jak Lyndee Anthony liczy pięć jednodolarowych banknotów i podaje je kasjerce w Wal-Marcie, trzymając pod pachą galon mleka. Każdy banknot ma fioletowe serduszko w rogu. Wyciągam rękę, żeby dotknąć różowej gumki na nadgarstku. Właśnie wtedy dociera do mnie, że ją zabiję.

Zaplanowanie czyjegoś morderstwa wymaga czasu. Trzeba wziąć pod uwagę wiele rzeczy. Na przykład należy się zastanowić, czy przypadkiem nie rozważa się morderstwa niewinnej osoby. Po drugie, jak powinna umrzeć ta potencjalnie niewinna osoba i czy musisz mieć absolutny dowód jej winy, zanim zastanowisz się nad opcjami? No i trzecie: skoro jest niewinna, skąd wzięła te dolarówki?

Najpierw przychodzi mi do głowy trucizna – jest czysto i łatwo. Jednak truciznę można wyśledzić. A ja nie znam Lyndee dość dobrze, by poczęstować ją czekoladką zaprawioną arszenikiem, poza tym zawsze istnieje ryzyko, że zjadłby ją ktoś inny, a ja nie chciałabym być odpowiedzialna za śmierć niewinnej osoby. Wtedy stałabym się taka jak ona.

Mogłabym ją jeszcze udusić, co podoba mi się bardziej niż otrucie, ale wymaga więcej pracy. Większe jest też ryzyko, że coś pójdzie nie tak – mogłabym zostać pokonana, a nawet złapana przez policję.

Mogłabym kupić pistolet; da się to zrobić. Tylko że broń palna jest głośna i brudna. W pocisku nie ma krztyny finezji. Broń biała nie ma klasy. Chcę, żeby Lyndee umarła w odpowiedni sposób. Tak, by przyniosło to jak najwięcej sprawiedliwości dla mojej małej Nevaeh.

Lyndee Anthony powiedziała policji, że ostatni raz widziała córkę rano w dniu zaginięcia, kiedy wysłała ją do szkoły z plecakiem. Nevaeh tamtego popołudnia wysiadła z autobusu, przeszła dwie przecznice do przystanku na Bishop Hill i stamtąd miała jechać 712 do domu babci. Tamtego deszczowego dnia zaplotłam jej warkocze – związując je różowymi gumkami, z których jedną teraz noszę na nadgarstku – i pożegnałam, przypominając, żeby zachowała ostrożność. Co oznacza, że Nevaeh zaginęła razem z plecakiem, z warkoczami zaplecionymi przeze mnie i z dziesięcioma jednodolarówkami, schowanymi bezpiecznie w portfeliku. Istniała oczywiście szansa, że dziewczynka narysowała takie same fioletowe serduszka na banknotach matki. Może miała to w zwyczaju. Właśnie to mnie najbardziej martwiło – dowodem na to, że matka zabiła swoje jedyne dziecko, miały być fioletowe serduszka.

Przestaję się kłopotać niewinnością Lyndee pewnego listopadowego wieczora, kiedy postanawiam wrócić ze sklepu do domu autobusem. Zimą robi się ciemno już koło czwartej. Chłód nadchodzi znad Sound, pohula chwilę w Bone, a potem ucieka do Seattle. Wczesna ciemność i przeciągający się deszcz to wystarczające powody, by nawet zapalony piechur wybrał komunikację miejską. Stoję i trzęsę się pod wiatą, moja kurtka jest cała przemoknięta po krótkim spacerze. Nogi, przyzwyczajone już do długich marszów, tęsknią za wysiłkiem. Jednak wchodząc do autobusu i siadając z tyłu, cieszę się, że uciekłam przed paskudną pogodą. Zastanawiam się, co też może porabiać dzisiaj Judah i czy zechce obejrzeć ze mną film. Podnoszę wzrok i zauważam Lyndee siedzącą naprzeciwko. Krótkie włosy przykleiły się jej do czoła, jakby złapała ją nie lada ulewa. Poza tym, że jest mokra, wygląda na zadowoloną; uśmiecha się do telefonu przy każdym sygnale nadchodzącej wiadomości. Tym razem nie ma na sobie koszulki ze zdjęciem Nevaeh, a zamiast niej bluzkę z dużym dekoltem i tani naszyjnik z napisem „SEXY”. Kiedy dojeżdżamy do jej przystanku, sięga po plecak, który trzyma między nogami. Rozpina od góry i wyciąga butelkę wody, potrącając inne rzeczy ze środka. Wypadają jej klucze, a ja zauważam małego, różowego misia – to Bambi. Moje serce zamiera.

Szybko odwracam wzrok. Zbyt szybko. Lyndee widzi moją reakcję i zamyka plecak, posyłając mi prowokujące spojrzenie. *Czy ona wie, kim jestem? Czy ona wie, że jestem jedną z osób, które jako ostatnie widziały Nevaeh żywą? I że zeznawałam na komisariacie?* Spoglądam na okno pokryte kroplami deszczu; spoglądam na rozerwane obicie siedzenia obok. Nie mogę jej pokazać swojej twarzy, bo mam na niej wszystko wypisane. Lyndee musiała mieć coś wspólnego ze śmiercią Nevaeh. Serce mnie boli, jakby było zmęczone i posiniaczone. Matki krzywdzące dzieci, matki odpychające swoje dzieci, matki kochające coś innego bardziej niż swoje dzieci. Patrzę, jak Lyndee zakłada plecak na jedno ramię i szybko wysiada z autobusu. Żeby uciec przede mną? Idę za nią. Kiedy obie znajdujemy się na chodniku, ruszamy w przeciwnych kierunkach. Przez kilka długich minut patrzę wprost przed siebie, maszerując w stronę Wessex i pozeracza. Gdy jednak mijam sklep na rogu i Bibelot macha do mnie z okna, ciekawość bierze górę. Zatrzymuję się i obracam samą głowę, tylko tyle, by móc ją zobaczyć. A ona patrzy już na mnie, stojąc na chodniku, całym ciałem zwrócona w moją stronę. Przebiega mnie dreszcz, nie jeden zresztą. Lyndee obraca się na pięcie i odchodzi, właściwie odbiega. Obserwuję ją, czując gorzki wyrok. W mojej głowie Lyndee została już skazana. Przez jednoosobowy sąd w postaci mnie samej. Skazana na śmierć. Postanawiam, że ją spalę; tak jak ona spaliła swoją córkę. Oko za oko. Krzywda za krzywdę.

Zbieram różne rzeczy. To prawdziwa sztuka, kupić oręż i nie wyglądać przy tym podejrzanie. Lina, nóż myśliwski, arszenik, środki nasenne – moja matka ma tych ostatnich mnóstwo. Nie użyję większości z nich, ale kompulsywnie je zbieram. Codziennie myślę o spaleniu Lyndee. Nie kupuję nowej zapalniczki, ponieważ mam jeszcze różowe zippo, a do tego pudełko zapalek. Właśnie tego użyję. Ciekawe, czy będę potrafiła na wszystko patrzeć, czy może nie wytrzymam tego widoku.

Czasami, kiedy widuję ją na mieście, jak się śmieje i flirtuje, postanawiam, że będę przyglądać się każdej sekundzie – zobaczę bąble wyrastające na jej skórze, czernienie pięknej, białej skóry. Innym razem – kiedy czuję się smutna i ospała – chcę tylko, żeby wszystko się skończyło: szybko i czysto. Nie powinno jej tu być, nie powinna paradować po mieście... nie powinna żyć. Drażni mnie to. Gdy na nią patrzę, zaczynam nerwowo skubać skórki wokół paznokci albo przygryzać wnętrze policzka. Mam małe strupki na karku i za uszami. Mimo to obserwuję ją każdego dnia. Żeby mieć pewność. Nigdy nie można być zbyt pewnym.

Jeśli akurat nie przyglądam się Lyndee, szukam po całym domu swojego aktu urodzenia. Teraz rozumiem, dlaczego matka nie chciała mi

go pokazać. Nie chciała, żebym zobaczyła, kto jest wpisany jako ojciec. Ale chcę dostać prawo jazdy. Otworzyć konto w banku. Pewnego dnia znajduję ten dokument na strychu. Matka włożyła go do książki, którą przyniosłam tu razem z resztą jej rzeczy. To jeden z tych przewodników, które ludzie kupują sobie, gdy planują wycieczkę do Europy. Jest poźółkły, ma ośle uszy. Wyśluzony. Ciekawe, czy matka zamierzała wyjechać przed moimi narodzinami. Może razem z burmistrzem Delafonte. Ale kogo to obchodzi? Znalazłam swój akt urodzenia. Wpisała go jako ojca. Nie wyobrażam sobie innego powodu niż ten, by móc wykorzystać to przeciwko niemu. Matka nie była głupia; po prostu chora psychicznie.

Dzwonię ze sklepu, żeby umówić się na test do prawka. Tyle będzie musiało na razie wystarczyć. Potrzebuję jakiegoś sposobu na ucieczkę z Bone, w razie gdyby zaszła taka potrzeba. Przez kilka tygodni stresuję się, szukając sposobu na to, jak przydybać gdzieś Lyndee samą. Powinnam ją uspić? Zwabić gdzieś? Czy przyszlaby sama? Biorę pod uwagę każdą ewentualność. Plan A. Plan B. Plan C. Tego właśnie trzeba: kilkunastu planów, na wypadek gdyby pierwszy się nie powiódł. Nie mogę spać w nocy, kiedy budzi się pożeracz i zaczyna hałasować. Drzemię w ciągu dnia i przez większość nocy planuję zabójstwo, myślę o trumience w piekarniku i maleńkim ciałku w kącie sypialni matki. Kości i krew, wszystko we wnętrzu pożeracza. Dzieci zginęły z powodu zła, jakie czaiło się w dorosłych. Samolubne zło. Jedyne chwile, gdy nie myślę o zabiciu Lyndee Anthony, to chwile spędzane z Judahem. On odbiera mi całe pragnienie zemsty. Zastępuje je. Ostatnio jednak nie spotykamy się tak często. Ojciec przyjeżdża po niego swoim wielkim, błyszczącym autem, składa wózek i wywozi uśmiechniętego Judaha. Jestem zazdrosna i nie jestem. Chciałabym, żeby miał różne rzeczy i żeby był szczęśliwy.

Leżę w łóżku. Zaciskam powieki, nie dopuszczam do siebie cieni tańczących na suficie. Obok mnie, na podłodze, stoi butelka chloroformu, który zrobił dla mnie Mo. Pięćset dolarów za marne trzysta gramów. Ale Mo nie zadaje pytań, a to jest warte każdej ceny. Otwieram oczy i podnoszę butelkę, po czym przysuwam ją do twarzy. Wącham, ale nie czuć zapachu. Wszystko jest zabezpieczone, żeby nie było żadnych

wypadków. Swego czasu chloroform wydawał mi się nudnym wyjściem, ale czasami działa właśnie to, co nudne.

Kiedy wschodzi słońce, zasypiam. Tylko na kilka godzin, póki dom jest cicho. Lyndee Anthony już wstała i zjada truskawkowy jogurt kupiony w supermarkecie – trzyma go w lodówce na dole – a potem zakłada uniform przed pójściem na kolejny dzień pracy do myjni. Dzisiaj będzie ostatni. Dzisiaj będzie dobry.

Wstaję w południe i ubieram się. Najpierw idę do szopy, żeby wszystko przygotować, następnie zatrzymuję się przy myjni, żeby się upewnić, że jest tam Lyndee. Widzę ją przez okno, jak przyjmuje klienta. Podaje mu resztę i pokazuje, gdzie stoi automat z kawą, przy którym siadają właściciele samochodów i popijają lurę, czekając, aż ich auta zostaną umyte przez dwóch ćpunów, Jeremy'ego i Coopsa, moich kolegów ze szkoły. Obserwując Lyndee, dotykam gumki na nadgarstku i nagle uderza mnie prawda o tym, co zamierzam zrobić. Zupełnie jakbym spojrzała na siebie z jakiegoś wysokiego punktu poza moim ciałem – jak na obcego człowieka. Przypominam sobie o dziewczynie, która zaledwie parę miesięcy temu była nieśmiała i bojaźliwa. Teraz jest kimś innym. Kimś śmiercionośnym. Zdeterminowanym. Boję się jej. Wracam do domu, żeby przeczekać popołudnie. O szóstej wieczorem zaczyna padać. To nie było częścią mojego planu. Martwię się, że w taką pogodę ciężko mi będzie ciągnąć ciało Lyndee przez las. Ostatecznie wiem jednak, że tak czy inaczej zabiorę ją do szopy.

Dwie przecznice od miejsca, gdzie mieszka Lyndee, znajduje się mały park otoczony drzewami. A w zasadzie udająca park kupa piachu z huśtawką i obdrapaną, żółtą zjeżdżalnią na drewnianym podeście. Dzieciaki z okolicy właściwie się już tutaj nie bawią. Na zjeżdżalni ktoś wysprejował przekleństwa, a w środku tunelu zawsze można znaleźć zużyte prezerwatywy. Nastolatki przychodzą tutaj pić – zazwyczaj późnym wieczorem. Zniknę, zanim się pojawią.

Przez trzy tygodnie pisałam do Lyndee liściki miłosne. Czasami wkładałam je do skrzynki pocztowej – w zwykłej białej kopercie z jej imieniem – albo zostawiałam w jej kanciapie w pracy, kiedy miała dzień wolny, zakradając się do pokoju socjalnego, gdy dziewczyna przy kasie poszła do toalety. W tych liścikach udaję mężczyznę o imieniu Sean,

którego syn cztery lata temu się utopił. Sean współczuje Lyndee i komplementuje to, z jaką gracją radzi sobie z zainteresowaniem mediów. Opowiada jej o tym, jak rodzina i przyjaciele oskarżali go o śmierć synka. Z początku Sean tylko do niej pisał, ale z czasem zaproponował jej, że będzie odbierał listy od niej, żeby mogli się lepiej poznać. „Możesz zostawić kartkę przyklejoną do spodniej części zjeżdżalni w parku na Thames”. Już na drugi dzień od tej wiadomości Lyndee zrobiła dokładnie tak, jak ją poinstruowałam. Jej charakter pisma jest dziecinny, nad każdym i rysuje kółeczko. W swoich listach Lyndee nie wspomina Nevaeh, zamiast tego szczegółowo opisuje swoje cierpienia i niesprawiedliwość, jaka ją spotkała. Nieobecność zmarłej córki w listach Lyndee sprawia, że nienawidzę jej jeszcze bardziej. Testuję ją, szczegółowo opisując śmierć synka Seana, opowiadając jej różne historie z nim związane i prosząc, by powiedziała coś więcej o Nevaeh. Lyndee zupełnie ignoruje córkę, za to nieustannie papla o sobie. Z każdą wiadomością rośnie we mnie gniew. I pewność.

Judah by ją bronił – powiedziałby, że jest samotna i ma problem z mówieniem o Nevaeh. Jednak jej listy są zbyt zmysłowe. Otwarcie flirtuje z Seanem, udając matkę pogrążoną w żałobie. Steve zerwał z nią krótko po tym, jak wypuścili ją z aresztu. Powiedział, że wnosi w jego życie zbyt dużo problemów. Wyprowadził się z domu, który dzielili z innymi ludźmi, i przeniósł do Genevieve Builo, ukochanej z czasów szkoły średniej. Lyndee, zawiedziona i wciąż pod badawczym spojrzeniem mediów, potrzebowała bohatera. Postanowiłam zostać tym bohaterem. W czasie pierwszego tygodnia pisania listów czekała w parku, żeby zobaczyć, czy „Sean” przyjdzie odebrać wiadomość. W końcu miała dosyć siedzenia w deszczu i wracała do domu z karteczką ode mnie wsuniętą do plecaka. Wciąż nie mogę się nadziwić, że tak łatwo to łyknęła. Że nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Jednak wreszcie nauczyłam się, że człowiek oślepiiony pragnieniem ignoruje wszelkie znaki ostrzegawcze. Lepiej nie być spragnionym.

Lyndee pojawia się po zmroku. Nikomu nie powiedziała, że się tu wybiera; boi się, że media się o wszystkim dowiedzą. „Będą mówić o mnie straszne rzeczy, jeśli zauważą, że jestem szczęśliwa”. Tak napisała w ostatnim liście. Przystałam na to i zaproponowałam spotkanie

w tajemnicy. I tak zgadzamy się oboje na szopę w lesie. Ścieżka przy parku, iść niecały kilometr. Uśmiecham się na widok żółtego światła jej latarki pośród drzew.

Noc jest zimna. Widzę swój oddech – parę znikającą w mroku. Czekam, aż Lyndee się obudzi i zamruga leniwie oczami z miejsca na podłodze, gdzie ją położyłam. Nic mnie nie goni, nie czuję potrzeby pośpiechu, nie wiercę się. Mogę czekać. Moje myśli są kruche, tworzą słabe argumenty przeciwko temu, co planuję zrobić; rozbijają się o twardą skałę mojej determinacji. Dlatego spoglądam na Lyndee, spoglądam na swój oddech, czekam. Wreszcie, nad ranem, porusza się, mruczy coś pod nosem i przewraca się na plecy. Chociaż niedługo umrze, przyniosłam koc i ją przykryłam. Przez sen przyciąga go mocniej do siebie. Wzdycham głęboko, wiercąc się na stołku. To było łatwe, tak strasznie łatwe. Upadła prosto na podłogę, ze szmatką przyciśniętą do nosa.

Lyndee budzi się zdezorientowana. Siada, walcząc z liną, którą skrupowałam ją w kostkach i nadgarstkach. Powoli rozgląda się po otoczeniu. Włosy przykleiły jej się do twarzy po jednej stronie. Czekam, siedząc na stołku, z rękami złożonymi na kolanach. Wyobrażam sobie, że wyglądam jak wykolejona licealistka, skupiona i wyprostowana, z kanistrem benzyny między nogami. Lyndee nie wydaje się zdziwiona moim widokiem. Ani trochę. Chyba obie czujemy, że tak powinno być –

my dwie, szopa i kanister benzyny.

– To ja jestem Sean – mówię radośnie. Ona się wzdryga.

Otwieram jej plecak, dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego jest głośny nawet w lesie pełnym zwierząt. Wyciągam Bambiego, różowego misia Nevaeh. Podnoszę go i pokazuję Lyndee.

– Siedziałam z Nevaeh w autobusie tamtego dnia, gdy zaginęła. To było w jej plecaku. – Wzrok Lyndee wędruje od misia do mnie i z powrotem. Jej twarz nie zdradza żadnych emocji, chociaż ręce najwyraźniej ściskają nieco mocniej koc. – Zniknęła razem z plecakiem. Tylko że tak naprawdę nie zaginęła, prawda? Cały czas była z tobą. – Lyndee na początku kręci głową, nie odrywając oczu od zabawki. Kiedy jednak mówię: – To ty zabiłaś Nevaeh. – Przyjmuje postawę obronną. Krzywi się, formułując w głowie zaprzeczenie. Potem spogląda na kanister z benzyną i coś się w niej zmienia.

– To był wypadek – mówi, cofając się aż pod ścianę. Jedna z jej piersi wypadła z koszulki; wisi smętnie nad materiałem w kwiecisty wzór. *To ja sprzedałam jej tę bluzkę.* Wtedy Nevaeh jeszcze żyła. Przyszła razem z matką i została ze mną przy kasie, żeby liczyć monety w słoiku z dodatkowymi drobnymi, podczas gdy Lyndee chodziła po sklepie. Widzę kropelki potu na jej brwi, które zbierają się powoli, a potem spływają na policzek. Śmierdzi potem i strachem, ale nie żalem. Gdybym miała choć cień podejrzenia, że ma poczucie winy, zastanowiłabym się dwa razy nad tym, co zamierzam zrobić. Jednak Lyndee jest narcyzem. Przekonała samą siebie, że zabicie i spalenie własnej córki było wypadkiem.

– Mogłaś ją oddać babci.

– Wiem, wiem. Nie rób tego, proszę. Wypuść mnie. Oddam się w ręce policji. Czy tego właśnie chcesz? Tobie nic nie zrobiłam. – Podnosi ręce, jakby mogła mnie powstrzymać swoimi pobrudzonymi dłońmi. Paznokcie ma niebieskie, idealnie pomalowane, pewnie poświęciła na to naprawdę dużo czasu. To rozpała we mnie większy gniew, bo jak mogła tak zadbać o swoje paznokcie, ostrożnie nakładając lakier, by nie zalać skórek i by warstwa miała idealną grubość. Wszystko to dla Seana. Tak bardzo przejmowała się paznokciami, a tak niewiele własną córką.

Uspokajam się, rozluźniam ramiona i przybieram inny wyraz twarzy, żeby udąć, że się zastanawiam.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pytam.

Kuli się na podłodze. Widzę białka jej oczu, gdy drapie podłogę.

– To przez chłopaka. Nie chciał dzieci. Chciał przeprowadzić się do Portland, ma tam rodzinę i mógłby dostać lepszą robotę. Mówiłam mu, że Nevaeh to dobra dziewczyna, ale ona go nie lubiła. Ciągle mu mówiła różne rzeczy i miałam przez to problem. Kiedy powiedziałam jej, że wyjeżdżamy, stwierdziła, że ona nigdzie się nie wybiera, że nie chce mieszkać z dala od babci. A jej ojciec mi nic nie płacił – kończy, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Jak umarła? – Mój głos pozostaje neutralny, wyraz twarzy beznamiętny. Obawiam się, że jeśli okażę emocje, Lyndee nic mi więcej nie powie, a ja muszę wiedzieć, co się stało z Nevaeh.

Spodziewam się usłyszeć odpowiedź, ale Lyndee tylko odwraca głowę.

– On to zrobił, prawda?

Kiwa głową, zaciska szczęki.

– Pojechaliśmy ją odebrać, zgarnęliśmy ją na ulicy babci. Nie chciała wsiąść do samochodu...

Myślę o Nevaeh. Nigdy nie widziałam, żeby była taka uparta, taka niegrzeczna.

– Steve wyszedł, żeby ją złapać – mówi Lyndee. – Był... ostry. Krzyczała głośno i próbowała uciec. Musieliśmy naprawdę szybko odjechać.

Muszę zamknąć oczy, zbyt wyraźnie widzę całą scenę. Przerazona mała dziewczynka próbująca uciec do babci, która daje jej poczucie stałości i miłości w życiu. Chłopak jej matki, ciągle niezadowolony, wiecznie obserwujący, wiecznie chcący się jej pozbyć. Nevaeh żyjąca z myślą, że matka nie stawia jej na pierwszym miejscu. Lyndee, gdy tylko mogła, odsyłała małą do babci, żeby ratować związek z facetem, który nie tolerował dziecka.

– I co potem? – poganiam ją, żeby opowieść szybciej się skończyła. Chcę wiedzieć, jak umarła Nevaeh, żebym mogła wymierzyć sprawiedliwość.

– Dał jej soku, żeby się uspokoiła. Nie powiedział mi, że wrzucił tam środki nasenne. Chciał, by przespała całą drogę do Portland. Wróciliśmy do domu, żeby wziąć parę rzeczy, zanim Tom wróci z pracy. Tom to właściciel domu, kumpel Steve’a. Chcieliśmy uciec przed rankiem, żeby nie płacić czynszu. Wisieliśmy mu już za kilka miesięcy. Zapakowaliśmy rzeczy do samochodu. Przed wyjazdem spojrzałam na nią. Wyglądała dziwnie. Kiedy sięgnęłam do tyłu i dotknęłam jej szyi, była zimna. Nevaeh nie oddychała. – Lyndee szlocha żałośnie. – Nie chciałam, żeby umarła! – Raz mówi „ja”, za chwilę zmienia na „on”, a ja się zastanawiam, ile z jej historii to prawda. Na ile był to jej plan, a na ile Steve’a?

– Dlaczego nie zabraliście jej do szpitala? Może zdążyliby ją jeszcze uratować. Może tylko zapadła w śpiączkę!

Lyndee patrzy to w lewo, to w prawo, próbując znaleźć właściwą odpowiedź, a może raczej drogę ucieczki z szopy. Nagle dociera do mnie, że chce powiedzieć to, co jej zdaniem chciałabym usłyszeć.

– Było już za późno – mówi. – Nie wyczuwałam pulsu. – Widzę po jej wyrazie twarzy, że to nieprawda. Może i Nevaeh miała słaby puls, jednak wciąż jeszcze było dość czasu, żeby zawieźć ją do szpitala.

– Czyli zabraliście ją do lasu i spaliliście?

Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy zdaję sobie sprawę, że Nevaeh mogła jeszcze żyć, kiedy ją podpalili. Uwięziona we własnej głowie, w śpiączce. Lyndee i jej zidiociały facet byli zbyt naćpani i głupi, żeby wiedzieć, że serce może bić tak słabo, że nawet przez stetoskop go nie słyhać.

– Steve powiedział, że przepadło. Mogliśmy już tylko załatwić to tak, żeby wyszło, jakby ktoś ją porwał. Nie chciałam iść do więzienia z powodu zwykłego wypadku! – Tak bardzo naciska. Tak desperacko próbuje mnie przekonać.

– Wypadku? – pytam. – A co z pozostałymi dniami? Nie tylko wtedy, gdy ją zabiliście. Co z całym tym czasem, kiedy wołałaś tego swojego gówna wartego faceta, kiedy musiała sama kłaść się do łóżka, bo byłaś zbyt pijana, żeby utrzymać się na własnych nogach, kiedy musiała sobie gotować obiad, kiedy musiała zajmować się *tobą*. Byłaś jej matką!

Lyndee na chwilę zabrakło słów, jej usta się poruszały, lecz nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk.

– Znałaś ją – stwierdza w końcu. – Ona ci to wszystko powiedziała?

Tak. W autobusie. Napomykała o różnych rzeczach. Nigdy nie oskarżała wprost matki, czasem tylko coś się jej wymknęło w trakcie rozmowy.

Bambi się wczoraj strasznie bała. Płakała, dopóki nie zasnęła.

Dlaczego się bała?

Byłyśmy same w domu.

A gdzie się podziała twoja mama?

Poszła gdzieś ze Steve'em...

Jadłam brownie na obiad i potem zrobiło mi się dziwnie w brzuchu.

Naprawdę? Ktoś miał urodziny?

Nie. Po prostu obiad. Mama spała, więc zjadłam brownie, które znalazłam w kuchni. Ale potem kręciło mi się w głowie i było mi dziwnie...

W tym tygodniu mam urodziny.

I co robisz z tej okazji? Idziecie gdzieś?

Nie. Mama musiała pojechać gdzieś ze Steve'em. Powiedziała, że w przyszłym tygodniu pójdziemy do kina.

Czyli nie robiłaś nic ciekawego w urodziny?

W szkole mi śpiewali, a od babci dostałam babeczkę.

Próbuję znaleźć w sobie człowieczeństwo. Nawet w najbardziej zatwardziałym sercu kryje się zdolność do wybaczenia. Mogłabym przekazać Lyndee w ręce policji, ale nie mam dowodów. Gdyby ją przycisnęli, może przyznałaby się tak jak teraz, ale jeśli nie, to co wtedy? Bez dowodów będą musieli ją wypuścić. Judah ma rację. Nie ma sprawiedliwości dla biedoty.

– Przepraszam, ale nie mogę tego zrobić – mówię. – Jako morderczynie powinnaś zrozumieć drugą morderczynię.

Jęczy. Kiedyś też była małą dziewczynką. Zupełnie jak Nevaeh, z dwoma warkoczykami i niewinnością, i nadzieją na życie pełne

miłości. Może jeśli wyobrażę ją sobie w ten sposób, zdołam jej wybaczyć. Staram się, ale widzę tylko dziwkę, która się urodziła, by zabijać. Tak jak ja. Poza tym podoba mi się to, co czuję. Podoba mi się sprzątanie. Przynosi mi głęboką satysfakcję. Jak ciepła kąpiel, kiedy jest ci zimno. Podnoszę Bambiego z podłogi i wkładam pod pachę.

Morderczyni!

Morderczyni!

Rozlewam zawartość kanistra wokół Lyndee; spada na jej ramiona i nogi, zapach benzyny pali mnie w nos i sprawia, że kręci mi się w głowie. Ona krzyczy i błaga o litość, błyszczące łzy spływają po jej policzkach. A ja nie mogę przestać myśleć o tym, że nigdy nie płakała po śmierci Nevaeh, nawet raz, ale siebie oplakuje. Wstaje i próbuje się na mnie rzucić, ale powstrzymuje ją łańcuch przy kostce. Upada, jednak przed tym na chwilę zawisa w powietrzu. Wyjmuję pudełko zapalek z tylnej kieszeni. W szopie wybucha ogień. Lyndee wrzeszczy. Zamykam za sobą drzwi. Podpaliłam ją. Jedna zapalka z pudełka kupionego w Quickie Corner – z pluszowym misiem – i pomieszczenie oblane benzyną. Oko za oko. Ogień za ogień. Zemsta za Nevaeh.

Jestem teraz potworem. Jestem dokładnie taka jak ona. Któregoś dnia spłonę, ale jeszcze nie teraz. Teraz spłonie ona. Robię może pięć kroków i widzę kruka. Ciemny kształt na gałęzi. Kracze na mnie. Podnoszę rękę, żeby mu pomachać, a potem maszeruję dalej.

Dym wznosi się za moimi plecami do nieba, a ja idę przez las. Nie śpieszę się, muskam liście i słucham żab oraz świerszczy. Jestem rozluźniona, uspokojona przez jej krzyki.

– Słyszysz to, Nevaeh? – mówię w las. – Zemsta należy do mnie.

Budzę się zлана zimnym potem. Trzęsę się tak bardzo, że przygryzam język i czuję smak krwi. Przyśnił mi się koszmar, potworny i pełen przemocy, spaliłam w nim żywcem matkę Nevaeh. Przelykam krew i spoglądam na dłonie. Moje paznokcie są w oplakany stanie – połamane, zadarte i brudne. Biegnę do łazienki. Nie obchodzi mnie, czy matka ma gościa w pokoju. Nie obchodzi mnie, że nie powinnam wychodzić przed siódmą, żeby mogli spokojnie wyjść. Muszę na siebie spojrzeć. Twarz mam brudną, oczy szeroko otwarte, spojrzenie spanikowane. Na brodzie widzę krew, na policzkach długie zadrapania. Napełniam umywalkę ciepłą wodą i ściągam starą szmatę z wieszaka. Moczę ją i zaczynam wycierać twarz, a potem paznokcie.

– O mój Boże, o mój Boże – powtarzam raz za razem, żeby wypełnić czymś ciszę panującą w pożeraczu. Jej płonące ciało. Jej wrzaski. Były prawdziwe. Zrobiłam to. Znowu. I to nie był żaden wypadek. Ani za pierwszym razem, ani wczoraj. Zabiłam. Zginam się wół, oddycham ciężko, a potem całkiem zapiera mi dech. Nie wiem, czy powinnam oddychać, czy nie. Nie wiem, czy powinnam stać, czy siedzieć; płakać czy uciekać. Teraz było zupełnie inaczej. Volę zabiłam wiedziona instynktem po tym, jak przyłapałam ją na biciu dziecka.

Morderstwo Lyndee zaplanowałam, rozmyślałam o każdym szczególe, ale nigdy nie widziałam, jak krzywdzi Nevaeh. Mogłabym zgłosić się na policję. I właśnie wtedy przypominam sobie, że matka nie żyje. Wszystko wraca do mnie w przeblysku wspomnień: krew, worki na ciała, maleńki trupek w kącie sypialni. Prostuję się i patrzę na swoje odbicie w lustrze.

Ktoś wali w drzwi. Ruszam chwiejnie na dół, mrużąc oczy w blasku słońca wpadającym przez okna. Matka zakleiła szyby na piętrze gazetami, żeby jej klienci w półmroku nie mogli dostrzec zmarszczek pojawiających się na jej twarzy. Czasami, kiedy było się na górze, zapominało się, czy jest dzień, czy noc. Muszę pamiętać, by ściągnąć te stare gazety.

Patrzę przez judasza i widzę Mo na schodkach, wyraźnie poirytowanego. Ten widok mrozi mi krew w żyłach. Cofam się o krok, wycieram ręce i zlizuję kropelki potu, które zebrały się nad górną wargą. To niemożliwe, żeby wiedział. Chyba że mnie zobaczył...

Dlaczego tu jest tak cholernie gorąco? Ukrywanie się jest złe. Ukrywanie się sprawia, że wyglądasz na winnego. Rzucam się na zamek i przekręcam go od razu, żeby nie mieć czasu zbyt wiele myśleć.

– Co tak długo, kurwa?

– Spałam, kurwa.

Mo patrzy na telefon, jego palce poruszają się po ekranie z błyskawiczną prędkością.

– Gówno prawda.

– Czego chcesz? – Krzyżuję ręce na piersi, żeby ukryć fakt, że nie założyłam biustonosza, i opieram się o framugę.

– Musisz mi popilnować dzieciaka – mówi. – Matka Voli go nie chce, a ja mam coś do zrobienia.

Serce mi skacze na myśl o zobaczeniu Małego Mo. Bałam się tam wrócić, odkąd... zrobiłam to coś. Bałam się, że ktoś dostrzeże jej śmierć na mojej twarzy.

– Spoko – rzucam. – Ale nie jestem jego niańką.

Spogląda na mnie znad wyświetlacza komórki.

– Wyluzuj, laska. Nie każę ci być niańką. Po prostu popilnuj go w ramach przysługi. Potem ci coś załatwię.

Wzruszam ramionami. *Łupłupłup.*

Rusza z powrotem, ale nagle obraca się na pięcie i patrzy na mnie.

– Przykro mi z powodu twojej mamy. Oboje kogoś straciliśmy. Przejebane. – Wygląda, jakby chciał mnie przytulić, więc cofam się o kilka kroków.

Odruchowo spoglądam na schody, spodziewając się zobaczyć rąbek jej czerwonego szlafroka. Pożeracz należy teraz do mnie. Jeśli chcę skorzystać z łazienki przed siódmą, nikt mi nie zabroni. Jeśli chcę tupać i wrzeszczeć ile pary w płucach, nic nie stoi na przeszkodzie.

– Nic mi nie będzie – mówię. – A wam?

Mo wzrusza ramionami.

– Nie mamy innego wyjścia.

Ciekawe, co by mi zrobił Mo, gdyby wiedział, że ja zabiłam Volę. Może, w pewnym sensie, Mo czuje ulgę, że jej nie ma. Tak jak ja czuję ulgę, że nie ma matki. Mimo to pewnie władowałby mi kulkę w czaszkę i tyle. Tak to się tutaj odbywa: zemsta ponad wszystko.

Wraca z dzieckiem dziesięć minut później. Nie ma ze sobą ani pieluch, ani jedzenia, ani butelki, ani żadnych instrukcji. Tylko Mały Mo w zbyt dużym wózku i jego aksamitnie brązowe oczy mrugające powoli, jakby świat był zupełnie nieinteresujący.

– Chodźmy na zakupy – mówię do niego, patrząc przez okno, jak jego ojciec zatrząskuje drzwiami swojego domu. Przez dwadzieścia minut próbuję naprawić kółko wózka, podczas gdy Mo leży obok na kocyku na podłodze. W końcu nie udaje mi się ta sztuka, więc przerzucam torbę płócienną przez ramię i biorę Mo na rękę. Jest taki spokojny, że co kilka minut sprawdzam, czy nie zasnął. Słyszę wołanie Judaha. Kiedy się odwracam, widzę, jak jedzie po chodniku szybciej niż kiedykolwiek. Wrócił do swojego starego wózka. Powiedział, że w tym nowym czuł się jak skończony leń.

Zwalnia, kiedy znajduje się już obok nas.

– Gdzie byłaś zeszłego wieczora?

Zatrzymuję się.

– Co?

– Widziałem cię wczoraj wieczorem, jak wracałaś do domu. Wyglądałaś... dziwnie.

- Byłam w pracy – mówię i ruszam znowu.
 - Coś cię zatrzymało w sklepie? – pyta. Jego ręce poruszają szybko kołami, żeby mógł nadążyć.
 - Co?
 - Była już północ.
 - Ach... no. Było późno. – Wyglądam na ławkę po drugiej stronie ulicy. Liście na drzewach zmieniają kolor.
 - Dzisiaj rano znaleźli ciało blisko przystani – mówi Judah po chwili milczenia.
 - Czyje? – pytam. Mam sucho w ustach. Staram się patrzeć przed siebie, jednak mam mroczki przed oczami.
 - Jeszcze nie wiedzą. Mówią o tym w wiadomościach. Ktoś zgłosił pożar w lesie niedaleko przystani, więc policja pojechała sprawdzić i znaleźli ciało.
 - Hmm. Czyje?
 - Dopiero co mnie o to zapytałaś. Mówię przecież, że nie wiedzą.
 - Aha – rzucam głupio, a potem przekładam Mo na drugie biodro.
 - Daj, potrzynam go – oferuje Judah, wyciągając rękę.
 - On cię nie zna – odpowiadam, przyciskając Mo nieco mocniej.
 - A wy się niby doskonale znacie? – Porusza niecierpliwie palcami. Niechętnie oddaję mu dziecko, chociaż ręce zaczynały mi się męczyć, a nie dotarliśmy jeszcze na koniec Wessex.
 - Możesz mnie pchać, a ja będę go trzymał. Czy on nie ma swojego wózek?
 - Wózek jest zepsuty. Kółko...
 - Przynieś później, to zajrzę.
 - Taki jesteś pomocny, że aż mnie wkurzasz.
- Judah przekłada dziecko twarzą do siebie. Zauważam, że Mały Mo podciąga nogi zamiast je usztywnić, gdy chwyta się go pod pachami.
- Wcale nie wyglądasz jak Mo – mówi Judah do dziecka. Przez następne czterdzieści minut słucham, jak się zastanawia nad różnymi imionami dla małego, który nawet na niego nie patrzy. Kiedy docieramy wreszcie do Wal-Marta, bołą mnie już ręce, a dziecko zaczyna marudzić. Judah teraz nazywa je Milesem.
 - Mo Miles, Mo Miles – powtarza, a ja mogłabym przysiąc, że

dzieciak uśmiecha się trochę, jakby mu się podobało. Mo rzadko się uśmiecha. Jestem zazdrosna.

– Myślę, że przydałoby mu się mleko – mówię. Idziemy do alejki z rzeczami dla dzieci. Biorę pieluchy, mleko w proszku i paczkę butelek. Kiedy się odwracam, widzę w ręku Judaha kolorową zabawkę; przesuwa ją w lewo i w prawo, żeby Mo wodził za nią oczami. Przez krótką chwilę Mo podnosi piąstkę, jakby chciał dotknąć zabawki, a moje serce zaczyna szybciej bić.

– To też kupimy – oznajmiam.

– Matka zostawiła ci jakieś pieniądze? – pyta Judah, kiedy wyjmuję studolarówkę z kieszeni.

– Można tak powiedzieć.

– Daj – mówi, wyciągając rękę po moją płócienną torbę. – Trzeba go nakarmić.

Przytrzymuję Małego Mo, podczas gdy Judah szykuje mu mleko. Dwie miarki proszku, butelka wody, a potem wszystko wstrząsa i bierze Mo na kolana. Kiedy patrzę, jak mały je, zastanawiam się, skąd Judah wiedział, jak to zrobić. Ja najpierw przez piętnaście minut czytałabym instrukcję i pewnie jeszcze zrzuciłabym całą miarkę na ziemię. W uszach mi dzwoni od wrzasków Lyndee. Czuję zapach dymu. Zapach krwi. Zabiłam ją. Zaplanowałam to i zabiłam ją, a następnego dnia siedzę przed Wal-Martem z przystojnym kaleką i dzieckiem sąsiadów. Nie wiem, która z nas udaje którą. Jestem albo Margo z Bone, albo tą nową, tą morderczynią. A może zawsze byłam taka podła i wstrętna; może ta twarz od zawsze czaiła się, czekając, aż wreszcie posłucham instynktu.

– Skąd wiedziałeś, jak to zrobić?

– Z pracy.

– Pracujesz z niemowlakami?

– Pracuję z dziećmi w każdym wieku.

– A gdzie właściwie pracujesz?

– Jesteśmy już oficjalnie przyjaciółmi?

– Chyba tak. Często się widzimy. Właściwie to w tym momencie albo jesteśmy przyjaciółmi, albo małżeństwem.

– Margo Grant – drażni się ze mną. – A ty możesz być Miles Grant – mówi do Mo. Mały na chwilę przestaje ssać, żeby spojrzeć na

Judaha, podczas gdy ja strasznie się czerwienię.

– Nie daj się nabrać na ten urok – mówię małemu. – To straszny czaruś.

Słońce bezlitośnie praży nasze ramiona. Żałuję, że nie posmarowaliśmy Mo kremem z filtrem. Judah nagle odpowiada na moje pytanie.

– Pracuję w Szkole dla Niepełnosprawnych Barden. Sam też się tam uczyłem. Mama zdobyła dla mnie stypendium, jakimś cudem przekonała ich, żeby dopisali mnie do grafiku busa, chociaż musieli jechać kawał drogi do tego mrocznego kąta wszechświata. Kiedy skończyłem szkołę, zaoferowali mi pracę na pół etatu w świetlicy i jako pomocnik nauczyciela.

Spoglądam dumna na czubek jego głowy. Czymś takim powinien się zajmować. Właśnie mam to powiedzieć na głos, kiedy on dodaje coś jeszcze.

– Nienawidziłem tamtego miejsca. Już czułem się inny niż wszyscy, a potem wysłali mnie do szkoły, gdzie każdy był inny. A ja niczego tak nie pragnąłem jak normalności.

Przypominam sobie własne doświadczenia ze szkoły średniej – dzieciaki z ich ostrożnym, zmęczonym spojrzeniem. Chęć bycia zauważoną i jednocześnie modlitwa o to, żeby nikt tego nie zrobił. Usilne szukanie podobieństwa u kolegów i koleżanek, które nigdy się nie powiodło. Rozpaczliwe i niezdarne próby ubierania się, mówienia, zachowywania się tak, jak zostało uznane za właściwe. To były najbardziej zawstydzające, potwornie samotne cztery lata mojego życia. A gdyby Judah miał zdrowe ciało, jego nogi nie zostałyby unieruchomione przez guza, podnosiłby głowę wysoko i pewnie jeszcze grał w szkolnej drużynie. Taki przystojny i popularny, w życiu by ze mną nawet słowa nie zamienił. Ile szczęścia zawdzięczałam jego guzowi? Jakiego farta miałam, że mogłam poznać takiego faceta jak Judah Grant bez społecznych barier dyktujących nam nasze role.

– Niczego nie żałuj – mówię mu. – Dzieciaki w szkole to głównie palanty.

Judah się śmieje.

– Nie mów brzydko przy dziecku – upomina mnie.

- Przepraszam, Mo.
- Miles – poprawia mnie Judah.
- Przepraszam, Miles. Mo Miles, Mo Miles...

Cała nasza trójka się uśmiecha. *Rzadko się tak dzieje*, myślę sobie. Ale jestem szczęśliwa. Radość przepelnia mnie aż po czubki palców, nawet mimo tego, że wczoraj popełniłam morderstwo.

Judah coś wie. Zdaję sobie z tego sprawę pewnego dnia, wieszając ubrania na wieszakach i roznosząc je po sklepie, czując przyprawiający o mdłości zapach stęchlizny. Od czasu tamtego popołudnia z Mo traktuje mnie inaczej. Z początku wmawiałam sobie, że to tylko takie wrażenie – te taksujące spojrzenia, cisza, dziwne pytania. Niestety pojawiają się zbyt często. Judah mnie podejrzewa. Coraz więcej czasu spędza ostatnio z ojcem. Nie podoba mi się, jak ten koleś wygląda, ale może jestem po prostu zazdrosna. Przyjeżdża po syna i cierpliwie sadza go na fotelu pasażera, a potem ostrożnie wkłada wózek na tył. Kiedy patrzę, jak wsiada za kierownicę, jego rudawe włosy powiewają na wietrze, zastanawiam się, w jaki sposób poznał się z Delaney. Nie wygląda jak ktoś, kto lubi posiedzieć przed domem, pogadać o głupotach i zapalić jointa. Wygląda na poważnego mężczyznę; widać to w jego rzadkich uśmiechach i idealnym porządku, jaki panuje w jego samochodzie. Nawet ostrożność, z jaką chwyta wózek Judaha, mówi coś na temat jego życia. Judah jest taki sam. To dziwne uczucie rozumieć, że chłopak, do którego tak bardzo się zbliżyłam, właściwie nie pasuje do tego miejsca. Z Bone łączy go tylko Delaney i właściwie wyłącznie z jej powodu jeszcze nie wyjechał. Podążam wzrokiem za autem, dopóki nie znikną

z pola widzenia.

Czekam na jego powrót, wyglądając przez okno za samochodem jego ojca. Jednak Judah pojawia się dopiero po trzech dniach i wygląda inaczej. Kiedy się spotykamy, wydaje się krążyć myślami gdzieś daleko. Spogląda w oczy obcym ludziom częściej niż mnie. Obiera pomarańcze i nie zjada ich. Trzyma w ręku jointa i nie zapala go. Uśmiecha się do Mo, ale nie oczami. Gdzie się podział Judah?

Z początku się zastanawiam, czy to dlatego, że ja się bardzo zmieniłam. Straciłam prawie dwadzieścia kilogramów. Nie jestem już tą dziewczyną, którą poznał; ani fizycznie, ani mentalnie. Może dręczy go to, że potrafiłam się tak zmienić. Kiedy on jest przykuty do wózka, ja mogę zrzucić wagę dzięki spacerom. Ale nie. To nie w jego stylu. Szczęście innych nie wprawia go w przygnębienie. On nie tęskni za tym, czego nie może mieć. Właśnie to mnie do niego w pierwszej chwili przyciągnęło. Dlatego szukam powodu gdzie indziej. *Kiedy to się zaczęło? Kiedy zaczął się ode mnie odsuwać?*

Czy to było dzień po śmierci Voli? Albo Lyndee? Pamiętam, jak patrzył na mnie, kiedy wróciłam, pachnąc dymem i z ubłoconymi knykciami.

Musiałam wtedy śmierdzieć – dymem i śmiercią. Wróciłam szybko do pozeracza i usiadłam przy stole kuchennym, gdzie gapiłam się długo w podrapane drewno, by potem poczłapać wreszcie do sypialni. Następnego dnia wszystko wydawało mi się tylko snem. Czasami prawie zapominam, że to się wydarzyło naprawdę.

Tydzień później Judah mówi mi, że przeprowadza się do Kalifornii. Czuję uderzenie gorąca.

– Co? Dlaczego?

– Mój ojciec wyjeżdża. – Podaje mi miskę z popcornem i wjeżdża do salonu. – Powiedział, że mogę z nim mieszkać, póki nie skończę się uczyć.

Potykam się o dywanik przy drzwiach frontowych i rozsypuję wszędzie dokoła prażoną kukurydzę.

– Rany, wszystko w porządku? – Judah pochyla się, żeby złapać mnie za rękę. Zabieram je, czując, jak płoną mi policzki.

– Przecież możesz i tutaj uczyć się w *college*'u. – Staram się

powiedzieć to normalnym tonem, zbierając popcorn z podłogi, jednak mam ściśnięte gardło. Nie mogę znieść myśli o życiu w Bone bez Judaha. Czasami nie wiem, jak udało mi się przetrwać te osiemnaście lat bez niego.

– Mój lekarz uważa, że tam będzie mi lepiej. Zamieszkamy w Los Angeles – tłumaczy. – Wszystko będzie łatwiejsze, nawet przemieszczanie się z jednego miejsca w drugie bez moknięcia.

– Przecież to tylko trochę deszczu – mówię drętwo. Próbuję zjeść ziarno podniesione z podłogi, ale Judah wytrąca mi je z ręki.

– Przestań – strofuje mnie. – Możemy sobie zrobić drugą paczkę. – Patrzę, jak wraca do kuchni. Chce mi się płakać. Chcę błagać go, żeby został. Zjadam cały popcorn, jaki udaje mi się znaleźć na podłodze. Kiedy Judah wraca, zakładam już płaszcz, żeby wracać do siebie.

– Co ty robisz, Margo?

– Idę do domu. – Wyciągam rękę, żeby otworzyć drzwi, ale Judah rzuca we mnie nieuprażonym ziarnem. Kukurydza odbija się od mojej głowy, a ja patrzę na niego groźnie.

– Mieliliśmy plany! – wrzeszczę na niego, a potem zatykam usta ręką i po cichu liczę na to, że Delaney nie słyszała mnie ze swojego pokoju.

– Żeby wyjechać z Bone – zauważa Judah.

– Razem – upieram się. – Nie mogę wyjechać sama.

Patrzy na wyłączony telewizor, bezmyślnie zajadając popcorn. Chciałabym się przyznać do tego, że zjadłam całą kukurydzę z podłogi, ale wiem, że bardzo by się na mnie zdenerwował.

– Ty możesz chodzić o własnych siłach – mówi. – Ja muszę jechać tam, gdzie mam dodatkową parę nóg do pomocy. Przynajmniej na razie... Dopóki nie skończę *college*'u.

– Ja mogę być twoimi nogami.

– Ty musisz być swoimi własnymi nogami, Margo. Słuchaj, naprawdę nie chciałbym być dla nikogo ciężarem. Chcę móc robić różne rzeczy samodzielnie. Mój ojciec ma pieniądze. Powiedział, że jeśli pojedę z nim do Kalifornii, zapłaci za moją szkołę. Chce mi kupić samochód przystosowany dla osób niepełnosprawnych. Samochód dla kaleki.

Kiedy nic nie mówię, spogląda na pokój Delaney i zniża głos.

– Przestał płacić alimenty, kiedy skończyłem osiemnaście lat. Nagle stałem się bardzo drogi w utrzymaniu. Nie mogę być dla niej ciężarem. Muszę być w stanie pracować, zajmować się wszystkim sam.

Spoglądam na swoje nogi i nagle czuję do nich nienawiść. Nienawidzę ich za to, że dają mi przewagę w stosunku do Judaha.

– Zostań – mówi, kiedy odwracam się do drzwi.

– Po co? Przecież ty wyjedziesz. Dlaczego miałabym tracić dla ciebie czas?

– Spędzając ze mną czas, marnujesz go?

Nie wiem, jak mu odpowiedzieć, żeby nie zabrzmiało żałośnie.

– Ty też możesz wyjechać. Kiedy tylko zechcesz. Znam kogoś w mieście, kto mógłby dać ci pracę.

– I gdzie będę mieszkać? Skąd będę wiedziała, gdzie iść i co robić?

– Nauczysz się tego – przekonuje ostrożnie. – Nie musisz być uwięziona tutaj.

Nie chcę się tego uczyć bez niego. Ukradł moje marzenie i teraz jest mi głupio, że w ogóle tego pragnęłam. Oczywiście, że ktoś taki jak Judah nigdy nie uciekłby z kimś takim jak ja. Oczywiście, że nie chciałby żyć z brzydką nieudacznicą z Bone. Gadał tak tylko, żeby podnieść mnie na duchu, a teraz wyprowadzi się i zostawi mnie z głową pełną marzeń, które nigdy się nie spełnią.

– Kiedy wyjeżdżasz? – pytam.

Judah odwraca wzrok.

– Jutro.

– Jutro? – powtarzam. – Dlatego tak dziwnie się ostatnio zachowywałeś.

Przerywam to, co nas łączy. Dzieje się to w ułamku sekundy. Biorę i łamię to na pół, zapominając, że kiedykolwiek istniało. Wychodzę i choć Judah woła mnie jeszcze, nie zatrzymuję się ani na chwilę. Przetrwałam bez niego osiemnaście lat. Nie potrzebowałam go i nie potrzebuję teraz. Chcę być ognioodporna. Nic nie powinno mieć dość siły, by złamać mi serce.

Pożeracz milczy, kiedy wchodzę do środka. Siadam przy stole kuchennym ze szklanką mleka i gapię się w piekarnik, zastanawiając się

nad wyjazdem z Bone. Skoro Judah może, ja też. Moje mleko robi się ciepłe, skroplona para dawno spłynęła. Wciąż oplatom palcami szklanę, analizując różne wyjścia. Każde wydaje się smutne bez Judaha: zostanie, wyjazd, życie. Ale nie. Nie zamierzam być człowiekiem, któremu brakuje odwagi. Nie po to nie dawałam się tyle czasu przeciwnościom, żeby teraz dać się zwieść bliskości Bone. Odstawiam nietknięte mleko i wstaję; krzesło głośno skrobie o podłogę. Pożeracz robi się niespokojny. Na górze deski uginają się i skrzypią pod ciężarem niewidzialnych stóp, lodówka zaczyna brzęczeć, a żarówka na ganku mruga w półmroku wczesnego wieczora. *Pożeracz się obudził. Tak po prostu.*

Wyobrażam sobie ducha matki, który wchodzi do kuchni, staje za mną i próbuje pchnąć mnie z powrotem na krzesło. *Zostań w Bone, zostań w Bone, zostań w Bone.*

Czuję, jakby coś ścisnęło mi płuca, jakby każdy mieszkaniec tego domu rzucił się na mnie, zarażając swoim strachem. Idę tyłem do frontowych drzwi, obrzucając całe wnętrze oskarżycielskim spojrzeniem. Wyciągam rękę do gałki. Czuję jej chropowatość, jej rdzę i podobieństwo do reszty domu. Próbuję ją przekręcić, ale się blokuje i nie chce ruszyć ani w prawo, ani w lewo. Szarpnię. Duchy zbliżają się. Jeśli mnie dostaną, nie pozwolą mi odejść. Płaczę bez łez, ale potem słyszę Judaha wołającego mnie po imieniu. Gałka nagle daje się przekręcić i zaraz wypadam na nocne powietrze. Widzę Judaha przed schodkami na ganek. Woła mnie. Zbiegam do niego i klękam przed jego wózkiem, wypłakując mu się w spodnie. Dotyka mojej głowy ciepłymi dłońmi i z uczuciem, przez co moja rozpacz jeszcze się wzmaga.

– Co się stało, jasnowłosa? Ludzie pomyślą, że robisz mi loda. Nie próbuje mnie odepchnąć. Czuję, jak jego palce masują mi kark i skórę głowy. Pozwala mi się wypłakać. Mój ból jest skomplikowany. Nie wiem, z której strony go podejść. Czuję się, jakby wszyscy mnie opuszczali, jak zawsze, a jednak nie do końca wiem, czy mnie to obchodzi. Ale przecież obchodzi, bo w końcu płaczę i cierpię. Nie winię nikogo, na tym polega różnica. Nauczyłam się tego oczekiwać.

– Wrócę po ciebie, Margo. Przyrzekam.

Kręcę głową. Nie, nie wróci, ale to nic. To nasze pożegnanie.

– Judah – mówię, odsuwając głowę, żeby na niego spojrzeć. – Mam dopiero dziewiętnaście lat.

– No, właściwie już to wiem.

– Znam cię dopiero od kilku miesięcy.

– Jeśli tak chcesz myśleć...

Gapię się na niego. Jego spojrzenie sprawia, że jest mi wstyd. Ale powiem to. Powiem to wszystko, chociaż moje uczucia są niewłaściwe.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Kocham cię. Kocham cię bardzo. Zakochałam się w tobie.

Uśmiech znika z jego twarzy. Na chwilę jego maska opada. Przerazona próbuję uciec, ale on trzyma mnie za rękę, jestem uwięziona na jego kolanach.

– Puść – mówię.

Puszczaj, a ja wycofuję się poza zasięg jego rąk.

– Nie wracaj tutaj. Co by się nie wydarzyło, nie wracaj. Przysięgnij.

– Margo...?

– Po prostu przysięgnij.

– Dlaczego? Dlaczego każesz mi to obiecywać?

– Ponieważ jeśli ty wrócisz, ja też.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.

– Przepraszam – mówi w końcu. – Przepraszam za wszystko.

Znowu się wycofuję. Już to znam. Wracam do pozeracza, słowa pożegnania wyzerają mi tkankę ust. Chcą być wypowiedziane, nie chcą być wypowiedziane. *Miej to już z głowy*, mówię sobie.

– Żegnaj, Judah. – Mój głos jest silny i donośny.

– Nie mogę tego powiedzieć, Margo.

– To nie mów. Zapamiętaj tylko jedno. Zostawiłeś mnie.

A potem znowu jestem w domu i zamykam drzwi przed Judahem i przed tą niewielką szansą na miłość, jaką miałam. Ale ze mnie idiotka, że się łudziłam.

– Zostaliśmy tylko my – mówię do pozeracza. – Jestem twoja.

Reporterka mówi o małej koali, która urodziła się w zoo niedaleko Seattle. Skupiam całą swoją uwagę na tej historii – na narodzinach koali w dniu, kiedy Judah wyjeżdża z Bone. Dopiero po jego odejściu wyglądam przez okno na pustą ulicę, ale w głowie mam tylko małą koalę. Chcę ją zobaczyć. Chcę pójść do zoo, tak jak Judah mi kiedyś obiecał. Kiedy wychodzę z pokoju i ruszam na schody, wiadomości zmieniają temat na sprawę morderstwa Lyndee Anthony. Czysty głos prezenterki przez chwilę mi towarzyszy, a potem zagłuszają ją moje myśli.

– Policja wciąż poszukuje...

Zaczynasz życie z wielkimi nadziejami. Nawet jeśli urodzisz się w Bone, a twoja matka cały dzień chodzi w czerwonym jedwabnym szlafroku i sprzedaje swoje ciało za ładny, prościutki studolarowy banknot. Nawet wtedy wierzysz w niemożliwe. Widzisz wróżki w pustej spiżarni, gdzie powinny być puszkami z jedzeniem, a szczury przebiegające po podłodze twojej sypialni są wysłannikami bogów albo twoimi duchowymi przewodnikami. A jeśli jesteś naprawdę kreatywna, uromantycznisz nawet szmaty, które nosisz zamiast ubrań. Jesteś Kopciuszkiem, jesteś Śnieżką...

Jesteś chodzącym trupem. Ale przez jakiś czas tego nie dostrzegasz. I bardzo dobrze. A potem to się zmienia. Powoli... powoli... powoli. Utrata niewinności to najboleśniejszy element dorastania. Jednego dnia widzisz w sobie Kopciuszka, a następnego cały wyimaginowany blask matowieje i w lustrze dostrzegasz tylko kolejną biedaczkę skazaną na mieszkanie w Bone do końca swoich dni. Twoja niewinność umiera w agonii. Czujesz ból, gdy zaczynasz rozumieć, że nikt cię nie uratuje. Nikt nie da ci wolności. Nikt nie da ci sprawiedliwości, ani zemsty, ani szczęścia, ani nic innego. Nic. Jeśli zechcesz i starczy ci odwagi, sama to weźmiesz. Muszę się stąd wydostać.

Dzień po odejściu Judaha biorę sześć tysięcy dolarów z pieniędzy matki i kupuję samochód z ogłoszenia, które znalazłam w gazecie. Pierwszy raz w życiu kupiłam gazetę i dziesięć minut zajmuje mi znalezienie odpowiedniej sekcji z ogłoszeniami sprzedaży używanych aut. Wybieram instynktownie, ale wierzę, że właśnie tego mi teraz potrzeba. To jeep z otwartym dachem, czarny i starszy ode mnie, ale w całkiem niezłym stanie. Właścicielem jest pan Fimmes, mocno posunięty już w latach weterynarz z artretyzmem i sztucznymi zębami, które na przemian wpycha i wypycha językiem. Jeep należał niegdyś do jego syna, który zmarł w wyniku wypadku w trakcie wspinaczki na górę Rainier. Twierdzi, że nie należy do ludzi szczególnie sentymentalnych. Zatrzymał samochód, bo żona nie pozwalała mu go sprzedać.

– Zmarła na raka pół roku temu, więc pomyślałem, że czas najwyższy...

Składam mu kondolencje i zaglądam do schowka. Znajduję zapleśniałe pudełko cygar i scyzoryk, który wygląda na drogi. Wyciągam go i podaję Fimmesowi.

– Pewnie chciałby pan to zatrzymać.

On kręci głową.

– Już mówiłem, że nie jestem sentymentalny...

– Aha – odpowiadam głupio, wracając myślami do stojących na strychu pudeł z rzeczami matki. Czy ja też tak łatwo bym się ich pozbyła?

– Rzadko nim jeżdżę i jest w całkiem niezłym stanie. – Żeby mi to

powiedzieć, wpycha swoją sztuczną szczękę na miejsce, a potem znowu wypycha. Jeep wydaje się niepraktyczny, skoro ciągle leje. Ale mi nie przeszkadza deszcz na twarzy, a to auto jest lepsze niż wrak po bandziorach od Alfiego. Wszyscy wiedzą, że Alfie diluje wszystkim, czym nie diluje Mo, a komis to tylko dodatkowy interes. Można u niego dostać samochody oddane za dragi albo używane do chowania pieniędzy. Wszystkie mają złą karmę. Przekazuję panu Fimmesowi gotówkę i odjeżdżam. Nie przesadzam z prędkością, moja stopa nerwowo wisi nad pedałem hamulca. Spoglądam na staruszkę przez lusterko, spodziewając się, że w każdej chwili może odwołać całą transakcję, bo nie umiem prowadzić. Dopiero drugi raz siedzę za kółkiem, wcześniej Sandy pozwoliła mi przejechać się po parkingu sklepu po godzinach. Dobrze mi szło, ale nie było żadnych innych samochodów. A teraz wreszcie mogę naprawdę się nauczyć. Wybieram boczne drogi, zbyt gwałtownie hamuję przed znakami stopu i omal nie strącam czyjejś skrzynki pocztowej, próbując skręcić.

Będę teraz jedyną osobą na Wessex oprócz Mo, która posiada samochód. To czyni ze mnie cel. Judah mnie podejrzewał, więc dlaczego obcy mieliby tego nie robić? Tak czy inaczej, nie chcę, by ktokolwiek wiedział o aucie. Sandy pozwoliła mi schować jeepa w jej garażu na kilka dni. Zostawiam go u niej w domu, a potem wracam do siebie autobusem. Jest dobrze. Kupiłam samochód. Jestem totalnie dorosła.

Wynajmuję pozeracza Sandy, która wreszcie zostawiła Luisa i spotyka się z nowym kolesiem, poznanym w alejce z witaminami w Wal-Marcie. Kolesi jest całkiem w porządku; widziałam się z nimi raz w barze, ale krótko po przyjeździe poczułam się jak piąte koło u wozu i musiałam ich zostawić.

Idę do biblioteki, żeby wydrukować umowę wynajmu, którą znalazłam w sieci. Czteryście dolarów miesięcznie plus wszelkie rachunki. Sandy twierdzi, że znajdzie sobie współlokatorkę i każe jej płacić sześćset dolarów. Nie obchodzi mnie to. Mówię jej, żeby tak zrobiła. Taka reakcja najwyraźniej wprawia ją w stan ekscytacji, bo biegnie od razu opublikować ogłoszenie w gazecie. Ja tymczasem ładuję swoje rzeczy w worki na śmieci i modlę się, żeby w domu mojej matki nie zamieszkał żaden psychopata. I tyle, jeżeli chodzi o moje mentalne

zaangażowanie w tę sprawę.

Odbieram prawo jazdy, a potem otwieram konto w banku, na które wpłacam większość pieniędzy matki i stertę czeków. Zostawiam sobie pięć tysięcy dolarów, które chowam do zwiniętej skarpetki i wkładam do torebki. W niemal słoneczny sierpniowy dzień, kiedy dojrzałe jeżyny wiszą ciężko na gałęziach krzewów, wsiadam do jeepa i na zawsze wyjeżdżam z Bone.

32

Jak można tak po prostu wyjechać z miejsca, w którym się mieszkało od zawsze, i nie wiedzieć, gdzie się zmierza? JAK MOŻNA TAK PO PROSTU WYJECHAĆ Z MIEJSCA, W KTÓRYM SIĘ MIESZKAŁO OD ZAWSZE, I NIE WIEDZIEĆ, GDZIE SIĘ ZMIERZA?

Szarpię kierownicą w prawo i przecinam dwa pasy ruchu, wpychając się przed subaru i półkabriolet, jeep nagle stęka i zatrzymuje się na bocznym pasie. Włączam światła awaryjne i wyskakuję na jezdnię. Szaleństwo. Co ja wyprawiam? Żwir chrzęści pod butami, kiedy biegnę na drugą stronę samochodu, zginam się wpół i stoję oparta o drzwi pasażera. Muszę tylko... oddychać... z dala... od... ludzi. Staram się uspokoić, chociaż serce mi wali jak młot. Jestem nikim. Nie

mam nikogo. Świat jest ogromny, a ja znam tylko Bone. Zakrywam oczy i czuję, jak strach miażdży odwagę, którą z takim trudem zbierałam przez ostatnie tygodnie. Śledzę znaki prowadzące do miasta, którego nigdy nie odwiedziłam. Nie mam pojęcia, gdzie będę dzisiaj spać. Boże, jestem taka głupia. Gonię za idiotycznym marzeniem, które włożył mi do głowy Judah. A potem wyjechał.

Dlaczego myślę, że potrafię to zrobić?

A potem rozlega się głos, dochodzący gdzieś ze środka; wyobrażam sobie, że właśnie tak brzmi pożeracz: dudniąco i staro. *Przecież potrafiłaś zabić człowieka. Dlaczego niby miałabyś teraz nie podolać?*

Powtarzam to na głos, gdy za moimi plecami ryczą silniki aut, i nagle trzeźwieję. Jestem opanowana, jak tamtej nocy, kiedy rozbiłam głowę Voli Fields o kant toaletki za to, że dręczyła swoje dziecko. Tak opanowana, jak tamtego dnia, kiedy oblałam Lyndee Anthony paliwem premium o wartości dwóch dolarów, a potem rzuciłam w nią zapalką.

Oczywiście, że sobie poradzę. Jestem obłąkana. Jestem zdolna do morderstwa. Jestem jak babcia, która wepchnęła głowę mojej matki pod mętną wodę w wannie i próbowała ją utopić. Z pewnością znajdzie się we mnie dość siły, by przeżyć w mieście większym niż Bone. Przetrwałam samotność, sama się karmiłam i ubierałam, skończyłam szkołę średnią i czytałam książki, żeby być mądrzejszą. I zrobię to wszystko jeszcze raz, ponieważ taka już jestem. Prawda?

Już prawie pozbierałam się na nowo, kiedy za jeepem zatrzymuje się patrol. *Cholera*. Przeczesałam włosy palcami i natychmiast zaczynam gorączkowo się zastanawiać, co można znaleźć w moim samochodzie. Czy jest tam coś, co mogłoby przysporzyć mi kłopotów? Myślę o zestawie noży zabranych z kuchni oraz różowym zippo, którego nie oddałam w końcu Judahowi. Nie. Ani jedno, ani drugie nie jest groźne. Za to na fotelu pasażera leży miś Nevaeh. Miś, którego zobaczyła cała Ameryka na zdjęciu zaginionej. Miś, którego zabrałam z torby Lyndee Anthony, zanim spaliłam ją razem z nią.

Prostuję plecy.

– Dzień dobry – witam się. Zauważam, że dłoń funkcjonariusza spoczywa delikatnie na kaburze pistoletu, gdy podchodzi do jeepa.

Czyżby uczyli ich tego w akademii? *Popatrz, mam broń! Hej, mogę ci odstrzelić łeb!*

– Czyżby miała pani problem z samochodem?

– Przegrzał się – odpowiadam szybko. Schyla się, żeby zajrzeć do środka, chociaż dach jest zdjęty.

– Wybiera się pani gdzieś dalej?

– Przeprowadzam się – mówię spokojnie. – Do Seattle. – Spoglądam na Bambiego. Dlaczego nie schowałam pluszaka do jednego z worków?

Funkcjonariusz patrzy na wrzucone w pośpiechu rzeczy, a potem otwiera drzwi po stronie kierowcy.

– Seattle – mówi. – Ambitnie. Proszę pokazać prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Szukam dokumentów w portfelu, potem w schowku, w końcu podaję je policjantowi. Obserwuję go, gdy patrzy na nie, a następnie niesie do radiowozu, żeby sprawdzić w systemie numery rejestracyjne. Zastanawiam się, czy schować gdzieś pluszaka, ale jeśli już go widział, będzie to wyglądać podejrzanie.

– Proszę uruchomić silnik. Zobaczymy, co się dzieje.

Mijam go, dłonie mi się pocą i trzęsą. *Nic ci nie będzie!* Przekonuję sama siebie. *On tylko próbuje pomóc.*

Siadam za kierownicą i przekręcam kluczyk. Jeep budzi się do życia. Funkcjonariusz spogląda na deskę rozdzielczą.

– Wygląda na to, że wszystko okej – mówi. – Ale może lepiej, żeby pani zawróciła do miasteczka i podjechała do mechanika.

Kiwam głową, zamykam drzwi i chwytam kierownicę tak mocno, że bieleją mi knykcie.

– Ma pani dzieci?

– Słucham?

Patrzy na Bambiego. Nie wiem, co sobie myśli, bo jego oczy są schowane za okularami przeciwsłonecznymi. Wielkimi, lustrzanymi, przypominającymi oczy owada.

– Nie – odpowiadam. – To tylko zabawka z dzieciństwa. Jakoś nie potrafię się z nią rozstać.

– Moja córka ma takiego pluszaka – mówi. – Ma osiem lat. Nie

wiedziałam, że tak długo już je sprzedają. Bambi ma wybałuszone oczy. A ja nie miałam pojęcia, że to tylko typ popularnej zabawki. Jestem głupia. Wzdycham z ulgą, kiedy funkcjonariusz się odsuwa, pozwalając mi wrócić na autostradę.

– Miłego dnia – woła, przekrzykując pracujący silnik.

Żałuję, że nie mogę spojrzeć mu w oczy. Podnoszę rękę w półpozdrowieniu i odjeżdżam. *Moje serce, moje serce, moje serce.* Kiedy spoglądam w lusterko wsteczne, policjant wciąż mnie obserwuje. Nie on pierwszy tak na mnie patrzy: przed nim byli Judah, Lyndee, nawet moja własna matka. Może jest we mnie coś takiego, co widzą inni. Próbuję wyobrazić sobie, o czym myślą, kiedy patrzą na mnie w ten sposób. *Dziwna dziewczyna. Ma w sobie takie coś... Przyprawia mnie o dreszcze.* Śmieję się z tego ostatniego.

Teraz jestem zdeterminowana. Muszę wyjechać. Byłam głupia, myśląc, że mogę zostać. Miasteczko wielkości Bone Harbor nie może pomieścić tego, co w sobie mam. Włączam radio, żeby zagłuszyć myśli, i jadę, jadę, jadę z maksymalną dopuszczalną prędkością aż do samego Seattle.

Zatrzymuję się przed motelem na przedmieściach Seattle i melduję się. W pokoju jest ciemno, ale schludnie. Za czterdzieści dolców za noc dobre i to. Leżę cicho w świetle jarzeniówki i słucham warkotu motocykla. Pierdzi i stęka zapewne równie głośno, jak jego właściciel cierpiący na kryzys wieku średniego.

Całe moje życie jest jednym wielkim kryzysem i cieszę się, że nikt nie zwracał na mnie dość uwagi, by zauważyć, że coś ze mną nie tak. Silnik ryczy głośno ostatni raz, a potem motocykl zjeżdża na ulicę. Jutro poszukam gazety, a może skorzystam z komputera w bibliotece, żeby znaleźć sobie jakieś lokum. Potem będę musiała też rozejrzeć się za pracą, najlepiej nie w sklepie z używanymi rzeczami. Wyłączam światło i przewracam się na bok, żeby nie widzieć migającego neonu klubu ze striptizem. „IEWCZYNY!”

Zmienię się. Nigdy nie wrócę do Bone i pożeracza. Dotarłam tak daleko i zajdę jeszcze dalej – ucieknę od tego kogoś, kim uczyniło mnie to miejsce. Jednak zanim zamykam oczy i mój umysł odpływa w sen, dociera do mnie, że się okłamuję. Pożeracz nigdy nie przestanie mnie wołać, a ja nigdy nie przestanę odpowiadać.

Miasto mnie oślepia, błyszczący demon, zupełnie jak w rzadkim

zimowym słońcu. Wygląda jak Nowy Jork na zdjęciach, które kiedyś widziałam. Jest industrialne, twarda stal na tle grafitowego nieba. Moje małomiasteczkowe oczy są przyzwyczajone do przestrzeni i niskich, pozbawionych koloru budynków. Ludzi, którzy wyglądają na miękkich i oblekają swe ciała w wyblakłe bawełny i polary. Tutaj kobiety noszą płaszcze w żywych kolorach i błyszczące kalosze. Ich ciała wydają się twarde i silne. Nie wiem, jak jechać między samochodami, które płynnie wciskają się w najmniejsze szczeliny ruchu ulicznego. Trąbią na mnie oskarżycielsko, głośno dając mi do zrozumienia, że nie mam pojęcia, co robię.

Kiedy wreszcie udaje mi się znaleźć poszukiwany garaż, moja koszulka jest mokra od potu, a w rękach straciłam czucie. Gubię się w garażu i przez te dwadzieścia minut, które zajmuje mi powrót na ulicę, zaczynam wątpić w moją zdolność poradzenia sobie tutaj. Mieszkanie, które chciałam zobaczyć, znajduje się na Szóstej Alei w wysokim apartamentowcu. Na stronie internetowej widziałam zdjęcia maleńkiej kuchni, łazienki z biało-czarnymi kafelkami oraz sypialni w rozmiarze szafy na ubrania. Ale cena jest znośna. Staję na chodniku, oparta o witrynę sklepu papierniczego, przyciskając plecak do piersi. Ludzie tutaj nie zwracają uwagi na deszcz. Poruszają się w nim, jakby stał się ich częścią – dodatkową nogą albo ręką, z którą nauczyli się sobie radzić. Zapiera mi dech, gdy patrzę na efektywność ich kroków i beznamietność twarzy. Nie potrafię zmusić się do ruchu, ponieważ nie umiem robić tego tak jak oni.

To kruk mnie otrzeźwia. Ląduje na chodniku kilka kroków od miejsca, w którym się kulę, a potem kracze na mnie, przekręcając głowę z boku na bok. Patrzę najpierw na ulicę, a potem na ptaka. Jestem esencją zła. Większość mijających mnie ludzi nigdy nie odebrała nikomu życia. Nie zaplanowali morderstwa, nie oblali benzyną kobiety i nie podpalili. Może o tym fantazjowali, jednak ja, realizując podszepty intuicji, odseparowałam się od reszty świata. Wypuściłam bestię z klatki. I oto jestem, sparaliżowana przez strach.

To krakanie przypomina mi, kim jestem, i prowokuje mnie do ruchu. Niebieskie martensy i plusk kałuży. Maszeruję w stronę Szóstej Alei, imitując wyraz twarzy otaczających mnie ludzi. Nigdy nie mogą się

dowiedzieć, co zrobiłam. Zdaję sobie jednak sprawę, że mogę ich obserwować i udawać. Mogę kupić płaszcz przeciwdeszczowy i nauczyć się poruszać po ulicach. Łatwizna. Muszę tylko wynająć mieszkanie.

Lokum okazuje się mniej ładne niż w Internecie. Czuję się jak kobieta, która przyszła na randkę z facetem poznanym w sieci i odkrywa, że dała się nabrać na nieaktualne zdjęcie. I tak je biorę, bo właściciel bierze mnie. Im dłużej będę czekać na mieszkanie, tym dłużej będę musiała spać w samochodzie. Wszystko załatwiamy na miejscu, na kuchennym blacie z odłóżką lakierem. *Nie jest gorzej niż w pozeraczu*, mówię sobie, podpisując umowę wynajmu i przekazując w gotówce czynsz za cały rok. Właśnie z tego względu dostaję to mieszkanie. Bez pytań. Nie mam pracy ani referencji. Mam szczęście, że koleś daje mi szansę.

Właściciel jest łysiejącym trzydziestoparolatkiem o imieniu Doyle z brzuchem wystającym z nad paska. Pachnie Old Spice'em. Zwiedzam mieszkanie po raz ostatni, wciągając znajomy zapach dymu papierosowego i starego tłuszczu, który wsiąkł w tapetę. Okna wychodzą na inne okna, ale z salonu widzę plamę nieba i to mi wystarcza. Umawiamy się na spotkanie w kawiarni, gdzie przyniesie mi klucze i naklejkę, której potrzebuję, żeby korzystać z parkingu przynależącego do budynku. Kiedy wychodzę na zewnątrz, czuję się spełniona. Chcę pochwalić się wszystkim Judahowi, więc idę do sklepu i kupuję telefon. Pytają mnie o adres. Podaję adres pozeracza z myślą, że w przyszłości to zmienię. Wypełniam papiery, płacę, a kiedy wychodzę i ruszam mocno opadającą w dół ulicą do kawiarni, mam przy sobie jedno z tych modnych urządzeń, które mogą wszystko.

Znalazłam stolik blisko okna i siedzę, obserwując ludzi i ruch uliczny, czując rosnącą ekscytację. Czekam cztery godziny, zanim podejść do mężczyzny przygotowującego kawę, żeby zapytać go o Doyle'a. Patrzy na mnie spod podniesionych brwi, krzywi zniecierpliwiony przekłute usta.

– A skąd mam niby wiedzieć, kim jest Doyle? – mówi, podając klientowi gotowy napój.

– Nie przychodzi tutaj? – pytam.

– Skarbie, wiesz, ile tutaj się przewija ludzi przez cały dzień? –

Rozglądam się po tłumie, jaki zebrał się w porze obiadu; ludzie świeżo po skończeniu pracy wpadają na espresso ze współpracownikami przed powrotem do domu na kolację. Mężczyzna patrzy na moje ubrania i niepewność, z jaką ściskam plecak. – Nie wiem, skąd jesteś, ale to jest Seattle. My nie znamy swoich sąsiadów. – Myślę o swoich sąsiadach, ale nie tych miłych, ubranych w kratę, którzy robią dżem i przynoszą go w słoiku z własnoręcznie wypisaną etykietą. Moi sąsiedzi byli ćpunami, bandziorami i dzieciobójczyniami. A ich sąsiadką byłam ja: mordująca z zimną krwią. Biedne wsioki. Spoglądam na baristę z kolczykiem w wardze i przewracam oczami. Byliśmy o wiele twardsi, niż nam się wydawało. *Nie wiem, skąd jesteś, ale na pewno nie z Bone.*

Odchodzę od lady i staję przy oknie przekonana, że źle zrobiłam, przyjeżdżając do tego dumnego, niezłomnego miasta. Dostyc mam już tego myślenia, tej ciągłej zmiany zdania. Judah kazałby mi się ogarnąć. Cały czas wypatruję Doyle'a, nie chcąc uwierzyć w oszustwo. To błąd. Jestem w złej kawiarni. Coś go zatrzymało: wypadek, jakieś sprawy rodzinne. Jestem gotowa uwierzyć we wszystko, ale nie w smutną, bolesną prawdę, że zostałam oszukana. Przekazałam dwanaście tysięcy dolarów nieznanemu, nie pytając go nawet o nazwisko. Naiwna dziewczyna z furą gotówki – łatwy cel. Zaczyna zmierzchać, a ja obserwuję przechodniów, wyobrażając sobie domy, do których zmierzają – ciepłe kuchnie i sofy stojące przed telewizorami. Dzieci rzucające się tatusiom do nóg, matki wycierające ręce o ścierki, żeby podejść i skraść buziaka.

Idę do biblioteki, by poszukać ogłoszenia z numerem telefonu Doyle'a. Zniknęło; jeśli jednak moje podejrzenia są słuszne, wkrótce pojawi się kolejne, podobne do poprzedniego. Zapewne z nowym numerem telefonu. Doyle kupi kartę *prepaid* na stacji benzynowej. W ogłoszeniu umieści inne imię. Znajduję w portfelu kartkę, na której zapisałam sobie jego numer, ale kiedy dzwonię, czekam i czekam, lecz nikt nie odbiera. Moja sytuacja staje się coraz mniej znośna, kiedy w bibliotece ogłaszają, że zostało pięć minut do zamknięcia.

Muszę wrócić na deszcz, muszę wrócić między ludzi, którzy wiedzą, dokąd zmierzają. Ruszam do apartamentowca znajdującego się osiem przecznic dalej. Zimno usadowiło mi się w stawach, a do tego

nabawiłam się bólu głowy. Kiedy zdaję sobie sprawę, że cały dzień nic nie jadłam, kupuję miskę makaronu z *food trucka* i biorę ją ze sobą pod budynek, w którym Doyle ukradł mi pieniądze. Siadam na ławce po drugiej stronie ulicy i obserwuję drzwi wejściowe. Jedzenie trafia do mojego żołądka, ale nie czuję żadnego smaku. Właśnie tak się dzieje; wszystko staje się czarno-białe. Dostrzegam jedynie niesprawiedliwość. Mężczyzna, który wybrał sobie przydomek Doyle i który w dalszym ciągu będzie oszukiwał ludzi, musi odpowiedzieć za swoje czyny. Budynek wygląda inaczej, gdy nie spowija go blask nadziei, jest ciemny i złowieszczy. Podchodzę do frontu i zaglądam w przytłaczające okienka. Doyle otworzył główne drzwi kartą, którą wyciągnął z portfela. Miał dostęp do budynku, co oznacza, że albo tutaj mieszka, albo już wcześniej dokonał podobnego oszustwa i w jakiś sposób zdołał zdobyć klucze do mieszkań. Mógłby być kimkolwiek – od konserwatora po przyjaciela prawdziwego właściciela. Siedzę jeszcze chwilę, żeby popatrzeć na to, co omal nie było moje. Nic się nie stało. Poczekam. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, Doyle mi za wszystko zapłaci – w ten czy inny sposób.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko budynku, w którym miałam mieszkać, znajduję inne lokum. Właściciel prowadzi mnie cztery piętra w górę po schodach, ponieważ winda jest zepsuta. Na klatce śmierdzi moczem, czynsz jest wyższy, a mieszkanie bardziej obskurne, ale za to jest więcej światła. Z okna w pokoju dziennym mam widok na budynek Doyle'a. Decyduję się. Nie dlatego, że mnie na nie stać, ale dlatego, że nie stać mnie, żeby odmówić. Mogę się wprowadzić za tydzień. W międzyczasie śpię w jeepie, pod głowę wkładam zwinięty sweter, nie chcąc marnować pieniędzy na hotel. Kilka razy zakradam się do siłowni, żeby skorzystać z ich pryszniców, obiecując sobie, że któregoś dnia wykupię abonament, żeby im to jakoś wynagrodzić. W ciągu dnia zwiedzam sobie Seattle – zaglądam na Pike Place Market i na molo. Płynę promem na wyspę Bainbridge. Wjeżdżam windą na szczyt Space Needle. Jem w restauracji, w której mają tysiące ostryg w wypełnionych lodem stalowych pojemnikach. Kiedy wkładam mięso ostrygi do ust, czuję smak oceanu. Od razu się wciągam. Nigdy nie widziałam oceanu, jednak mogę go poczuć na brzegu Sound i w egzotycznym, słonym mięsie ostryg. Siedzę na ławce przed budynkiem Doyle'a i czekam, aż się pojawi. Wszystkie swoje wydatki zapisuję w zeszycie, żebym

wiedziała, ile mi zostało.

Bochenek chleba i masło orzechowe: \$4,76

Skarpetki i szampon: \$7,40

Szczotka do czyszczenia kibla: \$3,49

Kawa: \$5,60

Aspiryna i mleko: \$6,89

Na marginesie dopisuję: „W tym tygodniu wydałam \$137,50. W następnym tygodniu muszę przyoszczędzić!”.

Myślę o tym, gdzie zabrałabym Judaha, gdyby był tu ze mną: na targ, promem na drugi brzeg Sound, na spacer po wyspie Bainbridge, na lunch do mojej ulubionej knajpy z ostrygami. Dzwonię do niego raz, ale się rozłączam, słysząc dźwięk jego głosu. Nie wiem, co mu powiedzieć, i boję się, że w ogóle za mną nie tęskni. Kiedy przychodzi dzień, gdy mogę odebrać już klucze, wchodzę do biura pośrednika pewna, że coś się wydarzy. Uznają, że nie jestem godna tego, by tam zamieszkać; dowiedzą się, że zabiłam kobietę i spaliłam jej ciało; dowiedzą się, kim jestem, i poślą mnie do więzienia. Właściciel na mój widok woła: „Wygląda pani, jakby przyszła tu zidentyfikować ciało, a nie odebrać klucze!”. Śmieję się z tej ironii i rozluźniam. Skoro ma dobry humor, na pewno nie szykuje się, by powiedzieć mi, że jednak nie mogę się wprowadzić. Ostatecznie oddaje mi klucze i wyciąga do mnie rękę, gratulując nowego lokum.

Zanoszę worki pełne moich rzeczy do pokoju dziennego, a potem rozglądam się po mieszkaniu. Jest piękne. Jest moje. Chciałabym, żeby był tu Judah. Chciałabym, żeby matka była dumna. Szybko przeganiam obie myśli i wkładam kilka przywiezionych ze sobą ubrań do szafy. *Teraz praca, myślę sobie. Praca, potem Doyle, potem życie.*

Kupuję krzesło, talerze, sztućce, dmuchany materac i koc z wielkim, czarnym krukiem. Ekspres do kawy. Za dnia spaceruję po ulicach i szukam sklepów z ogłoszeniami „Przyjmę do pracy” w oknach, czasem rozmawiając z włóczęgami, którzy zagadują do mnie, bo myślą, że jestem jedną z nich. Uznaję to za zły znak i kupuję nowe ubrania; takie, które pomogą mi znaleźć pracę. Ćwiczę różne miny przed małym lustrem w łazience. Uśmiecham się grzecznie i modeluję głos, by brzmiał skromnie i uprzejmie. Staram się być taką osobą, jaką chciałoby

się zatrudnić.

A potem, pewnego niezwykle słonecznego dnia, jem właśnie sałatkę i zupę w całodobowej jadłodajni w Capitol Hill, kiedy menedżer pyta mnie niby żartem, czy nie szukam może pracy.

Bar nazywa się Myrrh i serwuje wszystko, poczynając od gofrów, a na paluszkach krabowych kończąc. Pozwalają mi pracować na nocnej zmianie, bo jestem jedną z niewielu osób, które są gotowe to robić. Przychodzę na godzinę dziewiątą, kiedy tłum po kolacji zaczyna się przersedzać, a kelnerzy kończący całodzienną pracę są już poirytowani i opryskliwi, nie mogąc się doczekać powrotu do domu. Pomagam im owijać w serwetki komplety sztućców i sprzątam ich sekcje, równie niecierpliwie oczekując ich wyjścia. Razem ze mną nocami pracuje druga dziewczyna. Ładna Azjatka, która nazywa się Kady Flowers. Trzyma dystans, więc ja tak samo. Pracujemy razem bez zgrzytów, porozumiewając się boleśnie krótkimi zdaniami: „Dolewka na piątce”. „Zanieś do dwudziestki trójki”. „Zastąp mnie, idę do toalety”. Obie dobrze się z tym czujemy. Czasami zastanawiam się, co Kady ukrywa. Czy ona też kogoś zabiła? Czy może ktoś zabił ją?

Moja zmiana kończy się o piątej, akurat kiedy wstaje słońce. W pracy kelnerki jest coś upokarzającego i satysfakcjonującego jednocześnie. Zamieszanie na sali, pusty wzrok klientów, który sprawia, że czujesz się jak intruz, chociaż tylko dolewasz im wody. Wykrzywane zamówienia i ani słowa podziękowania. Jesteś tylko twarzą, plakietką z imieniem. Daje mi to anonimowość, a tej właśnie potrzebuję, i pustkę, na którą być może sobie zasłużyłam. O poranku, gdy kończę pracę, maszeruję do swojego małego mieszkania i zaparzam herbatę z torebek, które kradnę z Myrrh. Siadam przy oknie i myślę o Judahu, o Nevaeh, o Małym Mo. Wspominam też matkę z czasów, kiedy jeszcze mnie kochała. Jestem samotna do szpiku kości.

Po sześciu miesiącach nowego życia wypełniam potrzebne dokumenty, żeby studiować na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Zaczynam od dwóch kursów w semestrze: wstęp do psychologii oraz komparatywne zachowanie zwierząt, a następnie zaburzenia behawioralne oraz rozwój człowieka. Zadaję mnóstwo pytań w trakcie zajęć, moja ręka podnosi się dwa razy częściej niż któregokolwiek

z reszty studentów. Wykładowcy mnie lubią, myląc moje badania nad samą sobą z głodem wiedzy o zawodzie. Myślą, że daleko zajdę. Sugerują studia magisterskie, oferują napisanie rekomendacji i zapraszają na swoje inne, bardziej zaawansowane zajęcia. Nie protestuję, bo kto wie?

Urządzam sobie długie spacerory, a w końcu długie biegi. Przedtem, kiedy mieszkałam w Bone, chudłam. Teraz buduję mięśnie. Wystają z mojego ciała w postaci twardych, brzydkich wiązek. Kiedy patrzę w lustro, prawie potrafię dostrzec, z czego jestem zrobiona – mocno naciągniętych mięśni, kości i szpiku, o których mówił kiedyś Judah. Bywają dni, że tęsknię za Bone i właśnie wtedy najczęściej myślę o szpiku – o tym, kim jestem, czym jestem. Możesz opuścić Bone, ale Bone nigdy cię nie opuści.

Piszę do Judaha listy, ale on rzadko odpowiada, a nawet jeśli, to dostaję tylko jedną stronę bazgrołów, które potem z mozołem próbuję rozczytać. Judah jest zajęty, bo ma zajęcia... ma życie. Rozumiem to. Ja przecież mam tak samo, prawda?

Niewiele śpiam – cztery godziny w dzień albo w nocy, w zależności od tego, jaką mam zmianę w pracy. Moje oczy wyglądają jak dwa ciemne księżyce. Często zauważam, że Kady dziwnie na mnie patrzy, jakby myślała o mnie w podobny sposób, jak ja myślę o niej. Pewnej nocy podaje mi jakąś tubkę i odchodzi. Maszeruję do łazienki, żeby przyjrzeć się tubce, okazuje się, że to korektor pod oczy. Coś, co może zakryć ślady wyczerpania. Używam go i widzę różnicę. Nie przypominam już trupa. Moi klienci chyba też to zauważają, bo zaczynają mi dawać wyższe napiwki. Po kilku tygodniach Kady wsuwa mi do kieszeni fartucha błyszczyc. Nakładam go w łazience. Dzięki temu wyglądam... jak żywy człowiek. Gdy oba kosmetyki mi się kończą, pytam Kady, gdzie mogę kupić więcej. To najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadziłyśmy do tej pory.

– Gdzie mogę kupić te kosmetyki do makijażu, które mi dałaś? Nie mogłam ich znaleźć w drogerii.

– Przyniosę ci więcej... Moja matka je sprzedaje.

Kady Flowers zostaje moją kosmetyczną dilerką; najpierw korektora i błyszczycu, ale potem też różu i maskary. Nie pozwalała mi

za nic płacić; zamiast tego wyręczam ją w szykowaniu sztucców. Kiedy którejś nocy proponuje, że obetnie mi włosy, kręcę głową.

– Nigdy ich nie obcinam – mówię, jednak ona spogląda na mnie z tak głębokim rozczarowaniem, że natychmiast się zgadzam, by przyszła do mojego mieszkania na drugi dzień. Tak się składa, że wypadają wtedy moje dwudzieste pierwsze urodziny, a ona pojawia się u mnie z małą, czarną torbą, która upodabnia ją do staromodnego lekarza. Rozgląda się pobieżnie po moim liczącym trzydzieści siedem metrów kwadratowych mieszkaniu, a potem każe mi usiąść przed oknem na jedynym krześle i wyciąga cekinową kosmetyczkę, w której trzyma swoje narzędzia.

– Chodzę do szkoły fryzjerskiej w centrum – mówi cicho. – To na wypadek, gdybyś się bała, że nie mam pojęcia, co robię. – Oczywiście nie zastanawiałam się nad tym. Jeśli ktoś chce mi obciąć włosy, kim jestem, żeby protestować?

– Dlatego pracujesz nocami? – pytam.

Kady kiwa głową.

– Ty też się uczysz. Na uniwerku. – Gdy patrzę na nią zdziwiona, szybko się tłumaczy. – Widziałam cię tam raz. Akurat odwiedzałam koleżankę. Chyba wychodziłaś z sali wykładowej.

Przez chwilę obie milczymy, przetrawiając nowe informacje. Kady dotyka moich włosów, podnosząc je pasmami, jakby je oceniała.

– Zetnij na krótko – mówię nagle. – Tak krótko, jak tylko zechcesz. – Nagle czuję się odważniejsza z moimi dwudziestoma jeden latami na karku. W końcu przeżyłam aż tyle bez niczyjej pomocy. Właściwie mogę mieć nową fryzurę, skoro mam już nowe ciało i nową twarz. Mieszkam w tym mieście i w tej kulturze już rok.

Zamykam oczy.

Nie jestem już Margo z Bone. Jestem nową, ciasno ociosaną Margo z Seattle, z białymi rzęsami umalowanymi na czarno i przypominającymi nogi pająka, z przyróżowioną bladą skórą. Ciekawe, czy matka nadal uważałaby mnie za brzydulę, gdyby zobaczyła mnie teraz. Z tak krótkimi włosami powinnam wyglądać jak chłopak, jednak makijaż zmiękcza mi rysy. Czuję się teraz twarda i kobieca jednocześnie.

Pewnego wczesnego ranka, kiedy nad Sound unosi się mgła, wracam do domu z pracy godzinę wcześniej niż zazwyczaj, ponieważ nikogo nie było w knajpie. Nagle zauważam bójkę w bocznej alejce. Zostaję na ulicy, zastanawiając się, czy powinnam zareagować. Nie ma kogo poprosić o pomoc. Czasami bezdomni się kłócą i może teraz też to oni robią zamieszanie. Jest czwarta nad ranem; pijący do późna dawno doczłapali się już do domów, a klasa pracująca jeszcze nie wstała. Wytężam wzrok, żeby coś dojrzeć, mój oddech zamienia się w parę. Zimno mi. Chcę jak najszybciej zmyć z siebie brud knajpy i położyć się do łóżka. Powinnam się nie wtrącać i odejść, ale wtedy słyszę krzyk kobiety. Krótki, jakby został ucięty, zanim zdążył w pełni wybrzmieć.

Ruszam w dół alejki, wszelkie wahanie zostało zatarte przez wołanie o pomoc. Biegnę na palcach, robiąc długie, ciche kroki. Mężczyzna nie słyszy mnie, gdy podchodzę do niego od tyłu. Jest silny, ma szerokie ramiona obleczone w skórzaną kurtkę. Przyciska właśnie do ściany dziewczynę młodszą ode mnie. Oczy zasły jej mgłą, próbuje wyslizgnąć się spod ciała napastnika. Jej wysiłki są daremne. On jest trzy razy większy od niej.

Mężczyzna jedną ręką zatyka jej usta, a ciężarem ramienia

przytrzymuje ją przy ścianie. Wolną ręką właśnie siłuje się ze spodniami, chcąc ściągnąć je z szerokich bioder. Obserwuję go przez chwilę, czując, jak wzbiera we mnie gniew. Jego poziom wzrasta powoli, ale nie próbuję go opanować – chcę, by wypełnił mnie po brzegi, nim zacznę działać.

W głowie już go zabiłam. Zerwałam go z dziewczyny i poderżnęłam mu gardło nożem, który noszę przytroczony do łydki. Ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Miałabym świadka, a gdzie świadek, tam policja i cały dzień zadawania pytań. A ja nie chcę, żeby wiedzieli o moim istnieniu.

Muszę być ostrożna, bo napastnik jest większy ode mnie. Czekam, aż spuści spodnie jeszcze niżej. W końcu zwisają mu w połowie ud. Mężczyzna powoli wyciąga pasek i odrzuca go na bok. Schylam się po niego i łapię za jeden koniec, by przyciągnąć go do siebie; nawet na moment nie spuszczam napastnika z oczu. Dziewczyna zauważyła moją obecność. Wbija we mnie wzrok, gdy podchodzę bliżej. Przystawiam palec do ust, nakazując jej w ten sposób ciszę. Wszystko zajmuje mi sekundę – podnoszę ręce, owijam jego szyję paskiem. Jego okrzyk zdumienia zaraz się urywa, gdyż zaczynam go dusić.

– Uciekaj – mówię do dziewczyny, a mężczyzna odpycha mnie do tyłu. Spodnie ograniczają mu ruch; właśnie na to liczyłam. Nie puszczam paska, zaciskam go jeszcze mocniej, podczas gdy napastnik kilka razy uderza mną o ścianę. Próbuje poluźnić pasek, wciskając palce między skórę a swoją szyję, ale wtedy moje nogi znajdują oparcie na dużym metalowym koszu i blokuję je w tym miejscu. Prawie nie czuję cegieł wgrzających się w moje plecy, adrenalina otoczyła moje nerwy niczym gruba warstwa gumowej izolacji. Udaje mi się ściągnąć i zapiąć pasek, więc trzymam go jedną ręką, drugą sięgając po nóż. Napastnik omal mi go nie wytrąca, a ja w tej samej chwili kaleczę mu udo, przez co mężczyzna zaczyna się szamotać jeszcze gwałtowniej. Wyrzywa mi z ręki pasek i – już wolny – odtacza się, sycząc i próbując zaczerpnąć powietrza. Kiedy on odpina z szyi pasek, ja wbijam go w mur, zginając się wpół i ruszając do przodu jak futboliści, których widziałam w telewizji. Dostaję raz, w twarz, i aż chce mi się rzygać z bólu. On chwyta mnie za rękę i ciągnie do tyłu. Już myślę, że zaraz mi ją wyrwie ze stawów, ale wolną ręką tnę go nożem po policzku. Mężczyzna

puszcza mnie i łapie się za twarz. Obracam się i przystawiam ostrze do jego szyi. Wtedy on podnosi ręce w geście poddania się, jednak ja doskonale wiem, że nie pozostaną w górze. Jeszcze parę sekund i znowu znajdę się na słabszej pozycji. Tego właśnie nie rozumieją kobiety; jeśli chcesz zachować przewagę, musisz działać szybciej niż oni. Dlatego dźgam napastnika. Wbijam nóż, aż jego ciepła krew spływa po moich palcach. Nie chciałam go zabić, ale w końcu to zrobiłam.

Trzy życia, mówię sobie. Odsuwam się, a on pada mi u stóp. Właśnie wtedy zauważam dziewczynę. Pobiegła, ale niezbyt daleko. Czekala, żeby zobaczyć, co się stanie, a może chciała zostać blisko, by w razie czego mi pomóc. Nie wygląda na zdecydowaną na żadne z tych dwóch rozwiązań, nawet jej skarpetki – podciągnięte za kolano – nie pasują do siebie. Patrzymy sobie w oczy, jej wydają się o wiele mniej mgliste, niż kiedy patrzyłam w nie ostatnim razem.

– Zabiłaś go – mówi.

Przecieram dłonią czoło, nie wiedząc, co właściwie powinnam teraz zrobić.

– Kim on jest?

Dziewczyna gapi się na ciało, a ja muszę powtórzyć pytanie.

– Kim był – poprawia mnie. – Przecież nie żyje.

Młodziutka jest. Niepełnoletnia. Patrzę na jej zbyt seksowne ciuchy: skórzana mini i obcisły sweterek. Mam ochotę zmienić pytanie na: „Kim ty jesteś?”. Brakuje nam jednak czasu. Trzeba podjąć decyzję. Moje odciski można znaleźć na całym ciele niedosłego gwałciciela. Niedoszła ofiara widziała moją twarz. Nie możemy już po prostu odejść. Ktoś mógł nas widzieć albo usłyszeć i być może zadzwonił na policję.

– Nazywa się Jonas. Poznałam go w sieci – wyjaśnia dziewczyna beznamietnym, znudzonym głosem. – Powiedział mi, że ma osiemnaście lat. Dzisiaj spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wyszłam z domu w tajemnicy przed rodzicami. – To ostatnie zdanie mówi jakby zaskoczona.

– Ile masz lat? – pytam. Jeśli zaprowadzę ją teraz do domu, nie piśnie nikomu ani słowa. Mogłabym pozbyć się wszystkich śladów...

– Szesnaście.

– Jak się nazywasz?

– Mary.

– Mamy dwie opcje, Mary – tłumaczę jej. – Możemy zadzwonić na policję...

– Rodzice się o wszystkim dowiedzą – wtrąca szybko. – I strasznie się na mnie wkurzą.

Wykręca dłonie, a ja dostrzegam rozmazany tusz pod jej oczami.

Przyglądam się jej przez chwilę.

– Tak, na pewno się wkurzą. Na ziemi leży martwy koleś, który próbował cię zgwałcić. Rodzice pewnie się ucieszą, że nic ci się nie stało – dodaję. Oblizuję usta. Skóra mnie świerzbi pod ubraniami. Dopiero co zabiłam człowieka, a ta dziewczyna wszystko widziała.

– Jaka jest druga opcja? – pyta Mary. Cieknie jej z nosa, ale dziewczyna nie próbuje się wytrzeć. Wyraźnie jest w szoku.

– Każda z nas idzie w swoją stronę i nigdy więcej nie wspominamy o tym ani słowem.

Mary obraca się bez słowa na pięcie i rusza ku wyjściu z alejki.

– Hej – woła za mną po chwili. Patrzę przez ramię. Dziewczyna idzie tyłem. – Dziękuję. – Po tych słowach rusza biegiem, jej włosy falują w pędzie.

Chciałabym jej powiedzieć, żeby następnym razem była mądrzejsza. Żeby trzymała się z dala od mężczyzn, którzy chcą się z nią spotkać w ciemnej alejce. Żeby przestała uciekać z domu w środku nocy. Jednak jej już nie ma, a ja dopiero co kogoś zabiłam, jego krew stygnie na smole u moich stóp. *Będą włókna*, myślę sobie. Moje DNA będzie wszędzie: włosy, naskórek, może nawet krew. Dzięki Bogu za deszcz. Złota zasada: popełniaj zbrodnie w deszczu, a twoje szanse na pozostanie na wolności znacznie wzrosną.

– Taki z ciebie Jonas jak ze mnie – mówię, zakładając kaptur. Raczej Peter Fennet. I wcale nie miał osiemnastu, lecz trzydzieści jeden lat. *Zboczeniec*. Zabieram jego dowód osobisty i opieram ciało o kubeł na śmieci, a potem wyciągam z portfela także pieniądze. Osiemdziesiąt sześć dolarów. Ściągam mu też zegarek – niech to wygląda na kradzież. *Wrzucę go później do rzeki*, myślę sobie, chowając go do kieszeni. Spoglądam po raz ostatni na ciało. Nic nie czuję. Dziwne. Wyginam szyję, aż mi strzelają kości, i wychodzę z alejki. Muszę przestać

mordować ludzi.

Wrzucam zegarek Zboczonego Petera do Sound później tego samego dnia. Słyszę cichy plusk i widzę tarczę, jak błyskotka gładko opada na dno. Czekam, aż będę miała pewność, że nie wypłynie z powrotem, by nawiedzać mnie niczym duch, a potem ruszam na targ. Kupuję owoce i herbatę pomarańczową z przyprawami. Do domu wracam obolała. Pod ubraniami jestem cała czarno-fioletowa. Wyglądam jak dzieło sztuki abstrakcyjnej. Zboczony Peter nieźle mnie złoił. Ale nie dość dobrze. On jest martwy, a ja wciąż żyję. Pojawiłam się w odpowiedniej chwili, żeby go ukarać; każdy inny na moim miejscu zrobiłby to samo. Zaparzam herbatę i zanoszę kubek do łazienki, gdzie moczę się w gorącej kąpieli, aż zmarszczą mi się dłonie. Ciekawe, czy Mary się przed kimś wygada. Będzie pewnie wracać myślami do tej nocy i zastanawiać się, co by się stało, gdybym nie usłyszała jej krzyku. A może jest jak moja matka i szybko wymaże to zdarzenie z pamięci. Tak czy inaczej, wątpię, żebym kiedykolwiek ją jeszcze spotkała. Nie przeszkadza mi to.

Wyciągam laptop spod materaca. Boję się, że ktoś mi go ukradnie, więc każdego dnia chowam go w innym miejscu, chociaż gdyby ktoś naprawdę chciał to zrobić, przetrzepałby całe mieszkanie i znalazł urządzenie w jakimś w miarę oczywistym miejscu. Szukam w sieci doniesień o morderstwie w Seattle. Ciekawe, ile czasu zajmie zidentyfikowanie ofiary i powiadomienie rodziny. Ciekawe, kto znalazł go opartego o kubek na śmieci.

I wtedy wreszcie to zauważam – nagłówek: „Ciało mężczyzny znalezione niedaleko Pike Place Market”. Tylko że to wcale nie było blisko Pike Place Market. Media chcą, by ludzie uwierzyli w istnienie seryjnego mordercy. *Brzydką blondynkę z Bone*, myślę sobie. W artykule przeczytałam same suche fakty. Ciało niezidentyfikowanego mężczyzny. Między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia. Rany klute i ślady walki. Na koniec typowe wezwanie, by zgłosił się każdy, kto cokolwiek widział lub słyszał.

Obgryzam paznokcie i myślę o Mary. Nie poznała mojego imienia, ale na pewno zdołałaby rozpoznać mnie na okazaniu w komisariacie. To było głupie, impulsywne. Mogłam dłużej z nim powalczyć i dać jej czas

na ucieczkę, potem może sama też zdołałabym umknąć. Może nie obeszłoby się bez obrażeń, ale przynajmniej nie szukałaby mnie policja. Odkładam komputer i kładę się do łóżka. Zасыpiam, lecz dręcą mnie koszmary, w których uciekam przed bezgłowymi lwicami po niekończących się korytarzach.

Koło czwartej po południu budzę się i myję zęby. Zjadam pomarańczę nad zlewem i znowu zaglądam do Internetu. Nie znajduję nic więcej na temat Zboczonego Petera. Ciężar uciskający mi pierś nieco odpuścił.

Pamiętam, jak się czułam zaraz po przeprowadzce do miasta. Wydawało mi się, że jestem zupełnie inna niż ludzie, którzy mnie otaczają. Wmawiałam sobie, że udaję kogoś innego, jednak życie nauczyło mnie, że wszyscy tak robią. Każdy jeden. Rodzimy się, by kształtować siebie, by szukać ludzi, z którymi czujemy się komfortowo. Bez względu na to, czy okażą się nimi kujony, cheerleaderki, a nawet seryjni mordercy. Nie ma niczego nowego pod słońcem. Nic, co moglibyśmy wynaleźć albo wymyślić. Borykamy się z naszymi sympatiami i antypatiami, z wyborem przyjaciół, ciuchów i samochodu. Nasze zainteresowania – czy to malowanie włoskich zachodów słońca, granie na konsolach, czy czytanie powieści erotycznych – podtyka nam społeczeństwo, które je produkuje. Ile byśmy nie próbowali stworzyć siebie w oryginalny sposób, zawsze istnieją jacyś ćpuni, miłośnicy tatuaży i ludzie pragnący władzy nad światem. Zawsze istnieją artyści, hippisi, piwożłopy i jedna tylko Matka Teresa rozpraszająca cienie. Zawsze istnieli zabójcy, matki i sportowcy. Wszyscy kogoś udajemy; szukamy tego jednego zakątka ludzkości, do którego pasujemy, a potem staramy się grać swoją rolę. Wychodzimy przez kanał rodny i rodzice od razu próbują nam wmówić, kim powinniśmy być, po prostu będąc sobą.

Widzimy ich życie, ich samochody, ich relacje, ustalane przez nich zasady i w ten sposób powstają fundamenty naszego życia. A jeśli nie kształtują nas rodzice, robią to sytuacje. Wszyscy jesteśmy owcami podejmującymi pracę, rodzącymi dzieci, przechodzącymi na dietę i starającymi się stworzyć coś wyjątkowego, używając do tego złamanych serc, znudzonych umysłów i zranionych dusz, które daje nam życie. I to wszystko już kiedyś było, każda radość, każdy smutek.

A gdy tylko zdasz sobie sprawę, że wszyscy udajemy, nic nie będzie w stanie cię zastraszyć: żadna kara, porażka, śmierć. Nawet ludzie. Nie ma nic szczególnego w człowieku, który dobrze udaje. Jest tylko kolejną duszą, może nieco mądrzejszą, nieco lepszą w zaliczaniu porażek niż ty. Mimo to niewartą choć sekundy strachu.

Seattle to moje miasto. Waszyngton to mój stan. Jest mój, bo ja tak mówię. A życie odbieram, ponieważ tego chcę. I niczego się nie boję, ponieważ nie ma już czego się bać.

Pewnego dnia siedzę na ławce pogrążona w lekturze, kiedy na ulicy widzę Doyle'a w towarzystwie żylastego młodego mężczyzny w okularach. To ostatnia ofiara Doyle'a. Młodzieniec wygląda na zapadniętego w sobie, jak latawiec, który nie może złapać podmuchu wiatru. Ciągle spogląda na telefon, a potem znowu na Doyle'a, który cały czas gada i pokazuje różne rzeczy po drodze. Tak samo robił ze mną. Pokazywał bary śniadaniowe i sklepiki, mówiąc, gdzie najlepiej kupić chleb i owoce. Wszystko po to, żebym poczuła się komfortowo, żebym przyzwyczała się do wizji mieszkania w jego budynku i ujrzała oczami wyobraźni siebie w tej okolicy. Obserwuję ich znad książki, sykając z dezaprobatą na Doyle'a.

Kiedy mnie już miną, odkładam powieść, zapominając o niej, i ruszam ich śladem.

– Mówiłam, że cię znajdę – wypowiadam ciszej niż szeptem i chowam się za rogiem. Niczym cień idę za nimi przez Drugą Aleję i dalej na Madison. A oni nie patrzą w moją stronę, chociaż mam na sobie jasnopomarańczową koszulkę i skórzane spodnie. Kierują się do znanego mi już budynku. Ciekawe, czy mieszkanie też okaże się to samo. Ciekawe, na co wydał moje pieniądze. Dragi? Czyny? Auto? *Kogo to obchodzi?* Złodziej to złodziej, bez względu na to, na co wydał

ukradzione pieniądze.

Doyle otwiera kartą główne drzwi do budynku. Chłopak ogląda się raz przez ramię, po czym rusza za nim do środka. Wyskakuję z kryjówki i łapię za klamkę, zanim drzwi się zamkną. Doyle nie rozpozna mnie; wyglądam teraz inaczej. Mimo to pozostaję w cieniu, nasłuchując głosów w pustym budynku. Oni jadą windą, ja ruszam schodami. Rozmyślam o tym, co powiem staremu druhowi Doyle'owi. Przeskakując po dwa stopnie naraz, przypominam sobie czasy, kiedy nie potrafiłam wejść na piętro pożeracza, nie dostając przy tym zadyszki. Doyle zabiera chłopaka do innego lokalu niż mnie, ale na tym samym piętrze. Pozostaję na korytarzu i podsłuchuję ich rozmowę. Doyle chce za pierwszy i ostatni miesiąc z góry, a do tego dwa tysiące dolarów kaucji. Daje temu koleśowi fory. Oszukuje go z pięćdziesięcioprocentowym rabatem. Chłopak, którego Doyle nazywa George'em, wydaje się niepewny. Chce zadzwonić najpierw do swojej dziewczyny. Doyle każe mu się pośpieszyć. Ma już innych zainteresowanych. Otwieram drzwi.

– Na przykład mnie – mówię.

Odwracają się w moją stronę jednocześnie.

– Hej – rzucam do George'a. – Ten koleś to oszust. Lepiej, żebyś nie dawał mu żadnych pieniędzy.

Chłopak na początku wybucha śmiechem, jakbym opowiedziała naprawdę dobry żart. Kiedy jednak zauważa, że nie śmieję się razem z nim, jego zbyt cienkie brwi tworzą ostre trójkąty nad okularami.

– Idź, idź – ponaglę go. – Chyba że chcesz być biedniejszy o dwanaście tysięcy dolarów, tak jak ja.

Ostatni raz patrzy na czerwonego jak burak Doyle'a, a potem ucieka do wyjścia.

– Hej, George – wołam za nim. – Chleb najlepiej kupić na Union i Czwartej. Nie słuchaj tego żartownisia.

Gdy tylko słyszę dzwonek windy, zamykam drzwi i uśmiecham się wyczekująco do Doyle'a.

– Hej! Pamiętasz mnie?

Porusza szybko oczami, jak szczur zapędzony w kozi róg. Wygląda głupio. Nie potrafię uwierzyć, że dałam się nabrać na jego gadkę.

Cwaniak Doyle. Spogląda na drzwi, a ja podziwiam mieszkanie. Podoba mi się. Nawet bardzo. Wygląda lepiej niż to, które mi obiecywał. Kuchnia jest mała, ale są tu granitowe blaty, a szafki wyglądają na nowe. Wciążam zapach farby i świeżo położonych dywanów.

– Kto jest właścicielem tego lokalu, Doyle?

Rusza w stronę wyjścia z wyrazem twarzy kogoś, kto ma wszystko w dupie. Ja jednak wyciągam swój pistolet. Nie lubię z niego korzystać; to taka niewdzięczna broń: głośna, pretensjonalna, wymaga pocisków. Noszę ją ze sobą nocami, gdy wracam późno z pracy. Trzymam ją najpierw w torebce, którą zostawiam w biurze menedżera, a potem w łazience wsuwam za pasek dżinsów przed wyjściem na ulicę... na wszelki wypadek. Nigdy nie można być zbyt ostrożnym w świecie pełnym psycholi.

Doyle zauważa kawałek czarnego metalu w mojej dłoni i zatrzymuje się w pół kroku. Niesamowite, jakie wrażenie może zrobić taki mały pistolecik. Spaliłam kobietę żywcem, a jednak nikt nie ma łez w oczach na widok różowego zippo.

– Doyle – mówię. – Coś nie tak? Zzieleniałeś nieco.

Kręci głową. Widzę, jak na jego czole zaczyna perlić się pot. Nienawidzę ludzi, którym pocą się czoła. Obrzydliwość.

– Mieszkanie jest moje – mówi Doyle, jego jabłko Adama porusza się nerwowo.

To powinno mi wszystko ułatwić.

– Ile ich masz w budynku?

– Trzy.

– A ty między wyprowadzką jednego i wprowadzeniem się drugiego najemcy oszukujesz ludzi, dając im do zrozumienia, że mieszkanie jest wolne?

– No, właściwie to mój ojciec jest właścicielem – mówi. – Posłuchaj, kobieto, ja tu tylko próbuję zarobić parę groszy. Mój stary wynajmuje lokale, a ja gównem z tego mam, chociaż wszystko za niego robię.

– Ojej, biedactwo! Naprawdę myślałeś, że opowiesz mi łzawą historijkę, a mi robi się ciebie żal?

Głupi ćwok.

Przechadzam się po salonie, wyglądam przez okno. W tym pokoju jest ładny widok na miasto.

– Ile twój ojczulek życzy sobie za wynajem tego mieszkania?

– Trzy tysiące za miesiąc.

– O rany. Ale słyszałam, że George'owi chciałeś je oddać za tysiąka.

Doyle tylko patrzy na mnie. Najwyraźniej nie rozumie, do czego zmierzam.

– Wezmę je za tysiąc – mówię. – I podaj mi numer telefonu George'a; chciałabym, żeby podnajął moje aktualne lokum. Oczywiście nie potrzebujesz ode mnie kaucji, bo już zabrałeś mi dwanaście tysięcy dolarów.

Zaczynam w wyobraźni ustawiać meble: stara sofa wyrzucona przez sąsiada, stół kuchenny kupiony w Target, który przytaszczyłam do mieszkania sama, w pudle. Właśnie wtedy Doyle postanawia mi się sprzeciwić drżącym, pełnym oburzenia, piskliwym jak po helu głosem.

– Pojebało cię.

Chichoczę.

– Oj, chłopie. Żebyś wiedział. Ale ty ukradłeś dwanaście tysięcy dolarów wariatce. Kogo tu bardziej pojebało? Naprawdę nie chciałabym być teraz tobą, Doyle. Wiesz dlaczego? Bo trzymam broń, ale też, co ważniejsze, mam bardzo mściwą osobowość. Boże, lepiej, żebyś nie miał okazji przekonać się o tym na własnej skórze.

Doyle najwyraźniej w ogóle nie przyjmuje do wiadomości tego, co próbuję mu wytłumaczyć. Ciągłe szuka jakiegoś wyjścia z sytuacji, jego mózg wielkości orzeszka wszedł na wysokie obroty, żeby mnie jakoś zmanipulować. Widzę to w jego błyszczących oczach. Robię kilka kroków w jego stronę.

Trach.

Uderzam go w twarz pistoletem.

Doyle podnosi rękę do krwawiącego nosa, tym samym tłumiąc nieco swój płacz. Gdy zgina się wpół, przez palce przecieka mu zdrowa ilość czerwonego płynu.

– So. Jes. Hurwa!

– So jes hurwa, dokładnie tak. Zupełnie się tego nie spodziewałeś!

Musisz lepiej uważać.

Pozwalam mu się trochę uspokoić, czekam przy oknie. Podoba mi się widok. Wygląda bardzo w stylu Seattle: widać wodę, mgłę, promy, podskakujące parasole. Panuje tu spokój. Będzie mi się dobrze mieszkało. Jest zupełnie inaczej niż w pozeraczu. Czuję głębokie zadowolenie z faktu, że to lokum będzie należało do mnie.

– A więc, Doyle – mówię w końcu. – Powiedz tatusiowi, że wynająłeś to mieszkanie za tyle, ile sobie życzy. A potem to jakoś ogarnij. Daj mi swoje prawo jazdy – rozkazuję, machając pistoletem. Jestem już zmęczona trzymaniem go. Najwyraźniej nie nadaję się na gangsterkę. Doyle wkłada rękę do kieszeni i wyciąga portfel z Batmanem, wciąż próbując zatamować strumień krwi rękawem polaru. Przewracam oczami. Doyle rzuca mi portfel, a ja go łapię i otwieram. *No i proszę! Naprawdę nazywa się Brian.* Brian Marcus Ritter. Mieszka na Sycamore Lane 22. Odczytuję to wszystko na głos. Co za głupi, głupi sukinsyn.

– Teraz wiem, gdzie cię znaleźć, Doyle – mówię i wyciągam wizytówkę. Ritter Enterprises. Jego ojciec jest właścicielem firmy. Wkładam wizytówkę do tylnej kieszeni, nie spuszczać wzroku z Doyle'a. – Jeśli nie spełnisz mojej prośby, będę musiała iść na policję oraz, oczywiście, do szanownego tatusia – oznajmiam radośnie. – Jestem pewna, że uda mi się znaleźć inne ofiary twoich oszustw, by poparły moją wersję wydarzeń. Takie oszustwo to co najmniej siedem lat!

Doyle – a raczej Brian – wydaje się zmartwiony. Poza tym wyraźnie zbiera mu się na płacz, zaś pot na jego czole gęstnieje jak po dodaniu skrobi ziemniaczanej. Ale nie ma wyjścia. Zapędziłam go w kozi róg.

Kilka tygodni później Judah wysyła mi e-mail. Chce, żebym poleciała do Kalifornii go odwiedzić. *Pieprzyć iglaki. Tutaj zobaczysz palmy!* Ale ja nie jestem zainteresowana palmami; muszę tylko uciec na kilka dni z Seattle. Czasami się czuję, jakby nawiedzał mnie tu duch Petera Fenneta.

Spędzam wiele czasu na zastanawianiu się, dlaczego tym razem jest inaczej – dlaczego po zabiciu Lyndee i Voli nigdy nie miałam koszmarów, a teraz śnią mi się bez przerwy. Ciekawe, czy to dlatego, że zamordowałam Petera Fenneta, zanim miał szansę popełnić zbrodnię.

Odpowiadam Judahowi, że przylecę, a on kupuje mi bilety. W trzeci czerwcowy weekend udaję się na lotnisko ze świeżo kupioną torbą podróżną, żeby wsiąść do samolotu lecącego do Los Angeles. Nigdy wcześniej nie latałam, więc muszę o wszystko wypytywać.

– Gdzie jest wyjście B?

– Mam stać w kolejce już teraz? Czy wyczytają moje nazwisko, kiedy przyjdzie czas na wejście na pokład?

– Mogę położyć torbę gdziekolwiek czy przydzielą mi specjalne miejsce?

Stewardesy są już zniecierpliwione, a współpasażerowie patrzą na

mnie z politowaniem, kiedy pytam o toaletę dla kobiet. Koszmar kończy się dopiero wtedy, gdy wysiadam z samolotu i podchodzę do punktu odbioru bagażu, gdzie czeka już na mnie Judah. Podbiegam i padam na kolana, żeby otoczyć go ramionami.

– Hej, Margo – szepcze do moich włosów. – Stęskniłem się za tobą.

– Zabierz mnie do siebie – mówię, wstając. – Jak się tam dostaniemy?

– Taksówką. Mieszkam niedaleko stąd.

Nie użył liczby mnogiej, jak często robią ludzie w związku, ale coś w tonie jego głosu sugerowało, że nie mieszka sam.

Judah ma dziewczynę. Nazywa się Erin, to potwornie androgyniczne imię z wieloma różnymi sposobami zapisu: Aaron, Eryn, Errin, Erinn, Aryn. Nienawidzę jej od pierwszego wejrzenia – całe szczuplutkie i kobiece metr sześćdziesiąt Erin. Tyle dobrego, że jej imię zapisuje się tradycyjnie. Jest gibka i chuda, kości nadgarstka ma tak cieniutkie i kruche, że mogłabym je zmiażdżyć, ściskając raz a porządnie. Wyobrażam to sobie za każdym razem, gdy Erin dotyka Judaha. Widzę u niej tatuaż oraz przekłute brew i język, a ubrania zdają się mówić jedno: „Jestem wolnym duchem”. Przyglądam się jej kruczoczarnym włosom, które układa w czarująco niedbały kok na czubku głowy, i nienawidzę blondowatości swoich własnych. Erin pracuje jako pielęgniarka, więc ma w sobie taką naturalną troskliwość. Bardzo irytujące. Jej brat jest niewidomy, zatem najwyraźniej Erin ma słabość do niepełnosprawnych mężczyzn.

Udaje, że nie widzi wózka. To mnie naprawdę w niej wkurza; zachowuje się, jakby jej facet był zwyczajnym koleśkiem ze zwyczajnymi nogami. „Zabierzmy dzisiaj Margo na targowisko miejscowych rolników. Przejdźmy się na plażę. Przejdźmy się na diabelskim młynie”. Przy każdej takiej propozycji Judah musi przypominać jej o sprawach w stylu: koła jego wózka nie nadają się do jazdy po piasku, pod diabelskim młynem nie ma podjazdu dla wózków, a na targowisku w soboty jest tak tłoczno, że ostatnim razem musieli wracać, bo nie starczyło już miejsca na wózek. Erin szepcze do mnie, że Judah może robić wszystko to, co my, ale potrzebuje trochę zachęty, a potem mruga

do mnie konspiracyjnie. *Nie, nie może*, mam ochotę powiedzieć. *Właśnie dlatego bycie kaleką jest do kitu*. Nie twierdzę, że Judah wymaga specjalnego traktowania. Nie on, tylko same sytuacje. W końcu jest niepełnosprawny, do jasnej cholery.

Jednak Judahowi najwyraźniej podoba się ten jej optymizm, a wszystkie próby traktowania go normalnie kwituje poklepaniem jej po pupie i uśmiechem. Ciągłe z siebie nawzajem żartują i gdyby nie moja zazdrość, byłaby to jedna z tych uroczych rzeczy, o jakich się marzy.

– Nie muszę robić nic szczególnego, serio. Przyjechałam po prostu z wami posiedzieć. Nie musicie mnie zabawiać.

Trzeciego dnia Erin postanawia zabrać nas na obiad na molo swoją maleńką toyotą, która więcej pierdzi, niż jeździ, i pachnie dziwnie kredkami świecowymi. W połowie drogi dzwoni jej brat.

– Tak, Joey – mówi Erin. – Oczywiście, że mogę... W tej chwili, dobra.

Rozłącza się i mówi nam, że jej brat stracił podwózkę na terapię i ona musi go tam zabrać.

– Jak nie pojawia się na terapii, wpada w straszną depresję – tłumaczy.

– Powinnaś jechać – stwierdza Judah. Nagle cała się rozpromieniam na myśl, że pozbędę się Erin na wieczór.

– Podrzucę was pod restaurację i zabiorę stamtąd po wszystkim.

– Nie trzeba – mówi Judah. – Spędź trochę czasu z Joeyem. My wrócimy do domu taksówką. – Erin całuje go w usta i odjeżdża, zostawiając nas przed wejściem do Organicznej Lisicy.

– Chcesz zjeść gdzie indziej? – pyta Judah.

– A co? Nie lubisz hippisów, żywności organicznej i takich tam?

– Takich tam zdecydowanie nie – oznajmia. – Chodźmy na pizzę.

Pcham wózek wzdłuż molo, aż udaje nam się znaleźć jedną z tych budek, gdzie można kupić pizzę na kawałki. Przynoszę nasze zamówienie na plastikowych talerzykach do stolika i siadam na ławce naprzeciwko Judaha.

– Czasami tęsknię za Bone – mówi.

– Wcale nie – odpowiadam, wgrzyzając się w kawałek pizzy. Ser parzy mi podniebienie, więc sięgam po colę.

– Daj spokój, Margo. Nie zdarza ci się zatęsknić?

Kręcę głową.

– Niby za czym? Za biedą? Za śmieciami? Za martwym wzrokiem ludzi, których mijasz na ulicy?

– To nasz dom. A to już coś.

– Działy się tam złe rzeczy. Rzeczy, które mnie zmieniły. Nie potrafię patrzeć na to inaczej.

– Masz na myśli matkę? Nevaeh? Coś jeszcze?

Naciska mnie. Czy po to tu przyszliśmy?

Odkładam pizzę, wycieram ręce w serwetkę, próbując unikać jego wzroku.

– O co pytasz?

Rozgląda się, żeby mieć pewność, że nikt nas nie podsłuchuje, a potem nachyla się nad stolikiem.

– O Lyndee. Wiesz, co się z nią stało?

– Ktoś ją zabił – mówię beznamiętnie. – Zasłużyła sobie na to.

Judah odsuwa się nagle, jakbym go spoliczkowała.

– Na co sobie zasłużyła?

– Zabiła Nevaeh – oznajmiam bez emocji.

– Skąd to wiesz?

Waham się. Nie wiem, ile prawdy zniesie Judah... Ile już zdążył się domyślić.

– Bo mi to powiedziała.

Judah oblizuje usta.

– Margo, czy ty zrobiłaś jej krzywdę?

Wstaję, głównie dlatego, że on nie może ruszyć moim śladem, a potem cofam się kilka kroków. Przed oczami widzę przebłyski różnych obrazów: te wszystkie spojrzenia, zmarszczone brwi, zmrużone oczy. Wszystkie chwile, kiedy Judah zbierał dowody przeciwko mnie. Wszystkie chwile, kiedy miał rację.

– Przestań – ostrzegam go. – Nie chcesz o tym rozmawiać. Uwierz mi.

– Ale ja właśnie chcę o tym porozmawiać. Zrobiłaś coś...

Właśnie tak się czuje zdemaskowany morderca. Nie wiem, czy mi się to podoba, czy nie. Pozostaje też kwestia obrony... albo jej braku.

Postanawiam, że nie będę się bronić. Zaczynam się wycofywać.

– Margo, poczekaj!

Nie słucham go. Judah zbyt wiele już wie. Nie pójdzie na policję... a przynajmniej tak mi się wydaje. Muszę zachować dystans. Niech myśli, że oszalał. Serce bije mi strachliwie w piersi. Żołądek się ściska. Mózg działa powoli – to musi być szok. *Nie spodziewałaś się, że faktycznie może się wszystkiego domyślić.* I gdyby to był ktoś inny – matka, Delaney czy Sandy – nie przejęłabym się. Ale to Judah, jedyna osoba na całym świecie, którą podziwiam. I która patrzy teraz na mnie jak na jarmarczne dziwadło.

Odwracam się i biegnę. Mam przy sobie portfel i niczego więcej nie potrzebuję. Zostawiam torbę w mieszkaniu, które zajmuje razem z dziewczyną o androgynicznym imieniu Erin, i jadę taksówką na lotnisko. Uciekam. To zmierzch pewnej ery, koniec znajomości. Nigdy więcej nie skontaktuję się z Judahem ani nie pozwolę, by on kontaktował się ze mną.

Dwa tygodnie później przeprowadzam się do nowego mieszkania. Nie wiem, co Doyle/Brian powiedział swojemu ojcu, i nie obchodzi mnie to. Zobaczyłam strach w jego oczach, kiedy uderzyłam go w twarz pistoletem i usłyszałam trzask, a to mi wystarcza. Zrobi to, co mu każę... a przynajmniej przez jakiś czas będzie mnie słuchał. Potem zacznie się zastanawiać, jak może mnie oszukać. Ale jeszcze nie teraz. Z orzeszkiem zamiast mózgu wymyślenie planu zajmie mu kilka miesięcy.

Do tego czasu zamierzałam cieszyć się nowym lokum. Żyć z dnia na dzień. Wchodzić schodami zamiast wjeżdżać windą. Długo spacerować, zawsze w nowym miejscu. Czasami muszę jechać trzydzieści albo czterdzieści minut, żeby znaleźć się w nowym parku, na nowej ścieżce. Iść nowym krokiem. Nie wiem, czego się boję. Że ktoś mnie rozpozna? W parku blisko mojego mieszkania była taka staruszka. Chodziłam tam codziennie, aż w końcu zaczęła mi mówić dzień dobry. Dlatego wybrałam inny park, a gdy i tam ktoś zaczął się ze mną witać, jeszcze inny. Kiedy jakaś osoba na mnie patrzy, jestem przekonana, że widzi krew. Krew wszystkich ludzi, którym odebrałam życie. Ściekającą mi z twarzy aż po czubki palców, zupełnie jak u Carrie, kiedy Chris i Billy wylali na nią krew świni. Tak bardzo się boję, że ktoś dostrzeże

moje prawdziwe oblicze.

Myślę o Judahu. Zawsze. O jego dłoniach, oczach, głosie. Gdy mam go przy sobie, nie czuję tak wielkiego strachu. Chyba przekonałam samą siebie, że Judah może mnie ocalić, ale czy to nie przez niego zaczęłam uciekać? Czyżbyśmy tworzyli własnych bohaterów, by potem zniszczyć ich prawdą? Judah jest tylko człowiekiem, nie bogiem, jakiego chciałabym w nim widzieć. Gdybym mu to powiedziała, może...

Dzieje się coś dziwnego. Jest pewien mężczyzna – właściwie to dość wysoki i barczysty mężczyzna. Zauważam go w parku, który ostatnio odwiedzam. Znajduje się tutaj plac zabaw: wielki statek piracki wynurzający się z piasku, kolorowy wrak, gdzie dzieci mogą bawić się klockami z literami i patrzeć przez szkło powiększające na Rainier. Ich poubierane w barwne ciuszki nogi pojawiają się to tu, to tam, a wraz z nimi krzyki i śmiechy.

Mężczyzna stoi oparty o drzewo i pali papierosa. Jego poza ma w sobie coś takiego, że od razu uznaję go za niepasujący element. Widzę w nim biernego obserwatora. Podążam za jego wzrokiem. Nie patrzy na bawiące się dzieci, dzięki Bogu. Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, czuję, jak opuszcza mnie napięcie. Mężczyzna obserwuje kobiety. Bacznie. To też może się okazać niewinne – mógłby być mężem, który próbuje zwrócić na siebie uwagę żony, albo wydaje mu się, że rozpoznał kogoś z przeszłości. Analizuję każdy możliwy scenariusz, jednak nic go nie ratuje. Na jego widok mam gęsią skórę i mdłości. Zaczynam słyszeć ten cichy alarm, który rozlegał się w mojej głowie przez te miesiące, gdy obserwowałam Lyndee. *Wariatka*, mówię sobie. *Doszukujesz się czegoś, co nie istnieje.*

Odwracam się i chcę odejść, ale w połowie drogi do samochodu zatrzymuję się. Widziałam już mężczyzn, którzy patrzą na kobietę w ten sposób. Właśnie taki wzrok mieli goście mojej matki. A ten gapił się na jedną z kobiet z niekontrolowanym pożądaniem. Jakby była przedmiotem, który on musi osiąść. *Posiąść*. Wstrząsa mną dreszcz. Serce zaczyna mi wolniej bić. *Obożeobozęobozę*. O czym ja w ogóle myślę? Przecież nie mogę odejść. Zawracam okrężną drogą – między drzewami – i przez cały czas powtarzam sobie, że chyba do reszty postradałam zmysły. Staram się przekonać samą siebie, że chcę się

powstrzymać, wrócić do jeepa i przez resztę dnia oglądać w mieszkaniu filmy. Wciąż tak wiele muszę zobaczyć; przerabiam dopiero lata osiemdziesiąte: Molly Ringwald, Emilio Estevez, Julia Roberts...

Widzę jego plecy, pety porozrzucane wokół jego tenisówek. Często tu przychodzi. Dużo pali. Szukam pudełka. Chcę wiedzieć, jakie papierosy kupuje, czy są z tych zdrowych. W zasadzie to nie wiem, co właściwie robię. Chyba tylko patrzę, jak on patrzy na nią. Na kogo? Rozglądam się po placu zabaw, po twarzach matek. Mężczyzna gapi się na ławkę, na której siedzą trzy kobiety. Dwie blondynki i brunetka.

O którą ci chodzi, sukinsynie?

Stoję w miejscu jeszcze jakieś dziesięć minut, zanim facet się rusza. Chowam się za gęstym krzakiem jeżyn, podczas gdy koleś gasi ostatniego papierosa, ogląda się przez ramię i idzie ścieżką. Hałasuje, łamiąc gałązki i tupiąc nogami. Ale nie ma przecież powodu, żeby zachowywać ciszę, ponieważ nie zrobił nic złego. Gdy znika, spoglądam na ławkę. Brunetka. Właśnie zbiera swoje dzieci, łapiąc je za ręce, gdy próbują uciec i wrócić na plac zabaw. Uśmiecham się, bo zabawnie się to ogląda. A potem patrzę w stronę, w którą odszedł mężczyzna.

– Kiedy nic nie masz, nie masz też nic do stracenia, prawda? – szepczę do siebie. Stara dobra Samantha Baker i jej niezwykła mądrość.

Ruszam jego śladem.

Jeździ granatowym nissanem. Bez znaków szczególnych. Idę za facetem do sklepu na rogu, gdzie kupuje papierosy. Nie pali tych zdrowych. Tylko te beznadziejne camele. Jestem rozczarowana. Jedzie leniwie, jakby nigdzie się nie śpieszył. Kilku kierowców trąbi na niego i wyprzedza go. Jednemu pokazuje środkowy palec, innym macha. Kieruje się na południe. Co jest na południu? Burien... Federal Way... Tacoma... Wciąż go śledzę – jadę jako trzecia, schowana za dwoma innymi autami. Jestem gotowa przejechać trzy pasy ruchu, jeśli zdecyduje się zjechać z autostrady. Robi to w Lacey; włącza nawet kierunkowskaz, żeby mi wszystko ułatwić.

– Rany, dzięki – mówię na głos. Dbam o to, żeby zawsze dzieliły nas co najmniej dwa samochody. Trzy skręty w prawo i jeden w lewo. Jadę za nim jeszcze przez kilka kilometrów, dopóki nie skręci na prywatną posesję, zaśmieconą i porośniętą chwastami. Ja się nie

zatrzymuję. Już prawie ciemno. Jakieś półtora kilometra dalej znajduje się stacja paliw. Wchodzę do środka i kupuję paczkę cameli. Pytam koleśka pracującego za kasą, czy mogę zostawić samochód na parę minut na parkingu. Kłamię, że widziałam jakiś dom na sprzedaż po drodze i chciałam się tam przejść, żeby go obejrzeć. Chłopak jest tak zjarany, że nawet mnie nie słucha. Zapalam papierosa różowym zippo. Smakuje pszenicą.

Skupiam się na żwirze chrzęszczącym pod butami – to mój ulubiony dźwięk. Jestem spokojna, bo nie wiem jeszcze, co zamierzam zrobić. Serce mi nie wali, oddech nie przyśpiesza. Tylko ja i ten fantastyczny żwir. Śledzę jakiegoś koleśka bez powodu. Czyli jestem wariatką, prawda? Może nie. Może jestem po prostu ciekawa.

Mieszka w domu dwukondygnacyjnym. Pod numerem 999. Jego granatowy nissan jako jedyny stoi na podjeździe. Na piętrze pali się światło. W sypialni? Patrzą w okno przez kilka minut, dopóki mi się nie znudzi. Skrzynka pocztowa stoi przy ulicy. Maszeruję w jej stronę i rozglądam się przed otwarciem. Koleś najwyraźniej ma gdzieś pocztę, bo w środku znajduję mnóstwo listów, katalogów... Szukam jakiegoś rachunku.

– Pan Leroy Ashley – mówię cicho.

Zabieram jego wyciąg z konta bankowego. I katalog. I film z Netflixa. A potem wszystko wkładam do tylnej kieszeni dzinsów.

Chrzęszczę żwirem w drodze powrotnej do samochodu, nucąc pod nosem: „Teraz wiem, gdzie mieszkasz. I mam film do obejrzenia”.

Okazuje się, że Leroy Ashley ma fatalny gust filmowy. I tak oglądam do końca – to głupawe *science fiction* o obcych zapładniających ludzi. *Fuj. Obrzydliwość, Leroy*. Odwracam się, gdy jedna z bohaterek samodzielnie dokonuje na sobie aborcji. Kiedy film się kończy, zjadam resztę popcornu, czytając wyciąg z operacji na karcie kredytowej Leroya.

Arby's. Arby's. Arby's. Jest też kilka dużych zakupów w oddziale sieci sklepów sprzedających takie rzeczy jak broń, namioty i ubrania myśliwskie oraz kilka kwot na rzecz firmy nazywającej się Companionship. Różne sumy sugerują, że to połączenia z sekstelefonem.

– Prosiłeś o brunetkę, Leroy? – pytam. Odkładam pierwszą kartkę

na bok i zaczynam przeglądać następną. Widzę sto dwadzieścia dolarów zapłacone w szpitalu, a zaraz potem rachunek z apteki. – Hmmm. Cóż takiego masz w domowej apteczce, głupcze?

W katalogu znajduje się bielizna Victoria's Secret. O ile Leroy nie ma żony albo w wolnym czasie nie nosi stanika rozmiaru D, chyba wykorzystuje te fatałaszki w trakcie rozmów przez telefon.

– Jeszcze cię nie oceniam – mówię mu. – Na razie tylko sprawdzam.

Ale tak to się właśnie odbywa, prawda? Zaczynam fascynować się kimś, a potem go śledzić. Śledzenie to zbyt mocne słowo. Może po prostu przez jakiś czas za nim chodzę? Tak, chodzę za nim, żeby mieć pewność. Jestem po prostu superostrożna.

Przecieram oczy. Mam dziwny nastrój. Myślę o Judahu, żeby nad sobą zapanować.

Leroy Ashley codziennie robi to samo. Zaraz po przebudzeniu wychodzi na ganek, żeby zapalić – jointa, nie papierosa. To drugie pojawia się dopiero po śniadaniu, kiedy Leroy ubierze się już w spodnie khaki i koszulkę polo. Sądząc po tym, co znalazłam w jego śmieciach, uwielbia mrożone gofry z borówkami i sok pomarańczowy z puszki – koncentrat, który się miesza z wodą. Całą paczkę gofrów zużywa w dwa dni i przed wyrzuceniem składa ją zamiast rozrywać. Po wyniesieniu śmieci do zbyt dużych kubłów, które trzyma z boku budynku, wsiada do samochodu i jedzie do pracy. Jest niemal obsesyjnie metodyczny. Leroy pracuje w ogromnym sklepie ze sprzętem do wędkowania i polowania, który znajduje się przy autostradzie. Opiekuje się działem campingowym, gdzie doradza w wyborze namiotów i innych rzeczy dla ojców, którzy wyjeżdżają zacieśniać więzi z dziećmi, a potem dźwiga ich zakupy do kasy i podaje im rękę przed wyjściem. W porze lunchu zjada zupę, kanapkę i kawałek karmelowej masy w sklepowej kawiarni. Nie ma nadwagi, ale to duży chłop i nie żałuje sobie węglowodanów. Po pracy jedzie do parku, w którym zobaczyłam go po raz pierwszy. Spędza tam jakieś dwie godziny, paląc jednego papierosa za drugim pod tym samym drzewem. Obserwuje matki po drugiej stronie przejścia. Czasami

opieram się o to drzewo pod jego nieobecność. Wokół korzeni widać porzrzućane pety. Staram się go zrozumieć, zobaczyć to, co widzi on.

Po wyjściu z parku Leroy w pierwszej kolejności zatrzymuje się na stacji benzynowej, żeby dokupić papierosów, a potem w barze kilka kilometrów od swojego domu. Tam wypija parę piw, drapiąc się po brzuchu i rozmawiając z innymi klientami. Nie jest ani zbyt ożywiony, ani szczególnie rozmowny. Jest kimś, kogo łatwo zapomnieć. Ciekawe, jak inni go postrzegają. *Spoko koleś. Taki do pogadania na luzie.*

Co drugi dzień zatrzymuje się przed dużym sklepem spożywczym. Nigdy nie kupuje zbyt dużo, raczej tylko tyle, by starczyło do następnych zakupów. *Potrzebuje rutyny*, myślę sobie. *Potrzebuje regularnych wizyt w sklepie, tak jak potrzebuje porannego jointa.* To daje mu poczucie celu. Po zakupach wraca do domu. Nigdy nie widziałam wnętrza jego piętrowego budynku, jednak po dokładności, z jaką zbiera pety i składa kartonowe pudełka, sędzę, że czerpie przyjemność z dbania o porządek. Jednak poza granicami osobistego sanktuarium nie waha się rzucić niedopałka na podłogę. Jeśli coś nie należy do niego, potrafi to zniszczyć. Przez zasłony widać mrugające światło telewizora. Nie wiem, co ogląda. Nigdy nie czułam potrzeby, żeby zajrzeć przez okno do środka. Boję się, że zobaczyłby moje odbicie na odbiorniku albo poczułby, że ktoś go obserwuje, i wybiegłby z domu. To wszystko by zrujnowało. Na obiad je gotowce odgrzewane w mikrofalówce: pieczoną wołowinę, indyka i farsz z dodatkiem makaronu z serem. Pudełka po gotowych daniach znajduję w kubie na śmieci – wszystkie złożone w równiutkie, pięciocentymetrowe kwadraty. Kupuję takie same produkty w moim sklepie i próbuję poskładać je tak jak on. Nie udaje mi się zejść poniżej rozmiaru kartki z notatnika. Jem to samo co on, palę to samo co on, jestem nim. Zupełnie inaczej niż w czasach, kiedy szpiegowałam Lyndee Anthony.

Dopiero kiedy pogoda robi się mżysta, a powietrze nabiera zimowego chłodu, Leroy zmienia swoją rutynę. Przestaje jeździć do parku. Czekam na niego o jego zwyczajnej porze do czasu, aż plac zabaw się wyludnia i żadne dziecko nie zjeżdża ze zjeżdżalni ani nie wspina się po małym gaju. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to była letnia

praktyka Leroya. Matki zapadły w sen zimowy. I co teraz pocznie Leroy? Następnego dnia czekam na niego niedaleko jego domu, chowając się za grupką drzew, gdzie kryję też samochód. Leroy pojawia się na podjeździe koło drugiej i rusza pod dom na osiedlu Królowej Anny – odnowiony dwupiętrowy budynek pomalowany na niebiesko. Jestem ciekawa, kto tu mieszka.

Jadę za nim pozbawioną znaków szczególnych czarną hondą, którą kupiłam za gotówkę tydzień wcześniej. Posiadanie dodatkowego samochodu, nierzucającego się w oczy, jest bardzo potrzebne do osiągnięcia mojego celu. Zatrzymuję się w pewnym oddaleniu i oboje, ja i Leroy, obserwujemy dom.

Okolo czwartej po południu, czyli w porze zazwyczaj spędzanej w parku, ze środka wychodzi kobieta z brązowymi, falowanymi włosami. Jak zwykle prowadzi ze sobą dwójkę dzieci, a cała trójka ma na sobie pasujące płaszcze przeciwdeszczowe North Face. Niekoniecznie dziwi mnie to, że wiedział, gdzie ona mieszka; w końcu już od kilku miesięcy przekopuję się przez jego śmieci. Kobieta pakuje dzieciaki do samochodu, a Leroy grzecznie rusza ich śladem. *Zupełnie jak matka-kaczka i jej obłąkane kaczątko*, mówię sobie w duchu.

Parkuje w nadziemnym sklepowym garażu i prowadzi swoje dzieci do środka, chociaż one próbują jej się wyrwać i pobiec przodem. Leroy idzie za nią. Siada przed JCPenney i obserwuje plac zabaw dla dzieci, nie paląc jednak camelii. Zamiast tego trzyma w ręku styropianowy kubek z kawą oraz gazetę, którą wyjął z kosza na śmieci. Jadę windą na piętro wyżej i oglądam ich wszystkich z góry. Jak to możliwe, że brunetka nigdy nie zauważyła mężczyzny, który często pojawia się w miejscach, gdzie chodzi z dziećmi?

Kilka razy zastanawiałam się, czy Leroy jest odrzuconym krewnym albo byłym mężem kobiety. Może to są jego dzieci. A może Leroy jest prywatnym detektywem wynajętym przez paranoicznego męża, który chce znać każdy krok swojej żony. Czy faktycznie można być tak skupionym na swoim świecie, żeby nie zwrócić uwagi, że twoje drogi ciągle krzyżują się z drogami chorego człowieka? Tak czy inaczej, ja będę jej oczami. Nie pozwolę mu skrzywdzić ani jej, ani dzieci. Prędkiej ja skrzywdzę jego. Nie będzie drugiej Nevaeh Anthony. Nie na mojej

warcie.

Niestety brunetce dzieje się krzywda. W wiadomościach nie podają jej nazwiska i nie pokazują twarzy, jednak kiedy kamera robi zbliżenie na dłoń, rozpoznaję pierścionek z diamentem, który nosi na kciuku. Gwałciciel pozostaje na wolności. Kiedy widzę tego *news*a w telewizji, całe moje ciało zaczyna się trząść. To moja wina. Musiałam iść do pracy. Powinnam była wziąć wolne, żeby lepiej pilnować Leroya. Siadam i wciskam ręce między kolana, żeby przestały drżeć. Reporter stoi przed krytym parkingiem lokalnego supermarketu. Rozpoznaję sklep, w którym Leroy obserwował brunetkę. „Gwałciciel, którego ofiara opisała jako trzydziestoparolatka, porwał ją w tym zatłoczonym parkingu, siłą wpychając do bagażnika jej własnego auta, a następnie odjechał. Zawiózł ją do parku znajdującego się dwie godziny drogi stąd, a tam brutalnie gwałcił przez wiele godzin, by na koniec zwyczajnie zostawić ją, nawet raz nie pokazując swojej twarzy”.

Wyłączam telewizor. To moja wina. Wiedziałam, co planował, i mogłam go powstrzymać. *Jak?* Pytam samą siebie. *Zgłaszając policji, że śledzę mężczyznę śledzącego kobietę?* Może i by mnie posłuchali, wysłali na miejsce radiowóz, ale bez dowodów, bez zbrodni, nikt nie mógłby nic poradzić.

Przypominam sobie film, który oglądałam kiedyś z Judahem. Ten, w którym Tom Cruise pracuje w specjalnej jednostce policji zajmującej się przeciwdziałaniem niepopelnionym jeszcze przestępstwom. Dyskusje, jakie potem prowadziliśmy, były burzliwe. Ja uważałam, że przeciwdziałanie zbrodni, która się jeszcze nie wydarzyła, to coś genialnego. Judah upierał się, że tyrania zawsze pojawia się obleczona w czyjeś dobre intencje.

„Każdy z nas mógł zrobić coś złego. Czy powinniśmy zostać aresztowani, a może nawet straceni, za to, co *potencjalnie* moglibyśmy zrobić? Wyobraź sobie, jak by to wyglądało w prawdziwym życiu. Chciałabyś być częścią takiego społeczeństwa?”

Słuszna uwaga. I właśnie o tej przemowie rozmyślałam, jeżdżąc za Leroyem po mieście, czekając, aż zrobi coś tak złego, żebym mogła go ukarać.

Sięgam po telefon i łączę się z numerem, który reporter podał na

końcu wiadomości. To gorąca linia; odbiera mężczyzna. Mówi piskliwym i nerwowym głosem. Zbija mnie to z tropu i przez kilka pierwszych minut rozmowy strasznie się jąkam, brzmiąc równie niepewnie jak on.

– Wiem coś na temat *newsa*. To znaczy na temat gwałtu, o którym dopiero co mówiliście.

Jednak zanim powiem coś więcej, mężczyzna pyta, czy to anonimowa wskazówka, czy może mogłabym podać swoje dane.

– Nie wiem – odpowiadam. Nie chcę powiedzieć nic, co mogłoby ich do mnie doprowadzić. – Chyba mogą się ze mną skontaktować, gdyby to było potrzebne.

Kiedy chłopak ma już wszystko, czego potrzebuje, mówię mu o Leroyu. Że widziałam go, jak śledził kobietę w galerii handlowej. I jeszcze zanim skończyłam mówić, przekonałam się, jak absurdalnie brzmi moja historia. Kiedy chłopak pyta mnie, dlaczego śledziłam Leroya, mówię mu, że wyglądał jak gwałcieciel. Po tym stwierdzeniu na długą chwilę zapada cisza.

– Halo? – mówię w końcu.

– Tak, jestem tu. Właśnie wszystko zapisywałem.

Wyobrażam sobie, jak przewraca oczami i już szykuje się, by potem podzielić się z kolegami tą historią. *Dzwoniła jakaś laska, która ponoć śledziła gwałcieciela*. Następna wariatka, która chce się poczuć ważna. Wysyła policję na bezsensowne poszukiwania, żeby marnowali publiczne pieniądze. Rozłączam się od razu. To moja wina i ja muszę to naprawić, zanim Leroy rozpocznie nowy rytuał.

Muszę sama zająć się Leroyem Ashleyem.

Jadę zobaczyć kobietę z falowanymi włosami. Nie spotkać się z nią, jak normalny człowiek; nie zapukam do jej drzwi i nie dam się zaprosić na kawę. Przez kilka dni obserwuję jej dom, parkując pod wisterią po drugiej stronie ulicy, ze świeżą czarną kawą, która stoi w podstawce na siedzeniu obok. Samochody przyjeżdżają i odjeżdżają – rodzina, przyjaciele, dostawca pizzy. Czytam książkę, którą ze sobą zabrałam; bestseller, o którym wszyscy mówią. Jednak co kilka minut mój wzrok ucieka znad literek w stronę domu brunetki.

Dopiero tydzień później mam okazję ją zobaczyć, kiedy idzie do

skrzynki pocztowej. Pamiętam, jak wyglądała wcześniej; była beztroska i szczęśliwa, rozdawała uśmiechy swoim rozbrykanym dzieciakom. Lubiła ubierać się w sukienki w kolorowe geometryczne wzory, limonkowe spodnie, bluzki chłopki. Teraz jednak w ogóle siebie nie przypomina. Ma na sobie wyblakłe dzinsy i bluzę, a włosy związane byle jak na czubku głowy. Jej twarz jest blada i pełna strachu. Zanim wyciąga pocztę ze skrzynki, rozgląda się na prawo i lewo, jakby sprawdzała, czy nigdzie nie czai się drapieżnik, a potem szybkim krokiem wraca do domu. Zalewa mnie gniew. Po co tu przyjechałam? Potwierdzić, że Leroy dość ją skrzywdził, żeby zasłużyć sobie na karę?

Ciężko oddycham, łzy ciekną mi z oczu. Autorzy podręczników twierdzą, że socjopata nie ulega emocjom. Długie godziny porównywałam siebie do informacji znalezionych na stronach poświęconych psychologii. Dręczyłam profesorów tak długo, aż w końcu kazali mi pogłębić wiedzę samodzielnie i przeprowadzić własne badania.

Czytałam wielokrotnie biografie Roberta Yatesa Juniora, Teda Bundy'ego, Gary'ego L. Ridgwaya oraz Johna Allena Muhammada – wszyscy mieszkali niegdyś w stanie Waszyngton. Seryjni mordercy urodzeni i wychowani niedaleko miejsca, w którym sama się urodziłam. Badałam własną duszę, raz za razem, próbując dociec, dlaczego z taką łatwością pozbawiam ludzi życia. Zastanawiając się, czy morderstwo wypijamy razem z tutejszą wodą. I w ten sposób dotarłam do kilku prawd: zabijam, bo mogę. Zabijam, bo nikt mnie nie powstrzymuje. Zabijam, bo nikt nie powstrzymuje ich. Zabijam, by bronić niewinnych.

Kiedy byłam dzieckiem, nie łąpałam i nie zabijałam małych zwierząt. Uspokajam się tą myślą, chwytając i zabijając duże, bezduszne zwierzęta. Zapewniam sama siebie, że nie jestem jak oni – jak Dahmerzy, DeSalvosi i Cole’owie tego świata, którzy jako dzieci strzelali do bezbronnych stworzeń z łuku, nabijali ich głowy na kije i wpychali im petardy do odbytów... bo tak. Bo tak. Ja nie zabijam „bo tak”. Ja dokonuję egzekucji zbrodniarzy. Ludzi, którzy nie powinni żyć na tej samej planecie co my, próbujący przetrwać. Tylko nam to utrudniają.

Zaczynam znowu planować, tak samo jak zaplanowałam to w przypadku Lyndee. Lyndee, której zabójca wciąż jest na wolności. Szukam wyrzutów sumienia, poczucia winy. Nic nie znajduję.

W przeciwieństwie do Lady Gagi, która powtarzała swój wers raz za razem ludziom kiwającym głowami do rytmu hymnu socjopatii, nie urodziłam się taka. Nie urodziłam się zdolna odbierać innym życie. To życie mnie tego nauczyło. Żli ludzie potrafią się wymknąć. Zatrzymana zostaje walcząca z przeciwnościami samotna matka, która jest dziesięć minut spóźniona do rozpaczliwie potrzebnej pracy, ponieważ nie mogła tego dnia dobudzić dzieci, a jednocześnie dziesięć kilometrów dalej

ucieka pijany kierowca. Ludzie nie patrzą tam, gdzie trzeba. Dlatego im pomagam. Nazwijmy to strażą obywatelską. A może obywatelskim katem.

A potem to robię. Coś ryzykownego. Wczołguję się przez kuchenne okno do środka domu Leroya, opierając martensy o zlew, a potem zsuwając nogi na nieskazitelnie czyste linoleum. Wewnątrz unosi się zapach zwierzęcia, ale nie takiego z sierścią i łapami. Dom Leroya Ashleya pachnie drapieżnikiem. W powietrzu słychać coś metalicznego, jak brzęk miedziaków w słoiku. Idę na palcach przez kuchenną podłogę do lodówki koloru awokado. W środku znajduje się sok pomarańczowy, który Leroy pije każdego dnia. Mam nadzieję, że rozrabia go w nieprzejrzystym naczyniu. Otwieram lodówkę i widzę dzbanek z niebieską pokrywką. Plastik jest matowy, co mi w zupełności wystarczy. Kiedy zaglądam do środka i czuję zapach napoju, śmieję się. Leroy dolewa do soku wódki. Wyciągam z kieszeni fiolkę z pokruszonymi tabletkami nasennymi i wsypuję je do porannego drinka Leroya, a następnie mieszam drewnianą łyżką, którą znajduję w szufladzie. Gdy już wszystko skończone, myję łyżkę i wycieram koszulką. Wracam do domu, żeby zabrać potrzebne rzeczy.

Szykuję się i myślę, czy coś może pójść nie tak. Może Leroy zauważy rano białe drobinki pływające na dnie dzbanka. A może będzie inaczej smakować. Chociaż nie, wódka powinna zamaskować zmianę smaku. A może cały sok się zepsuł i Leroy wyleje go do zlewu, nie wypijając nawet łyka. Tak się skupiam na tych wszystkich możliwościach, że ręce mi się trzęsą. *Nie*, mówię sobie. Wszystko pójdzie tak, jak sobie zaplanowałam. Jutro Leroy obudzi się i wypije swój sok, a potem może ubierze się i zastanowi, co począć z resztą dnia. Jednak zamiast wyjść z domu poczuje się zmęczony i położy się do łóżka. Może zadzwoni do pracy, ale to nie ma znaczenia, bo i tak nikt nie przyjdzie go szukać. Leroy nie ma bliskich. Kiedy jego powieki staną się ciężkie, ciało robi się leniwe i powolne, Leroy zacznie się zastanawiać, czy ktoś mu podał jakieś środki. Wtedy jednak będzie już za późno.

Do tego czasu zdążę wejść do środka przez to samo okno, które wykorzystałam dzisiaj rano, a jeśli okaże się zamknięte, wyciągnę zapasowy klucz z piachu w jednej z donic w szopie. Leroy Ashley nie

będzie się mnie spodziewał, ponieważ byłam bardzo, bardzo ostrożna. Ukarzę go za to, co zrobił. Osiągnę to, czego chcę: dokonam zemsty.

Ubieram się w czarne spodnie i czarną koszulkę. Nie jestem chuda i drobna. Nie wyglądam jak ktoś, kogo mógłby porwać większy podmuch wiatru. Ewoluoowałam z różowej, pączkowej dziewczyny, która cały czas wbijała wzrok w chodnik, i stałam się zabójczynią obleczoną w mięśnie, patrzącą wszystkim prosto w oczy, by odnaleźć tam ich grzechy. Zbieram włosy na czubku głowy i spinam w ciasny kok, zabezpieczając go wsuwkami. Zakładam buty z metalowymi czubkami, a potem rękawiczki. Przed wyjściem spoglądam jeszcze w lustro. Nie wyglądam już jak dziewczyna z Bone. Ani żadna dziewczyna. Wyglądam niebezpiecznie... jak zwierzę. Albo gorzej. Zwierzęta nie zabijają dla sportu. Zabijają, by jeść.

Niosę broń w torbie podróżnej do garażu, gdzie stoi mój jeep. Rozkładałam wszystko jedno obok drugiego w bagażniku, pod kocem – trzy noże różnej wielkości, sznur, plastikowe kajdanki kupione w sex-shope, paralizator, kieszonkowy pistolet, Kel-Tec P-3AT zdobyty od kucharza z pracy. Zaniosiłam go raz na strzelnicę i byłam zadowolona z tego, jak lekki się okazał. Obok wszystkich groźnie wyglądających przedmiotów leży różowe zippo pożyczone na zawsze od Judaha Granta. Właśnie zapalniczki zamierzam użyć na Leroyu. Wkładałam zippo do kieszeni, kajdanki, paralizator i najmniejszy nóż do plecaka, a resztę przykrywam grubym filcowym kocem. Na nim kładę kilkanaście toreb z zakupami, które zabieram tylko jako kamuflaż. Mam w nich warzywa w puszkach, dwie zgrzewki dietetycznej coli i ogromną paczkę karmy dla psów. Wszystko to ma odwrócić uwagę policji, gdyby mnie zatrzymała.

Nikt mnie jednak nie zatrzymuje. Jadę prawie setką do brudnego osiedla, na którym mieszka Leroy, zwalniając na chwilę przy znajomym zwirowym podjeździe, żeby sprawdzić, czy pali się światło w kuchni. Ciemno. Czyli Leroy działa zgodnie z rutyną i właśnie leży w łóżku. Jutro rano wstanie, zapali jointa, wrzuci gofry do tosteru i naleje sobie wielką szklankę soku pomarańczowego. A potem zacznie się gra oczekiwania.

Zatrzymuję się jakiś kilometr za domem Leroya. Wjeżdżam po

zarośniętym podjeździe do zrujnowanego domu, który mają niedługo wyburzać. Znalazłam go kilka tygodni temu i zadzwoniłam do urzędu miasta z pytaniem o zakup budynku. „Został już sprzedany i czeka na wyburzenie”, poinformowała mnie kobieta. Potem, po krótkiej ciszy, dodała jeszcze: „Mają wybudować nowy dom, z dwoma piętrami i basenem!”. Ciekawi mnie, po co komuś w tym stanie basen. Podziękowałam i rozłączyłam się. Wiedziałam już, że mam ten dom tylko dla siebie przez co najmniej kilka tygodni. Parkuję jeepa w garażu; na podłodze walają się porozbijane butelki, jakby ostatni lokatorzy przed wyprowadzką urządzili sobie epicką imprezę. Drzwi garażowe trzeba podnosić ręcznie. Ściągam je, zakrywając jeepa, zakrywając siebie, i wchodzę do domu, gdzie czekam.

W międzyczasie myślę o Leroyu, zastanawiam się, jakie miał dzieciństwo. Czy usprawiedliwia przed sobą krzywdy wyrządzane kobietom, a może akceptuje swoją potworną naturę, tak jak ja. Kiedy wyobrażam sobie tego wysokiego i barczystego mężczyznę jako niewinnego maluszka jak Mo, robi mi się niedobrze. Wszyscy kiedyś byliśmy niewinni – każdy zabójca, każdy gwałcieciel, każdy terrorysta. Żadne z nas nie prosiło o takie życie, ale tak już jest na tym świecie, że rodzice gotują nam los, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. I chociaż jedni rodzice doskonale radzą sobie z rosnącymi wymaganiami opieki nad dzieckiem, inni zaczynają się wycofywać, w duchu winiąc małego człowieka o rujnowanie im życia. Małego człowieka, który w ogóle nie prosił się do ich bagna. Mimo wszystko jednak... nie każdy syn i nie każda córka, którym życie wręczyło kartę gównianych rodziców, zmienili się w gwałcieieli i morderców. Ludziom się wiedzie, dzieci są odporne. Co sprawia, że dusza kwaśnieje? Co sprawiło, że ja skwaśniałam?

Odkładałam pistolet na brudną podłogę. Siedzę w pomieszczeniu, które niegdyś było jadalnią; wszystko, co kiedyś świadczyło o jego pięknie, dawno zniknęło. Tapeta w kolorze indygo jest teraz porwana i przegniła, drewniany parkiet z orzecha porysowany i napuchnięty od wody. W całym domu nie ocalało nawet jedno okno, każda szyba trzyma potrząskany ślad po kamieniu, który teraz leży w pajęczynach. Kiedy znalazłam ten budynek, na drzwiach frontowych był założony zamek

z ciężką zasuwą, by do środka nie weszli wandale, rozrabiające dzieciaki i bezdomni. Ktokolwiek zadbał o główne wejście, zapomniał o garażu. Głupi błąd. Podniosłam drzwi i stamtąd dostałam się do kuchni.

Przykładałam broń do skroni. Potem wsuwam do ust. Jeśli się zabiję, umrze mniej ludzi. Ale czy to dobrze? Czy to, co robię, jest dobre czy złe? Czy da się oceniać zabójstwo inaczej niż negatywnie? Co pomyślałoby o mnie społeczeństwo? Jeśli mnie złapią, dostanę karę śmierci. Proces nie trwałby długo, bo, oczywiście, przyznałabym się do wszystkiego. Nie składałabym żadnych apelacji, nie gniłabym w więzieniu. Kiedy rozbiłam głowę niespodziewającej się niczego Voli o kant toaletki, nie myślałam, że to nie ostatni raz. Właściwie to o niczym nie myślałam; reagowałam instynktownie na to, co Vola robiła Małemu Mo. A nawet kiedy śledziłam, a potem spaliłam żywcem Lyndee Anthony, nie czerpałam z tego przyjemności. A jednak oto jestem tutaj: knuję, planuję i nie mogę się doczekać chwili, gdy zobaczę, jak życie opuszcza ciało Leroya.

Mordercza Margo. Nawet fajnie brzmi.

Wcale nie chcę krzywdzić ludzi, nie czuję takiej wewnętrznej potrzeby, lecz oni muszą zostać ukarani. Właśnie to robię – karzę ich. A przynajmniej tak sobie tłumaczę. Czuję się za to odpowiedzialna. Oko za oko. Krzywda za krzywdę. Ból za ból. Mam sumienie. Jest inne niż u zwyczajnego człowieka, ale przynajmniej istnieje. Istnieje, prawda? Tak, przecież żałuję, kocham, cierpię. To już coś, to też się liczy w studium ludzkiego umysłu. A ja przyglądam się bacznie swojej inności, porównuję się najpierw z resztą świata, a potem, po cichu i z wnętrzościami trzęsącymi się jak surowe jajko, do psychopatów, socjopatów i seryjnych morderców. Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce. Chcę wiedzieć, dlaczego czuję, że postępuję właściwie, i dlaczego tak łatwo weszłam w tę rolę. Nie mam jednak z kim porozmawiać, nikt mnie nie zrozumie. Dlatego czytam. Szukam dla siebie kontekstu.

O siódmej czterdzieści pięć podnoszę się z podłogi, strzepuję kurz ze spodni i czekam, aż krew z powrotem napłynie do zesztyniałych nóg. Trzy puszki red bulla na parapecie stoją na baczność jak wartownicy. Zabieram je ze sobą, wracając do garażu, żeby się

przygotować.

Okno przesuwa się bez słowa protestu. Działam z wyćwiczonymi ruchami. Wślizguję się do środka tak samo jak ostatnim razem, ostrożnie, starając się niczego nie potrącić. Światło w kuchni się pali, paczka gofrów leży rozpakowana na blacie. Szklanka Leroya stoi na stole, już bez soku, obok pusty dzbanek. Maszerując przez kuchnię do salonu, czuję zapach trawki. Został tylko cień charakterystycznej woni, pewnie przyczepił się do jego ubrań.

Leroya znajduję na piętrze, leżącego na plecach na podłodze. Przechodzę nad jego ciałem i wyciągam plastikowe kajdanki z tylnej kieszeni. Jego klatka piersiowa unosi się i opada pod wpływem ciężkiego oddechu. Leroy Ashley śpi jak zaklęty. Muszę przekręcić jego bezwładne ciało na bok; jest to coś, czego stara ja nie zdołałaby zrobić. Prawie się nie zmęczyłam, prawie się nie boję. Nucę pod nosem melodię *Werewolf Heart*.

Budząc się, Leroy robi niewiarygodnie dużo hałasu. Jęczy i stęka, strząsając z siebie resztki snu wywołanego środkami chemicznymi – zmielonym Ambienem i garścią zwyczajnych tabletek nasennych, które wrzuciłam do jego śniadaniowego koktajlu. Przyglądam mu się uważnie, głodna jego reakcji. Czuję się jak dziecko, które nie może się doczekać potwierdzenia, że eksperyment z grzebieniem i żarówką się powiódł. Leroy przez chwilę leży sztywno, zakneblowany jedną z własnych przepoconych koszulek i przyczepiony do łóżka opaskami zaciskowymi, z rozstawionymi szeroko członkami. Wygląda jak żalosna ofiara, której bogowie nie chcieliby przyjąć. W plecach i ramionach ćmi mi jeszcze ból po przeciągnięciu ważącego siedemdziesiąt kilogramów Leroya przez pokój i na łóżko. Teraz, kiedy z półśmiechem patrzę z góry na jego trzęsące się w szoku ciało, czuję się euforycznie. Dokonałam tego. Doprowadziłam kolejnego kryminalistę na moją wersję krzesła elektrycznego. Wzdycham z zadowoleniem i podnoszę ręce nad głowę, przeciągając się, zaś Leroy zaczyna walczyć z kneblem.

Wygląda, jakby się dusił, ale mam to gdzieś. Pozwalam mu się szarpać, rzucać głową na boki. Jego penis zwisa smętnie między nogami niczym pomarszczony grzybek. Obrzydza mnie to. Jak coś

wyglądającego tak niewinnie mogło zrujnować życie tak wielu kobiet? Opuszczam rękę i chwytam go za kostkę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Dotykanie go jest wstrętne. Od razu czuję potrzebę wyparzenia dłoni w gorącej wodzie. Jego oczy, przypominające dwa marmurki, rozglądają się po pokoju. Kiedy mnie zauważa, wrzeszczy coś przez knebel i szarpie zaciskami, które wbijają mu się w nadgarstki. Wybucham śmiechem.

– Witaj – mówię. – Długo spałeś.

Nie widzi mojej twarzy. Wyciąga głowę na różne strony, ja tymczasem chowam się chwilowo w cieniu, czekając jeszcze kilka sekund przed odkryciem wielkiej tajemnicy. Leroy szamocze się, potrząsa twardym brzuchem w słabym świetle. Spaceruję palcami w górę jego nóg, a on patrzy na mnie z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Kiedy docieram do miejsca, w którym łączą się jego grube, spocone uda, łapię go za penisa. Ściskam go mocno, gniotę w pięści, wbijam paznokcie we wrażliwą skórę. Leroy otwiera oczy tak szeroko, że widzę białka. Wrzeszczy z bólu.

– No co? – pytam z udawanym zdziwieniem. – Nie lubisz, gdy ktoś szarpie twoimi klejnotami? Myślałam, że preferujesz ostry seks. – Chociaż łzy spływają mu po policzkach, wciąż nie odwraca ode mnie wzroku. Wręcz wbija go we mnie, wwierca.

Wychodzę z cienia i staję w plamie światła. Leroy wydaje się szczerze zaskoczony. Nie rozpoznaje mojej twarzy – byłam na to zbyt ostrożna – ale już wie, że jestem kobietą. Słyszał mój głos i może nie mógł w to uwierzyć, ale teraz to widzi. Niemierząca nawet metra siedemdziesięciu kobieta nafaszerowała go środkami usypiającymi, przywiązała do jego własnego łóżka, a teraz sprawia mu ból. Leroy wyje.

– Co? Myślisz, że tylko ty potrafisz śledzić ludzi?

W odpowiedzi rozszerzają mu się nozdrza. Czerpię z tego przyjemność. Nie mam jednak dość czasu, żeby się zastanawiać nad przyczynami. Stoję w domu gwałciciela, patrząc z góry na jego opanowane dreszczami ciało, i czuję... władzę. Ja mam władzę. Ja jestem władzą. Mordercza Margo.

– Ile kobiet zgwałciłeś? – pytam. Leroy mruży oczy, a ja dostrzegam pełnię jego nienawiści. *On nienawidzi kobiet*, myślę sobie.

Kobiet z brązowymi włosami. – Ile? – powtarzam.

Najwyraźniej nie zamierza mi w żaden sposób odpowiedzieć, więc wyciągam nóż i przesuwam ostrzem po jego goleni.

– No co? Czyżby mamusia cię skrzywdziła? Czy to przez nią zmieniłeś się w obrzydliwą świnię? Czy twoja mamusia była brunetką, Leroy?

Nadal zero reakcji.

– Ja też cierpiałam przez mamusię – oznajmiam radosnym tonem. – To chyba dlatego się tu spotkaliśmy!

Odkładam nóż i sięgam po różową zapalniczkę, którą położyłam na szafce nocnej po tym, jak wciągnęłam ciężką dupę Leroya na łóżko. Czytałam archiwa „The Seattle Timesa”; cofnęłam się o dziesięć lat, poszukując wieści o gwałtach. Znalazłam Leroya Ashleya. Potrafił uciec przed wymiarem sprawiedliwości, jednak zostawiał ślady, działał według wzorca. Policja nie umiała go odnaleźć, bo nigdy nie trafił do systemu. Pozostawał nieuchwytny, niewidzialny. Prawdziwy, utalentowany stalker.

Wyciągam szyję, strzelają stawy. Jest mi dobrze. Tak cholernie dobrze. *Właśnie tak bym się czuła na kokainie.* Morderstwo, narkotyk nad narkotykami.

– Wiem, że wiesz, jak to jest skrzywdzić kogoś. Wiem, że to lubisz. Chcę, żebyś wiedział, że ja też. Dlatego nie będę się śpieszyć.

Pstrykam zapalniczką i pojawia się mały płomień. Przystawiam ogień do wewnętrznej strony ręki Leroya i przytrzymuję. Wrzeszczy tak głośno, że na pewno słyszy go cała ulica. Kiedy otwiera oczy, widzę, jak wzbierają w nich łzy bólu albo gniewu.

– Czyżbyś bał się małego, różowego zippo, Leroy? – mówię, podnosząc zapalniczkę. – Jest mniej więcej takie, jak twój mały, różowy kutasik. Lubię, gdy broń ma podobny rozmiar. Czy tak jest dobrze?

Patrzy na mnie, jakbym to ja oszalała. Ja. Nagle dopada mnie wściekłość. Znowu zapalam płomień i przytrzymuję go przy klatce piersiowej Leroya. Na jego skórze wyrastają bąble. RzUCA się tak gwałtownie, że wytrąca mi zapalniczkę z dłoni. Zippo odbija się od drewnianej podłogi i ląduje w kącie po drugiej stronie pokoju. Wyszarpuję bandanę z ust Leroya, a potem robię zamach i policzkuję go.

Jego głowa przekręca się na bok. Leroy powoli się prostuje, żeby na mnie spojrzeć, a jego dotychczas martwe oczy płoną gniewem.

– Ty suko pierdolona! – warczy. Z jego ust pryska ślina, obnażone zęby są żółte i krzywe. *Jeśli nadal zamierzasz tyle palić, mógłbyś chociaż wybielać czymś zęby*, myślę sobie beznamiętnie. Trochę mi lepiej, gdy się tak wkurza; cisza zaczynała mnie nudzić. Podnoszę zapalniczkę i zaczynam wszystko od początku. Leroy nie płacze ani nie błaga o litość. Nie spodziewałam się tego po tej pieprzonej beksie. A jednak on wytrzymuje wszystko i obrzuca mnie tylko wyzwiskami, szarpiąc się w gniewie, a z kącika jego ust sączy się piana. Spokojnym i cierpliwym tonem zachęcam go do mówienia.

– Jesteś gwałcicielem, Leroy. Powiedz to. – Nie chce. Zdaję sobie sprawę, że błaganie mnie o litość oznaczałoby przyznanie się do winy, a on wcale nie uważa, że zrobił coś złego. Leroy jest narcyzem cierpiącym na urojenia. Przystawiam zapalniczkę do jego skóry na tak długo, aż nie spalę całego swojego gniewu. Leroy szybko przestaje krzyczeć, a potem widzę tylko jego oczy patrzące bezmyślnie, jedno na lewo, a drugie w sufit. Śmierdzi potem i ludzkim ciałem. Jestem zmęczona. Odwracam się po nóż, tylko na chwilę. O chwilę za długo. To dzieje się tak szybko, że nic nie czuję. Kiedy się budzę, to ja jestem związana i zakneblowana.

Trzyma mnie w piwnicy – zimne to i niesprawiedliwe więzienie, skoro ja miałam w sobie dość przyzwoitości, by przywiązać go do jego własnego łóżka. Jest tu mokro i chłodno; nie widzę nawet żadnych pudeł czy śmieci. Umrę na zapalenie płuc, nim Leroy zdąży mnie zabić. To stara szkoła. Węzły, jakimi związał mi kostki i nadgarstki, wyglądają jak takie, których mógł się nauczyć w harcerstwie, chociaż wątpię, by ktokolwiek kochał Leroya dość mocno, by zapisać go do harcerstwa.

Nie mogę się ruszać. Zadbął o to, zanim rzucił mnie na zimną betonową podłogę.

Nie gwałcił mnie, czego się spodziewałam. Ze swoimi prawie białymi włosami i jasnymi oczami nie pasuję wyglądem do wybieranych przez niego kobiet. Nie jestem też matką. Jestem tylko dziewczyną, która go wyśledziła, a teraz on zastanawia się, co ze mną począć.

Słyszę, jak łązi na górze, jak ciągnie coś ciężkiego po podłodze, a potem uderza mocno młotkiem. Torturowałam go, aż zaczął wrzeszczeć i się zsikał, więc nie mam wątpliwości, że zaplanował dla mnie coś wyjątkowego. A więc czekam związana jak prosię, żalując, że nie mogę przegryźć sznura przy kostkach, żalując swojej arogancji. Arogancja tępi zmysły. Nie spodziewałam się ataku z jego strony. Nawet

go nie słyszałam, tak skupiona na własnym małym zwycięstwie.

Przewracam się na kolana, cała się trzęsę. Głowa boli mnie u podstawy czaszki; tam, gdzie mnie uderzył. Zamykam oczy i pozwalam, by ból żarzył się i przeżerał. To wstrząs mózgu. Wiem, bo już wymiotowałam, a teraz myślę tylko o tym, by zasnąć. Gdybym mogła wyplątać się z tego sznura, sięgnęłabym do uda, gdzie znajduje się mój plan awaryjny. Mój pieczołowicie przygotowany środek ostrożności. Kwadratowy plaster wielkości mojej dłoni. Taki, który raz przyklejony trzyma się tak mocno, że trzeba go namoczyć i szarpnąć, by się go pozbyć. Na nim umieściłam jeszcze jeden, tych samych wymiarów. A między jednym a drugim, w miejscu białego opatrunku, znajduje się żyłeczka. Gdybym się do niej dostała, mogłabym poderżnąć gardło Leroya, zanim on poderżnie moje.

Mniej więcej po godzinie zaczynają mnie boleć kolana. Przewracam się na plecy. Powtarzam sobie, że Leroy nie jest mordercą. Tylko gwałcicielem. Może mnie nie zabije. Spędzam długie godziny, wijąc się w tę i w tę, by poluznić więzy. Stanę się jedną z tych dziewczyn, które po prostu znikają pewnego dnia i nikt nie zauważa ich nieobecności. Tylko mała plamka na mapie egzystencji. Trzeba by naprawdę dobrze się przyjrzeć, by ją zobaczyć.

Na przemian odzyskuję i tracę przytomność. Kiedy słyszę, że otwierają się drzwi do piwnicy i skrzypią stopnie schodów, prostuję się gwałtownie, zapominając o więzach. Naciągam boleśnie mięśnie pleców. Czekam, spięta, a potem znowu drzwi się zamykają i zaraz Leroy zaczyna chodzić po kuchni.

– Dlaczego wreszcie czegoś nie zrobisz, pojebańcu! – wrzeszczę w sufit. Mam już dosyć czekania. Chcę, żeby to się skończyło... cokolwiek to oznacza. Dam radę, przetrzymam. Zasypiam z lewą piersią w kałuży, palącym gardłem i świadomością gęstą jak błoto: umrę.

Kiedy się budzę, ktoś ciągnie mnie po podłodze. Głowa mnie boli, a skóra pali żywym ogniem. Nadgarstki i kostki są już nieskrępowane i mogę się szarpać, moje ramię uderza o najniższy stopień. Leroy ciągnie mnie za włosy. Domyślam się, że przy okazji wyrywa je garściami; wyobrażam sobie, jak się uwalniam i jemu zostają tylko te włosy w rękach. Rozumiem też od razu, że jestem bardzo chora. Tak chora, że

trudno mi z nim walczyć, a kiedy raz po raz moja głowa albo ramię uderzają o jeden z betonowych stopni, powieki coraz bardziej mi ciężą. Światło w kuchni razi w oczy. Zerkam przez okno i widzę, że jest noc. Czuję zapach wybielacza i gotowanego mięsa, chce mi się rzygać, tylko że nie mam czym. Jestem szmacianą lalką, usadzaną i układaną przy kuchennym stole. Leroy znowu mnie wiąże, podczas gdy ja patrzę spod na w pół otwartych powiek. Ręce krępuje mi za plecami, kostki zostawia wolne. Muszę się wysikać. Mówię o tym na głos.

Kiedy nie odpowiada, dodaję, że mogę to zrobić tutaj, ale wtedy będzie musiał posprzątać. Ta uwaga sprawia, że zmienia zdanie. Podnosi mnie za kark i pcha w stronę łazienki. Zwracam uwagę na bandażę na jego ramionach i zastanawiam się, jak poważne są rany. Chcę odzyskać swoją różową zapalniczkę – dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Leroy uwalnia mnie z więzów i staje w progu ze skrzyżowanymi rękami na piersi.

Boże, myślę sobie, powinnam go była zabić, póki miałam szansę. Patrzy, jak ściągam spodnie, jego wzrok pada na moje krocze, gdy siadam na sedesie. Trzymam ręce na kolanach i pochylam się do przodu, żeby się zasłonić. Szarpię kciukiem plaster na udzie. Drapię i drapię w tę i nazad, aż w końcu udaje mi się zadrzeć róg.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – pytam.

Patrzy na mnie z surową nienawiścią, a ja odruchowo podkurczam palce w butach. Właśnie w tej chwili tęsknię za matką. Dziwi mnie ta myśl. Niewiarygodne, że w takim momencie, skazana na łaskę gwałciciela, chcę, by znalazła się przy mnie kobieta, która mnie porzuciła. Pociągam nosem i wyglądam przez okno. Leroy patrzy na mnie, jakby właśnie podejmował decyzję, czy chce coś powiedzieć.

– No i? – rzucam.

Rusza się nagle i znowu krępuje mi nadgarstki, a potem łapie za ramię. Podnosi mnie i ciągnie z powrotem do piwnicy. Szarpię się. Nie chcę wracać na dół, na zimny beton, ale ze związanymi rękami nie mam żadnych szans. Tym razem nie upadam. Leroy zapomniał skrępować mi jeszcze kostki, więc udaje mi się zapanować nad ciałem, gdy pcha mnie w dół schodów. Zanim złapię się barierki, skręcam sobie stopę.

Kilka godzin później, kiedy trzęsę się z zimna w najcieplejszym

kącie piwnicy, Leroy przynosi mi posiłek. Kanapka, woda i kilka chipsów ziemniaczanych na styropianowym talerzu. Czekam, aż wróci na schody, i dopiero wtedy unoszę wodę do ust. To, że przynosi mi jedzenie, jest dobrym znakiem. Z pewnością nie karmi się osoby, którą się planuje zabić. Leroy ciągle się zastanawia, co ze mną począć.

Koniuszek języka moczę w wodzie, by wyczuć jej smak. Nie jest gorzka. Tak strasznie chce mi się pić, że wlewam w siebie wszystko naraz; aż mi tchu brakuje, gdy odstawiam szklankę. Wącham kanapkę, drapię paznokciem chleb. Nie ma masła – tylko plaster gotowanej szynki. Zjadam. Kolejny błąd – nie powinnam jeść tego, co mi podał. Nie powinnam mu ufać. Leroy jest cwany pod tym względem. Każe ci czekać, aż przestaniesz uważać. To w kanapce ukrył tabletki. Powinnam była to zrozumieć, kiedy poczułam smak masła na chlebie.

Budzę się w białym, białym pokoju. Ręce mam związane. Podnoszę głowę, żeby się rozejrzeć. Długa rurka prowadzi z mojej dłoni do kroplówki, w kącie stoją i cicho pracują maszyny. W ustach mam sucho, gardło spuchnięte. Szpital. Znalazłam się w szpitalu. Szukam przycisku, by zawołać pielęgniarki, ale nie mogę go dosięgnąć, bo mam ręce przypięte do łóżka.

– Halo?

Po tym jednym słowie moją głowę przeszywa ból. Krzywię się i próbuję jeszcze raz.

– Halo?

Z korytarza dobiegają odgłosy kroków. Ktoś idzie w płaskich, nudnych butach. Pielęgniarka. Kładę z powrotem głowę na poduszce i gapię się w sufit. Leroy. Piwnica. Pigułki były w kanapce czy w wodzie? Głupi błąd. Otwierają się drzwi i do środka wchodzi młoda kobieta. Wydaje się niepewna. Nowa.

– Gdzie ja jestem? – chrypię.

Pielęgniarka ogląda się przez ramię, a potem zamyka drzwi i podchodzi do mojej tabliczki informacyjnej.

– W Szpitalu Uniwersyteckim Evergreen – mówi sztywno.

– Jak się tu znalazłam?

Nadal na mnie nie patrzy.

– Powinna pani porozmawiać z lekarzem. Niedługo tu przyjdzie – mówi, spacerując po pokoju i nucąc coś pod nosem, a ja żałuję, że nie mogę jej udusić.

– No to powiedz chociaż, co mi jest! Dlaczego tu jestem?

Podchodzi do okna i zasłania żaluzje. W pomieszczeniu nagle jakby zaczęło zmierzchać.

– Przedawkowała pani. A potem podcięła sobie żyły.

– Gdzie? – dopytuję.

– Na parkingu przed szpitalem – odpowiada po chwili wahania.

Czuję podziw. Leroy jest sprytniejszy, niż się spodziewałam.

– Dlaczego jestem przypięta do łóżka?

– Lekarz niedługo przyjdzie.

A potem, zanim zdążę zadać kolejne pytanie, pielęgniarka szybko wychodzi z pokoju. Opuszczam głowę na poduszkę i przygryzam dolną wargę. *Co on nawyrabiał? Co on nawyrabiał?*

Lekarz wcale od razu nie przychodzi. Podają mi obiad, uwalniając z więzów na krótką chwilę potrzebną do zjedzenia brązowego wywaru. Pytam pielęgniarkę, czy mogłaby mnie już nie przypinać, ale ona tylko ze współczuciem kręci głową. Nikt nie chce udzielić mi informacji. Lekarz nazywa się Fellows; pojawia się kilka godzin później, wchodząc do mojej sali ostrożnie, jakby się zgubił. To starszy, łysiejący mężczyzna z krzywymi zębami, które przywodzą mi na myśl gumy do żucia w drażetkach.

– Witaj, Margo – mówi, gapiąc się na mnie z góry. Nagle zalewa mnie panika. Nie mogę się ruszać; trzymają mnie tu wbrew mojej woli i nie chcą o niczym poinformować. Stało się coś złego. Szarpię się i chyba wyglądam w tej chwili jak wariatka, bo lekarz cofa się o krok.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co się z tobą stało? – Kręcę głową. – Pielęgniarz znalazł cię na parkingu, gdy przyjechał na swoją zmianę. Siedziałaś za kierownicą swojego samochodu, chyba jeepa? – Patrzy na mnie, oczekując potwierdzenia, więc przytakuję. Jakim cudem Leroy znalazł moje auto? Skąd wiedział, gdzie go szukać?

Zamykam oczy, żeby gniew mnie nie zdradził.

– Było coś więcej – dodaje lekarz. – List...

Gwałtownie podnoszę powieki. Chcę coś powiedzieć, lecz nie mogę.

– Pamiętasz, jak go pisałaś, Margo?

Kręcę głową. Doktor Fellows przygryza wargi, jakby mi nie wierzył.

– Porozmawiasz więcej na ten temat z lekarzami z Westwick.

– Westwick? A co to?

– Śpij – mówi, klepiąc mnie po stopie. – Przyjdę później.

Po chwili pojawia się pielęgniarka i podłącza mi coś do kroplówki. Dostaję zawrotów głowy i odpływam.

Gdy się budzę, obok łóżka siedzi Judah na swoim wózku. Podnoszę się z wysiłkiem.

– Judah? Co ty tu robisz?

Właśnie wtedy zauważam dwie osoby siedzące w kącie pokoju. Jedna to kobieta – z nadwagą i zaróżowioną twarzą, trzyma w ręku dokumenty i gapi się na mnie, jakbym miała zaraz skoczyć i ją zaatakować. Mężczyzna obok niej jest czarnoskóry i ubrany w zwykły, błękitny fartuch. Gdy na niego patrzę, zerka na zegarek.

Judah ogląda się przez ramię i zniża głos.

– Margo, oni zabiorą cię w bezpieczne miejsce.

– Bezpieczne miejsce? – powtarzam. Coś tu jest nie tak. Dostrzegam coś dziwnego w tych porozumiewawczych spojrzeniach, w tym nerwowym przestępowaniu z nogi na nogę. Czuję się, jakbyśmy wszyscy znaleźli się na krawędzi przepaści i mieli zaraz spaść.

– Co się dzieje? Skąd się tu wzięłeś? I skąd oni się tu wzięli?

– Próbowалаś się zabić – mówi Judah. – Policja wzięła mój numer z twojej komórki po tym, jak znaleziono cię nieprzytomną za kierownicą, całą we krwi. – Mojej komórki? Czyżby Leroy znalazł też i komórkę? Zostawiłam ją w bagażniku jepra zaparkowanego w garażu opuszczonego domu.

Kręcę głową. Nigdy nie brałam narkotyków. To nie było w moim stylu.

– Wycięłaś sobie nożem słowo Ikar na rękę, a potem połknęłaś garść tabletek na uspokojenie. Musieli ci zrobić w szpitalu płukanie

żołądka.

Znowu kręcę głową, wbijam wzrok w bandaż na rękę, ale Judah nie przerywa. Ikar? To Leroy. Nagle ścisnęło mnie w piersi.

– W twojej krwi znaleźli też ślady innych środków...

Środki uspokajające? Narkotyki? Nigdy bym ich nie wzięła. Nie chcę umrzeć, chcę mieć cel w życiu. Mówię mu to, siedząc krzywo w szorstkiej szpitalnej pościeli, na oczach pary obcych ludzi. Leroy mi to zrobił. Dlaczego? By mnie ukarać? By mnie ostrzec? Dlaczego mnie po prostu nie zabił, tak jak ja planowałam postąpić z nim?

Zniżam głos.

– Samobójstwo? Ja się nie bawię w takie rzeczy, Judah. Wiesz o tym.

– Ja już nic nie wiem, Margo. Zmieniłaś się... – Nie patrzy mi w oczy. Czuję, jak coś wije się i rozpala w środku. *Gniew? Niechęć?*

Judah się cofa, a do przodu występuje para z kąta.

– Panno Moon, nazywam się Charlotte Kimperling i razem z Johnem przyjechałam zabrać cię do Szpitala Westwick.

– Westwick? Czy to...?

– Panno Moon, uznano, że stanowi pani zagrożenie dla samej siebie. W Westwick uzyska pani potrzebną pomoc. To jeden z najlepszych...

– Nie jestem wariatką! – Jednak zanim jeszcze moje słowa wybrzmiały do końca, rozumiem już, że dla nich jestem wariatką z urojeniami. Ile obejrzałam filmów, w których kobieta w szczyście załamania nerwowego wrzeszczy „NIE JESTEM WARIATKĄ” do grupy wystraszonych obserwatorów?

Nie wierzę w to, co zrobił Judah. Nie mogę się nadziwić, że spiskuje razem z tymi ludźmi, by zamknąć mnie w wariatkowie. Patrząc to na jedną, to na drugą twarz, a na nich malują się powaga i determinacja. Nie mam nic do powiedzenia. Zabiorą mnie, a dla mnie najlepiej byłoby się poddać, być posłuszną. Chcę jednak walczyć, udowodnić swoją poczytalność. I dlatego też zaciskam usta i przyglądam się ścianie po prawej z intensywnością kobiety, która próbuje coś pokazać. Wiożą mnie na wózku do karetki, a gdy się oglądam, widzę Judaha. Chyba płacze, ale tym razem mnie to nie obchodzi.

Za tydzień mam rozpocząć sesje z terapeutą. Chcę porozmawiać z kimś wcześniej i wytłumaczyć, że to nie jest miejsce dla mnie, jednak Papchi – jedna z pielęgniarek, z aparatem na zębach – mówi, że najpierw muszą przeprowadzić mnie przez wcześniejsze etapy: pomóc mi się zaaklimatyzować w szpitalu, zapisać mnie w systemie.

Gapię się w komputer, który stoi jak wartownik w pokoju pielęgniarek. Jest biały i płaski, a do tego ciągle ktoś przy nim siedzi i naciska klawisze. Nienawidzę go, bo przez niego trzymają mnie tutaj dłużej niż to konieczne. *Tylko siebie posłuchaj. Wściekasz się na komputer. Może go zabijesz, skoro tak cię wkurza.*

Nie wychodzę z pokoju, chyba że mi każą, a wołają nas trzy razy dziennie – na posiłki i rekreację. Mam współlokatorkę o imieniu Sally. Śmieję się, gdy mi się przedstawia, bo kto teraz ma na imię Sally? Potem już więcej się do mnie nie odzywa. W nocy odwraca się do mnie plecami i śpi twarzą do ściany.

Przez większość czasu zajmuję się wściekaniem się na Judaha. *Zdrajca*. A w ogóle, to gdzie się teraz podziewa? Dlaczego nie przyjechał mnie odwiedzić? Rana na ręce zaczyna swędzieć pod bandażem. Zdejmuję opatrunek, żeby zobaczyć, co Leroy wyrzył mi

w skórze. Ikar. Tak gładko i precyzyjnie, jakby użył do tego... żyletki. *Mojej* żyletki. Dobry Boże. Brzydko się goi; skóra wokół rany jest spuchnięta i zaczerwieniona. Nigdy nie chciałam tatuażu, ale najwyraźniej jednego się dorobiłam. Pytam Papchi, czy wie, co to jest Ikar, ale ona tylko kręci głową. W czwartki pozwalają nam korzystać z komputerów za dobre sprawowanie. Tylko przez pół godziny, żebyśmy mogli wysłać e-maile. Piszę do Judaha, chcę zapytać, gdzie jest, a wiadomość podpisuję samym inicjałem. Potem wpisuję „Ikar” do wyszukiwarki i znajduję wytłumaczenie z greckiej mitologii.

Dedal, uwięziony przez króla Minosa razem z synem, Ikarem, buduje dwie pary skrzydeł z wosku i piór. Przed ucieczką Dedal ostrzega syna, żeby nie leciał ani zbyt blisko słońca, ani zbyt blisko powierzchni morza. Ikar jednak, dając się ponieść radości z latania, wzniósł się za wysoko. Wosk się stopił i chłopiec wpadł do Morza Ikaryjskiego – nazwanego tak na jego cześć. Na stronie napisano, że to tragiczna historia porażki.

Dotykam bandażu na ręce, zastanawiając się, czy właśnie to miał na myśli Leroy, kiedy wycinał mi to słowo na skórze. Porażka. Starłaś się, dziewczyno, ale ja dłużej od ciebie jestem kryminalistą. Mój gniew się wzmaga, rozpala jaskrawym kolorem. Gaszę go. Muszę się najpierw stąd wydostać, a dopiero potem mogę zacząć myśleć o Leroyu.

Następnym razem, kiedy siadam przed komputerem, sprawdzam pocztę i okazuje się, że wiadomość wysłana do Judaha wróciła. „Zwrócone nadawcy: nieznany adres e-mail”. Ciekawe, dlaczego zamknął swoje konto. Nie mam kogo o to spytać. Zastanawiam się, czy odezwać się do Sandy, ale ostatecznie uznaję to za kiepski pomysł. Nie ma sensu mieszać w to Bone.

Wreszcie nadchodzi czas, by spotkać się z lekarzem. Czeszę włosy, chociaż są tłuste i zwisają smętnie. Staram się wyglądać normalnie; przybieram neutralny, znudzony wyraz twarzy. Papchi mówi, że przyjmie mnie doktor Saphira Elgin.

– Wszyscy ją lubią – oznajmia radosnym tonem. – To nasza najpopularniejsza lekarka. Niektórzy pacjenci nazywają ją doktor Queen!

Zostaję poinstruowana, jak dotrzeć do gabinetu. Ruszam zaraz, szurając papierowymi kapciami po linoleum, którym wyłożone są

korytarze. Zatrzymuję się przed drzwiami doktor Elgin. Tutaj znajduje się zachodni róg budynku, najnowszy. Pielęgniarki są weselsze i podobno we wszystkich pokojach pacjentów zamontowano umywalki. Na drzwiach wisi tabliczka z nazwiskiem. Pukam.

– Proszę – woła ktoś ze środka. Wchodzę, spodziewając się zobaczyć kogoś starszego, bardziej matczynego i zwyczajnego. Doktor Elgin nie jest zwyczajna. Jest egzotyczna w swojej urodzie. Jest kimś, kogo widzisz i od razu szybko odwracasz z powrotem głowę, żeby spojrzeć jeszcze raz – jest jak z innego świata.

– Witaj – mówi. Nie wyciąga do mnie ręki, zamiast tego pokazuje gestem, gdzie mam usiąść. Jej głos jest głęboki i ciepły; najpierw grzechocze jej w gardle, a potem rozlewa się jak koniak. Jest inna niż wszyscy. Zdaję sobie z tego sprawę niemal natychmiast. Patrzy na mnie jak na kogoś, kto ją niezmiernie fascynuje, a nie jak na kolejny przypadek przydzielony przez państwo. Jeśli na wszystkich tak patrzy, nie dziwię się, że nazywają ją doktor Queen. Papchi powiedziała, że Elgin nie pracuje tutaj na pełen etat, ale przychodzi na piętnaście godzin w tygodniu i resztę czasu spędza w prywatnym gabinecie.

Zastanawiam się, co skłania doktor Elgin do tego, by poświęcać swój czas naprawdę chorym ludziom zamiast przygnębionym kurom domowym i zdradzającym ich mężom, którzy z pewnością pojawiają się u niej na kozetce. *Pewnie właśnie w tym rzecz*, myślę sobie, uśmiechając się do niej. *Chce czuć, że pomaga naprawić coś, co jest rzeczywiście zepsute.*

– Dzień dobry, doktor Elgin.

Moja uprzejmość jej nie wzrusza. Może wzruszy ją moja historia, a jeśli jest faktycznie taka dobra, pomoże mi się stąd wydostać. Zawieszam dystans na wysokim kołku i jestem gotowa, by ją polubić.

– Opowiedz mi o sobie, Margo.

Odchyła się w fotelu, przywodząc mi na myśl Destiny, która w podobny sposób przeciągała się przed włączeniem filmu. Zastanawiam się, od czego zacząć. Od tego, jak tu trafiłam? Od tego, dlaczego tu trafiłam? Od Bone? Od Judaha?

– Moja matka była prostytutką... – mówię. Dziwi mnie, że robię to tak chętnie. Jak łatwo przychodzi mi zwerbalizowanie brzydoty

własnego życia. Może to dlatego, że pierwszy raz ktoś tak otwarcie jest mną zainteresowany. A może po prostu nie mam innego wyjścia, zamknięta w tym sterylnym miejscu pełnym ludzi, którzy nie pasują do normalnego świata.

Opowiadam jej o pożeraczu i o mężczyznach – a w szczególności o ojcu i jego ciężkim zegarku. Potem nasz czas się kończy i obie wyglądamy na rozczarowane. Przez spowiedź zabrakło mi tchu. Czuję się żywa; łaskoczą mnie opuszki palców. Najwyraźniej można czerpać siłę z tego, że otwierasz się przed obcym człowiekiem.

– Przepisy wymagają, żebyś miała cztery sesje terapeutyczne w tygodniu, Margo – mówi doktor Elgin. – Niewiele mam miejsca na nowych pacjentów, ale postaram się to załatwić, tak?

– Tak – odpowiadam. – Bardzo bym tego chciała.

Doktor Elgin przyjmuje mnie w poniedziałki, środy, czwartki i piątki. We wtorki ma wolne, bo normalnie widuje się z pacjentami nawet w weekendy. Zawsze wyczekuję tych wizyt. Doktor Elgin pyta mnie o Judaha; jest bardziej zainteresowana nim niż matką. Próbuję dowiedzieć się czegoś o jej życiu prywatnym, ale ona niechętnie się nim dzieli, zaraz zmienia temat rozmowy na mnie. Nie ma w tym nic dziwnego, po to obie tu jesteśmy.

Kiedyś jednak przyznaje się, że była zamężna. Owdowiała, zanim zdążyli dorobić się dzieci. Nie pytam o przyczynę śmierci męża ani o to, jak się z tym czuje. Nie dopuszczam do siebie myśli, że doktor Elgin może być tak samo smutna i popieprzona jak ja. Lepiej wierzyć, że stała się tą piękną osobą z pięknym głosem, tak lubianą przez niebezpiecznych wariatów, że nazwali ją doktor Queen. Wyobrażam sobie, że jej zmarły mąż był absurdalnie przystojny – wysoki, z ciemną, egzotyczną karnacją i orzechowymi oczami. Na pewno był jej pierwszą miłością. Właśnie dlatego nie wyszła za mąż po raz drugi; bo nikt nie może się równać z mężczyzną, któremu przysięgała miłość do końca życia. Dlatego nosi swoje piękne ubrania, jada w eleganckich restauracjach z kolegami-psychologami w kujonkach i dyskutuje o Gestalt i Freudzie.

Podobne historie wymyślam także na temat pielęgniarek i salowych w szpitalu. Chociaż może już nie tak bajeczne jak

w przypadku doktor Elgin. A jak ktoś mnie wkurzy, układam mu w myślach potwornie samotne życie przed telewizorem i z miską chińskiej zupki.

Wszystko to robię, żeby przetrwać. Moja dusza jest jak pobity, trzęsący się pies. W głowie mam milion przegródek pełnych dziur, pytań i mglistych myśli wywoływanych przez leki. Doktor Elgin mówi, że są jak dżdżownice. Zmienia mi tabletki, żebym nie czuła się już taka otumaniona i humorzasta. Przynosi mi też małego kaktusika w doniczce, którego trzymam na parapecie w swoim pokoju. W całości należę do niej, zdeterminowana do walki o swoje zdrowie. Powinnam się czuć zmanipulowana, bo właśnie to ze mną robi, ale nie przejmuję się tym. W sumie nawet mi się tu podoba.

Doktor Elgin mówi mi później, że w liście znalezionym przez policję nakreśliłam własne epizody psychotyczne, błagając, by – jeśli ktoś zdoła odnaleźć mnie na czas – umieszczono mnie w miejscu, gdzie zostanie mi udzielona pomoc.

– Jak widzisz – mówi – jesteś tu na własne życzenie. Chciałaś tu być.

Kiwam głową, chociaż nie przypominam sobie, bym napisała taki list. Ciekawe, czy Leroy mnie jakoś do tego zmusił, czy napisał go sam. Tak czy inaczej, wszystko to nieprawda. To, co zamierzałam mu zrobić, było sprawiedliwe. Zasłużył sobie.

Nagle robię się bardzo przygnębiona w moim nowym więzieniu. Jest znacznie bardziej niezdarne niż pożeracz i mniej doświadczony w gnębieniu. Jego białe ściany i wiecznie unoszący się zapach wybielacza sprawiają, że tęsknię za brązowymi plamami i pleśnią dawnego więzienia. Rozmawiam z doktor Elgin o mojej depresji w nadziei, że pomoże mi ją zrozumieć.

– Niektóre osoby – zaczyna – wierzą, że to tacy ludzie jak ty czy ja są problemem. – Milknie na wystarczająco długą chwilę, bym mogła zastanowić się nad jej słowami. Wyobrażam ją sobie bez tych licznych

ozdób na rękach i palcach, bez grubych kresek eyelinera i głębokiej czerwieni szminki, we własnym pożerającym ją domu. Depresja jest wysoką, czarną falą, która wzbiera i wzbiera... Czyżby doktor Elgin знаła ją z autopsji?

– Co ma pani na myśli? – pytam.

– Nasze społeczeństwo wierzy, że jeśli cierpisz na depresję, coś w tobie się zepsuło. Zwłaszcza jeśli tej depresji nie wywołała żadna osobista tragedia, na przykład śmierć bliskiego albo jakiegoś rodzaju strata. Jeżeli masz depresję bez powodu, osądzają cię.

– Tak... – mówię, skubiąc rąbek koszulki.

– Zastanawiam się jednak, co z ludźmi, którzy nigdy nie cierpią na depresję – ciągnie dalej, pochylając się do przodu. – Jak skostniałe muszą mieć dusze, że czują mniej od nas. – To „nas” rezonuje w mojej głowie. – Czy są mniej prawdziwi, mniej pesymistyczni, mniej zdolni do wyczuwania smaku rzeczywistości na czubku języka? Dlaczego to nas się uważa za tych chorych, skoro to my czujemy więcej? Skoro to na nas wpływają zmiany w społeczeństwie? – Jej oczy błyszczą. Zdaję sobie sprawę, że teraz nie jest moją terapeutką; teraz mówi z głębi serca. Opuszczam nieco gardę i wsłuchuję się w jej słowa. – To nie my jesteśmy problemem, Margo – mówi, a ja kiwam głową. – Lecz ludzie, którzy nie odczuwają tak silnie jak my...

Jej słowa otaczają mnie ze wszystkich stron. Z początku są duszące. Wszystko, czego uczy nas społeczeństwo, świadczy o tym, że doktor Elgin się myli. Mimo to poddaję się. Moja potrzeba bycia normalną sprawia, że wpijam się w jej słowa, upajam się... upajam...

Jeśli ma rację, reszta świata jest odrętwiała, zaś ci cierpiący z powodu psychiki są bardziej rozwiniętymi z natury. Widzimy schyłek społeczeństwa, upadek moralności i ludzkiej przyzwoitości: strzelaniny w szkołach, zbrodnie popełniane przez ludzi przeciwko ludziom, zbrodnie popełniane przeciwko sobie samym. Reagujemy na to wszystko intensywniej niż pozostali. *Tak*, myślę sobie. *Tak, to jest prawda*.

Wychodzę z gabinetu odmieniona. Może nie czuję się już taka samotna jak zawsze. Zaczynam od nowa i tym razem nie kwestionuję tego, kim jestem. Akceptuję siebie.

Później tego samego dnia widzę doktor Elgin na korytarzu. Włosy

wypadły jej z kucyka i zwisają wokół twarzy. Mówi gorączkowym tonem do jednego z sanitariuszy, który obraca się na pięcie i biegnie do pokoju pielęgniarek. Gdy podchodzę bliżej, zauważam, że brakuje jej tchu.

– Doktor Elgin? – mówię.

Ona zwraca się do mnie po imieniu; widzę je na jej ustach, ale z pomieszczenia po lewej dochodzi wrzask, który wszystko zagłusza. Otwieram szeroko oczy. Krzyki to chleb powszedni w wariatkowie, ale ten jest inny. Może zbyt dobrze znam wrzaski, które dobywają się z gardeł torturowanych ludzi. Różnią się od wrzasków gniewu czy poczucia niesprawiedliwości. Sanitariusz wraca z dwoma innymi. Wślizgują się do pomieszczenia, podczas gdy doktor Elgin staje ze spuszczonej ramionami obok mnie. Staram się zajrzeć do środka, ale widzę tylko białe plecy mężczyzn zmagających się z wierzgającym ciałem. Kiedy ta szarpiąca się kobieta mówi to po raz pierwszy, nie rozumiem. Powtarza te słowa jednym ciągiem, dopiero kiedy je rozdzielisz, zdołasz zrozumieć.

Różowezipporóżowezipporóżowezippo

Różowe zippo

Różowe zippo

Różowe

Zippo

Zakrywam usta dłonią. Doktor Elgin, rozdarta między nową pacjentką a silnym wzburzeniem na mojej twarzy, wygląda przez chwilę jak kot, który nie potrafi zdecydować, czy woli tłustą mysz w kącie czy chudą przed nosem. Szybko się opanowuje i łapie mnie za ramiona, zabierając sprzed drzwi.

– Wracaj do łóżka, Margo – mruczy. – Jest już barrrddo późno.

Właśnie. Więc dlaczego wciąż tu jest?

Wyciągam szyję, próbując ostatni raz zajrzeć do środka tamtego pomieszczenia...

To zbieg okoliczności, wmawiam sobie. Skrzywdziłam Leroya nie mniej niż on mnie. Nie miał czasu, żeby znaleźć sobie kogoś nowego. On działa metodycznie. Długie miesiące wybiera kolejną ofiarę – obserwuje, śledzi, planuje. Jestem tutaj dopiero od miesiąca. To za

krótko. A może obudziłam w nim coś, naruszając jego rutynę? Czy zaatakował, żeby zemścić się na mnie? Doktor Elgin wprowadza mnie z powrotem do mojego pokoju; puste ściany pozbawiają mnie złudzeń.

– To zbieg okoliczności – mówię na głos.

Doktor Elgin spogląda na mnie, jej mądre oczy niczego nie przegapia.

– Czyżby? – szepcze mi do ucha.

Pozostawia mnie na środku pokoju i zamyka za sobą drzwi. Jej słodkie mruczenie mnie sparaliżowało.

– Czyżby? – powtarzam.

Następnego ranka, kiedy drzwi otwierają się na nowy dzień, ubieram się szybko i wybiegam na korytarz, kierując się do pokoju pielęgniarek. Z rana zawsze bierzemy prysznic we wspólnej łazience, potem jemy śniadanie i dopiero wtedy mamy wolny czas, który ja zazwyczaj poświęcam rozmyślaniom o Leroyu. *O tym jednym, który mi uciekł!*

Jej drzwi znajdują się po drodze do łazienki. Mam nieprzyjemnie przepełniony pęcherz, jednak muszę zobaczyć kolor jej włosów. Jej drzwi nie są otwarte tak jak u reszty z nas. Czasami tak się dzieje, kiedy pacjent jest zbyt chory, żeby wyjść; nazywają to odpoczynkiem, ale tak naprawdę masz epizod i naszprycowali cię taką dawką leków, że nie możesz się podnieść z łóżka. Siostra Fenn widzi, że za długo stoję na korytarzu. Nie pozwalają nam na to; mamy cały dzień poruszać się w określonym celu. *Chwytajcie dzień! Z nadzieją! Z wiarą! Z optymizmem!*

– Ruszaj, Margo – upomina mnie. – Teraz czas na łazienkę.

– Kto jest w tym pokoju? – pytam, pokazując na drzwi.

Fenn próbuje się wymigać od odpowiedzi, jakbym chciała poznać składniki przepisu na słynne ciasteczka jej babci.

– Słyszałam, jak krzyczy – dopowiadam szybko. – Wczoraj w nocy. Chciałam tylko zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku.

Fenn najwyraźniej podoba się to stwierdzenie. Rozgląda się po korytarzu i zniża głos. Pielęgniarki mnie lubią. Myślą, że jestem dobrym człowiekiem.

– To pisarka – mówi. – Znana.

Patrzę tylko na nią, bo dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko kolor włosów pacjentki. Niestety rozumiem, jak szalone wydawałoby się to pytanie.

– Co jej się stało?

Fenn wykrzywia usta w podkówkę i kręci głową, jakby odpowiedź była zbyt smutna, by jej udzielić.

– Napaść – szepcze.

Doskonale potrafię opanowywać emocje. Nie zawsze tak było, ale zabijanie ludzi zmienia. Oddycham przez nos – wdech, wydech, wdech, wydech.

– Siostró Fenn – mówię słodko. – Jaki ona ma kolor włosów?

To pytanie najwyraźniej wcale jej nie dziwi. Szaleńcy zadają szalone pytania. Nie wie tylko, że ja wcale nie jestem szalona.

Fenn już ma otworzyć usta, żeby mnie zbesztać albo mi odpowiedzieć, kiedy na korytarzu pojawia się doktor Elgin. Dziwię się na jej widok. Inne wariatki robią jej przejście i patrzą na nią z wyraźnym uwielbieniem. Wszyscy ją lubią i wszyscy się zgadzają, że powinna tutaj bywać częściej niż lakoniczny i przysadzisty doktor Pengard. Doktor Elgin kiwa do mnie głową, bo jestem jej ulubienicą, a potem wchodzi do pokoju sławnej pisarki. Wrzaski rozbrzmiewają po pięciu minutach. Biegnę, nie idę, do łazienki. Być może jestem odpowiedzialna za jej cierpienie.

Jaki ma kolor włosów?

Jaki ma kolor włosów?

Jaki ma kolor włosów?

To pytanie bez końca rozlega się w mojej głowie. Jak karuzela, obracająca się w kółko i w kółko, przyprawiając mnie o mdłości. Już od kilku dni siedzi zamknięta w tamtym pokoju i przez większość czasu krzyczy. Któregoś dnia przyszedł mężczyzna. Przystojny, z twarzą, do której nie pasował uśmiech. Zaprowadzono go do niej i wtedy na jakiś czas ucichło.

Pytam doktor Elgin o pisarkę, ale ona tylko zaciska czerwone usta i nic mi nie mówi. Raz podsłuchałam, jak pielęgniarka wymawia jej nazwisko, i zapamiętałam je na później. Dopiero dziesiątego dnia jej pobytu wreszcie ją widzę. Brązowe włosy. Przy skroni widać lekką

siwiznę i zastanawiam się, czy stylistka specjalnie ją tam umieściła. Pielęgniarka przyprowadza ją na wózku do sali rekreacyjnej i ustawia przed pustym płótnem oraz kilkoma puszkami farby. Pisarka zaciska powieki i wszystko odpycha, mrucząc coś pod nosem. Potem znika, jej pokój najpierw opróżniają, a potem przydzielają komuś innemu. Ale ja wiem. Leroy skrzywdził tamtą kobietę. Wyładował na niej gniew, który w nim wzbudziłam, i skrzywdził ją. A teraz ja muszę się stąd wydostać i powstrzymać go, zanim zrobi to ponownie. Raz na zawsze. Tym razem nie będzie litości.

Ostatniego dnia kwietnia, po ponad czterech miesiącach spędzonych w Westwick, opowiadam doktor Elgin o wszystkim. O Leroyu i tym, co mu zrobiłam – o miesiącach planowania przed wejściem do jego domu przez okno z zamiarem popełnienia morderstwa. Opowiadam, jak mnie ogłuszył, a potem dzielę się podejrzeniami, że również uspił i sam napisał list pożegnalny. Kiedy wyznaję, że to przeze mnie pisarka krzyczy „różowe zippo” zza zamkniętych drzwi swojego pokoju, nie potrafię wyczytać z twarzy doktor Elgin nic, co by świadczyło o tym, że mi wierzy lub nie. Po prostu mnie słucha, tak jak zawsze. Kiedy nasza sesja ma się już ku końcowi, obiecuje sprawdzić Leroya Ashleya, a ja czuję, jakby kamień spadł mi z serca. Dobrze jest mówić. Dobrze jest mieć kogoś, kto wie, kim jesteś. Niestety przy naszym następnym spotkaniu doktor Elgin nie wspomina ani o Leroyu, ani o pisarce.

– Margo – mówi łagodnie, kiedy już siedzę. – Dlaczego Judah nie przyjechał cię odwiedzić?

Przecież przyjechał... a nie, nie przyjechał. Dlaczego nagle przyszło mi do głowy, że tu był? A ile czasu już tu spędziłam? Napisałam do niego pięć czy sześć listów po tym, jak e-mail nie dotarł,

ale ani razu nie odpowiedział. Jest w Los Angeles ze swoją dziewczyną, Eryn... a może Erin?

– Bo... bo... on...

Podnoszę ręce i przyciskam palce do skroni. Nagle zaczyna mi się burzyć w głowie. Tak się w ogóle mówi? Ale właśnie tak się czuję: jakby mi się burzyło w głowie. Wzmaga się wiatr, podnosi fala. Emocje i myśli wzniesają sztorm.

– Spójrz na mnie – mówi. – Opowiedz mi o waszym pierwszym spotkaniu.

– Byliśmy jeszcze dziećmi. Wychowaliśmy się na tej samej ulicy. Tylko do innych szkół chodziliśmy.

– Nie. Chodzi mi o to, kiedy po raz pierwszy rozmawialiście. Opowiedz mi, jak wyglądał tamten dzień.

– Miałam kupić w sklepie papierosy. Dla matki. Zobaczyłam go na podwórku przed domem, więc poszłam, żeby zagadać.

– I wtedy po raz pierwszy od waszego dzieciństwa porozmawialiście, tak?

– Tak.

– Co było takiego szczególnego w tym dniu, że postanowiłaś się odezwać do Judaha?

Zaciskam powieki. Wciąż czuję chropowatą, pordzewiałą bramę pod opuszkami palców. Wciąż słyszę skrzypienie, z jakim się otworzyła. Podeszłam do Judaha, który palił mdląco słodkiego jointa.

– Wydawał się taki pewny siebie. Nie przejmował się tym, że jeździ na wózku. Czułam, że muszę się dowiedzieć, jak to robić. Jak być kimś takim.

Doktor Elgin zamyka oczy. Wygląda, jakby zasnęła, tylko że jej gałki oczne poruszają się szybko pod powiekami.

– Co się stało dzień wcześniej? – pyta.

– Dzień przed tym, jak rozmawiałam z Judahem?

– Tak.

– Nie wiem. To było dawno temu.

– Nie wiesz. Spróbuj sobie przypomnieć.

– Nie mogę. To było dawno temu – powtarzam. Po raz pierwszy od początku terapii czuję, że wolałabym nie siedzieć razem z nią

w gabinecie. Wydaje mi się, że mnie osacza. Przestała udawać miłą babkę. Gorąc wspina mi się na kark, jakby ktoś położył tam niewidzialną dłoń. Nawet powieki mnie parzą. Szarpię rąbek szpitalnej koszuli, która przykleiła mi się do ciała.

– Judah nie skontaktował się z tobą ani razu, odkąd tu trafiłaś.

– To nieprawda – protestuję szybko. Jednak zanim jeszcze skończę to mówić, wiem, że doktor Elgin nie kłamie. – Pokłóciliśmy się. Zanim zostałam przyjęta do szpitala. Nie rozmawialiśmy już od jakiegoś czasu – mówię gładko jak dobrze wytrenowana oszustka.

– A o co się pokłóciliście? – pyta, trzymając długopis nad żółtym notesem.

Zastanawiam się. Trudno tutaj cokolwiek pamiętać, wszystkie te leki uciskają mózg.

– O jego dziewczynę – kłamię. – Posprzeczailiśmy się. Była dla mnie niemiła.

– Jak skończyła się ta sprzeczka?

– Judah nie chciał mieć już nic ze mną wspólnego. Powiedział... powiedział, że już mnie nie poznaje.

– Ale mimo to do niego piszesz, prawda?

– Tak – mówię, przypominając sobie, jak próbowałam się wytłumaczyć w listach. *Proszę, wybacz mi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Jedna krzywdziła Mo. Druga zabiła córeczkę. Nigdy więcej tego nie zrobię. Proszę, odezwij się do mnie.*

Wszystko to pozostawało bez odpowiedzi. Kulę się na swoim fotelu i wbijam wzrok w podłogę. Napisałam mu jeszcze pięć listów. Nie zawaham się przed niczym, żeby go odzyskać. Musi zrozumieć, jak bardzo mi przykro.

– Ale pojawił się w szpitalu – mówię. – Zanim przywieziono mnie tutaj. Był w moim pokoju. Widziało go dwoje ludzi, którzy zajęli się przenosinami. Może ich pani zapytać...

Doktor Elgin kręci głową.

– W szpitalu nie miałaś żadnych gości, Margo.

– Skąd to pani wie?

– Byłaś w krytycznym stanie i na obserwacji psychiatrycznej w związku z próbą samobójczą. Szpital nie wpuściłby nikogo spoza

najbliższej rodziny.

– Proszę zadzwonić do jego matki. No, śmiało...

– Dzwoniłam, Margo. Nawet pojechałam się z nią zobaczyć.

Język mi drętwieje. Nie potrafię powiedzieć tego, co bym chciała.

– Pamiętasz, kiedy poprosiła cię o kupienie koszul w sklepie, w którym pracowałaś? Jak on się nazywał...?

– Rag O Rama – odpowiadam. – I tak, pamiętam.

– Przyniosłaś męskie koszule.

– Właśnie o to prosiła. O koszule dla Judaha.

Doktor Elgin sięga do szuflady biurka i wyciąga plik białych kopert. Patrzę, jak je rozkłada, jedna po drugiej. Śnieżnobiałe oskarżenie. A potem zaczynam zawodzić.

– Nie. Nie, nie, nie, nie, nie.

Na każdej z kopert widnieje imię Judaha, nabazgrane czerwoną świecówką. „Judah” na każdej kopercie dziecinnym charakterem pisma: przeciągnięte J, zakrzywione h. Judah, którego kocham. Judah, który kocha mnie. Judah, do którego pisałam wszystkie te listy. Biorę jeden z nich do ręki i wyciągam ze środka kartkę w linie. Nic na niej nie ma.

– Margo – mówi doktor Elgin. – Judaha nie ma. On nie istnieje. – Jej akcent jest gęsty jak syrop.

– To szaleństwo. Przecież znam go całe życie. Gdzie są moje listy? Te, które napisałam? Dlaczego szpital ich nie wysłał?

– To są listy, które wręczyłaś pielęgniarce – tłumaczy. – Nigdy nie podałaś adresu, a kartki w środku zawsze były puste.

– Nie. Pisałam do niego. Pamiętam. Mieszka w Kalifornii. Zamierza wrócić do Bone. I zostać nauczycielem.

– Był kiedyś chłopiec – mruczy doktor Elgin – który mieszkał w domu przy Wessex Street. Zadzwoniłam do jego matki, Delaney Grant. Powiedziała, że często ją odwiedzałaś... po tym, jak umarł.

Zapiera mi dech.

– Co to ma znaczyć? O co tu chodzi?

– Opowiedz mi o dniu, w którym zostaliście przyjaciółmi.

Muszę zgiąć się wpół i włożyć głowę między nogi. Czuję jej obecność. Jest absolutem, a jej absolutność nasycza powietrze, którym oddycham.

– Nie jestem wariatką – szlocham. Te słowa tak bardzo boją. Zupełnie jakby ktoś powiedział ci, że masz raka, chociaż całe życie byłeś zdrowy.

– Wariatka to głupie określenie. Nie jesteś wariatką. W rzeczywistości to znacznie bardziej skomplikowane.

Nie czekam, aż znowu zapyta, i mówię.

– Całe życie go obserwowałam. Chłopiec na wózku, jedyny taki w miejscu, gdzie wszyscy mają nogi.

– Ale nigdy z nim nie rozmawiałaś – wyjaśnia Elgin. – Umarł, kiedy miał dziewiętnaście lat. Popełnił samobójstwo, a ty próbowałaś go uratować.

– Nie.

Podaje mi pojedynczą kartkę, wydruk z Internetu. Paznokcie ma pomalowane na głęboki, czekoladowy brąz. Biorę kartkę i nie patrzę na nią przez kilka długich sekund, próbując zapanować nad zajadłą walką między ciałem a umysłem. Na papierze znajduje się zdjęcie chłopaka przed dwudziestką, który w niczym nie przypomina mojego Judaha. Wygląda na słabego i kruchego, ma wklęsłe policzki i włosy leżące płasko na czubku głowy, jakby po ciężkim deszczu albo kilku dniach niemycia. Pod fotografią, która chyba pochodzi z albumu szkolnego, znajduje się artykuł.

DZIEWIĘTNASTOLATEK NA WÓZKU WJEŹDŹA DO RZEKI I TOPI SIĘ

Piątkowego wieczora Judah Grant, świeżo upieczony absolwent Allen Guard School of Progress, który miał jesienią rozpocząć naukę w *college*'u, został zauważony w rzece przez osiemnastoletnią Margo Moon. Margo, mieszkanka tej samej ulicy co Judah i uczennica szkoły średniej w Harbor Bone, wracała właśnie do domu, kiedy zobaczyła, jak młody mężczyzna rzuca się z przystani do wody. Judah w wieku ośmiu lat brał udział w wypadku samochodowym, w wyniku którego odniósł obrażenia kręgosłupa i stracił czucie w nogach. Jego matka, Delaney Grant, powiedziała, że przez ponad dekadę cierpiał na depresję i często wspominał o śmierci, utraciwszy wolę życia krótko po wypadku. Margo, myśląc, że wózek Judaha przypadkiem przewrócił się do wody, skoczyła

do nurtu, by ratować kolegę.

„Podniosłam go z dna, ale strasznie się szarpał. W pewnym momencie uderzył mnie w twarz i przestałam cokolwiek widzieć”.

W tym miejscu druk zaczyna blednąć, jakby doktor Elgin zapomniała załadować nowy kartridż do drukarki. Mrużę oczy, żeby doczytać pozostałą część tekstu.

Margo, która twierdzi, że nie jest dobrą pływaczką, wróciła na brzeg, żeby zaczerpnąć powietrza, a potem znowu zanurkowała po Judaha. Zdołała wyciągnąć go już nieprzytomnego z wody, a następnie przez pięć minut próbowała resuscytacji, by później pójść po pomoc.

W tym miejscu artykuł się urywa. Elgin nie wydrukowała reszty historii. Chciała tylko udowodnić mi, że jestem wariatką – chociaż jej zdaniem to bardziej skomplikowane – nie udzielając mi zbyt wielu informacji. Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo, bardzo głodna i zaczynam myśleć o obiedzie. Podadzą dzisiaj strogonowa z wołowiny czy enchiladę?

Spoglądam na nierówne linie wydruku, ziarniste i niewyraźne litery, zastanawiając się, dlaczego szanowna pani doktor nie wymieni tuszu. Najwyraźniej na coś czeka. Unikam jej wzroku.

Czuję zimną wodę na skórze – zimną, chociaż jest lato. Ciało kalekiego chłopaka ciąży mi, gdy próbuję wyciągnąć go na brzeg... szarpiącego się... Pamiętam palenie w płucach i drętwiejące palce, którymi z wysiłkiem łapałam za jego koszulkę. Pamiętam desperację i dezorientację. Kogo ratuję? Siebie? Jego? Czy on chce, żeby go uratować? W końcu połykam zbyt wiele wody, zaczynam kaszleć i pcham bolące członki w stronę brzegu, gdzie wciągam łapczywie powietrze, gapiąc się w miejsce, gdzie on tonie... gdzie chciał utonąć.

Dziennikarz był miły. Dał mi kartę podarunkową na dwadzieścia pięć dolarów do Wal-Mart, którą wyciągnął z portfela, mówiąc, że jestem bohaterką. „Nie wszystkich da się uratować – powiedział, patrząc na moją zapłakaną twarz. – Czasami trzeba dać naturze działać po swojemu”.

Myślałam, że to okropnie samolubne i ignoranckie powiedzieć coś takiego komuś, kto właśnie był świadkiem śmierci chłopca. Chłopca, którego oglądało się całe życie, ale nigdy nie zamieniło się z nim słowa.

Samobójstwo nie jest naturalne. To przeciwieństwo natury. Naturalna jest chęć życia. Nienaturalnie jest cierpieć tak bardzo, że chce się umrzeć.

– Pamiętasz? – pyta doktor Elgin z idealnie opanowaną mimiką, by nie wyrażać osądu. Wydaje się wyluzowana, jakbyśmy rozmawiały o śniadaniu.

– Tak.

Czuję się niesamowicie głupio. Wstydzę się. Jestem skomplikowana. Jestem wariatką. Judah, z którym spędziłam tyle czasu, jest wytworem mojej wyobraźni. Jak to w ogóle możliwe? I co jeszcze sobie wyobraziłam? Można zwariować od samego zrozumienia, że się jest wariatką.

– Znam jego zapach – mówię doktor Elgin. – Jak może być zmyślony, skoro znam jego zapach?

– Wiem, że znasz, Margo. Trauma sprawiła, że weszłaś w odmienny, oderwany od rzeczywistości stan. Wymyśliłaś Judaha, żeby dać wam obojgu drugą szansę.

Wydaje się zadowolona ze swojej oceny. Na mnie nie robi wrażenia. Wciąż czuję go w powietrzu, jakie mnie otacza; nie można wymyślić kogoś w takich szczegółach. Skoro już potrzebowałam zmyślonego przyjaciela, żeby radzić sobie z życiem, dlaczego nie dałam mu ładnych, silnych nóg? Pamiętam ból rąk po tym, jak pchałam jego wózek po chodnikach Bone. Pamiętam, jak dziwnie było go prowadzić, kapać i pomagać mu usiąść na kanapie tej nocy, kiedy u mnie spał.

Tamtego dnia wychodzę z gabinetu doktor Elgin, jakbym latała zamiast chodzić. Mogłabym powiedzieć, że wszystko wydaje mi się nierzeczywiste, ale prawda jest taka, że *ja* wydaję się sobie nierzeczywista. Jakbym to ja była zmyślona, a nie Judah.

Gdy tego wieczora zamykają się drzwi, a ja wślizguję się pod sztywną, wybieloną pościel szpitala psychiatrycznego, nie jestem już pewna. Nic już nie wiem. Chowam twarz w cienką poduszkę, aż nie mogę oddychać, a potem zmuszam się do podniesienia głowy i zaczerpnięcia powietrza. Zapewniam samą siebie drżącym i galaretowatym głosem, że naprawdę istnieję. Robię tak całą noc, dopóki nie zapali się światło, nie otworzą drzwi i nie dostaniemy leków

w małych papierowych kubeczkach, które pachną starymi ludźmi. *Judah jest prawdziwy, ja jestem prawdziwa*, powtarzam sobie raz po raz. Jednak w porze obiadu znowu tracę tę pewność. Jeśli zmyśliłam Judaha, może zmyśliłam też wszystko inne – morderstwa, szpital, doktor Elgin. Sprawdzam plakietkę na drzwiach, żeby się upewnić, że rzeczywiście nazywam się Margo.

Pojawiam się w gabinecie doktor Elgin trzy razy w tygodniu, a potem tylko dwa, kiedy uznaje, że robię postępy. Przestaję z nią walczyć już po tym pierwszym razie, przestaję zaprzeczać nieistnieniu Judaha. Cicho wślizguję się w rolę skromnej pacjentki, próbując ścisnąć w śliskich palcach resztki poczytalności. A potem, pewnego dnia po nieco ponad pięciu miesiącach w Westwick – kiedy to nogi robią mi się już miękkie i gąbczaste z braku ruchu – wszystko się zmienia.

Wypuszczają mnie z Westwick, chociaż nie uważam, że jestem na to gotowa. Wieści na temat Judaha sprawiły, że czuję się dziwnie we własnej skórze. Już nawet samej sobie nie potrafię zaufać. Co się dzieje z kimś, kto ma za wroga swój własny mózg? Nie wiem. Boję się o tym przekonać.

Moje mieszkanie nic się nie zmieniło, nie licząc warstwy kurzu, jaka na wszystkim osiadła. Moja umowa wynajmu z Doyle'em kończy się dopiero za rok, więc o ile nie postanowi być skurwielem, nie muszę się martwić, że trafię na bruk za niepłacenie czynszu.

Na samym początku biorę prysznic. Śpiewam *Tainted Love* najgłośniej, jak potrafię. W szpitalu woda zawsze była tylko letnia, a ciśnienie ledwo pozwalało wypłukać szampon z włosów. Patrzę, jak zbiera się wokół mnie para, a jej gorące liźnięcia malują moją skórę na czerwono. Chcę zmyć z siebie ostatnie miesiące. Zacząć od nowa. I czuję się nowa; mam zupełnie inną perspektywę, mam doktor Elgin, mam misję... mam cel.

Po prysznicu ubieram się i sięgam po komputer, któremu przez pięć miesięcy ładowała się bateria. Odbieram pocztę. Czytam pierwszy e-mail. Jest od Judaha. Chichoczę, bo przecież Judah nie istnieje.

Prawda? Prawda. Widzę wiele wiadomości od niego, wysyłanych w ciągu ostatnich miesięcy. W pierwszym przeprosza za to, że zezłościł się podczas mojej wizyty w Kalifornii, i pyta, co u mnie. Z czasem jego e-maile zmieniają się i zaczyna naciskać, żebym do niego zadzwoniła. Martwi się o mnie; boi się, do czego mogę być zdolna. To wszystko jest fałszem, oczywiście. Pewnie sama napisałam te e-maile, chociaż zupełnie tego nie pamiętam. Kasuję każdy po kolei, a potem opróżniam też kosz, żebym nigdy już ich nie widziała. Nie potrzebuję zmyślonego przyjaciela martwiącego się o mój los. Doktor Elgin powiedziała, że jak pokocham siebie, nie będę potrzebowała miłości nieistniejących ludzi. Nienawiść do samego siebie to forma obsesji na swoim punkcie, czy nie? Nienawiść tak wielka, że na przejmowanie się osobami trzecimi nie ma już miejsca. Nie chcę być kimś takim – tak zadurzonym we własnych wadach, że zapomnę o potrzebach innych ludzi. Moja matka uwielbiała się nienawidzić i przez to zapomniała o własnej córce.

Przez kilka następnych dni na nowo zapoznaję się ze światem zewnętrznym. Dużo spaceruję, kupuję kwiaty i owoce na targowisku. Czytam całą książkę, siedząc na ławce nieopodal Sound, skąd dobiega trąbienie promów, na które uśmiecham się z zadowoleniem. Jestem wariatką, którą dopiero co wypuścili z wariatkowa. Ilu ludzi spojrzęło w moją stronę, myśląc, że jestem normalna? Ilu z nich ja uznałam za normalnych, chociaż w rzeczywistości byli jak Vola, Lyndee czy Leroy? Życie jest upiorne, a ludzie jeszcze gorsi.

Piątego dnia odbieram krótki telefon od doktor Elgin, która sprawdza, jak się miewam, a potem pakuję się do jeepa i jadę sto kilometrów do lichego miasteczka Leroya. Nie chcę podchodzić zbyt blisko – a przynajmniej nie tym razem – ale zwalniam, mijając jego dom, i zauważam, że na podjeździe nie stoi już granatowy nissan. Zamiast niego znajduje się tam minivan. Patrzę, jak matka wysadza dzieciaki i ciągnie je za sobą do domu, obwieszona zakupami. Opieram głowę o siedzenie i zamykam oczy. Leroy wysłał mnie do wariatkowa na dość długo, żeby zdążył sprzedać dom i wyjechać z miasta. Spodziewał się, że znowu spróbuję go dorwać? Dlaczego mnie po prostu nie zabił, kiedy miał szansę?

Poznaję Johana Veisslera z Afryki Południowej, który dogląda

interesu wujka, ponieważ ten dochodzi do siebie po wylewie. To rodzina rybaków łowiących łososie, nie cierpię łososia, chociaż ostatnio ciągle mam pełno tej ryby w zamrażarce.

Johan to dobry kochanek. Mój pierwszy. Nie powiedziałam mu, że nikt wcześniej nie posiadał mojego ciała. Patrzyłam mu w oczy, gdy pożerał wzrokiem te części mnie, których ja niegdyś potwornie się wstydziłam. Nie czułam żadnego bólu i wszystko wydawało się bardzo nierzeczywiste. Johan po wszystkim mnie pocałował i poszedł spać. Nigdy nie można w pełni poznać jego uczuć po mimice twarzy i mowie ciała. Bardzo o mnie dba – zawsze zaspokaja moje cielesne potrzeby – ciągle pytając, służąc, wierząc. I chociaż nie jest to niezbędne w miłości, niesamowicie romantycznie jest mieć kogoś, kto patrzy na ciebie jak na ostatnią szklankę wody na Ziemi. Zaglądam do własnego serca. Dlaczego potrzebuję, by ktoś mnie głaskał i pieścił, by o mnie dbał i mnie chronił, i sprawiał, że czuję się jadalna?

Być może dlatego, że pewien mężczyzna w przeszłości już dał mi ten dar i zasmakowałam takiego życia. A może telewizja zrobiła wiele, by mnie przekonać, że to normalne. Ale nie pozwolę, by wpłynęła na mnie przeszłość. Zaadaptuję się. Ujrzę miłość w świetle prawdy, a nie doświadczeń. Tylko wtedy uda mi się nabrać pewności siebie i władać biegle jej językiem. Te słowa stają się moją mantrą. Moją modlitwą.

Nie działają. Kiedy Johan mnie całuje, myślę o Judahu. Tylko o nim myślę, gdy Johan dotyka mojego ciała. Myślę tylko o Judahu, kiedy ciało Johana opada na moje z satysfakcją zaspokojonej namiętności. Myślę tylko o Judahu, moim nieuchwytnym jednorożcu. Johan nie zwraca uwagi na moją nieobecność. Jest skupiony na tym, jak się śmieję, co często komplementuje, na kształcie moich nóg, który często komplementuje. Johan uważa, że jestem silna i poprzez to piękna – jakby jedno wynikało z drugiego. Jest mężczyzną, który ceni u kobiet mięsność i zaradność, a wyśmiewa laseczki spacerujące po ulicy w designerskich szpilkach. Czasami myślę, że widzi we mnie raczej towarzyszkę niż kochankę. Spełniam jego potrzebę posiadania przyjaciółki, przez co czuję się mniej kobieco. Mimo to jesteśmy razem, a on nie zadaje pytań.

Zjadamy ogromne ilości owoców morza i spędzamy czas na

łodziach rybackich jego wujka. Nie podoba mi się woda. Boję się jej tak jak matka. Ale wstydzę się przyznać do strachu – bo jak to, ja miałabym się czegoś bać? Ja, dziewczyna, która związała i torturowała przez dwie godziny ważącego prawie sto kilo mężczyznę? Dlatego wypływam z Johanem tak często, jak tylko mogę. Nagle się okazuje, że idę na kompromis w związku, którego wcale nie cenię. Jestem słaba. Tak strasznie chciałabym się do czegoś przydać, żeby nie siedzieć bez celu, wtulona w ramię Johana, podczas gdy świat mija nas z prędkością światła.

Minęło pięć miesięcy, odkąd zaczęliśmy się spotykać. Pięć miesięcy wędzonego łososia, grillowanego łososia, salsy z mango i łososiem, łososiowego lemonaise. Chyba zwariuję.

Judah przyjeżdża z wizytą. Johan słucha, jak wspominam naszą przyjaźń, i marszczy brwi. Kiedy mówię mu, że Judah jeździ na wózku, wyraźnie się rozluźnia. Niepełnosprawny nie jest zagrożeniem dla opalonego, silnego Johana. Upiera się, żeby zaprosić Judaha na łódź, by łowić i grillować łososia w Sound. Kiedy piszę do Judaha w tej sprawie, wydaje się zaskoczony.

Nie wiedziałem, że się z kimś spotykasz!

Dopiero od niedawna, kłamię.

Chyba powinnam powiedzieć, że nie mogę się doczekać naszego spotkania, ale nie byłabym szczerą.

Kiedy odbieram Judaha z lotniska kilka dni później, ma szeroki uśmiech na twarzy i ciemną opaleniznę.

– No popatrz tylko! Kalifornijczyk jak w mordę strzelił!

– Jak w mordę strzelił – mówi, gdy się pochylam, żeby go przytulić. Ubrał się w wyblakłe džinsy i obcisłą, białą koszulkę. Nie przypomina już biednego chłopaka z Bone. Wygląda dobrze, zdrowo. Pomagam mu usiąść na fotelu pasażera w jeepie, rozglądając się za pozostałościami po moim hobby, chociaż wiem, że nic tu nie ma. Kiedy wózek ląduje w bagażniku, a my wyjeżdżamy na drogę, odwracam się do Judaha i widzę, że mi się przygląda.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że tak się zmieniłaś.

– Ty też – odpowiadam. – Zupełnie jakby po opuszczeniu Bone

można było wreszcie być tym, kim się powinno być.

– Może – stwierdza zamyślony. – A może po prostu byśmy dorośli i wszystko odbyłoby się tak samo i w Bone.

– Jasne! W Bone nie dorobiłbyś się takiej opalenizny!

Śmieje się w sposób, który zapamiętałam i pokochałam. Ciepło rozplywa się po moim ciele.

Kiedy wracamy do mojego mieszkania, Judah upiera się, że sam wjedzie po rampie i do windy. Wstydzę się, bo czuć tam trochę moczem, a do tego na dwunastym piętrze ktoś zostawił puste opakowanie po McDonalddie, sterczące dumnie i śmierdzące starym tłuszczem. Judah najwyraźniej nie zwraca na to uwagi. Gdy otwieram drzwi do mieszkania, czeka, aż wejdę do środka, i wjeżdża za mną. Rozgląda się, jakby widział to mieszkanie po raz pierwszy. Patrzy na turkusowe ściany z obrazkami przedstawiającymi Seattle, jakie znalazłam na Pike Place Market. Na sofę w biało-czarne paski, którą odkupiłam od sąsiadki, gdy przeprowadzała się do Baltimore. Na kwitnące rośliny w doniczkach, które ustawiam na półkach i parapetach. Jego wzrok zatrzymuje się na dłużej przy książkach w kolorowych obwolotach. Przygląda się temu wszystkiemu i wzdycha głęboko, z satysfakcją.

– No co? – pytam.

– Podoba mi się, jak mieszkasz. Ładnie się tu urządziłaś. Przytulnie.

A mi się podoba, że to zauważa. Johan nigdy nie zwraca uwagi na wszystkie kobiece rzeczy: na wystrój mieszkania, na pomalowane paznokcie, na przycięte włosy. Ale za to kiedy złapię dużą rybę na błyszczącą wędkę, którą mi kupił w prezencie, o rany!

– Lubisz łososia? – pytam. – Bo będzie na obiad.

– Pewnie. – Wzrusza ramionami. – Ale w sumie to wolałbym cię gdzieś zabrać. Twój chłopak nie będzie miał nic przeciwko?

Uśmiecham się szeroko, choć chciałabym jeszcze szerzej.

– Jesteś moim najdroższym przyjacielem. Nie obchodzi mnie, co Johan o tym myśli.

Przebieramy się i ruszamy do indyjskiej restauracji, która znajduje się kilka przecznic dalej. Proponuję taksówkę, ale Judah kręci głową.

– Chciałbym przy okazji poznać miasto.

Dają nam stolik na zewnątrz, zaraz obok tętniącej życiem ulicy. W powietrzu unosi się zapach czerwonego i zielonego curry, które wynoszą na dużych tacach. Zjadam swoją porcję curry z wołowiną aż za szybko, uradowana, że wreszcie mam na talerzu coś innego niż łososia. Śmiejemy się i rozmawiamy, Judah opowiada mi anegdoty ze szkoły, w której uczy w Los Angeles. Kiedy podają nam deser – dwie srebrne czarki pełne puddingu ryżowego z rodzynkami – twarz Judaha przybiera poważny wyraz.

– Margo, wracam do Bone.

Łyżka wypada mi z ręki i ląduje na ziemi. Schylam się, żeby ją podnieść.

– Judah... nie rób tego.

Mówię to z takim przekonaniem, że aż sama jestem zaskoczona.

Judah podnosi brwi, oblizuje łyżkę i wkłada ją z powrotem w pudding.

– Cóż, to moja decyzja.

Wiedział, że jego deklaracja mnie przerazi. Począł z nią aż do teraz, żeby nie zepsuć mi radości z posiłku.

– Dlaczego? – pytam. – Wyjechaliśmy stamtąd na zawsze. Przrzekliśmy, że więcej tam nie wrócimy.

Odpowiada mi jednym słowem, przygotowując mnie tym o ciarki.

– Szpik.

Czuję Bone, tak jakby było żywym człowiekiem, który czyha za moimi plecami, czekając na odpowiedź.

– Mam teraz wypasiony dyplom – mówi Judah. – Mogę uczyć, gdziekolwiek zechcę, ale wolałbym oddać swój dar ludziom w Bone. Tam brakuje dobrych nauczycieli, Margo. Sama pamiętasz.

Mówi to, żeby mnie przekonać, ale w ten sposób tylko wzbudza we mnie większą niechęć. Judah ma rację. Mógłby uczyć w dowolnej szkole w całym kraju. Dlaczego miałby marnować życie na Bone i jego bezwartościowych mieszkańców?

– A dlaczego nie przyjedziesz tutaj? – wołam. – Tak jak planowaliśmy wiele lat temu?

– Żeby patrzył, jak układasz sobie życie z Johanem?

Dlaczego nagle w jego głosie pojawia się gorycz?

– Nasz związek nie jest tak poważny, Judah. On kiedyś wróci do RPA. – A potem, jakbym chciała samej sobie poprawić nastrój, dodaję: – Ma tylko wizę pracowniczą.

– Moja matka ma wysokie ciśnienie. Lekarz przepisał jej cały stos leków. Nie wiem, jak długo jeszcze pożyje. Chciałbym być przy niej.

Przypominam sobie Delaney i od razu mięknię. Może gdyby moja matka jeszcze żyła, nie wyjechałabym z Bone.

– Kiedy wracasz?

– Po wakacjach. Już poinformowałem swoich pracodawców.

– Nie podoba mi się to.

– Wiem. – Wyciąga rękę i głaszcze mnie po dłoni opuszką palca.

– Jedź ze mną.

Zamieram. Zarówno przez sam pomysł, jak i fakt, że mnie o to prosi. Przez chwilę się zastanawiam, czy może jego uczucia do mnie się zmieniły.

Już mam odpowiedzieć, kiedy odzywa się mój telefon. Pięć nieodebranych połączeń. Johan.

– Słucham – mówię, naciśnawszy przycisk z zieloną słuchawką.

– Hej, skarbie – rzuca Johan, a jego akcent wylewa się przez głośnik. Nieczęsto nazywa mnie skarbem. Słyszę raczej Margie, Margo i Mar, którego nienawidzę. Ciekawe, czy obecność Judaha sprawiła, że czuje się niepewnie. – Tak się zastanawiam, może chciałabyś przyprowadzić swojego kumpla na łódź dzisiaj wieczorem? Moglibyśmy wypić kilka drinków, hej.

Spoglądam na Judaha, nagle irytując się tym „hej” na końcu każdej wypowiedzi Johana.

A może, hej?

Trzeba dosypać świeżo mielonego pieprzu, hej.

Pamiętaj, że jemy dzisiaj kolację z moją ciotką, hej.

– Nie dzisiaj, Johan. Judah nie najlepiej się czuje.

Johan wydaje się rozczarowany, ale mówi, że rozumie. Rozłączam się, a Judah garbi się, udając chorego.

– Nie wiedziałem, że źle się czuję, ale gdy już o tym wspomniałaś...

– Cicho bądź – mówię. – Chcę po prostu mieć cię dzisiaj na

wyłącznie. Co w tym złego?

– Nic – odpowiada. Nagle robi się zbyt poważnie. Oboje mamy łzy w oczach i siedzimy sztywno. To najdziwniejszy i najbardziej niezręczny moment między mną a Judahem. Płacimy rachunek i wracamy na deszcz.

Zanim zdążymy dotrzeć do mojego bloku, nasze ubrania są przesiąknięte, a mnie bolą ręce od popychania wózka w górę jednej z bardziej stromych ulic Seattle. Trzęsiemy się w windzie, śmiejąc się z mojego rozmazanego makijażu i widocznych przez koszulkę sutków Judaha. Nasze głosy odbijają się echem w korytarzu, a potem nagle urywają. Johan stoi przy moich drzwiach, nieśmiało trzymając butelkę wina.

– Cześć, śliczna – mówi, przyciągając mnie do siebie i całując. Czuję, jak cała sztywnieję, i próbuję się zaraz rozluźnić. Johan oblał się wodą kolońską, ale i tak nie zamaskował w pełni rybiej woni oceanu. Odwracam się od niego i patrzę na Judaha, który obserwuje nas z dziwnym wyrazem twarzy.

Johan przekracza granicę i staje się nieproszonym gościem. To może dziwne mówić tak o własnym chłopaku, ale to prawda. Kiedy zniosłam wino do pokoju, obaj wyluzowali. Johan zaczął gadać o łodziach rybackich i ostatnim połowie, a Judah słuchał go bez słowa, uśmiechając się i kiwając głową w odpowiednich momentach. Po jakimś czasie oznajmia, że chce się już położyć i zostawi nas, żebyśmy mogli posiedzieć trochę sami. Posyłam mu najbardziej groźne spojrzenie, na jakie mnie stać, wstydząc się swoich uczuć do Johana. *Judaha nie mam na co dzień*, myślę sobie.

Patrzę, jak jedzie do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Johan dziwnie spogląda w tamtą stronę.

– Strasznie dzisiaj wieje.

– Jestem zmęczona – oznajmiam, a on kiwa głową. Podchodzę przed nim do drzwi i otwieram je, dusząc w sobie wyrzuty sumienia. Chcę, żeby wreszcie wyszedł, więc dlaczego jestem z kimś, kogo chcę się pozbyć?

Całuje mnie w progu, ale odsuwam się i wychodzę na korytarz, zamykając za sobą drzwi, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

– O co chodzi? – pyta.

– Dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś?

Wydaje się zawstydzony. Spogląda przez ramię, jakby chciał uciec do windy.

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Co w tym złego?

– Mówiłam już, że jestem zajęta w ten weekend.

– Nie wyglądasz na szczególnie zajęta. Myślałem, że... Myślałem, że ktoś jest u ciebie.

Gniew rozsadza mnie od środka. Czy on jest ślepy? Na pewno zauważył, co było między mną a Judahem. Czuję wściekłość – tego rodzaju wściekłość, przez którą robię głupie rzeczy. Ale zerwanie z Johanem nie jest głupie; jest konieczne. Jak wyrzucanie ubrań, z których się wyrosło.

Otwierają się drzwi i na korytarz wychodzi sąsiad, niosąc do zsypu wielki, śmierdzący wór śmieci. Czekam, aż wróci do swojego mieszkania, a potem znowu odzywam się do Johana.

– Zakochałam się w kimś innym. – Johan zdaje się nie rozumieć. Nie dziwię się. – Zrywam z tobą. – Już otwiera usta, żeby zaprotestować, ale go uciszam. – Nie możesz powiedzieć nic, co zmieniłoby moją decyzję. Nie działałam pochopnie. Naprawdę nie. Twoja wiza niedługo wygaśnie. Będziesz musiał wrócić do domu. A ja nie pojedę z tobą, Johan.

Ma mi mnóstwo do powiedzenia. Widzę to na jego twarzy. W końcu jednak tylko kiwa głową i odchodzi. Od razu czuję ulgę.

Wracam do środka i zamykam drzwi na zasuwę, a potem patrzę w kierunku sypialni. Światło jest zgaszone, co oznacza, że Judah pewnie leży już w łóżku. Biorę szybki prysznic i kładę się na kanapie z komórką w rękę. Potem, nie zastanawiając się zbyt wiele, piszę do niego.

Śpisz?

Przygryzam mocno wargę, dopóki nie nadejdzie odpowiedź.

Teraz już nie.

Chowam twarz w poduszkę na chwilę, a potem znowu zaczynam pisać.

Przepraszam. On chyba jest zazdrosny. Przyszedł, żeby Cię obczaić.

Kolejna wiadomość przychodzi szybko.

Jestem pewien, że ten przyptyw zazdrości stracił na sile, kiedy Johan zobaczył wózek.

A jaka to różnica? Masz większe bicepsy niż on.

Wózek jest cięższy niż ryby!

Chichoczę i przewracam się na plecy, żeby móc wysyłać dalej SMS-y.

Zerwałam z nim.

Następne słowa najwyraźniej przychodzą mu z trudem, bo trzy kropki pojawiają się i znikają.

A potem...

To dobrze. Czyli mogę Cię teraz pocałować.

Duszę się własną śliną. Robi mi się ciepło i nagle zaczynam dyszeć, jakbym przebiegła pięć kilometrów przez pole uczuć. Wstaję i maszeruję przez salon, zatrzymując się na moment przed drzwiami sypialni, wahając się tylko odrobinę przed ich otwarciem.

Widzę kształt jego ciała pod pościelą, łunę światła z wyświetlacza telefonu, który trzyma nad głową.

– Judah – mówię.

Upuszcza komórkę na twarz i stęka. Śmieję się, a potem rzucam na łóżko. Wspinam się na niego i siadam okrakiem. Znowu trzyma telefon, ale gdy tylko zauważa, co robię, odkłada go na szafkę nocną. Do sypialni wpada światło z kuchni, widzę jego twarz i malujący się na niej niepokój... i skupienie. Pochylam się do przodu, aż złączą się nasze piersi, a potem go całuję. Kiedy Johan pocałował mnie pierwszy raz, przez moment było niezręcznie, dopóki nasze usta nie przyzwyczyły się i nie znalazły rytmu. Z Judahem jest inaczej, naturalnie, jakbyśmy robili to od zawsze. Odzywa się moja niepewność siebie i zaczynam się odsuwać, jednak Judah obejmuje mnie i zatrzymuje w miejscu. Oboje pachniemy pastą do zębów i szamponem. Masuje mi plecy i całuje – jego usta poruszają się płynnie, język rytmicznie. Czuję, że sztywnieje między nogami. Gdybym się dotknęła, poczułabym wilgoć. Kiedy się upewnia, że nigdzie się nie wybieram, przesuwając ręce na moje biodra i zaczyna kołysać nimi w przód i w tył. Ociera nasze ciała o siebie, jakby chciał pokazać, że oprócz nóg wszystko u niego działa. Jęczę w jego usta. Nie tylko dlatego, że pragnę poczuć go w sobie, ale też by poczuć,

jak to jest zjednoczyć się z kimś, kogo Kocham.

Mam na sobie tylko koszulkę i majtki. Podnoszę biodra, tak by móc złapać za dół jego pizamy. Zaraz jest wolny, a gdy tylko wyskakuje spod ubrania, ściąga moje majtki na bok i zsuwa mnie na siebie.

– O cholera – wymyka mi się. – Gdybyś miał jeszcze jednego, mógłbyś chodzić. – Klepie mnie w pośladek, jest tak ciemno, że nie wiem, czy się uśmiecha. Potem już żadne z nas się nie odzywa. Mówią tylko nasze ciała... brzyduli i kaleki.

Następnego dnia rano leżymy w łóżku, dopóki mój telefon nie zacznie dzwonić. Próbuję go zignorować, ale nie chce przestać, więc niechętnie sięgam po komórkę po kilku kolejnych połączeniach.

– To Johan – mówię Judahowi. – Chce się spotkać i pogadać.

Obgryzam paznokcie, czując na sobie ciężar Johana. Musiał obudzić się z nową dawką nadziei mimo mojego wczorajszego wybuchu. Ale ja nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę spędzać kilku godzin na sprzątaniu bałaganu, który narobiły nasze uczucia. Nasz związek zrobił kaput, jakby to ujął Johan.

– A może powinnaś – mówi Judah.

Kręcę głową.

– W tej chwili jesteś tutaj, a ja chcę być z tobą. On może poczekać.

Przygląda się mojej twarzy, ale ja nauczyłam się lepiej ukrywać uczucia.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się wczoraj wydarzyło?

Wciągam nosem zapach jego skóry. Przyciskam policzek do jego piersi i kręcę głową.

– Właściwie to wolałabym to powtórzyć niż o tym gadać.

– Okej – zgadza się Judah. – Ale najpierw musisz mi zrobić śniadanie.

– Idealnie. Mam mrożone gofry i sok pomarańczowy.

Chociaż w Seattle ciągle mży, burza jest tak rzadka jak słońce zimą. Kiedy przetacza się grom, trzęsąc szybami w oknach mojego mieszkania, podbiegam, by spojrzeć, co się dzieje. Judah, świeżo po kąpieli, czyta książkę w salonie. Wybucha śmiechem, gdy potykam się o poduszkę i resztę drogi do okna pokonuję na kolanach.

– To burza – mówię, nie dowierzając.

– Tak – potwierdza.

Odwracam się i siadam plecami do ściany. Ponieważ w mojej łazience brakuje podnośnika dla niepełnosprawnych, musiałam pomóc Judahowi wejść i wyjść z wanny. Zdziwiło mnie to, jak silne ma ramiona i jak niewiele mojej pomocy naprawdę potrzebował. Myślę o tym teraz, podziwiając jego męskie piękno – mokre włosy, szeroką klatkę piersiową. Widok jego nóg był szokujący. Wyglądały jak coś niebędącego częścią jego ciała, przyczepionego do niego byle jak. Chude i delikatne, bezwłose. Musiałam odwrócić wzrok, kiedy wyciągałam go z wanny, i poczułam z tego powodu wstyd. Kto mi dał prawo odwracać wzrok od jego ciała, skoro sama w środku jestem potworem?

– Dlaczego jesteś tak dobry w jeżdżeniu na wózku? – pytam cicho.

Judah zostawia książkę i kładzie ręce na kolanach.

– Na samym początku postanowiłem, że chcę jak najmniej polegać na innych – mówi. – Nie zawsze będzie tak, że ktoś zrobi wszystko za mnie, więc musiałem się nauczyć robić różne rzeczy samodzielnie.

– A Delaney?

– Była wymagająca... kochana, ale wymagająca. Nie robiła za mnie nic, co nie było naprawdę konieczne.

Wspominam dzień, kiedy zawołał mnie z okna, kiedy wślizgnęłam się do jego domu i trzymałam go za rękę, podczas gdy on płakał. Tylko ten jeden raz okazał słabość, a mnie zastanawia, czy ciągle jest w nim to uczucie niedoskonałości, przykryte brawurową zaradnością. Zmatowiałe srebro.

– Ale nie narzekasz. Nigdy nie wydajesz się tym przytłoczony.

– Bo nie jestem. Inni ludzie są twardzi, kiedy muszą mnie wyprowadzić z samolotu albo schylić się nad ladą w Starbucksie, żeby podać mi resztę. Kiedy muszą przytrzymać dla mnie drzwi albo zapakować wózek do bagażnika. To wtedy staję się ciężarem.

Zastanawiam się, jak by to było być zmuszonym polegać na kimś w tak wielu zwyczajnych sytuacjach. Od razu rozumiem, że byłabym zupełnie inna niż Judah.

– Ja byłabym zła i zgorzkniała – mówię.

Wybucha śmiechem.

– Jesteś największą optymistką, jaką spotkałem, Margo. To nieprawda.

Skaczę na równe nogi i biegnę do niego, a potem przyciskam swoje usta do jego ust, chwytam jego twarz w dłonie. Tylko dlatego, że mogę.

Zostajemy w mieszkaniu przez większość dnia. Zamawiamy chińszczyznę i oglądamy filmy, jak kiedyś. Tym razem mam długą listę tytułów, które chciałabym mu pokazać.

– Cóż, od tego można się nabawić depresji – mówi, a ja wyjmuję płytę z napędu DVD i szukam pudełka. *Ukamienowanie Sorayi M.* to jeden z tych filmów, o których się myśli jeszcze długo po seansie.

– Jakim cudem przeszłaś ze łzawych filmideł dla lasek do czegoś takiego?

– To ważne – mówię. – Chcę napełnić się obrazami, które są ważne, a nie takimi, które koją mój strach.

– A jak *Pretty Man* koił twój strach?

Kucam przed telewizorem i patrzę na niego.

– Zawsze się bałam, że prawdziwa miłość nie istnieje. Dlatego oglądałam filmy, w których były szczęśliwe zakończenia i takie tam.

– I takie tam – mówi, a potem dodaje: – Dobra... dobra... Rozumiem. Co jeszcze dla mnie masz? Przekonajmy się, w jak głęboką depresję damy radę wpaść.

Sięgam po kolejną płytę i odczytuję na głos tytuł.

– *Dom z piasku i mgły*.

– Śmiało – mówi Judah. – Jestem teraz bardzo świadomy moich uczuć.

Pociera dłonią pierś.

Na drugi dzień odwożę Judaha do Bone. Ledwo panuję nad drżącymi rękami, ściskając kurczowo kierownicę. Od czasu mojego wyjazdu ani razu nie odwiedziłam Bone. Za bardzo się bałam. A teraz mdli mnie na myśl o tym, że zobaczę pożeracza, Sandy, Delaney. Przeklinam się za przystanie na propozycję Judaha i zastanawiam się, czy miał w tym ukryty cel. Uspokaja mnie Mały Mo. Może Mo pozwoli mi go zabrać na chwilę. Teraz pewnie dzieciak sporo urósł i zaczął chodzić. Cieszę się na to spotkanie i naciskam trochę mocniej pedał gazu. Tak, właśnie to będę robić. Skoncentruję się na Małym Mo i może znajdę trochę czasu, żeby odwiedzić grób Nevaeh. Słyszałam, że miasto zapłaciło za postawienie dużej rzeźby anioła obok jej pomnika. To bardzo miłe. Zerkam na Judaha, nagle czując się znacznie lepiej, i widzę, że mnie obserwuje.

– No co?

– Trzeba było zobaczyć swoją minę. Zupełnie jakbym oglądał niemy film.

– Och, zamknij się – mówię. Ale już czuję znajome ciepło wspinające mi się po szyi. *Przestań zachowywać się jak wariatka, Margo.*

– Najpierw przygryzałaś wargę i pochylałaś się nad kierownicą, w następnej minucie już się uśmiechałaś do siebie, by zaraz zacząć marszczyć brwi i kołysać się w przód i w tył, jakbyś postradała zmysły.

– Nonsens. Ale serio, całkiem jakbyś dopiero teraz się obudził

i zobaczył, że nie jestem normalna.

– Chyba za długo mnie nie było. Ale teraz będzie inaczej, bo już wracam na stałe.

Patrzę na niego kątem oka, zastanawiając się, czy jego zdaniem będę jeździć do Bone co tydzień, żeby się z nim widywać. Nie ma mowy. Wkładam kostkę czekolady do ust, żeby nie pozbawić go złudzeń.

– Moja terapeutka powiedziała, że nie istniejesz – mówię.

Szczerzy do mnie zęby.

– Zawsze byłem zbyt dobry, żeby być prawdziwy, Margo.

Bone jest takie jak zawsze. Staram się patrzeć przed siebie i nie spoglądać na wszystko to, co się nie zmieniło. Nie widzę mokrych papierowych kubków leżących w rynsztokach. A już z pewnością nie widzę licealistek w krótkich spódniczkach obściskujących się z chłopakami, którzy zrobią im dzieci i zostawią je zaraz potem. Judah papla radośnie obok, ale go nie słyszę. Skręcam w Wessex i zatrzymuję się przed podjazdem Delaney. Całe pięć minut zajmuje mi zanieśenie jego bagaży pod drzwi frontowe i wsadzenie go na wózek.

– Wejdz ze mną do środka, Margo – mówi. – Mama na pewno się ucieszy.

Kręcę głową.

– Muszę wracać – kłamię. Zanim zdąży powiedzieć coś więcej, siedzę już w jeepie i wycofuję się z podjazdu. Nie zbliżam się do pozeracza, chociaż słyszę jego wołanie. Zamiast tego zatrzymuję się przed domem Mo. Musiał chyba stać blisko okna, bo zaraz wychodzi na zewnątrz i patrzy zmrużonymi oczami. Na mój widok nieco się rozluźnia.

– Proszę, proszę... Patrzcie tylko, kto wrócił – mówi. Nie uśmiecha się. Żołądek nieco mi się ściska, kiedy zatraskuję drzwi i podchodzę do frontu budynku.

– Cześć, Mo.

– Czego chcesz, dziewczyno? Nigdy nie wyglądałaś na ćpunkę.

Szczerzę do niego zęby.

– Właściwie to przyszłam zobaczyć Małego Mo.

Wydaje się zdziwiony.

– Spoko, jest w swoim kojcu. Możesz wejść. Popilnuj go chwilę, mam coś do załatwienia.

– Jasne. – Nie wraca już do środka, tylko wsiada do lincolna i odjeżdża. Mo nigdy wcześniej nie zaprosił mnie do swojego domu. Chyba ostro go przypiliło, skoro pozwolił byłej sąsiadce zająć się swoim dzieckiem, półsierotą. Mały Mo bawi się zestawem plastikowych kluczy w poplamionym kojcu na środku pokoju dziennego. Twarz ma umazaną czekoladą, ale poza tym nie widać, by coś było nie tak. Uśmiecha się na mój widok. Nie potrafię zapanować nad emocjami, taka mnie zalewa radość. Spędzamy razem popołudnie, a kiedy mały drzemie, ja rozglądam się po mieszkaniu i przeszukuję szuflady Mo. Pod łóżkiem, które dzielił z tą maltretującą dzieci dziwką, Volą, znajduję małe woreczki z kokainą. Wysypuję zawartość do sedesu, a potem napełniam je mąką i odkładam.

Kiedy wyjeżdżam z Bone, długo po zachodzie słońca, czuję się wreszcie spokojna. Od wielu godzin nie myślałam o Leroyu. Mój umysł jest jak bezchmurne niebo.

Tydzień później jadę do Bone, żeby zabrać Judaha na lotnisko Sea-Tac.

– I jak było? – pytam po zjechaniu na autostradę. Jest ciepły dzień, a wiatr bawi się moimi włosami.

– Dobrze. Jestem gotowy wrócić tam na stałe.

– Świetnie – odpowiadam, ale wcale nie jest świetnie. Powrót Judaha do Bone wydaje mi się złym znakiem. Jeśli Bone może go wezwać do siebie, co może zrobić ze mną?

– Wcale tak nie myślisz. Nie podoba ci się, że tam wracam.

– Ano.

Potem niewiele się odzywamy, ale kiedy mijamy rzekę, Judah pyta mnie o coś, co sprawia, że dostaję gęsiej skórki.

– Zrobiłaś coś złego? Czy dlatego nie chcesz tam wracać?

– Dlaczego tak myślisz? – Omal nie uderzam w drugi samochód i zaraz wracam na swój pas. Naciskam pedał gazu.

– Kiedy zapytałem cię o to w Kalifornii, uciekłaś. I to bez pożegnania.

– Jest więcej niż jeden powód, dla którego to zrobiłam – mówię, myśląc o Erin/Eryn/Eren.

– Margo, powiedz mi, co nabroiłaś... A poza tym za szybko jedziesz.

Zmieniam dwukrotnie pas. Widzę, jak Judah napina całą górną część ciała. Wciskam się przed inne auto, a jego kierowca na mnie trąbi.

– Zabiłam Volę Fields i Lyndee Anthony. Zabiłam mężczyznę, który próbował zgwałcić nastolatkę. – Waham się przez moment, ale zaraz dodaję: – I próbowałam zabić Leroya Ashleya.

Judah przez długą chwilę nic nie mówi. Przed zjazdem z autostrady ruch gęstnieje. Zwalniam, chociaż wolałabym jechać dalej, szybciej.

– Kim jest Leroy Ashley?

– Gwałcicielem.

– Ale jeszcze go nie zabiłaś?

Zerkam na Judaha i widzę, że mi się przygląda.

– Nie.

Widzę, że mu ulżyło.

– A skąd wiesz?

– Co takiego wiem? – Odgarniam włosy z twarzy, zirytowana tymi pytaniami.

– Że jest gwałcicielem!

– To długa historia. Ale wiem na pewno.

Drapie się po szczęce, wyglądając przez okno, ale zaraz znowu patrzy na mnie. Ciekawe, czy gdyby mógł chodzić, poprosiłby już, żebym go wypuściła z samochodu.

– Dlaczego, Margo? Dlaczego nie poszłaś z tym na policję?

Wybucham śmiechem.

– Żartujesz? Po tym, co się stało z Lyndee? Judah, dlaczego w ogóle mnie o to pytasz?

– Dlaczego musiałaś ich zabić? Mogłaś przecież... – Skupia się na kobietach, nie na Leroyu. Może dlatego, że jego jeszcze nie zabiłam.

– No co mogłam? Posadzić ich przy stole i uciąć sobie miłą pogawędkę o tym, co zrobili?

– Może... Wydaje mi się to bardziej rozsądne niż odbieranie im życia.

Zastanawiam się nad tym. Możliwe, że po raz pierwszy. Dlaczego właściwie musiałam ich zabić?

– Nie miałam żadnych dowodów – mówię. – Policja miałaby związane ręce. A ja wierzę w szybkie wymierzanie sprawiedliwości.

Uderza w deskę rozdzielczą pięścią, a potem trzyma ją zaciśniętą, mówiąc do mnie przez zęby.

– Nie jesteś sędzią. Nie masz prawa wymierzać ludziom swojej wersji sprawiedliwości. Jak możesz być tak głupia?

– Głupia? – Mówię to jakby z daleka. Język mi odrętwiał od tego, co przed chwilą wyznałam. Nigdy nie myślałam, że zrobiłam coś głupiego. Właściwie to nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam. Po prostu słuchałam swojego ciała. Działałam jak ktoś, kto odciął więzy z umysłem i opiera się wyłącznie na wskazówkach płynących z jakiejś głębszej siły. Coś jak w trakcie opętania.

– Może... – zaczynam i nawet w moich uszach brzmię nieprzekonująco. Judah wierci się, złości. Tęczówki mu się gotują wokół źrenic, wygląda jak komiksowa wersja samego siebie. Oczy nigdy nie kłamią. Nie ma w nich emocji, które chcemy pokazać samym sobie albo innym, widać w nich te, których rzeczywiście doświadczamy. Można słuchać czyichś słów albo spojrzeć mu w oczy.

– Dlaczego tak się na mnie wściekasz? Zostawiłeś mnie.

Ale on już nie słucha. Zaczyna łączyć fakty.

– To dlatego trafiłaś do szpitala. Omal cię nie zabił.

– No dalej, śmiało. Wy tłumacz mi, jaka jestem głupia. Bo przecież powinnam zostawić wszystko w rękach policji, pozwolić niezawodnym sądom wymierzyć sprawiedliwość. Ale oboje wiemy, jak to wygląda w rzeczywistości. Żyliśmy w świecie, w którym nikt nie chroni dzieci przed ich własnymi rodzicami. Gdzie możesz kogoś skrzywdzić, bo ktoś kiedyś skrzywdził ciebie.

Dla mnie to wszystko prawda. Vola i Lyndee miały swego rodzaju ignorancką pychę. Leroy przynajmniej wiedział, co robi. Chciał, żeby ktoś go przyłapał. Nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy.

Chcę wypełnić swój plan i tym razem nie zrobię nic pod wpływem impulsu. Nie popełnię błędów. Z lekkim przestraciem zdaję sobie sprawę, że ewoluuję jako morderczyni. Dojeżdżamy już na lotnisko, pomagam Judahowi przesiąść się z jeepa na wózek. Kiedy się pochylam, żeby się z nim pożegnać, ma w oczach łzy.

– Dlaczego musi tak być, Margo?

Całuję go w czoło.

– Skarbie, jestem wariatką.

Patrzę, jak pracownik lotniska wprowadza go do środka. Judah nie ogląda się za siebie i myślę, że to dobry znak. Może między nami już na zawsze wszystko skończone. Czuję dumę. Jakbym znowu przejęła kontrolę nad swoim życiem i potrafiła odejść od Judaha, kiedy tego potrzebuję. Doktor Elgin uważała, że on ma na mnie zły wpływ. Że jest kimś, kogo potrzebuję, by radzić sobie z różnymi złymi rzeczami. Ale to już nieprawda. Panuję nad swoim życiem. Nie potrzebuję Judaha. Po prostu lubię jego towarzystwo. Zaraz po powrocie do domu wybieram numer doktor Elgin.

– Widziałam się z Judahem – mówię. – Nie zrozumiał.

Pyta mnie, czy biorę swoje leki, a potem każe mi natychmiast przyjechać do gabinetu.

Leroy myśli, że wygrał. Większość mężczyzn myśli, że urodziło się ze złotym medalem między nogami. Właśnie to myślał sobie Howard, gdy ukradł trumienkę z pozeracza. Nie skończyłam jeszcze z Howardem i nie skończyłam z Leroyem. Leroy Ashley nie ma pojęcia, że przetrwałam to, co mi przygotował, a ze szpitala wyszłam jeszcze silniejsza. Uciekł mi, ale go odnajdę. Gdyby znał mój gniew, już by się szykował. Może kupiłby broń albo przestałby pić codziennie rano drinki z wódką. Przyjrzałby się dokładnie bliznom po oparzeniach i przypomniał sobie, jak jego skóra pękała i syczała jak bekon, gdy przystawiłam do niej płomień zapalniczki. Tym razem nie muszę go obserwować. Nie potrzebuję wielu godzin na planowanie. Wiem dokładnie, co z nim zrobię. Oko za oko. I nie zrobię tego dla siebie. Nie zemszczę się za nic, co wycierpiałam przez niego, ale za każdą krzywdę zadaną tamtym kobietom, którym zniszczył życie. Bo tak nie można robić – nie można świadomie niszczyć komuś życia. Inaczej w końcu spotka cię kara.

Następnej wiosny robię trzytygodniowy kurs na kierowcę zawodowego, odbieram prawo jazdy na ciężarówkę i zatrudniam się w firmie Dahl Transport. To desperacki krok, dzięki któremu mam trzymać się poza zasięgiem wzroku policji i rozproszyć po kraju, by móc nadal polować na ludzi. Jestem jedną z trzech kobiet, które pracują dla Larry'ego Dahla i według wszelkich kryteriów najładniejszą. Mężczyźni przewyższają nas liczebnością dwadzieścia do jednego. Lindę Eubanks, Dodo Philbrooks i oczywiście mnie.

Linda i Dodo należą do – jak to nazywa firma – starych wyjadaczek. Traktują swoje samochody tak, jak traktowałyby koszulki z napisami „Pierdol się, pierdolony popierdoleńcu”. Linda nadal ma na głowie słynnego czeskiego piłkarza** – włosy są szare przy skórze i jasnoczerwone wszędzie dalej. Porusza się powoli na udziskach wielkości beczek, a zawsze przed nią pojawia się najpierw jej perlisty śmiech. Odpowiedniczka Lindy, a czasem wielki wróg, Dodo, jest też jej przeciwieństwem. Same kości i zmarszczki, jej buzia przypomina stary kawałek wyprawionej skóry, na której ktoś namalował za dużo jasnoróżowej szminki i niebieskiego cienia do powiek. Dodo zawsze pachnie, jakby wytarzała się w popiele z papierosów. Kiedy się wścieka,

rzuca różnymi przedmiotami i nazywa każdego pizdą. Jestem najmłodszym pracownikiem firmy od dwudziestu lat, a dostałam tę robotę wyłącznie dlatego, że podałam panu Dahlowi kawę w knajpie i poprosiłam, by zrobił ze mnie wielkiego, złego tirowca. Na początku się roześmiał, ale kiedy nie chciałam się ruszyć z miejsca, gapiąc się na niego z na wpół pustym dzbankiem kawy w ręku, dał mi swoją wizytówkę i kazał przyjść pod umieszczony na niej adres.

Umówiłam się z nim na spotkanie i tydzień później wmaszerowałam do jego biura na Madison, ubrana w poszarpane dżinsy, buty ze stalowymi czubkami i koszulkę z napisem „Ciężarówka to moje życie”. Zanim wyszłam z mieszkania, zawiązałam na głowie niebieską bandanę. Dzięki niej wyglądałam hardo. Recepcjonistka Dahla spozjrzała na mnie, jakby z nosa wypływały mi robale. Ale ja dowiedziałam się co nieco o przebiegłym Larrym Dahlu. Był wielbicielem kina, oddanym fanem *Gwiezdnych wojen*, a każdej wiosny jeździł na Comic-Con, gdzie – jak można się przekonać, zapuszczając się odpowiednio daleko na jego profil na Twitterze – przebierał się za Obiego-Wana Kenobiego. Jego flota ciężarówek została pomalowana na żywe kolory, zdaniem właściciela auta są dziełami sztuki. Dahl to ekstrawagancki artysta i nerd, a ja zamierzałam pokazać mu niezły show, żeby tylko dostać tę robotę.

Kiedy weszłam do jego biura, wstał, by mnie powitać, śmiejąc się głośno z mojego stroju. Poświęcił chwilę, by zrobić mi zdjęcie swoim iPhone'iem.

– Dlaczego chcesz jeździć ciężarówką? – zapytał, kiedy już usiadł za biurkiem. – Dlaczego nie pójdziesz do *college*'u? Nie zaczniesz kariery w branży modowej? Albo w gastronomii?

Skrzywiłam się na wszystkie trzy propozycje.

– Bo lubię robić rzeczy, których nie powinny robić kobiety.

– To nie tylko praca, Margo. To sposób na życie, który będzie miał wpływ na twoją rodzinę i przyjaciół. Masz kogoś, dla kogo warto trzymać się jednego miejsca?

Myślę o Judahu, a potem kręcę głową.

– Nie, nikogo.

Dahl odchyła się do tyłu i drapie po brodzie. Gładkiej jak pupcia

niemowlaka, bez cienia zarostu.

– Rozumiem.

Uznałam, że to jest moment, gdy powinnam zacząć go przekonywać.

– Panie Dahl, nie jestem jak inne dziewczyny. Nie bawią mnie błyskotki i głupotki. Lubię jeździć. Lubię zwiedzać. Lubię być sama. Jestem twarda. Nie będzie się pan musiał o mnie martwić. Stres to dla mnie bułka z masłem.

Wyraźnie jeszcze mi nie wierzy.

– Mój ojciec jeździł ciężarówką – kłamię. – Zmarł przed moimi narodzinami. To zawód, który wyjątkowo cenię.

Decyzja została podjęta. Dahl zaproponował mi pracę, mówiąc, że sami zajmą się szkoleniem. Wyszłam z biura z dokumentami pod pachą, nie mogąc się nadziwić, jakie spotkało mnie szczęście. Oczywiście nadal będę musiała go przekonywać. Będzie mi się uważnie przyglądał, żeby zyskać pewność, że potrafię nadażyć za chłopakami. Ale nie obchodziło mnie to. Przekonałam się już, że umiem odnaleźć się w każdej sytuacji i jestem dobra w większości rzeczy, którymi się zajmuję.

Pierwszą ciężarówkę dostałam dziewięć tygodni po rozpoczęciu szkolenia. To Detroit Diesel DD15 – piękna i potężna maszyna. Kiedy wspięłam się do kabiny, poczułam zapach nowości. Nie jestem tak postawna i dominująca jak Dodo Philbrooks czy Linda Eubanks, ale też nie należę do kruchych i delikatnych dziewczątek. Pasuję do tych ludzi tak samo, jak struś do reszty ptaków: niby zaliczam się do grupy, ale trochę też się od niej odróżniam. I tak rozpoczęło się moje życie jako kierowcy ciężarówki.

Odnalazłam Leroya Ashleya w małym domku na plaży na Florydzie. Musiałam zadzwonić do jego ulubionej firmy z bielizną z Raleigh w Karolinie Północnej, która specjalizowała się w majtkach bez kroku. Na początku udawałam jego żonę, która chce się upewnić, że katalog zostanie wysłany na nowy adres.

– A może mi pani podać ten nowy adres? – zapytała dziewczyna po drugiej stronie. – A ja sprawdzę, czy jest u nas w bazie.

– Nie – warczę w odpowiedzi. – Już raz dzwoniłam w tej sprawie i wszystko pokręciliście. Proszę mi powiedzieć, jaki macie adres, a ja się

przekonam, jak bardzo niekompetentni jesteście.

– Proszę pani...

– No dobra. Skłamałam. Chłopak zerwał ze mną i zabrał naszego psa. Nie jestem pewna, gdzie teraz jest, ale muszę go odnaleźć. Nic innego nie przyszło mi do głowy. – Nie jestem pewna, dlaczego mi uwierzyła i zlitowała się nade mną, ale za chwilę miałam już nowy adres Leroya zapisany na tylnej stronie starego rachunku za prąd. Większa firma nigdy nie pozwoliłaby sobie na przekazanie takiej informacji. Miałam farta.

Nie rozmawiałam z Judahem od czasu naszego rozstania na lotnisku. Próbował do mnie dzwonić, ale nie byłam jeszcze gotowa na rozmowę. W e-mailach pisał mi, że przeprowadził się do Bone i zatrudnił jako nauczyciel w mojej starej szkole średniej. Uśmiecham się na myśl o tym, że Mały Mo mógłby kiedyś się u niego uczyć.

Pewnego dnia Dahl woła mnie do swojego biura i pyta, czy chciałabym zawieźć ładunek oleju miętowego na północ Miami.

– To wykracza poza twoją typową trasę – mówi – ale Sack ma mieć operację laserową na oczy i nie może jechać.

Udaję zirytowaną i niechętnie przystaję na propozycję, gdy oferuje mi sto pięćdziesiąt procent zwyczajowej stawki. *Same plusy!* Kiedy mijam długi fragment Everglades zwany Aleją Aligatorów, zastanawiam się, co się teraz dzieje w głowie Leroya. Czy naprawdę myślał, że się przede mną ukryje? Że mu odpuszczę? Wybucha śmiechem i podkręcam głośność muzyki. Leci Taylor Swift. Rany, jej się nie da nie lubić.

Leroy niewiele się zmienił. Te same włosy, ta sama dieta, taka sama praca. Ta sama mina samozadowolenia. Podziwiam to, że potrafił przeprowadzić się na drugą stronę kraju, żeby uciec przed kłopotami, w jakie mogłabym go wpędzić. Niebywałe poświęcenie.

Musiał splukać cały dom płynem do czyszczenia o zapachu sosny, inaczej stare dobre obsesje nie dałyby mu spać. Następnego ranka po pozbyciu się ładunku wchodzę do mieszkania Leroya w podobny sposób jak ostatnim razem. Wszystko urządził prawie tak samo, kupił tylko nowy stół do kuchni. Podoba mi się, jest czarny. Pod łóżkiem znajduję pornosy i przeglądam je, czekając na powrót gospodarza. W sypialni ma

też broń, schowaną za kratką klimatyzatora. To przeze mnie. Jestem zaszczyczona. Bawię się chwilę pistoletem, a potem się nudzę i postanawiam poszukać czegoś do jedzenia.

Leroy wraca do domu o szóstej. Słyszę jego pogwizdywanie, gdy wchodzi do środka i rzuca klucze na stół. Wiem, co zaraz zrobi; uśmiecham się, słysząc, jak otwiera lodówkę i brzdęka butelkami. PBR dla Leroya. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Staję w najdalszym kącie, obok okna, i celuję bronią w drzwi. Leroy na mój widok upuszcza piwo.

– Witam, witam – mówię.

Bursztynowy płyn tworzy kałużę, a Leroy nie odwraca ode mnie wzroku.

– Och, daj spokój. Chyba nie myślałeś, że na zawsze zamkną mnie w wariatkowie? – Rzucam mu kajdanki. – Do łóżka. I nic nie kombinuj, bo z radością odstrzelę ci ten bezczelny uśmieszek.

Rusza powoli do przodu. Obserwuję go z palcem na spuście. Chciałabym, żeby zrobił coś głupiego, bo wtedy mogłabym go zastrzelić. Nie. Nie mogę dać się ponieść emocjom. Oko za oko. Muszę to zrobić, tak jak należy.

– Chciałbyś coś powiedzieć?

– Zajebię cię, dziwko.

Uderzam go wierzchem dłoni.

– Tylko gadasz i gadasz, popaprańcu. Trzeba było to zrobić, gdy miałeś szansę.

O mój Boże, on jest taki rozzłoszczony. Siadam na brzegu łóżka, blisko jego głowy.

– Wytłumacz mi coś – mówię. – Urodziłeś się taki? Czy gdybyś miał lepszych rodziców, i tak zostałbyś gwałcicielem?

Patrzy na mnie i szarpie kajdankami. Stukam go w czoło pistoletem.

– Przestań.

– Pieprzę cię.

– Leroy. – Wybucham śmiechem. – Przecież mam jasne włosy! – Łapię za kucyk, żeby to podkreślić. – Tego się właśnie spodziewałam. Poważnie, to jest najsmutniejsze. Gdyby twoja mama nie była samolubną dziwką, wyrósłbyś na prawie normalnego człowieka.

– Ani słowa o mojej matce – warczy. Jestem zadowolona; pierwszy raz na mnie nie bluzga.

– Myślisz, że się czymś różnimy? Że jesteś lepsza ode mnie? Widzę chorobę w twoich oczach. Zabiję cię.

– To była miła pogawędka – rzucam, klepiąc go po głowie.

Wrzeszczy, ile tylko może, a jego oczy płoną nienawiścią, kiedy wstrzykuję mu środek usypiający. Prosto w szyję. Wzdryga się i próbuje mnie ugryźć. Biję go w policzek i mówię, żeby przestał.

Czekam w kącie, aż Leroy zaśnie, nucąc pod nosem nową piosenkę Taylor Swift, którą usłyszałam wcześniej w radiu. Kiedy Leroy śpi, obcinam mu penisa. Wkładam go do małego, różowego pojemnika chłodzącego, zaś ranę wypalam nowym różowym zippo, które kupiłam w sklepie 7-11.

Układam kostki lodu wokół członka, a potem wycinam też oczy. Naprawdę brudna robota. Ale myślę, że to sprawiedliwe. Bez oczu nie będzie już mógł obserwować kobiet i planować, jak je skrzywdzić. Zdejmuję mu kajdanki i klepię go po brzuchu przed wyjściem.

– Gnij w piekle, popierdoleńcu.

Zabieram pojemnik ze sobą. Leży obok mnie w kabinie do czasu, aż nie wyrzucam go gdzieś na pustyni Nowego Meksyku. Nie wiedziałam, że pozwolę mu żyć, dopóki on nie pozwolił żyć mnie; oko za oko. Jednak jego życie się zmieni. Być może nawet okaże się gorsze od śmierci. Wymierzyłam mu sprawiedliwość.

Epilog

Urodziłam się chora. Tak samo jak moja matka i jej matka przed nią. Choroba tkwi w naszym szpiku. Pewnego dnia słyszę wołanie pożeracza i pakuję się, by wrócić do Bone. Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Nadszedł czas, by zmierzyć się z prawdą o sobie. Maluję go na czerwono ze względu na całą przelaną przeze mnie krew. Potem wykańczam okna śnieżnobiałą farbą. Zatrudniam kogoś do ułożenia nowych podłóg i wymiany szafek oraz blatów w kuchni. Do wiosny pożeracz ma nowe zapachy i nowy blask. Wymieniłam nawet starą, obtłuczoną wannę na nowiutki prysznic. Ma błyszczące szklane drzwi i przyska wodą z dwóch punktów. To wciąż ten sam straszny dom, ale naprawiłam go, żeby spełniał nową funkcję. Przez pierwszy rok od mojego powrotu doktor Elgin dzwoni do mnie raz w tygodniu, ale potem kontakt się urywa. Pewnie wie, że już ze mną dobrze. W zimie Mo puka do moich drzwi niemal codziennie. Pijemy gorącą czekoladę przed kominkiem, a on mi opowiada o koleżankach ze szkoły. Latem widuję go najczęściej wtedy, gdy przejeżdżam obok boiska, gdzie ciągle gra z kolegami. Macha do mnie i wraca do swoich zajęć. Wciąż rzadko się uśmiecha, ale zaczęło mi się to u niego podobać. Jeśli mam szczęście, wpada z koszykiem jeżyn zebranych specjalnie dla mnie. Szczerzę zęby

i jakoś udaje mi się przetrwać lato, bo wiem, że zimą Mo do mnie wróci. Raz odwiedza mnie też ojciec, zaraz po tym, jak ktoś powiedział mu o moim powrocie do Bone. Jest już stary; jego skóra zwisa z kości, jakby się rozpuszczała. Usadzam go przy nowym stole kuchennym – czarnym, ku czci Leroya – i parzę mu herbatę. Ojciec chce mnie przeprosić. Wybaczam mu, bo wiem, że jest po prostu tak samo popieprzony jak my wszyscy. Przed wyjściem mówi mi, gdzie pochował trumienkę, którą kiedyś znalazłam w piekarniku. Cieszę się. Chcę zanieść mojemu bratu albo siostrze kwiaty. Ojciec mówi, że to nie było jego dziecko, ale mu nie wierzę. Może i mnie przeprosił, ale nadal jest kłamliwym dupkiem. Umiera dwa miesiące później. Jemu kwiatów nosić nie zamierzam, choć dobrze, że zdążyliśmy się pogodzić.

Delaney odchodzi w sierpniu. Zwyczajnie upada w trawę w trakcie pracy w ogrodzie i bierze ostatni oddech pod niebem. To Matka Mary ją znajduje. Matka Mary, która ma dziewięćdziesiąt siedem lat i pewnie przeżyje nas wszystkich. Twierdzi, że wiedziała, kiedy pójść do Delaney, bo przewidziała jej śmierć tydzień wcześniej. Po odejściu matki Judah wyprowadza się ze swojego mieszkania i przenosi do domu Delaney. Próbuje przekonać mnie do sprzedaży pozeracza i zamieszkania razem z nim, ale ja nigdy nie opuszczę pozeracza, a może on nigdy nie puści mnie. Teraz to już nie ma znaczenia. Dlatego odwiedzamy się na przemian – noc tutaj, noc tam. Za pieniądze z ubezpieczenia matki Judah odnawia kuchnię, obniżając wszystkie blaty i kupując odpowiednio przystosowane urządzenia. Jedną szafkę zostawia dość wysoką, bym mogła na stojąco pomagać mu w gotowaniu. Bardzo mnie tym wzrusza. W końcu nie kupiłam telewizora, a Judah każe mi oglądać filmy u siebie.

Pewnego wieczora siedzimy obok siebie na kanapie z miską popcornu, kiedy Judah przełącza na kanał z informacjami i jedzie do łazienki. Programy informacyjne zawsze mnie niepokoją; zazwyczaj wychodzę na ten czas z pokoju, ale tym razem podkręcam głośność i pochylam się w stronę ekranu, gdzie pokazują mężczyznę z niezwykle przyjaznymi, błękitnymi oczami.

„Gwałciciel na wolności w stanie Waszyngton – mówi reporterka. – Spoglądam w stronę drzwi łazienki i siadam na samym

brzegu kanapy. Muslim Black, przywódca sekty, uciekł ze swojej posesji w zeszłym tygodniu, kiedy policjanci próbowali go aresztować. Podobno udał się do Spokane, gdzie trwają w tej chwili poszukiwania. W trakcie dwunastu lat kierowania grupą Bramy Raju rzekomo zgwałcił i więził ponad trzydzieści kobiet...”

Słyszę chrobot gałki w drzwiach łazienki i szybko zmieniam kanał. Judah uśmiecha się po powrocie na kanapę i przez chwilę jego twarz wystarcza, by zniknął cały mój złowieszczy gniew. To jego piękno, tak łatwo przychodząca mu miłość, odwaga, z jaką mierzy się z kalectwem. Też się uśmiecham, lecz z zupełnie innych powodów. Pod skórą i pod włóknami mięśni grzechoczą moje kości.

Ratttatata

Mój szpik woła, przypominając mi, kim jestem. Jestem Margo Moon. Jestem morderczynią. Wierzę w poezję zemsty. Muslim Black jest na wolności. Nadszedł czas, nadszedł czas, nadszedł czas... na polowanie.

Obejrzałam kiedyś filmik na YouTube, na którym kobieta biła swoje dziecko. Zszokował mnie jej spokój. Nikt jej nie zmuszał, nie była ani rozgniewana, ani zdenerwowana. Siedziała plecami do kamery i uderzała, szczypała, klepała swoje dziecko – raz po raz, mimo jego płaczu.

Dlaczego poświęciłam sześć minut swojego życia na obejrzenie, jak matka dręczy swoje dziecko, które nie potrafiło jeszcze samodzielnie usiąść? Ponieważ mały cierpiał, a ja nie chciałam odwracać wzroku od cierpienia. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie trzeba go widzieć, żeby wiedzieć o jego istnieniu. I chociaż to prawda, uznałam, że skoro mały czuje ból, mogłam przynajmniej współodczuwać go razem z nim. W jakiś niewytłumaczalny sposób, oglądając to cierpienie, potwierdzałam jego prawdziwość. Muszę przyznać, że obraz matki podnoszącej rękę na to maleństwo wyrył mi się w pamięci i nie przestanie prześladować mnie chyba do końca życia. Dziecko było zbyt małe, żeby wiedzieć, że to nie powinno się wydarzyć. Okrucieństwo matki było dla niego normą.

Nigdy go nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę, że ludzie krzywdzą się nawzajem, a dzieci cierpią za grzechy rodziców, ci zaś za grzechy

swoich. Nigdy nie zapomnę, że na świecie miliony ludzi wołają o pomoc w tej właśnie chwili. Czuję się bezsilna... jakbym nic nie mogła z tym zrobić.

Aby poradzić sobie z tą brutalną rzeczywistością, zaczęłam pisać. Ponieważ nie mogłam zemścić się w imieniu małego dziecka, postanowiłam, że Margo zrobi to za mnie. Margo i jej poezja zemsty. Zabiłam ich wszystkich w tej książce: gwałcicieli moich przyjaciół, obrzydliwych dręczycieli dzieci, ludzi odbierających życie i nadzieję. Zabiłam ich i podobało mi się to. I chyba czyni mnie to równie grzeszną – na swój sposób morderczynią – bo jesteśmy tym, co myślimy.

Chcę powiedzieć jasno, że wierzę w sprawiedliwość zarówno na tym, jak i na tamtym świecie. Wierzę, że powinniśmy walczyć w imieniu pokrzywdzonych i otworzyć oczy na cierpienie. Nie tylko nasze własne, ale to dokoła. Czasami, ratując kogoś innego, ratujesz też trochę samego siebie. Kochając kogoś innego i nie oczekując niczego w zamian, uczymy się kochać siebie. Może to ten zwykły akt działania na rzecz innych sprawia, że czujemy się lepiej we własnej skórze.

Błagam was, żebyście się nie krzywdziły. Nie cięły swojej skóry, nie połykały tabletek, nie zapijały bólu. Nie oddawały się tak łatwo mężczyznom, by poczuć się ważnymi. Przestańcie nazywać się bezwartościowymi. Przestańcie zalewać się żalem. Przestańcie rozpamiętywać swoje porażki. Każda z was była kiedyś tym dzieckiem, za które Margo była gotowa zabić. Walczcie o siebie. Macie prawo żyć i żyć dobrze. Odziedziczycie wady i stworzycie własne. Nie ma w tym nic złego. Użyjcie ich do przetrwania. Nie zabijajcie innych; nie zabijajcie siebie. Z odwagą sięgajcie po miłość. A przede wszystkim nie wstyďte się swojego pochodzenia i swoich błędów. Miłość w swej ślepcie was wskrzesi.

Z miłością

Tarryn

Podziękowania i takie tam

Zacznę od osoby, której zadedykowałam tę książkę – od mojej mamy. Która w niczym nie przypomina matki Margo – muszę to dodać. Gdyby nie wychowała mnie Cynthia Fisher, zostałabym socjopatką. Dziękuję, że nauczyłaś mnie dobroci i bezinteresownej miłości. Gdyby każdy miał taką matkę, na świecie byłoby o wiele mniej cierpienia. Dziękuję też mojemu tacie, który posiada prawdziwe dziwy w swoim szpiku i przekazał je mnie.

Dziękuję zespołowi wsparcia – znanemu także pod nazwą Kochane Wariatki Tarryn. Jesteście dzikie, odważne i przerażające. Mam nadzieję, że wszystkie widziałyście film *300*, bo przywodzicie mi go na myśl. Chciałabym móc podziękować każdej z was i każdą uścisnąć. Naprawdę przywróciłyście mnie do świata żywych.

Dziękuję Lori Sabin, Simone Schneider, Tracy Finlay i Madison Green – kocham was i chciałabym częściej was widywać. Dziękuję Ninie Gomez i wszystkim jej alter ego. Spędziłam z tobą jedne z najlepszych chwil. Dziękuję Jamesowi Reynoldsowi za to, że zawsze mnie zachęcał do pracy i pomagał, kiedy tego potrzebowałam. Dziękuję też Rhondzie Reynolds za to, że zawsze mi matkowała.

Dziękuję Jenn Sterling, Rebecce Donovan, Tali Alexander i Claire

Contreras za słowa wsparcia i wiadomości. Dziękuję Alessandrze Torre za uratowanie *Mud Vein* przed *Margo*! Jestem bardzo wdzięczna za te uwagi!

Dziękuję blogerom, którzy poświęcają swój czas, by tak mądrze recenzować moje książki. Dziękuję Murphy Rae z Indie Solutions za piękną okładkę, która idealnie pokazuje, czym jest *Margo*. Jovanie Shirley z Unforeseen Editing za to, że potrafi wszystko dla mnie rzucić. Bardzo, bardzo dziękuję.

Jestem wdzięczna także Michelle Wang i Kolbee Rey za podzielenie się ze mną swoimi historiami. Ludzka natura może zniszczyła wasze dzieciństwo, ale jesteście twarde i macie duże serca. Mam nadzieję, że nie pozwolicie, by błędy innych wpływały na wasze poczucie wartości. Jesteście bardzo kochane.

Dziękuję Jonathanowi Rodriguezowi, który dojrzewał w dębowej beczce. Dziękuję, że zawsze jesteś wszystkim, czego potrzebuję, dokładnie wtedy, kiedy tego potrzebuję, oraz za to, że uczyniłeś z Bibelota swoją ulubioną postać. Ty mnie rozumiesz.

Dziękuję Amy Holloway, mojej przyjaciółce i muzie, która zainspirowała mnie do wielu głębszych przemyśleń zawartych w tej książce. Dajesz mi taki wspaniały spokój. Jesteśmy kolorem wielkiego BUM!

Dziękuję Madison Seidler, mojej redaktorce i partnerce w biznesie, ale przede wszystkim przyjaciółce – wybieram ciebie! A potem Judah pojawia się z wizytą... i robi się naprawdę strasznie.

Dziękuję Serenie Knautz, asystentce i najprawdopodobniej najlepszemu człowiekowi na świecie. Liderce dzikiego gangu. Buntownicze i imprezowiczce. Lojalnej przyjaciółce. Zginęłabym bez ciebie. Twoja miłość i niesłabnące wsparcie wyprowadziły mnie z ciemności. Każdego dnia uczę się coraz więcej o miłości właśnie od ciebie. Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj (nawet po to, by jechać do Francji).

Dziękuję Colleen Hoover, która zawsze daje mi rady w formie wersów piosenki. Dziesięć razy próbowałam wyrazić słowami moje uwielbienie, jednak wciąż widzę, jak gonisz gołębie na Bourbon Street, i nie mogę się skupić. Mała, jesteś szalona! Zabiłabym dla ciebie.

Poważnie. Powiedz mi tylko kogo.

Moim małym człowieczkom, Scarlet i Ryderowi – mamusia zwariowała, ale to wszystko dla was. (Fuj!)

* Gra słów: sin w języku angielskim znaczy „grzech”.

** Czeski piłkarz (*mullet*) – fryzura modna w latach osiemdziesiątych.

Marrow

Copyright © by Tarryn Fisher 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Copyright © for the translation by Agnieszka Brodzik 2017

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Maciej Cierniewski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na okładce – www.kpmalinowski.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek

inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu

bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

Spis treści

Okładka Strona tytułowa Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział
16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21
Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział
27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32
Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział
38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43
Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział
49 Rozdział 50 Rozdział 51 Epilog Podziękowania i takie tam Strona
redakcyjna

